

ANNA SAKOWICZ

Już nie uciekam

Mamie i Tacie

Rozdział 1

Dobry humor prysł jak bańka mydlana jakieś piętnaście minut temu. Stałyśmy z Olgą przed wejściem do kina. Co chwilę któraś z nas nerwowo spoglądała na zegarek. Zaraz rozpocznie się seans, a Beaty i Izy ciągle nie było. Z pewnością jedna z nich miała bilety zagubione gdzieś w czeluściach ogromnej torebki i nawet kiedy raczy się pojawić, spędzimy kilka minut na przetrząsaniu jej torbiszca. Przystępowałam z nogi na nogę, bo trochę jednak zmarzłam w cienkich balerinkach. Wrzesień tego roku był chłodny, a szczególnie ostatnie dni dały się we znaki. Delikatny wiaterek hulał po moich stopach w najlepsze, jakby nagle dokonał genialnego odkrycia, że można w ten sposób człowieka zdręczyć. Szczelniej owinęłam się swetrem. Niestety nie miałam przy sobie skarpet, które mogłabym wcisnąć na stopy.

- Gdzie one są? - denerwowałam się.

- Czekaj, zadzwonię, że wchodzimy do środka. Przecież zaraz zamarzniemy!

Olga wyjęła telefon i wpatrywała się w wyświetlacz, ja natomiast patrzyłam przed siebie. Liczyłam wolne miejsca na parkingu. Kiedy zostało tylko jedno, miałam ochotę rozsiaść się na asfalcie, by trzymać miejscówkę dla Beaty. Na szczęście nie zdażyłam genialnego planu wcielić w życie, bo wyjechały dwa auta, robiąc więcej przestrzeni dla mojej koleżanki.

- Są! - krzyknęłam, kiedy tylko zobaczyłam dwie kobiety pędzące w naszą stronę. Przyznam, że widok mnie lekko zdziwił. Beata targała torbę sportową wypełnioną po brzegi. Iza biegła obok z jakąś siatką równie obficie wypakowaną. - One na zakupach były? - odezwałam się do Olgi. - Widzisz to, co ja?

- Powariowały - odpowiedziała zdumiona ich widokiem. - Czemu tego w aucie nie zostawiły?

Obie miały zadyszkę, choć odcinek, który przebiegły, nie powalał długością.

- Sorki! - wrzasnęła Beata. - Mam bilety! Idziemy! Zamachała nam przed nosem świstkami papieru. Weszliśmy do kina. Prawie wszystkie miejsca były już zajęte, więc przeciskałyśmy się między rzędami wypełnionymi przedstawicielkami płci pięknej. Tego dnia odbywał się seans dla kobiet połączony z jakąś prezentacją i konkursami. Beata zapewniała, że to świetna impreza. Podobno bywa na takich pokazach co miesiąc i zawsze kapitalnie się bawi.

Przyjechałam do rodzinnego miasta tylko na kilka dni. Wczoraj sfinalizowałam transakcję sprzedaży mieszkania i jutro miałam wracać na Kociewie. Jeszcze rok temu nie przypuszczałam, że kiedykolwiek przyjdzie mi się przeprowadzać na stałe. Wzięłam roczny urlop dla poratowania zdrowia. Miałam odpocząć, a zrewolucjonizowałam całe życie. Mamuśka zaangażowała mnie w opiekę nad osiemdziesięcioletnią ciocią Zosią mieszkającą samotnie w Starogardzie Gdańskim. Okazało się, że to podstęp. Sprytna rodzicielka chciała mnie zeswatać z synem sąsiadki cioci - Piotrem Prażmowskim, pieśczośliwie nazywanym Blublusiem. Jej plan niestety nie wypalił, bo Piotr wolał przedstawicieli własnej płci, ale zaprzyjaźniliśmy się. Dzięki niemu rozpoczęłam pracę jako wolontariuszka w hospicjum dla dzieci. Napisałam i wydałam kilka bajek. Nie lada wyczynem było też złamanie ręki i rozbicie łepetyny. Dzięki temu poznałam Artura - chodzącą doskonałość. To on mnie operował. Chcąc nie chcąc, zakochałam się, a przynajmniej na to wskazywały wszystkie objawy, choć stuprocentowej pewności wciąż nie miałam. Dla niego postanowiłam sprzedać mieszkanie w Zachodniopomorskiem i przenieść się na Kociewie. Ponadto moja córka Lusia chodziła już do liceum w Gdańsku i nie chciała słyszeć o powrocie do

domu. Od kilku tygodni jestem bezrobotna. Dzisiaj w bardzo specyficzny sposób żegnam się z rodzinnym miastem.

- Auaaa! - syknęłam, kiedy Iza nadepnęła mi na stopę i przywaliła siatą w głowę.

- Przepraszam - powiedziała cicho i zajęła wreszcie miejsce obok mnie.

- Po co wam te toboły? - spytałam, bo koleżanki wyglądały niczym nomady. Zupełnie jakby całe domy zapakowały w torby i z sentymentu zabrały na seans filmowy.

- Zobaczysz - odpowiedziała Beata.

Po dwóch minutach na scenie pojawiła się para prezenterów. Przywitano nas, przedstawiono sponsorów dzisiejszego wieczoru i fundatorów nagród. Od razu na wielkim ekranie pojawiły się dobrze znane znaki firmowe. W tle rozbrzmiewała przyjemna muzyczka. Rozluźniłam się, choć torebkę cały czas trzymałam kurczowo. Nie opuszczała mnie świadomość, że mam tam kartę płatniczą. Na moim koncie w banku leżało teraz równiutkie sto osiemdziesiąt tysięcy złotych. Wyobrażałam sobie te kupki banknotów starannie ułożone w jakiejś skrytce bankowej. Uśmiechałam się do tej myśli, jednak zaraz pojawiał się lęk, że ktoś ukradnie mi kartę, wszystko przepadnie i zostanę bezrobotną bez gotówki, a śmiałe plany i marzenia legną w gruzach. Ścisnęłam więc mocniej torebkę. Czułam się, jakbym miała na czole wypisany stan konta bankowego.

- Co ty tak sztywno siedzisz? - spytała Olga.

- Neeee, wydaje ci się - odpowiedziałam i lekko zsunęłam się na krzesło, przyjmując na pozór wyluzowaną pozycję. Zamierzałam przecież dobrze się bawić. Tylko jak się zrelaksować ze świadomością takiego bogactwa? Z trudem odganiałam od siebie myśli o pieniądzach. A kysz, a kysz! Jestem bezrobotną kurą domową! Jestem biedna jak mysz kościelna!

Nagle sala ryknęła śmiechem. Wpadłam w popłoch, bo nie usłyszałam żarciku wypowiedzianego przez eleganckiego pana z mikrofonem. Dziewczyny uśmiechały się od ucha do ucha. Postanowiłam więc skupić się wreszcie na tym, co działo się na scenie. Wyszczrzyłam zęby w sztucznym uśmiechu.

- Zapraszamy po odbiór nagród panie, któóóreee maaają - prowadzący przeciągał, próbując stworzyć napięcie. Nie łapałam, o co chodzi, ale sala zamarła w oczekiwaniu na ciąg dalszy. Zauważyłam tylko, że Iza i Beata umieściły swoje tobołki na kolanach, jakby były w pełnej gotowości do ucieczki. - Maaają... - powtórzył powoli. - Suszarkę do włosów! - wypalił jak z armaty.

Nagle rozległy się krzyki. Zapanował popłoch.

- Mam! Mam! - wrzeszczała Beata. Wskoczyła z krzesła jak filip z konopi. Nie zważając na nasze stopy, przeciskała się między ludźmi.

- Kurczę, a ja nie mam - powiedziała zmartwiona Iza.

- Jezu - szepnęłam. - Co się dzieje?

- Rozumiesz coś z tego?! - spytała Olga.

Zaprzeczyłam ruchem głowy. Za to do sceny biegły kobiety z dalszych rzędów. Każda dzierżyła w dłoni suszarkę do włosów i niczym transparentem machała nią nad głową, wrzeszcząc: „Ja mam! Ja mam!”.

- O, mamuńciu - mruknęłam pod nosem.

Wszystkie panie, które miały odpowiedni rekwizyt, dostały darmowy bilet do kina.

Prowadzący podziękował paniom, a potem znów wywoływał:

- Teraz te osoby, które mają ze sobą... - Zaległa chwila ciszy, zainscenizowana, by znów zbudować napięcie. Iza i Beata wsadziły dłonie do swoich pakunków i wyczekiwały w podnieceniu. - Maaają... maszynkę do golenia!

- Jest! - krzyknęły równocześnie i wystartowały z krzesłek, nie zważając na nas.

- To się dzieje naprawdę? - spytałam Olgę.

Parsknęłyśmy takim śmiechem, że nie sposób się było opanować. Trzęsłam się w rechocie. Tymczasem stado rozwrzeszczanych bab z maszynkami w dłoniach pędziło do prowadzących. Każda dostała w nagrodę żel do depilacji!

Potem mężczyzna wywoływał kobiety z książką, z lokówką, z latarką i z czajnikiem! Co najdziwniejsze, zawsze któraś miała te przedmioty. Zawsze! Nawet czajnik! W kinie!

- A teraz, drogie panie... - W sali ucichło. Co prawda trudno mi było opanować głupawkę, bo jak już pogrzyłam się w rechocie, to przestać się nie dało, ale starałam się choć tłumić śmiech. Łzy ciekły po rozpalonych z emocji policzkach, a w głowie dudniła muzyczka z Monty Pythona, bo aż trudno było uwierzyć, że to się dzieje naprawdę. Witkacy mógłby być zadowolony, bo oto miałam przed sobą mózg wariata w najczystszej postaci. W dodatku na scenie! - Teraz, drogie panie... - powtórzył, a z głośników popłynęła popularna piosenka disco polo. O, nie, zdążyłam szepnąć w myślach, gdy facet wypalił: - Kto ma majteczki w kropeczki?!

Na widowni zapanowała chwila konsternacji. Panie musiały mieć czas na przeanalizowanie stanu swojej garderoby. Odruchowo też takiej analizy dokonywałam. Ale nie, nie udało się. Są kwiatuszki na białym tle. Łączka bez kropeczek.

- Ja mam! - wrzasnęła kobieta siedząca przed nami.

Po chwili też z innego rzędu odezwał się piskliwy głos.

- To zapraszam. Ta pani, która dobiegnie pierwsza... - Nie zdążył dopowiedzieć, bo kobiety ruszyły na złamanie karku.

Szanse były wyrównane, więc walczyły jak lwice. Rzuciły się w stronę schodów, by zbiec przed ekran jak najszybciej. Jedna drobiła kroczyki jak króliczek na baterie, druga długimi

susami próbowała pokonać odległość dzielącą ją od prezenterów. I nagle ta od zamaszystych kroków potknęła się! Po sali przeszedł jęk pań zaniepokojonych o zdrowie dziewczyny, ale ona błyskawicznie odzyskała równowagę i kilkoma skokami dobieła do sceny pierwsza. Rozległy się brawa. Pokonana spokojnie stanęła na ostatnim stopniu i obserwowała. Uśmiechała się od ucha do ucha, bo pewnie wielką frajdę sprawił jej sam wyścig.

- Poproszę koleżankę, żeby upewniła się, że mamy kropeczki. - Prowadzący wskazał dłonią swą asystentkę, która podeszła do zwyciężczyni i dyskretnie podwinęła jej sukienkę, by dojrzeć bieliznę w groszki. W sali panowała ogólna wesołość. Trudno było się nie śmiać z tego, co tu się wyrabiało.

- Tak, proszę pań! Są! Dla pani więc weekend w SPA! - krzyknął prowadzący i przedstawił sponsorów nagrody.

Zwyciężczyni podskakiwała z kartonowym talonem, a jej niebieska sukienka niemal odsłaniała słynne majteczki.

- Ja nie mogę - stęknęłam z głupkowskim wyrazem twarzy. - I ty chodzisz na to co miesiąc? - spytałam Beatę.

- Jasne. - Wzruszyła ramionami. - Odreagowuję stresy. Świetna zabawa.

- Co jeszcze tutaj masz?

- Oj, zostaw! Ostatnio dwie rzeczy trafiłam: garnek i ramkę na zdjęcia.

Parsknęłam śmiechem. W rzeczywistości nie chciałam wiedzieć, co kryła jej torba.

Po ujmującej części artystycznej, która zabrała nam dobre czterdzieści minut, rozpoczął się seans. Można więc było skupić się na przyjemnej komedii romantycznej. Było zabawnie i wzruszająco. Przeżyłam istne katharsis. Najpierw totalna głupawka, potem uśmiech i łzy wzruszenia. Był oczywiście happy end.

Po napisach końcowych bohaterowie z pewnością żyli długo i szczęśliwie.

- Super - stwierdziłam, kiedy znalazłyśmy się wszystkie w samochodzie Beaty. - Dziękuję wam za ten wieczór.

- Jak to dziękujesz? - zdziwiła się Olga. - Teraz jakieś żarełko i wino.

- Jak reset, to reset - odpowiedziała Iza.

- O, nie! Dzisiaj resetu nie będzie. Utrata danych może mnie sporo kosztować - zaśmiałam się.

- No to kolacja bez resetu - zdecydowała Beata. - Jedziemy do naszej Toskanii na pyszną sałatkę. - Przekręciła kluczyk w stacyjce i gwałtownie wyjechała z parkingu. Autem kilka razy szarpnęło, bo miała dość ciężką nogę. Przyspieszała i hamowała bardzo gwałtownie. Wreszcie zaparkowała przed jedną z naszych ulubionych knajpek, która znajdowała się niedaleko Starego Miasta, tuż przy pięknym parku z ogromnym placem zabaw dla dzieci. Widać stąd było Basztę Tkaczy, której ceglany stożek dumnie prezentował się ponad drzewami.

Zamówiliśmy sałatki i dwie butelki białego wina.

- Będzie nam ciebie brakowało - wyznała Olga, a mnie nagle zrobiło się smutno.

Zacząć nowe życie po czterdziestce wcale nie jest łatwo. Niby poznałam w Starogardzie Gdańskim nowych znajomych, zakochałam się, a mimo to jakaś częśćka mnie trzymała się kurczowo rodzinnego miasta i panicznie bała się zmian.

- Mnie was też - odparłam ze ściśniętym gardłem po dłuższej chwili.

- A nie boisz się? - spytała Iza. Ledwie kilka razy spotkałam ją u Beaty, więc nie miałyśmy okazji lepiej się poznać.

- Boję. I to bardzo. - Zaśmiałam się nerwowo, chcąc ukryć wzruszenie.

- Eee tam, nie wyjeżdżasz na koniec świata! Zawsze możemy się odwiedzać - wtrąciła Olga.

- No, niby tak - mruknęłam. - Ale się boję. Właśnie zwolniłam się z pracy, sprzedałam mieszkanie i zdecydowałam się na przeprowadzkę w obce miejsce. Wiecie, tam na Kociewiu jest zupełnie inaczej niż u nas. My tu wszyscy jesteśmy napływowci, a przynajmniej nasi rodzice czy dziadkowie skądś przyjechali, a oni z dziada pradziada są przywiązani do jednego miejsca. Chyba nie lubią obcych. Na pierwszy rzut oka wydają się sympatyczni, ale w gruncie rzeczy tworzą społeczność nieufną i hermetyczną.

- Ale masz tam ciocię, więc nie jesteś taka zupełnie obca. I Artur jest przecież!

- I tak się boję, choć dokładnie sama nie wiem czego.

- Przecież kochasz Artura - powiedziała Olga. - Będziecie razem. - Będziemy! - Uśmiechnęłam się. - Mówię wam, trzęsę się

ze strachu!

- Ja tam się wcale nie dziwię. Też bym się bała. Tym bardziej że z facetami to różnie bywa - odezwała się Iza. - Wspólne mieszkanie wiele zmienia. Trzeba sprzątać brudne skarpety, myć kibel, wachać jego smrody.

- Przestań - fuknęła na nią Beata.

- Ale taka jest prawda! Zakochanemu się wydaje, że jego partner nie wydała, nie beka, nie poci się, a potem następuje zderzenie z pędzącą lokomotywą.

- Taka kolej rzeczy - podsumowała Olga. - Prawdziwa miłość da sobie radę z umywalką umazaną pastą do zębów czy ze śmierdzącymi skarpetami.

Beata rozlała resztę wina do lampek. Swoją nappełniła wodą mineralną, bo przecież ktoś musiał nas bezpiecznie odwieźć do domu. Miałam nocować u Olgi, a jutro wcześniej rano planowałam wyjechać do Starogardu Gdańskiego.

Stęskniłam się za Arturem, za Lusią i ciocią. Co prawda moja córka od miesiąca mieszkała w internacie w Gdańsku, bo zmęczyła się ubiegłorocznymi dojazdami do szkoły, ale przyjeżdżała do domu co weekend, więc pojutrze będę mogła ją zobaczyć.

Samochód miałam wyładowany po dach. Teraz to ja czułam się jak Norwidowski nomada, który ziemi ma dosłownie tyle, co pod stopą albo pod kołami auta. Co prawda mogłam za gotówkę kupić jakiś kąt dla mnie i dla Lusi, ale równie dobrze mogłabym wreszcie zrealizować największe marzenie życia i założyć klubokawiarnię. Taką z domowym ciastem, żeby pachniało już od wejścia cynamonem i wanilią, by nikt przechodzący obok nie mógł się oprzeć aromatom. Żeby była świeżo mielona kawa, soki własnej roboty... Na ścianach w wyobraźni widziałam stare zdjęcia albo obrazy miejscowych artystów. W rogu stałoby pianino. Każdy, komu jakieś nutki zabłąkałyby się w duszy, mógłby przy nim usiąść i zagrać. Ech, rozmarzyłam się.

Z pewnością po powrocie muszę podjąć ważne decyzje, porozmawiać z Lusią i z ciocią. Miałam gdzie mieszkać, bo ciocia Zosia nie wyganiała mnie, a wręcz zachęcała, żebym została w jej dużym domu. Nie czuła się tak samotna jak jeszcze przed rokiem. Mogłam też przeprowadzić się do Artura. Nosłam przecież na palcu pierścionek zaręczynowy od niego. Ale czy nie było jeszcze za wcześnie na taki krok? Niecały rok to niewiele, by dobrze poznać drugiego człowieka. Byłam na etapie zauroczenia tym mężczyzną. Nie widziałam w nim żadnych wad, a przecież z pewnością jakieś miał. Może lepiej ich nie odkrywać i zostawić wszystko tak, jak jest?

Jadąc do Starogardu, rozważałam różne opcje dalszego życia. Każdy krok był wielką niewiadomą. Budził lęk i paraliżował. Tymczasem nie można tkwić w zawieszaniu.

Trzeba podjąć konieczne decyzje, zastanowić się, w którą stronę ruszyć. Tym bardziej że moje stare miejsce na ziemi właśnie zostawiałam w tyle.

Rozdział 2

- No! Nareszcie jesteś! - krzyknęła ciocia Zosia na powitanie.

- Zaparzam arbaty! Chcesz?

- Poproszę - odparłam, siadając na krześle w kuchni. - Ale jestem zmęczona. Kawa w sumie by się przydała, bo w drodze nawet się nie zatrzymałam.

- Opowiadaj, jak było. - Ciocia zajęła miejsce naprzeciwko

mnie i z uwagą mi się przyglądała.

- Nie ma o czym mówić, ciociu. Sprzedałam mieszkanie. Mam kasę na koncie, ale jestem bezrobotna i bezdomna.

- O! Zaraz bezdomna! U mnie mieszkasz, jo? To teraz nasz wspólny dom. Ja nie mam dzieci, do grobu tego nie zabiorę, a jedyna moja rodzina to Maryśka. Tak się ułożyło, że tylko ona miała dziecko - twoją mamę, a ona ciebie. Jednym słowem jesteś jak moja wnuczka, bo córka siostrzenicy to ta sama krew, jo?

- Jo - odparłam po kociewsku. Uśmiechnęłam się do starszej kobiety, bo faktycznie była dla mnie jak babcia. Zżyłyśmy się przez ten wspólnie spędzony rok. Wcześniej rzadko ją widywałam. Całe życie kojarzyła mi się ze złośliwą, ekscentryczną staruszką. Wspólne mieszkanie wiele zmieniło.

- Dom przepiszę na ciebie - wypaliła nagle.

Zamarłam, patrząc na nią, jakby ogłosiła, że w naszym ogródku wylądowało UFO.

- Na mnie? Ale chyba zgodnie z prawem dziedziczy twoja siostra...

- A kim jest moja siostra, aaa? Twoją babką. A kto dziedziczy po babce Maryśce?

- Moja mama - odparłam.

- A po niej kto? - Pytanie zawisło na chwilę w powietrzu.

- My pójdziemy na skróty. Twoja babcia też jest wiekowa, choć młodsza sporo ode mnie. Matce dom niepotrzebny, bo ma swój. A kto w naszej rodzinie jest bezdomny?

- Pięknie - odparłam, parskając. - Nieźle to sobie, ciociu, wykombinowałaś.

- Bezdomnym trzeba pomagać - żartowała dalej. - Na kościół przecież nie dam. Tym pasibrzuchom i tak wystarczy. Rodzinę należy wspierać. W dodatku bezdomną i bezrobotną. A wiesz, jak taki dobry uczynek zostanie mi w niebie policzony? Toż ja będę z wypiętą piersią paradować przed Świętym Piotrem!

Szeroko się uśmiechnęłam. Wyobraźnia oczywiście pogalopowała w zaświaty i już widziałam moją cioteczkę z dumą wypisaną na twarzy, jak się hardo przechadza po niebie wte i wewte, a wszystkie duszyczki z aniołami na czele spoglądają na nią z zazdrością.

- Dobra, nie ma co jeszcze o tym gadać. Trzeba to z moją matką uzgodnić, żeby potem nie było jakichś kwasów.

- Na szczęście ja wolny człowiek jestem i nic nie muszę uzgadniać, a już na pewno nie z twoją matką. Jak jej się powie, że to na gniazdko dla nowożeńców, że tu z Arturkiem zaczniecie nowe życie, to ona sama popędzi mnie do notariusza. - Zawadiacko pogroziła mi palcem.

- Racja. Przecież ona nie spocznie, dopóki nie zobaczy papierka z urzędu stanu cywilnego.

- Jo. - Ciocia zalała wrzątkiem herbatę. - Taki jej urok.

- Niestety.

- Zaraz będzie rosół - dodała. - Dużo rzeczy przywiozłaś?

- Sporo. Dzwoniłam do Artura. Przyjdzie za dwie godziny i pomoże mi wypakować. Nie wiem tylko, gdzie to poustawiać, bo zajęłam już swoimi gratami pół piwnicy.

- Zmieści się tam jeszcze trochę, a w razie czego jest jeszcze strych. Dawno na górę nie włąziłam. Chyba z pięć lat tam nie zaglądałam. Nie było po co.

- Gdy Artur przyjdzie, to ewentualnie sprawdzę co i jak.

- A co z tą twoją knajpą?

- Kawiarnią - poprawiłam ją, bo knajpa od razu na myśl przywoływała zapijaczonych panów siorbiących piwo. - Podjęłam decyzję na tak, ale muszę poczekać dwa miesiące, bo wtedy mogę starać się o dofinansowanie na nową działalność. Dają ze dwadzieścia tysięcy. Wystarczyłoby na podstawowy sprzęt. Dobre ekspresy tyle kosztują.

- No to myśl, myśl, bo czas ucieka.

Od dawna główkowałam i rozważałam różne rozwiązania. Teraz również tak bardzo pogrążyłam się w wizualizowaniu marzeń, że nawet nie zauważyłam, kiedy minęły dwie godziny i w progu stanął Artur. Chwycił mnie w ramiona i wyściskał zadowolony, że już nie mam odwrotu. Ciocia dyskretnie wycofała się do swojego pokoju. Zostaliśmy sami. Odetchnęłam w czułych objęciach. Chciałam, żeby mnie nie puszczał i był zawsze obok. Czułam ciepło jego ciała przebijające przez bawełnianą koszulę. I zapach! Zrobiłam kilka głębokich wdechów, jakbym się mogła sztachnąć Arturem i z lekkim szumem głowy wpatrywać się w jego piękne, małe oczy. Zauważyłam, że powieki mu lekko opadają. Czas i doświadczenia odcisnęły na jego twarzy piętno, a mimo to było w niej dużo spokoju i ciepła.

Zabrzączał telefon. Spojrzałam na wyświetlacz, naciskając zieloną słuchawkę.

- Co tam? - rzuciłam bez troski.

- Cześć, mamę. Mam złą wiadomość - powiedziała Lusja wyraźnie podenerwowana.

- Mów.

- Niestety musisz jutro przyjechać do internatu. Wychowawczynie cię wzywa.

- Co się stało? - zdziwiłam się, bo moje dziecko raczej nie sprawiało kłopotów wychowawczych. Lusie była w drugiej klasie liceum i do tej pory nie padła ani jedna uwaga na temat jej zachowania.

- Szkoda gadać - westchnęła. - Ale nie bój się, bo to w sumie nic strasznego. Żadnego ćpania, palenia czy picia - powiedziała, żeby mnie uspokoić. Dobrze wiedziała, co może przyjść do głowy matce nastolatki, nawet jeżeli dziecko jest chodzącą grzecznością.

- Rozumiem też, że wszyscy są cali i zdrowi.

- Tak - odparła i chyba się uśmiechnęła.

- O której mam być?

- O trzynastej. Razem wrócimy do domu. Lekcje kończę pół godziny później.

- Mam nadzieję, że mnie nie wkręcasz, by sobie załatwić darmową podwózkę do domu.

- Nie, spoko. Bądź jutro - odparła.

Pomyślałam, że to na pewno nic poważnego, skoro dzwoni Lusie, a nie jej wychowawczynie. Zająłam się wnoszeniem tobołków do domu. Artur ustawił już w przedpokoju całkiem niezłą piramidkę.

- Część rzeczy musimy zanieść na strych - powiedziałam.

- Tam podobno są schodki w suficie. Nie wiem, jak to się otwiera.

Artur od razu zlokalizował wejście. Uchwyt prawdopodobnie był urwany i tylko jakiś kikut zwisał przy suficie. Nie dało się tego dosięgnąć bez stołka. Przyniosłam z łazienki taboret, na którym ciocia codziennie stawiała miskę z wodą, by się umyć. Do wanny wchodziła tylko w soboty. Wtedy się kąpała. Nalewała pachnącego płynu i moczyła się kilka minut. Na co dzień jednak do mycia używała miski.

Twierdziła, że żaden postęp cywilizacyjny jej w tym nie przeszkodzi.

- Zaklinowało się. - Artur stęknął, szarpiąc uchwyt. Drewniana kłapa złowrogo zaskrzypiała. Wystraszyłam się, że szarpnie i spadnie z taboretu. Po chwili wreszcie drzwi puściły. U wlotu pojawił się tabun kurzu. Zakaszlałam na sam widok.

- Ciocia mówiła, że nie była tam od kilku lat.

Artur rozsunał drabinę. Zawiasy zaskrzypiały, poddając się męskiej dłoni. Po chwili strych stał przed nami otworem.

- Nie mam pojęcia, czy jest tu światło - rzekł, wchodząc po kolejnych szczelkach.

Nie pomyślałam, by spytać o to ciocię.

Artur zatrzymał się i wyciągnął z kieszeni telefon. Wprawnym ruchem włączył latarkę. Poświecił niewielkim strumieniem światła w otchłań zakurzonego wnętrza. Po chwili coś mruknął i strych rozświetlił blask żarówki. Doskonale było widać kłęby krążącego w powietrzu pyłu. Od razu zapragnęłam wejść za nim, bo uwielbiałam stare i zapomniane miejsca. Zawsze kryły niezwykle tajemnice. Sprawdziłam prawą nogą stabilność pierwszego szczelka, jakbym nie dowierzała, że wiekowa drabina może mnie utrzymać. Wspinałam się powoli. Słyszałam, jak drewno jęczy pod moim ciężarem.

- Niezły stryszek! - zawołał Artur.

- Poczekaj na mnie. Też chcę zobaczyć.

Wdrapałam się na górę. Stałam bezpiecznie na brudnej podłodze i rozejrzałam się wokół. Światło było tutaj dość słabe, a dwa okienka zabito deskami. Przez szczeliny przebijały tylko nikłe promienie słońca.

- Wow! - powiedziałam, omiatając wzrokiem pomieszczenie. - Ale klimat.

- Musimy poprzesuwać te rzeczy, żeby twoje poustawiać w jednym kącie - powiedział Artur i od razu podszedł do starej szafy z lekko uchylonymi drzwiami. Obok niej znajdowały się dwa stoliki. Jeden na trzech metalowych nóżkach - być może pochodził z lat sześćdziesiątych. Drugi, równie niemodny, doskonale pamiętał czasy PRL - u. Artur przestawił je pod zabite deskami okienko. Przesunął też w to samo miejsce cztery krzesła obite bordową tapicerką. Odruchowo próbował domknąć szafę, jednak zawiasy zaskrzypiały i odbiły z powrotem. Podeszłam do starego mebla. Miał piękną politurę, jakby pochodził sprzed wojny. Niedaleko stała komoda w tym samym stylu. Zbliżyłam się do niej i pociągnęłam za uchwyt szuflady. Nie miałam prawa grzebać w rzeczach cioci, ale była w tym taka magia przeszłości, że trudno się było powstrzymać.

- O! - zawołałam. - Stare czasopisma!

- Jakie? - Artur podszedł i zajrzał mi przez ramię. Kichnęłam, biorąc gazetę do ręki. Papier był kruchy i przesiąknięty kurzem.

- Głównie „Przyjaciółka”. Zobacz. - Podsunęłam mu prawie pod nos. - Z siedemdziesiątego pierwszego. Starsza ode mnie. Ciekawe, o czym wtedy pisano. - Otworzyłam na chybił trafił. Omiotłam wzrokiem nagłówek. Co będzie modne w 1972 roku. - Posłuchaj - powiedziałam i zaczęłam czytać: - „Przez kilka lutowych dni uczestniczyłam w XIII naradzie stałej grupy roboczej do spraw kultury odzieży na rok 1972”. O, a dalej napisali, że najlepsze propozycje przedstawili projektanci ze Związku Radzieckiego - zaśmiałam się. - A jakżeby inaczej, nie?

Artur zaglądał mi przez ramię. Poczułam się, jakbyśmy nagle przenieśli się w czasie. Zapach gazety był bardzo nieprzyjemny i łaskotał w nos, a pod palcami wyczuwałam

chropowaty papier. Miałam wrażenie, że przy dotyku pochłaniał całą wilgoć z moich dłoni. Brrr. Niemiłe wrażenie.

- O, zobacz, czytelniczka pyta, czy można do pracy przychodzić w spodniach. - Pokazał mi palcem. - Widzisz, jak dawniej kobiety się ubierały? Spódniczka była w dobrym tonie, a nie portki.

Spojrzałam, by upewnić się, że żartuje, bo w jego głosie zabrzmiała dziwna nutka. Wzięłam tę uwagę do siebie, bo w zasadzie prawie nigdy nie nosiłam spódnic. Musiało być święto lasu, żebym wcisnęła na siebie kieckę.

- Nie podobam ci się w spodniach? - spytałam kokieteryjnie. Cmoknął mnie szybko w nos.

- Podobasz mi się we wszystkim - odparł.

- Ale... - ciągnęłam, bo czułam, że jest jakiś ciąg dalszy tego wywodu.

- Nie ma ale. - Wzruszył ramionami.

- No dobra. Jednak gdybyś mógł mnie ubrać po swojemu, to jak by to było? Spodnie czy spódnica?

- Sukienka - odparł i pogroził mi palcem. - Nie wciągniesz mnie w to. O, nie! Za stary jestem na takie przepychanki. Ubieraj się tak, jak chcesz. A najbardziej lubię... - objął mnie czule - gdy nie masz nic na sobie albo te koronkowe łażki, które dostałaś od mamy.

Pocałował mnie w usta. W zasadzie musnął je delikatnie. Upuściłam gazetę i poprawiłam pocałunek. Motyle radośnie zatrzepotały skrzydełkami. Faktycznie bielizna, którą podarowała mi rodzicielka, była kusząca i zmysłowa. Mama podrzuciła mi kiedyś dwie torby. Jedna wypełniona była poradnikami na temat związków, a druga - seksowną bielizną i szpilkami. Moja matka postanowiła zainwestować w nasz związek i wyposażyła mnie jak na wojnę. Według niej Artur był najlepszą z możliwych partii. Samotny chirurg, bez garbu w postaci dzieci i byłej żony, to skarb. Potomka się nigdy nie

doczekał, ponieważ jego żona chorowała. Zmarła kilka lat temu, a on od tamtej pory nie związał się z nikim na stałe. Czasami miałam wrażenie, że może jednak całkowicie nie rozliczył się z przeszłością, choć muszę przyznać, że zaledwie kilka razy wspomniał swą żonę, a w jego domu nie zauważyłam fotografii. Wyobrażałam sobie, że musiała być piękna i kobieca. Może chodziła w spódnicach? Z trudem odgoniłam te myśli. Oddałam się kolejnemu namiętному pocałunkowi, który przerwało okropne łaskotanie w nosie. Szybko odkleiłam się od Artura i głośno kichnęłam.

- O! I jeszcze masz alergię na kurz - zauważył.

- Może być - odparłam. - Pospieszmy się więc. - Podniosłam z podłogi czasopismo i rzuciłam je na stos innych. Kiedyś może zafunduję sobie powrót do przeszłości, teraz nie było na to czasu.

- To trzeba jakoś sensownie posegregować - stwierdził, przestawiając dwa krzesła. - Tu byśmy ustawili same stoliki, jeden na drugim, a dalej krzesła. Wtedy twoje rzeczy można wcisnąć tam, pod ścianę - tłumaczył.

Spojrzałam na niego zdziwiona, bo jak można segregować graty na strychu? Tu się przepchnie, tam przesunie i gotowe. Po co sobie zawracać głowę jakimś klasyfikowaniem? Wymownie kiwnęłam głową, bo znów kichnęłam. Postanowiłam, że pora jak najszybciej stąd wyjść. Zdecydowanie za dużo kurzu!

- Gdybyś stanął na schodkach, to mogłabym ci podawać tobołki. Potem to posegregujemy - powiedziała, znikając w otworze prowadzącym na dół.

Poszłam do łazienki i przemyłam twarz chłodną wodą. Głęboko odetchnęłam świeższym powietrzem. Od razu zrobiło się lepiej.

Zauważyłam, że przy kuchennym stole siedzi ciocia pochylona nad gazetą. Pewnie dokonywała codziennego

rytuału przeglądania nekrologów. Uśmiechnęłam się na ten widok i chyba ściągnęłam ją wzrokiem, bo spojrzała na mnie i od razu zainteresowała się postępami w pracach porządkowych.

- Jak wam idzie?

- Dobrze. Podam Arturowi te graty, a on je posegreguje - powiedziałam, przesadnie akcentując ostatnie słowo.

- Co zrobi?

- Po - se - gre - gu - je.

- On układa rzeczy na strychu? - spytała szeptem ciocia, a ja kiwnęłam głową i mało nie parsknęłam śmiechem. - Skąd ty takiego chłopca wzięłaś?

- Nie wiem. Jakiś wyjątkowy egzemplarz mi się trafił. - Położyłam palec na ustach, bo nie chciałam, żeby Artur słyszał, że go obgadujemy. Szczebile drabinki głośno zaskrzypiały.

- Muszę umyć ręce - stwierdził i pomaszerował do łazienki.

- Strasznie dużo kurzu - powiedziałam do cioci. - Idzie się udusić. Dlaczego tam są zabite okna?

- Nie wiem - odparła. - Mój brat zasłonił je dechami. A, czekaj... - Zamyśliła się. - Pamiętam. One pod wpływem wiatru się otwierały. Stare są, należałoby je wymienić. A że my w ogóle na strych nie chodziliśmy, więc Rysiu zabił je deskami i po sprawie. Artur na serio ma zamiar tam sprzątać? - spytała szeptem.

Podeszłam do niej, nachyliłam się i odpowiedziałam:

- Sprzątać nie. Segregować będzie. Wiesz, ciociu, stoliki do stolików, krzesła do krzeseł.

Zachichotałyśmy. Od razu przypomniałam sobie porządki mojego byłego męża. Najlepszym tego obrazem był samochód. Kiedy coś zakolało, bo się obluźowało, to wyrywał i rzucał na siedzenie z tyłu. Oderwał tak osłonkę nad

przednią szybą oraz drzwiczki do szafki przy kokpicie, spod której wystawały kable w różnych kolorach. Zawsze gdy zjadł, papiery i plastikowe opakowania lądowały pod siedzeniem. Zastanawiałam się, czy kiedyś mu nie wpadną pod pedały i nie zablokują hamulca. Ale miał szczęście, bo nigdy to się nie zdarzyło. Nawet Nutuś się na nim poznał. Jako mały kociak wynosił jego skarpety do swojej kuwety. Lusią pękała ze śmiechu. Według niej skarpety tak kotu śmierdziały, że sprzątał je, myśląc, że to kupa.

A teraz dla odmiany trafił mi się porządny facet. Nagroda za lata życia z bałaganiarzem. Tylko dlaczego zawsze spotykają mnie skrajności?

- I co? Nosimy? - Usłyszałam za sobą głos Artura.

- Jasne.

Porządkowanie przywiezionych kłopotów zajęło nam dobrą godzinę. Powybierałam z nich to, co mogło się przydać w najbliższym czasie, a resztę wynieśliśmy na strych. Kiedy będę już wiedziała, gdzie osiadam na stałe, to rozpakuję kartony do końca. Teraz niech czekają na rozwój wypadków.

Rozdział 3

Dzień był paskudny. Szłam do internatu mojej córki, a deszcz miarowo bębnił w parasol. Samochód musiałam zostawić dwie przecznice dalej, bo niestety nie znalazłam wolnych miejsc w najbliższej okolicy. Nie denerwowałam się. Moje dziecko nie jest zdolne do tego, by poważnie narozrabiać. Chociaż przyszło mi do głowy, że może Lusja dojrzewała wolniej niż inni i postanowiła wprowadzić okres burzy i oporu do swojego życiorysu właśnie w tej chwili.

Kiedy wyszłam zza rogu jakiegoś komunistycznego budynku, owiał mnie silny wiatr. Deszcz zacinał w twarz, a parasolka wygięła się, ciągnąc rękę do tyłu. Po kilku sekundach mocowania się ze złośliwym przedmiotem znów mogłam słuchać regularnie uderzających kropel. Widziałam już przed sobą budynek z czerwonej cegły. Tutaj od początku września mieszkało moje dziecko. Miejsce na pierwszy rzut oka nie kojarzyło się z niczym dobrym. Przypominało koszary, choć wewnątrz było odnowione i całkiem przyzwoite. Zdecydowanie lepiej się prezentowało niż akademik, w którym mieszkałam dwadzieścia lat temu.

Pociągnęłam ciężkie drzwi i przekroczyłam próg internatu. Uderzył mnie stołówkowy zapach.

Odnalazłam pokój wychowawców i energicznie zapukałam. Po chwili drzwi otworzyły się przede mną z impetem. Stała w nich niska, korpulentna kobieta.

- Dzień dobry - powiedziałam zaskoczona. - Szukam pani Weroniki Nowakowskiej.

- Wera! - krzyknęła w głąb pokoju. - Do ciebie!

Zostawiła mnie w progu, znikając z pola widzenia. Jej miejsce kilka sekund później zajęła wychowawczyni Lusi. Przedstawiłam się, podając dłoń na powitanie. Nauczycielkę zdziwił mój gest, ale uprzejmie go odwzajemniła i wymieniła swoje nazwisko.

- Miło mi panią poznać - powiedziała, zapraszając mnie do środka. - Usiądziemy tutaj. - Wskazała miejsce przy stoliku.

Niska kobieta, która otworzyła drzwi, siedziała kilka metrów dalej na wersalce i przeglądała czasopismo. Od czasu do czasu zerknęła znad niego na mnie, groźnie mrużąc oczy. Przełknęłam ślinę z wrażenia. Wyglądała przerażająco, jak ziszczenie stereotypu wrednego belfra. Brrr. Nie lubiłam takich sfrustrowanych, rozczarowanych życiem i pracą typów z kompleksami. Kiedyś przecież byli młodzi i pewnie zdolni, chcieli zbawiać świat, a życie zdegradowało ich do roli nielubianego przez uczniów, rodziców i przez władze pedagoga. Sami na oceanie edukacji. Niezrozumiani i niedocenieni. Smutny widok. Na szczęście zdarzał się bardzo rzadko.

- Czy Lusia narozrabiała? - spytałam.

Miałam wrażenie, że belfer na kanapie fuknął lekceważąco, ale nie odwróciłam wzroku w tamtą stronę. Patrzyłam na wychowawczynię mojej córki, która dla odmiany sprawiała bardzo sympatyczne wrażenie.

- Niestety - odparła i złożyła dłonie na blacie, jakby załamana je nad moją córką. - Ludwika wdała się w bójkę z koleżanką z pokoju.

- W bójkę? - zdziwiłam się, bo tego akurat nie mogłabym się spodziewać.

- W zasadzie nie wiem, czy to można nazwać bójką. Kopnęła tę dziewczynę.

- Lusia?

- Tak, Lusia - odparła kobieta. - Ja wiem, że rodzicom zawsze trudno w to uwierzyć, ale takie właśnie są fakty. Pani córka kopnęła współlokatorkę.

- A ta nic? Nie oddała jej? Nadstawiła się do tego kopniaka? - pytałam w lekkim szoku. - Aż trudno mi uwierzyć, że Lusia mogłaby tak postąpić.

- Podobno tak. Ludwika nie chce złożyć wyjaśnień, a tamta dziewczyna twierdzi, że jej nie prowokowała i bez powodu została napadnięta. Są świadkowie tego zdarzenia.

- Aha - powiedziałam. - I nie wiadomo, o co poszło? Kobieta pokręciła głową.

- Może pani coś z niej wyciągnie - dodała.

- No dobrze. A jak to się skończyło? Moja córka kopnęła tamtą i już, tak?

- Tak. Potem Kasia po prostu przyszła na skargę, a Lusia się przyznała. Sama pani rozumie, że nie możemy tolerować takiego zachowania.

- No jasne - odparłam. W głowie iskrzyło mi od pytań. Lusia nigdy nie była agresywna. Zawsze zachowywała się rozsądnie i swoje sprawy załatwiała pokojowo. W tej chwili jednak sama miałam ochotę zasunąć jej kopniaka, by zobaczyła, jak to jest. - Na pewno z nią porozmawiam i obiecuję, że to się więcej nie powtórzy. Dzielenie z kimś pokoju to dla niej nowa sytuacja, bo jest jedynaczką. Przykro mi i bardzo przepraszam.

- Lusia zaparła się i nie chciała przeprosić. Nie wiem, o co poszło, bo żadna nie chciała powiedzieć. Pomimo wszystko współlokatorka pani córki zapewniła, że nie chowa urazy.

Ożeż! Nie chowa urazy?! Tak powiedziała nastolatka? Miałam ochotę upewnić się, czy małolata wyraziła się w ten sposób, ale przemilczałam to i uśmiechnęłam się sympatycznie, bo chciałam stąd wyjść jak najszybciej, by rozszarpać Luśkę na strzępy.

- Dziękuję pani za spotkanie. Na pewno porozmawiam z córką - powiedziałam, wstając z krzesła.

- Na pewno. - Usłyszałam mruknięcie wydobywające się przez zęby belferki z wersalki. Patrzyła na mnie karcącym wzrokiem, a na czole wyświetlał się jej neon z napisem: „Jaka mać, taka nać”. Uśmiechnęłam się do niej najzyczliwiej, jak umiałam, i się pożegnałam. W sumie mogłam też napomknąć, że rozumiem jej wątpliwości, bo sama kilkanaście lat spędziłam za biurkiem i jeszcze do sierpnia byłam zatrudniona w szkole średniej, ale przemilczałam swój życiorys. Spojrzałam na zegarek. Luscia jeszcze przez ponad pół godziny będzie miała lekcje.

Stałam na stopniu przed wejściem. Na szczęście przestało padać, choć aura i tak nie zachęcała do spacerów. Rozejrzałam się po okolicy. Nie znałam Gdańska zbyt dobrze, więc nie wiedziałam, gdzie znajdę najbliższą kawiarnię, ale do wyboru miałam dwie strony. Droga prawości często jest nudna, więc dla odmiany skręciłam w lewo i przeszłam za budynek internatu. Ruszyłam przed siebie. Wcześniej czy później gdzieś trafię. Nos mnie oczywiście nie zawiódł, bo po kilku minutach stanęłam w drzwiach bardzo przytulnej cukierni. W środku znajdowały się trzy stoliki z wygodnymi krzeselkami i można tu było wypić kawę. Zamówiłam caffè latte, które przypomniało mi, że powinnam wreszcie kupić nowy ekspres do kawy, bo ostatni wyzionął ducha w sierpniu. W zasadzie to jego zgon przyspieszył moją decyzję o powrocie na Kociewie. Pojechałam wtedy do domu z tobołkami i z moim smokiem, który parzył najlepszą kawę na świecie. W mieszkaniu pachniało obcymi ludźmi, bo przecież przez rok było wynajmowane znajomym mojej mamy. Poczułam się źle i obco. Jedynie zapach kawy unoszący się nad aromatycznym napojem w ulubionym kubku mógł zatrzeć to nieprzyjemne wrażenie. Okazało się jednak, że naczynie zostało wyszczerbione, a ekspres zacharczał, napluł kawą i wyzionął ducha.

- Życzy pani coś jeszcze? - spytała dziewczyna stojąca za kontuarem. Zdziwiła mnie ta forma pytania, ale uśmiechnęłam się do niej i odgoniłam natrętne zboczenie zawodowe polonisty. - Mamy pyszne ciasta.

- To może się skuszę - odparłam, zaglądając przez szybę.
- Proszę o torcik makowy.

- Oczywiście - odpowiedziała i nałożyła mi porcję na talerzyk. Zdjęłam kurtkę i napisałam do Lusi esemesa, żeby wiedziała, gdzie mnie znaleźć. Odpisała dopiero po kilku minutach.

Kiedy zmiotłam okruszki z talerzyka i wypiłam ostatni łyk kawy, za oknem znów kropiło. Dzięki temu udało mi się nie zapomnieć o parasolce. Zamknęłam za sobą drzwi kawiarni i stojąc pod daszkiem, bezskutecznie próbowałam otworzyć upiorny mechanizm.

- Przepraszam. - Jakiś mężczyzna chciał wejść do środka, więc musiałam opuścić schody.

Kropił na mnie wrześniey deszcz. Zaczęłam się denerwować, bo wredna parasolka się zacięła i za nic nie dała się otworzyć. Nerwy napięte były jak postronki. Cierpliwość nigdy nie była moją mocną stroną, więc przywaliłam wrednym przedmiotem o drzewo.

- Cholero jedna! - warknęłam.

Nagle poczułam czyjąś dłoń na ramieniu. Podskoczyłam z wrażenia i zamachnęłam się. Serce prawie wyskoczyło mi z piersi.

- Ej, spokojnie. - Usłyszałam.

Po sekundzie zobaczyłam głupio uśmiechniętą twarz Jaromira Poniatowskiego - grafika, który ilustrował moją książkę dla dzieci o leniusiołkach. Napisałam ją na potrzeby hospicjum. Zbieraliśmy wtedy pieniądze na leczenie dziewczynki nazywanej przez nas Szpilką.

- Jaromir? - zdziwiłam się.

Byłam pewna, że wyjechał do Warszawy. Pracował tam dla jakiegoś wydawnictwa. W Starogardzie pojawił się tylko po to, by zrobić wystawę obrazów ukazujących miasto z początków dwudziestego wieku. Ponadto był chyba jedynym człowiekiem na tym świecie, na którego widok brał mnie taki nerw, że z przyjemnością bym mu przyłożyła parasolkę między oczy, a nawet i w inne miejsce. Niezwykle utalentowany i nieziemsko irytujący facet. Myślałam, że go już nigdy nie zobaczę, a tu proszę, spotykam gościa w Gdańsku.

- Widzę, że tęskniłaś - odezwał się z kpina, dokładnie w swoim stylu.

- Co tu robisz? - spytałam, pozostając w lekkim szoku. - Miałaś być w Warszawie.

- I jestem.

- No raczej nie, chyba że jesteś moim koszmarem.

- Marzeniem - rzucił, uśmiechając się od ucha do ucha.

- Chciałbyś.

- Zaprosiłbym cię na kawę, ale widzę, że nie potrzeba ci kofeiny. Energia cię roznosi. W czym zawiniło to biedne drzewo?

- Ale śmieszne - zakpiłam. - Charakter ci się w Warszawie nie poprawił, więc przyjechałeś do Gdańska.

- Przyjechałem do syna - odparł trochę innym tonem. W jego głosie zabrzmiała dziwna nuta.

- Masz syna?!

- No, mam. Faceci w moim wieku z reguły mają dzieci, szczególnie jeśli mieli żonę.

- Nie wiedziałam.

- Właśnie idę na dworzec.

- Wracasz do Warszawy pociągiem?

- Tak. Samochód oddałem do warsztatu, więc zdany jestem na polską kolej - odparł. - Idziesz w tamtym kierunku?

- Wskazał dłonią, a ja kiwnęłam głową. Szliśmy przed siebie. Trochę mi przeszedł bojowy nastrój. Deszcz siąpił nadal, ale dziwnym trafem przestało mi to przeszkadzać. - A ty co porabiasz? Zostałaś w Starogardzie?

- Zostałam. Chcę tam otworzyć kawiarnię - powiedziałam. - O! To wpadnę kiedyś na espresso. Wciąż się prowadzasz z tym doktorkiem nudziarzem?

- Jezu, Jaro, czemu ty taki złośliwy jesteś?

- Bo to nie jest facet dla ciebie - odparł. - Ty potrzebujesz prawdziwego mężczyzny, a nie takie rozmemłane kluchy. Przecież to kłaniający się w pas czyścioszek.

- Wkurzasz mnie - warknęłam. - Artur jest cudownym człowiekiem.

- No - zaśmiał się. - Niezwykłe ekscytujące życie cię czeka.

- Dobra, na razie! Ja tu skręcam - rzuciłam poirytowana. - Nie mam ochoty na te przepychanki.

- Jak zatęsknisz, to wiesz, gdzie mnie szukać.

- Wiem. Z pewnością ustawię się w kolejce do twoich wdzięków. Tak mnie ten facet irytował, że kiedy patrzyłam na jego głupi wyraz twarzy i przerzedzone włosy, to miałam ochotę przegryźć mu tętnicę. Oczyma wyobraźni widziałam sikającą krew. Odruchowo potarłam policzek, bo miałam wrażenie, że mnie obryzgała czerwona ciecz.

Oczywiście zdawałam sobie sprawę z tego, że moje reakcje na jego słowa były przesadzone, ale on zawsze potrafił poruszyć niewidzialne struny znajdujące się po złej stronie mocy.

- Nie musisz. Masz fory u mnie. - Wyciągnął dłoń. Spojrzałam na jego długie palce lekko przybrudzone niebieską farbą. Wiadomo, artysta. Zawahałam się, czy uścisnąć jego rękę. - No - ponaglił.

Odwzajemniłam gest z niechęcią, jakbym bała się jego dotyku. Miał chłodne, ale suche palce.

- Cześć - burknęłam.

- Do zobaczenia. - Wypuścił moją dłoń. Po chwili odwrócił się i przeszedł przez ulicę. Podążał na dworzec PKP. Patrzyłam za nim. Dopiero kilka sekund później ocknęłam się na głos esemesa. „Idę do internatu” - zawiadomiła mnie Lusia.

Ruszyłam szybkim krokiem. Znów deszcz przypominał o sobie, ale o dziwo, dopiero teraz ponownie zaczął mi przeszkadzać. Jeszcze raz spróbowałam otworzyć parasolkę. Zadziałała! Widocznie przyłożenie w drzewo było właściwym sposobem, aby ją naprawić.

Przegoniłam z głowy myśli o Jaromirze zwanym przez ciocię figolasem, co po kociewsku miało oznaczać żartownisia. Przypomniałam sobie przy okazji, jak na jego widok stwierdziła, że ma dupę jak ziarnko kawy. Uśmiechnęłam się do siebie, ale po chwili już skupiłam myśli na czymś innym. Przecież musiałam poważnie porozmawiać z Luśką! Powtórzyłam kilka razy imię córki, by całkowicie skupić się na niej. Zwizualizowałam sobie kopniętą w zadek koleżankę i przybrałam poważną minę. Z marsowym wyrazem twarzy przekroczyłam próg internatu. Zapukałam do pokoju córki.

- Proooszę! - Usłyszałam dobrze znany głos.

Na szczęście była sama. Pospiesznie wrzucała ubrania do torby. Łatwo było się domyślić, że wszystko jest brudne.

- No pięknie - powiedziałam na powitanie.

Cmoknęłam ją w policzek. Nie wydawała się zdenerwowana ani przestraszona reprimendą, jaką za chwilę miała dostać. Usiadłam na jej łóżku i obserwowałam, co robi.

- Dobra, mam, nie milcz, tylko wal z grubej rury.

- Sama nie wiem, co mam ci powiedzieć. Myślałam, że jesteś rozsądna.

- Bo jestem.
- I z rozsądku kopiesz koleżankę?
- Tak - odparła, nie przerywając czynności. - To był wielki przejaw logiki i odpowiedzialności, bo mogłam ją jeszcze zdzielić w papę. Drogą eliminacji wybrałam tę część ciała, która nie mogła ulec uszkodzeniu pod wpływem uderzenia.
- Luśka, bo ja zaraz sprawdzę na tobie, czy faktycznie ta część ciała jest taka odporna. Mów, o co poszło.
- Jezu, mamó, nie ma co gadać. Należało się jej i tyle.
- Dziecko, ja cię bardzo proszę - warknęłam. - Nie denerwuj mnie, tylko mów.
- Nabijała się i tyle. - I to jest powód?
- Broniałam rodziny. Zawsze mi powtarzałaś, że w rodzinie siła. Jak siła to siła! - Zaśmiała się.
- To metafora taka!
- Ale serio, należało się tej małpie. - Usiadła obok mnie. - Bez powodu bym jej nie uderzyła, przecież wiesz.
- Wiem. Dlatego chcę znać przyczynę tego zajścia.
- Po co?
- Chociażby po to, by też czegoś nie palnąć i nie narazić się na kopniaka. - Uśmiechnęłam się, by skłonić ją do mówienia.
- Widzę, że nie odpuszczisz - westchnęła. - Bo ja niechcący opowiedziałam jej, że ty kiedyś bloga założyłaś i nazwałaś go Kura domowa. Pamiętasz, nie?
- No... dawno to było i już nieprawda. - Zupełnie o tym zapomniałam, ale faktycznie jakiś czas temu wpadłam na genialny pomysł, by zostać blogerką. Bardzo szybko jednak stwierdziłam, że to zajęcie nie jest dla mnie.
- A teraz tak wyszło, że nie masz pracy i takie tam, a ona zaczęła się nabijać ze mnie, a właściwie z ciebie.

- I to był powód, żeby ją kopnąć? - zdziwiłam się, choć rozczuliła mnie tym, że stanęła w obronie matki.

- Wkurzyła mnie. Zaczęła się chwalić, że jej rodzice mają kancelarię prawną i takie tam, a że ja niby jestem gorsza, bo córka kury domowej - powiedziała ze smutkiem.

- Jezu, ale przecież ja nie mam pracy zaledwie od początku września!

- E tam, szkoda na nią słów. Zasłużyła na kopniaka. Potem byłyśmy na rozmowie u wychowawczyni. Zresztą wiesz.

- Jeśli jej rodzice są prawnikami, to jeszcze cię pozwą - zażartowałam. Lusia spojrzała na mnie i dopiero po chwili się uśmiechnęła. Przytuliłam ją do siebie. - Nie martw się. Wszystko będzie dobrze. Może twoja matka jest przez chwilę bezrobotna, ale za to z całkiem niezłą sumką na koncie. A już niedługo zmienię się w bizneswoman. Teraz zbieraj manatki i jedziemy do domu. Aha, i nigdy już więcej nikogo nie kop!

Po kilku minutach wyszłyśmy z internatu. Deszcz na szczęście przestał siąpić. Ruszyłyśmy w kierunku samochodu. Stanęłam na krawężniku, by przejść na drugą stronę. Ktoś szybko przejechał, a Lusia złapała mnie za ramię.

- Mamo, tam jest przejście dla pieszych. - Pokazała ręką. Faktycznie, dziesięć metrów dalej widniały na jezdni białe pasy.

- To mała uliczka. Kto by tu przechodził przez przejście?
- Wzruszyłam ramionami.

- Piesi - odparło to moje mądralińskie dziecko, a ja parsknęłam śmiechem.

Odpowiedź była niezwykle logiczna. Trudno było podjąć z nią dyskusję, więc przeszłyśmy na drugą stronę przez pasy. Bezpiecznie dotarłyśmy do auta i po chwili mogłyśmy ruszyć w drogę do domu.

Rozdział 4

W sobotni poranek słońce natrętnie zaglądało w okno i nie dało dłużej pospać. Sięgnęłam po telefon, by sprawdzić, która jest godzina. Dochodziła dziewiąta. Nutuś podniósł głowę i spojrzał, jakby dając mi do zrozumienia, że nie ma co się spieszyć. Klepnęłam dłonią miejsce obok siebie. Leniwie się podniósł, zamiauczał i podszedł. Położył się wygodnie na moim brzuchu. Mruknął, ponagłając, by go głaskać.

- Co, pieszczocho? - szepnęłam. - Stęskniłeś się za swoją panią? - Przeciągnęłam po jego skórze dłonią, a w powietrzu zawirowały jasne kłaki. - Wstajemy? - Kot mruknął w odpowiedzi, jakby nie był zadowolony z tego pomysłu. - Wstajemy - zdecydowałam i natychmiast wyskoczyłam z łóżka, zrzucając z siebie niezadowolonego Nutusia.

W korytarzu pachniało kawą. Albo Lusia, albo ciocia były już na nogach. Co prawda ciocia piła tylko swoje cappuccinko, które raczej nie przypominało kofeinowej przyjemności, ale nigdy nie wiadomo, co starszce strzeli do głowy i czy nie zaparzyła sobie prawdziwej. Zosia była raczej nieprzewidywalna, choć miała swoje rytuały.

- Cześć, ciociu - powiedziałam, wchodząc do kuchni.

Starsza pani siedziała przy stole i przeglądała codzienną gazetę. Najciekawsza część to - według cioci - nekrologi. Zawsze śledziła je uważnie, sprawdzając, czy jest wśród nich informacja o śmierci znajomych.

- A! Cześć, Joasiu. Jak się spało?

- Dobrze. Coś ciekawego piszą?

- Jo - odparła. - Zmarł kolega Jadźki. Nawet kilka razy spotkałam go u niej.

- Przykro mi - powiedziałam.

- Eee tam, stary pryk już był. Czas najwyższy na niego. Przynajmniej kolejka się posuwa do przodu - zażartowała w swoim stylu. - To ja zaraz lecę do Jadźki. Pójdziemy różaniec

za niego zmówić - poinformowała mnie, a po chwili złożyła starannie gazetę i poszła nakładać buty. Sapała przy tym głośno, że lata nie te, że schylać się trudno, ale zaraz machnęła mi na pożegnanie i popędziła.

Wstawiłam czajnik z wodą na gaz i poszłam się umyć. Ledwo zdążyłam narzucić szlafrok, gdy rozległo się przeszywające gwizdanie. Zalałam kawę w kolorowym kubku. Po chwili dodałam do niej mleka i usiadłam przy stole. Zerkałam jednym okiem na pozostawioną na blacie gazetę. Przeleciałam wzrokiem po nagłówkach, ale nie było w nich niczego, co mogłoby mnie zainteresować. Wiedziałam, że za chwilę muszę się zebrać do hospicjum, by zobaczyć, co z dziećmiakami. Miałam tam kilku podopiecznych, którymi się zajmowałam, uczyłam ich też polskiego i historii. Bardziej byłam przyjaciółką niż nauczycielką. Zżyłam się z nimi. Najmocniej z Mrówką i z Pati. Szpilka pojechała do kliniki w Warszawie na przeszczep. Dawno jej nie widziałam. Przed jej wyjazdem pojawił się nowy chłopiec - Arek. Nie zdążyłam go jeszcze dobrze poznać. Nastolatek jest bardzo zamknięty w sobie i trudno do niego dotrzeć. W zasadzie leży i patrzy w sufit, ale mam nadzieję, że uda się nam nawiązać kontakt.

- Cześć, mammo. - Usłyszałam za sobą głos Lusi. - Śniadanie?

- Co powiesz na płatki owsiane z suszonymi owocami?

- Mogą być - odparła i zniknęła za drzwiami łazienki.

Po przejrzaniu gazety zabrałam się więc za przygotowanie owsianki, gdy usłyszałam trzaśnięcie drzwi. Aż podskoczyłam ze strachu, bo nikogo się nie spodziewałam. Wybiegłam do przedpokoju. Zasapana ciocia Zosia mruzczała coś pod nosem.

- Bździągwa jedna - powiedziała wreszcie wyraźniej. - Normalna bździągwa!

- Rany, ciociu, co się stało?

- A pies jej mordę zajął - złorzeczyła, a ja nie wiedziałam, co się wydarzyło. - Patrz. - Podała mi jakiś świstek.

Przeczytałam głośno:

- Jestem wyidzona do amtu. Jadzia. - Spojrzałam na ciocię.

- To jakiś szyfr?

- Jaki szyfr? - zdziwiła się. - Normalnie napisane.

- Dlaczego się ciocia w takim razie złości? - Nic z tego nie rozumiałam.

- Bo ta bździągwa, zamiast na mnie czekać, to do amtu sobie polazła! W sobotę! Toż stara sklerotyczka!

- Co to jest amt?

- Urząd. - Wzruszyła ramionami. - Urząd w sobotę? Rozumiesz? Jej ten alzheimer to naprawdę do głowy uderzył.

- Nie denerwuj się - powiedziałam, ledwo panując nad tym, by nie parsknąć śmiechem. - Zjesz z nami owsiankę?

- Jo - rzuciła. Przeszła do kuchni i ciężko usiadła na krześle.

- O, mortadelo - jęknęła. - Te stare baby to chyba już do niczego. - Zaparz mi arbaty, co? Bo taki nerw mnie wziął, że normalnie uduszę tę Jadżkę własnymi rękoma i pošlę ją do Świętego Piotra! Niech się z babą męczy.

Zachichotałam. Co jak co, ale cioteczce nie brakowało energii i poczucia humoru.

Postawiłam na kuchence garnek z mlekiem i wyjęłam z szafki suszone owoce. Tymczasem w kuchni pojawiła się Lusja. Obie domowniczki wpatrywały się we mnie jak w obietnicę zbawienia. Zagęściłam ruchy, bo mnie też zaburczało w brzuchu. Ledwo rozłożyłam na stole miseczki z gorącą owsianką, rozległo się pukanie do drzwi. Spojrzałam na zegarek, robiąc rachunek sumienia. Nie umawiałam się z Piotrem - gejem z sąsiedztwa - na bieganie. Dwa albo trzy

razy w tygodniu robiliśmy wspólną przebieżkę. Dziś już jednak godzina była zdecydowanie za późna. Piotr, jeżeli przychodził po mnie, to z reguły o siódmej.

Lusia poderwała się od stołu.

- No, Jezus Maria! - Usłyszałam jakiś głos. - Jest Zocha?

Ciocia podskoczyła na te słowa. Przed nią stała już zdyszana pani Jadzia, trzymając rękę na klatce piersiowej. Była zziębnięta, jakby ją ktoś gonił.

- Niech pani usiądzie. - Podsunęłam krzesło, a ona zajrzała nam w miseczki.

- Owsianka? - spytała. - Dacie trochę?

- Damy. - Zaśmiałam się i wskrobałam z garneczka to, co chciałam sobie zostawić na drugie śniadanie.

- Jadźka, a ty co? - spytała wreszcie ciocia.

- Jak to co? Czekam na ciebie i czekam, wreszcie mi sąsiadka powiedziała, że cię widziała. Wiesz, ta taka garbata, bo ona cały czas siedzi z nosem przy drzwiach i filuje, czy aby listowy idzie z rentą.

- Jo, byłam - odpowiedziała ciocia. - Ale ino kartkę znalazłam, więc poszłam.

- Kurtka na wacie! - krzyknęła pani Jadzia. Spojrzałyśmy z Lusią na siebie i o mało nie oplułyśmy się owsianką, bo staruszki zachowywały się przekomicznie. - Do amtu w sobotę? - Puknęła się w czoło. - Toż ja żarn ta kartka synowej zostawiła w środę i zapomniała wyjąć z za wizytówki. Jak żarn wetknęła, tak siedziało.

- To ty byłaś w domu?

- Wej! I czekała na ciebie - odparła.

- O, mortadelo - rzuciła ciocia wyraźnie rozbawiona. - No, ale wreszcie my się odnalazły, jo? To zaraz polecimy na różaniec, bo słyszałaś, kto zmarł?

- Jo, Antka wzięli - odpowiedziała smutno. - Jutro łopatą dupę przyklepią i po chłopie.

Lusia nie wytrzymała. Próbowałam ją zgromić wzrokiem, ale dałam się zarazić dobrym humorem i po chwili wszystkie cztery rechotałyśmy, zajadając mleczną papkę.

Po śniadaniu staruszki poszły na swoje rózańce, a ja zaczęłam się szykować do hospicjum. Namówiłam Lusię, by wybrała się ze mną. Ostatnio, gdy mi towarzyszyła, to Arek do niej coś mruknął na temat piłki nożnej, więc istniała nadzieja, że może przy niej się otworzy.

Zaparkowałam daleko od wejścia do budynku. W weekendy rodziny przyjeżdżały do chorych. Były to chyba najsmutniejsze dni, kiedy przy łózkach siedzieli ludzie już dawno odarci z nadziei. Czasami miałam wrażenie, że hospicjum to właśnie takie miejsce, które wystawia na próbę ludzką cierpliwość i wiarę w to, że będzie dobrze. Mówiłam mamie Szpilki, że walczyć trzeba do końca, że nawet jak przybiją nad nami wieko trumny, to należy próbować rozwalić ją od środka. Nie wiem jednak, czy miałabym na to siłę, gdyby leżała tu moja Lusia.

Po wejściu do hospicjum uderzył nas dobrze oswojony zapach medykamentów. Już nawet nie kręciło od niego w nosie, a na skórze nie pojawiały się ciarki.

Weszłyśmy do pokoju dziewczynek. Ich rodzice zwykle przyjeżdżali po południu, więc teraz była odpowiednia pora na nasze odwiedziny. Ze ścian w budyniowym kolorze spoglądały na nas bajkowe postacie z uśmiechami przyklejonymi do wyidealizowanych twarzączek lub mordek.

- Cześć, dziewczynki! - rzuciłam pogodnie od wejścia.

Łóżko Szpilki było puste. Być może już niedługo zajmie je jakieś dziecko. Pati siedziała. Na kolanach rozłożyła blok rysunkowy, w którym coś zawzięcie kreśliła. Natomiast Mrówka leżała ze słuchawkami na uszach i patrzyła w sufit. Dopiero na nasz widok lekko uniosła głowę.

- Cześć - powiedziały prawie jednocześnie.

Widok Lusi chyba je ucieszył, bo od razu się rozpogodziły. Nawet oczy starały się nadażyć za podniesionymi kącikami ust. Miałam wrażenie, że w tej chwili nie było w nich cierpienia i bólu.

- I co dziś robicie? - spytałam. - Widzę, że Pati odkrywa nową pasję. - Podeszłam do niej. - A wiesz, że to się dobrze składa, bo Lusia pięknie maluje, więc może coś podpowiedzieć.

- Naprawdę? - ucieszyła się. - Zastanawiam się, czy po gimnazjum dostałabym się do liceum plastycznego.

- A dziennikarstwo? - spytałam, bo przecież Pati chciała być dziennikarką, najlepiej od razu telewizyjną.

- Jeszcze mam czas - odpowiedziała poważnie. - Muszę być przygotowana na różne opcje.

- A ty, Mrówko, jak dzisiaj? Napisałaś nowy wiersz? - Usiadłam obok niej.

Lusia oglądała rysunek Pati.

- Nie - odparła Mrówka, a oczy znów wypełnił ocean rozpaczy. - Dzisiaj nie mam siły. - Poglaskałam ją po wychudzonej rączce. Ledwo zapanowałam nad emocjami. Przełknęłam ślinę i szybko zmieniłam temat.

- Macie jakieś wieści od Szpilki?

Dziewczynki się trochę ożywiły na wspomnienie koleżanki. Spędziły w jednej sali sporo czasu.

- Pani Ada mówiła, że Szpilka niedługo nas odwiedzi - powiedziała podekscytowana Patrycja. - Podobno wszystko u niej dobrze. Jej mama tu była.

- Nooo, to jak pani Ada mówi, że wszystko w porządku, to tak jest. Nikt nie może wiedzieć lepiej niż ona. - Uśmiechnęłam się na wspomnienie szefowej tego oddziału.

- Wszyscy pewnie wyzdrowieją, tylko ja tu zostanę aż do śmierci - powiedziała Mrówka nagle, a mnie ciarki przeszły po plecach. Ścisnęłam jej dłoń.

- Ej, co ty mówisz? Tak nie można.

- Pati mają znów leczyć - mruknęła. - Na pewno ją wyleczą, na pewno, na pewno... - powtarzała.

Przytuliłam jej drobne ciało, uważając na kroplówkę, którą miała podłączoną do ręki. Czułam, jak targają nią spazmy płaczu. Pati patrzyła z przerażeniem w naszą stronę.

- Mrówka! - odezwała się. - Jeszcze nic nie wiadomo. A może to jest dobry znak? Najpierw Szpilka, może teraz ja, a potem ty. Leżymy przecież w szczęśliwej sali.

- To jest szczęśliwa sala? - zapytała Lusia.

- Tak. Pani Ada mówiła, że przed nami leżała tu dziewczynka chora na raka. Nie leczono jej, bo myślano, że to koniec, a potem coś takiego się stało, że znów zastosowano chemioterapię i podobno wyszła stąd do normalnego szpitala.

- O! To jest argument - powiedziałam. Odsunęłam delikatnie od siebie Mrówkę. Wytarłam jej oczy i spojrzałam na nią. - Słyszysz? Nie można się załamywać. Nigdy. Ani na chwilę.

- Ale ja już nie mam siły - szepnęła.

- A myślisz, że ja mam? - wtrąciła Pati. - Też nie mam, ale co poradzę? Nic.

- Przepraszam - stęknęła Mrówka i ułożyła głowę na poduszce.

- Niedługo przyjdą do was rodzice i rodzeństwo. Pewnie coś wam przyniosą. - Lusia ratowała sytuację.

- Mój brat chodzi już do pierwszej klasy liceum - odpowiedziała Mrówka z dumą.

Lusia zaczęła ją wypytywać, jak chłopak ma na imię, do którego liceum chodzi i czym się interesuje. Rozmowa znów przybrała zupełnie neutralny charakter. Potem Mrówka wspomniała o młodszej siostrzyczce, która jest jeszcze w przedszkolu i nie może się doczekać pójścia do szkoły.

Dopiero po godzinie ruszyliśmy korytarzem, by odwiedzić Arka.

Zajrzałam przez uchylone drzwi. Chłopak ciągle był jedynym pacjentem w tej sali. Leżał na boku, patrząc przed siebie. Przy łóżku siedział jego brat. Już kiedyś go tu spotkałyśmy, ale nie miałyśmy okazji porozmawiać. Nie chciałyśmy przeszkadzać w rodzinnym spotkaniu.

- Dzień dobry! - zawołał. - Niech panie wejdą, Arek bardzo się ucieszy - przywitał nas, kiedy chciałam już się wycofać za drzwi.

Podalam mu rękę i się przedstawiłam. Potem zaprezentowałam Lusię. Usiadłyśmy na krzeselkach stojących w sali. Michał jak prawdziwy dżentelmen przysunął je bliżej łóżka Arka. Nastąpiła krępująca cisza przerywana dość głośnym oddechem chorego chłopca.

- Często tu pan przychodzi - stwierdziłam bez sensu, tylko po to, by jakieś słowa wybrzmiały w powietrzu.

- To w końcu mój brat - odparł. - To naturalne. Choruje od dawna, ale teraz się załamał.

- Jestem tu - mruknął Arek, ale nie zmienił wyrazu twarzy i dalej bezmyślnie patrzył przed siebie.

- Sorry, brachu. - Chłopak poklepał go po nodze. - Ta pani przychodzi tu dla ciebie.

- Nikt jej nie prosi - bąknął.

- A pewnie, że nikt mojej mamy nie prosi - wtrąciła się Lusie. - Ona po prostu taka jest, że na kilometr wyczuwa czyjeś kłopoty.

- Arek nie ma niczego złego na myśli. Po prostu przechodzi trudny czas - powiedział Michał. - Należy mu wybaczyć.

- A co? Lechia ostatnio przegrała? - zaśmiała się Lusie. Chłopak mruknął coś niewyraźnie, ale wreszcie na nią spojrział.

- Oglądałaś mecz?

- Jasne - odparła.

Spojrzałam na nią zdziwiona, bo raczej bym nie podejrzewała córki o takie zainteresowania. Kiedyś w tym pokoju temat piłki nożnej uratował sytuację.

- Baba i mecz? - zakpił, ale jego głos był słaby, więc kpina wybrzmiała bardzo niewyraźnie.

Lusia zaczęła żartować, a chłopak lekko się ożywił i patrzył na nią. Było to jednak tylko chwilowe. Co jakiś czas popadał w apatię i milczał. Wtedy wtrącał się jego brat i dyskutował z Lusią na temat piłki nożnej. Potem przeszli na siatkówkę. Okazało się, że Michał gra w klubie studenckim, który osiąga całkiem niezłe wyniki.

Kiedy wyszłam na korytarz, byłam wyczerpana. Za dużo cierpienia, za dużo emocji, bezradności i braku nadziei. Czasami zastanawiam się, jak wiele można udźwignąć. Nie chciałam poznawać Arka, kiedy został przywieziony do hospicjum. To dziewczynki mnie do tego namówiły, bo rozpacział, był agresywny i rozżalony.

A kiedy już przekroczyłam próg jego sali, czułam, że powinnam tu wracać, tak jak do Mrówki i do Pati. Być może wypełnił pustkę po Szpilce. Westchnęłam na myśl o dziewczynce. Wtedy poczułam wibracje w kieszeni. Wyciągnęłam aparat i spojrzałam na wyświetlacz.

- Cześć, kochanie - rzucił Artur. - Gdzie jesteś, bo tęsknię?

- Właśnie wyszłam z hospicjum - odparłam.

- Wpadniesz wieczorem?

- Hm... Kusząca propozycja.

- Zrobię ci pyszne śniadanie - kusił dalej. - I podam do łóżka.

- Aaa, więc to ma być randka ze śniadaniem - zachichotałam, a Lusia zaczęła pokazywać coś na migi. Uśmiechała się od ucha do ucha.

- Więc jak będzie?

- Okej, ale przyjdę nieco później - odparłam. - Muszę trochę odpocząć, bo jeszcze chwila i popadnę w jakąś schizofrenię. Żyję w dwóch światach. - Westchnęłam do słuchawki. - Z jednej strony ty, Lusia, ciocia, normalne życie, a z drugiej taka dawka nieszczęścia, że trudno to znieść. Myślisz, że się przyzwyczaję?

- Przyzwyczaisz się. Każdy lekarz przez to przechodzi. Z czasem przywykniesz.

- Przywyknę do śmierci i chorób?

- Niestety tak, nawet jeżeli brzmi to okrutnie - powiedział.

- Dobra, nie przynudzam. Będę wieczorem. Kończę, bo Luśka robi do mnie dziwne miny.

- Do zobaczenia.

Schowałam telefon do kieszeni. Zagarnęłam ręką córkę i ruszyliśmy do samochodu.

- Pomożesz mi w domu zrobić listę rzeczy potrzebnych do kawiarni? - spytałam.

- Jasne! - Nareszcie! Nawet nie wiesz, jak się cieszę.

- Ja też, choć ciągle nie mogę w to uwierzyć i przyznam, że trzęsę portkami.

- Znając życie, za jakiś czas odezwie się babcia i będzie ci pomagać - zaśmiała się. - Oczywiście zaraz po tym, jak zobaczy papierek z urzędu stanu cywilnego.

- Rany, zapomniałam o niej. Dziwne, że od kilku dni nie dzwoniła. - Zamyśliłam się, bo to faktycznie nietypowe. Przecież mamuśka nie pozwoliłaby, żeby coś działo się za jej plecami. Wszystko powinna mieć pod kontrolą.

- Czyli niedługo spodziewaj się telefonu.

- Nie strasz - żartowałam. - Może właśnie obmyśla
nowy plan.

Rozdział 5

Siedziałam nad kartką, na której wypisywałam rzeczy potrzebne do założenia kawiarni. Szacowałam liczbę talerzy, kubków, filiżanek i sztućców. Chciałam kupić tanie, ale ładne i funkcjonalne naczynia. Przejrzałam z Lusią strony internetowe. Doskonale wiedziałyśmy, jaki charakter ma mieć to wymarzone miejsce, trzeba było tylko dobrać odpowiednie rekwizyty.

- Kurczę, córciu, mnie się wydawało, że mam dużo kasy, a to chyba jest za mało - stwierdziłam. - Przecież jeszcze stoliki i krzesła trzeba kupić, remont pomieszczenia przeprowadzić...

- Masz już wybrane miejsce?

- Nie, ale przy Rynku jest teraz sporo ogłoszeń o wynajmie, więc na pewno coś znajdę. To tylko kwestia ceny. Rozmawiałam już z jedną kobietą, jednak trochę ją poniosło, bo zażyczyła sobie siedem tysięcy miesięcznie. Widziałam, że likwiduje się kolejny sklep. Może właściciele wynajmą pomieszczenie za rozsądną cenę. Zakładam dwa tysiące czynszu i ani złotówki więcej.

- Twardzielka jesteś - zaśmiała się Lusja.

- A wiesz, ile kawy trzeba sprzedać, żeby zarobić na same opłaty? - westchnęłam. - Czasami się zastanawiam, czy to w ogóle wypali.

- Jeśli nie spróbujesz, to się nie dowiesz.

- To prawda. Dlatego muszę jeszcze się postarać o dofinansowanie z urzędu pracy. Dwadzieścia tysięcy piechotą nie chodzi. A co myślisz o tych stolikach? - Pokazałam na ekran laptopa. Bielone stoły, na których widać strukturę drewna.

- Ładne. A cenę widziałaś? - odparła i nagle się wyprostowała. Spojrzała na mnie. - Słuchaj, teraz modne są takie kawiarnie, w których stoliki wcale nie są jednakowe. Co

myślisz o tym, żeby poszukać w komisach? Można je przecież odmalować. Ile ich potrzebujesz? Ze cztery czy pięć, nie?

Za plecami usłyszałam szuranie kapciami. Ciocia akurat przechodziła do łazienki. Zatrzymała się i podeszła do nas.

- Stare stoliki? - spytała. - Takie każdy z innej parafii?

Potwierdziłam. Obie z Lusią się jej przyglądałyśmy, bo najwyraźniej coś starszce świtało w głowie. Widać było, że intensywnie myśli.

- Ale wy to czasami nierozumne jesteście - podsumowała.

- Stare meble? Pomyślcie, kto może mieć najwięcej starych mebli.

- Starzy ludzie! - palnęła Lusia.

Chciałam się popukać w czoło, ale mina cioci wskazywała na to, że moja córka poszła odpowiednim tropem. I wtedy dopiero w moim wspomnieniu pojawił się obraz ciocinego strychu. Były tam przecież jakieś stoliki i krzesła!

- Z tego względu - zaczęła znów Zofia - że znam sporo starych ludzi mających zagracone strychy, mogę wam natachać tutaj tyle, ile tylko zechcecie. A zacznę od Jadźki i od tej małpy, co się na wiewiórę zrobiła - powiedziała zadowolona.

Doskonale wiedziałam, kogo cioteczka ma na myśli. Jakiś czas temu jej koleżanka w wieku osiemdziesiąt plus, ku oburzeniu Zosi, zrobiła się na rudo. Według niej w tym wieku siwiznę trzeba nosić z godnością.

- Mogę poszperać na strychu? - spytałam.

- Byłaś już tam? - zdziwiła się Lusia, a ja potwierdziłam kiwnięciem.

- No to sprawę stołów i krzesel mamy załatwioną - podsumowała ciocia. - Mogę ci też trochę skorup poprzynosić. Zresztą na strychu też znajdziesz skrzynki i kartony wypełnione po brzegi.

- Jakich skorup?

- No talerze, kubki, filiżanki.

- Aha, ale chyba nie... - zawahałam się - chociaż... takie stare filiżanki byłyby super. Do tego obrusy robione na szydełku. - Zaczęłam odtwarzać obrazy pojawiające się w wyobraźni. - Taki babciny styl. Stare fotografie na ścianach...

- Albo obrazy z dawnym Starogardem - rzuciła ciocia. - Ten figolas, jak mu tam, no ten, co nazwisko miał królewskie, a maniery furmana.

- Jaromir Poniatowski - podpowiedziałam. Ciocia idealnie go podsumowała. - No, to niegłupi pomysł - dodałam, przypominając sobie wystawę jego prac.

- Ale fajowo! - pisnęła Luśka. - To dawaj, lecimy na ten strych!

Spojrzałam na zegarek. Dochodziła siedemnasta. Nie chciało mi się już buszować po zakurzonym poddaszu. Miałam przecież wieczorem randkę z Arturem, a musiałam się jeszcze przygotować, żeby ładnie wyglądać. Jeśli pójdę na strych, to cały wieczór będę kichać, smarkać i jeszcze wszystko przesiąknie mi kurzem. Jęknęłam na samą myśl o unoszącym się w powietrzu brudzie.

- No dobra - powiedziała Lusia. - Widzę twoją minę. Jutro to załatwimy, bo przecież na dziś umówiłaś się z Arturem.

- Jesteś kochana. - Przytuliłam ją.

- Nic tu po mnie. Sprawa załatwiona. Pogadam z tą moją geriatrią. I meble, i skorupy masz jak w banku.

- Dziękuję. - Uścisnęłam też ciocię. Zapowiadało się ciekawie.

- To teraz leć i szykuj się na tę randkę.

- Frunę - odparłam żartobliwie. - A ty, Lusia, jeśli masz czas, to możesz pomyśleć jeszcze nad tym, co będzie potrzebne, i spisać propozycje.

- Spoko.

Lusia przejęła mojego laptopa, a ja otworzyłam szafę i zaczęłam w niej szukać odpowiedniej kreacji. Nie chodziło o coś wielkiego, ale chciałam wyglądać ładnie, a przy tym czuć się swobodnie. Wyszperałam w szufladzie elegancką bieliznę. Zdecydowałam się na czarne koronki. Artur bardzo je lubił. Uśmiechnęłam się do nieprzyzwoitych myśli. Złapałam jeszcze dzinsy i ładną różową koszulę w niebieską łączkę. Po chwili zamknęłam się w łazience, by dopracować szczegóły. Najpierw prysznic i depilacja strategicznych miejsc, potem balsam nawilżający. Dobrze wsmarowałam go w ciało, by skóra stała się delikatna i gładka. Po zastanowieniu użyłam dezodorantu, który miał mnie niby chronić przez dwadzieścia cztery godziny. Wybrałam ten dla sportowców. W końcu trochę się pogimnastykujemy. Uśmiechnęłam się, widząc oczyma wyobraźni nasze ciała w ciekawych konfiguracjach. Potem bielizna. Rzut oka w lustro. Idealnie nie jest, ale akurat tym nie zamierzałam się zamartwiać. Wciągnęłam dzinsy i koszulę. Rozpięłam ją delikatnie na biuście, by kusić od pierwszego wejrzenia. Na koniec spryskałam się ulubionymi perfumami - ciężkimi, idealnymi na wieczór. W chmurze przepięknego zapachu opuściłam łazienkę.

- Z komarami będziesz walczyć po drodze? - zaśmiała się ciocia.

- A co? Za mocno?

- Nie, choć pewnie czuć cię będzie na kilometr - żartowała. - Kiedy wrócisz? - spytała po chwili.

- Jutro - odpowiedziałam cicho i niewyraźnie, bo jakoś ciężko mi było się cioci przyznać, że planuję zostać na noc.

- Co ty tam seplenisz pod nosem?

- Rano wrócę - powtórzyłam.

- I dobrze - odparła. - Uważaj na siebie - powiedziała, a za moment machnęła ręką i dodała: - W sumie z tym galameją to nic ci nie grozi.

Udawałam, że ostatniego zdania nie usłyszałam. Ciocia była przekonana, że Artur jest straszną ślamazarą, więc ochrzciła go swoim kociewskim słówkiem. Trochę mi było przykro z tego powodu, bo co jak co, ale nie był żadną fujarą. Fakt, wydawał się facetem idealnym, a to trochę niepokoiło. Bo jak to możliwe? Przecież tacy nie istnieli. Po prostu nierealne. Nawet statystycznie.

Naciągnęłam sweter. Wokół szyi zawinęłam jasny komin z miękkiej bawełny, a na nogi wcisnęłam tenisówki. Byłam gotowa do wyjścia. Jeszcze tylko torebka.

Przed domem owiało mnie przyjemne powietrze. Ciepły wiaterek lekko muskał moją twarz, rozwiewając chmurę perfum po całej ulicy. Stłumione zbliżającym się wieczorem promienie słońca odbijały się na mijanych budynkach znajdujących się po lewej stronie. Szłam powoli wiedzona obietnicą namiętnej nocy. Motyle radośnie machały skrzydełkami, łaskocząc ścianki mojego żołądka.

Zbliżyłam się do masywnej kutej furtki przed wejściem na posesję Artura. Była zamknięta, więc nacisnęłam mały guziczek kojarzący mi się z lentilką. W drzwiach ukazała się roześmiana twarz mojego narzeczonego.

- Nareszcie! - krzyknął. - Już zaczynałem się martwić.

Otworzył mi furtkę. Po chwili tonęłam w jego ramionach. Artur zachowywał się tak, jakby nie widział mnie tydzień. Łapczywie całował moją twarz, a jego dłonie pospiesznie błądziły po ciele. Poddałam się tej zmysłowej chwili bez reszty. Kiedy zatrzasnęły się za nami drzwi, szybko pozbywaliśmy się kolejnych części garderoby. Ubrania spadały z nas jak jesienne liście. Artur pociągnął mnie w stronę sypialni. Przebiegliśmy kilka metrów, by po chwili opaść na łóżko. Nagle spojrzał mi głęboko w oczy, jak to tylko on potrafił.

- Kochasz mnie? - spytał.

- Tak - szepnęłam i spojrzałam na sufit w poszukiwaniu słońca. Zakochani powinni je widzieć.

Zamajaczyło mi coś na kształt trąby, tak jak kiedyś, gdy zastanawiałam się, czy to ten jedyny. Nie mogłam przywołać tego obrazu. Zamknęłam oczy, całkowicie ignorując zarys trąby. Przecież wiedziałam, co czuję. Artur był cudowny, jak ze snu. Pieścił ustami moje piersi, odpędzając wszystkie myśli. Oddałam się namiętności. Chciałam poczuć go całą sobą i odwzajemnić każdy dotyk, muśnięcie i pocałunek.

Kiedy rozbłysło we mnie spełnienie niczym sylwestrowe fajerwerki, przytuliłam do siebie doktorka. Czułam jego rozpalone, mokre ciało i szybki oddech. Pachniał odchodzącym latem.

- Jesteś cudowna - szepnął i ułożył się obok.

Odszukałam po omacku jego dłoń spoczywającą na prześcieradle. Chciałam cały czas czuć go blisko. Leżałam w milczeniu, patrząc uparcie w sufit. Było mi dobrze, bezpiecznie jak nigdy. Z moim mężem nieustannie miałam poczucie zagrożenia. Nie wiem, z czego to wynikało. Zawsze czułam, że coś się stanie. Taki irracjonalny strach, który być może z czasem zmienił się w samospełniającą się przepowiednię. Zdradził mnie raz, potem drugi... W sumie nie wiem, ile tego było, ale sprawił, że długo nie umiałam zaufać mężczyźnie. Czułam się poniżona i obdarta z godności. Przy Arturze wszystko się zmieniło, choć z pewnością nie byłam jeszcze całkiem wolna od swoich lęków i fobii. Bałam się prawdziwego związku. Ciągle nie wiedziałam, czy jestem gotowa na wspólne mieszkanie.

- Kolacja? - spytał, układając się na boku. Przeciągnął palcem po mojej piersi. Na skórze pojawiła się gęsia skórka.

- W sumie - zawahałam się. - Może by coś przekąsić, bo chyba czeka nas długa noc - zaśmiałam się. Do tej pory zawsze Artur mnie obsługiwał, gotował dla mnie obiady lub

robił kolację, więc zaproponowałam, że tym razem ja coś przygotuję. Jeżeli mamy zostać rodziną, warto, żeby wpuścił mnie do swojego królestwa.

- Dobrze - odparł i wstał z łóżka. Przyjrzałam się jego nagości. Nie miał ciała dwudziestolatka, ale czas obszedł się z nim bardzo łagodnie. - To ja lecę pod prysznic. Zarzuć coś na siebie. Poczekaj, miałem tu gdzieś... - Zaczął przerzucać ubrania w szafie. Wreszcie wyjął damski bawełniany szlafroczek. Szary w białe kropeczki. Przełknęłam ślinę. Patrzyłam na niego ze zdumieniem. Wzruszył ramionami. - Nie wszystko wyniosłem - odparł, jakby widział, że zastanawiam się nad tym, do kogo należała ta część garderoby. - Ale jeżeli nie chcesz... - Stał ze szlafrokiem w dłoni i wahał się, co zrobić.

- Jaki ładny... Chętnie go włożę - powiedziałam z trudem. - Mam nadzieję, że to tylko rzecz, a ty faktycznie pogodziłeś się ze śmiercią żony.

- Jasne - odparł. Odwrócił wzrok i zaczął szukać majtek pod łóżkiem. - Możesz być spokojna.

Mnie tymczasem od razu w łepetynie zapaliło się ostrzegawcze światło. Może nie była to jeszcze aleja lamp czy czerwony alert, ale coś, co spowodowało rysę na dzisiejszym wieczorze. Próbowałam sobie tłumaczyć, że przecież Artur kochał żonę i że ona zmarła nagle. Przez wiele lat był sam. Może trudno mu było rozstać się z rzeczami ukochanej kobiety, może chciał mieć pamiątki po niej. Nie miałam przecież pojęcia, jak to jest. Sama przeżywałam zupełnie inne emocje po rozstaniu. Trudno mi było go zrozumieć. Z pewnością jednak nie zamierzałam zajmować miejsca jego żony. Chciałam sobie wymościć u jego boku własne.

- Kupię sobie szlafrok i następnym razem przyniosę go do ciebie - powiedziałam, przybierając beztroski ton. - Taki wiesz... seksi. - Uśmiechnęłam się.

Dopiero wtedy wypuścił powietrze i lekko się rozluźnił. Pocałował mnie w czoło, szepcząc jakieś czułe słówko. Przewiązałam się paskiem i zrobiłam głębszy wdech. Na szczęście czułam wyłącznie swoje perfumy, których nie pozbawiła mnie szalona namiętność. Szlafrok nie miał na sobie resztek zapachu obcej kobiety.

Ulżyło mi. Starłam się wmówić sobie, że to fajny ciuch z lumpeksu. Używany przez kogoś, kogo nie znam i nigdy nie widziałam.

- Kuchnia jest do twojej dyspozycji - powiedział mój mężczyzna i po chwili zniknął za drzwiami łazienki.

Dla pewności jeszcze raz, bez krępacji, powąchałam rękaw szlafroka. Nic! Ufff. Nie wiem, czego się spodziewałam po tylu latach od śmierci tej kobiety, ale z pewnością jej zapach zbyt wyraźnie przypominałby mi o tym, że wciskam się na czyjeś miejsce.

Poszłam do kuchni. Panował tu idealny porządek. Wiedziałam, że w domu Artura jest czysto, ale kuchnia przeszła moje najśmielsze oczekiwania. Jakby nigdy nikt w niej nie gotował, a przecież nieraz doktorek coś dla mnie przyrządzał. Był mistrzem w robieniu zapiekaneek! Trzy razy w tygodniu przychodziła do niego pani, która sprzątała, robiła pranie, prasowała i myła podłogi. Sam pewnie by nie dał rady. Praca chirurga wymagała od niego pełnej dyspozycyjności i wątpię, żeby miał ochotę sprzątać po dyżurze.

Wreszcie ocknęłam się z zamyślenia, stojąc na środku sterylnej kuchni, i ruszyłam w kierunku lodówki. Tu też panował należyty porządek. To akurat lubiłam. U mnie też wszystko musiało być posegregowane w odpowiednich pojemniczkach. Sięgnęłam po ten z niebieską przykrywką. Zajrzałam do środka. Szyneczka i bekon. W tym z żółtą - ser. Na półce mleko i jogurty. Na samym dole sałata oraz

rzodkiewki. Znalazłam też twarożek. Wyjęłam go i położyłam na blacie.

Zamknęłam lodówkę i rozejrzałam się za chlebakiem. Znalazłam jedynie chleb tostowy. Sprawdziłam termin ważności. Spokojnie mogliśmy przez kilka tygodni nie wychodzić do piekarni. Uśmiechnęłam się pod nosem i wróciłam do lodówki. Schowałam twaróg, a wyjęłam jajka i bekon. Oświecenie przyszło od razu. Najprostsze rozwiązania zawsze są najlepsze.

Otwierałam szafki w poszukiwaniu patelni. W jednej znalazłam blaszki do ciasta. Wątpię, żeby Artur piekł. To pewnie też pamiątka po żonie. Przełknęłam gorzką myśl. W oczy wpadła mi forma do muffinek. Wykroiłam z chleba okręgi i ułożyłam je na dnie. Zawinęłam bekon na bokach, a w środek do każdej dziurki wbiłam po jednym jajku. Jeszcze tylko sól i pieprz. Błądziłam po kuchni. Wreszcie zauważyłam przyprawy poustawiane na półeczce nad niewielkim stolikiem. Tu nigdy z Arturem nie jadłam. Zawsze przynosił posiłki do jadalni, więc teren był mi obcy.

- I jak ci idzie? - spytał.

Jego dłonie spoczęły na moich biodrach, a usta na szyi. Przeszył mnie dreszcz.

- Dobrze, choć trochę się miotam, bo nie wiem, gdzie co jest. O! Włącz, proszę, piekarnik.

- Ładnie wygląda - pochwalił.

- I będzie pyszne - odparłam. Wsadziłam blaszkę do rozgrzewającego się piecyka. Artur nastawił go na sto osiemdziesiąt stopni. Spojrzałam na zegarek. Za kilka minut jedzenie będzie gotowe. - Usiądziemy tu? - Wskazałam na stół.

- A chcesz? Nie będzie za ciasno?

- Nie. Tu jest idealnie - odparłam. - Rodzinnie i przytulnie. Artur usiadł przy stole i patrzył, jak się krzątam.

Widziałam, że sprawia mu to przyjemność. Miał błogi wyraz twarzy. Trochę mrużył oczy, a ja zastanawiałam się, czy widzi mnie, czy swoją żonę. Nie mogłam od siebie odgonić tej natrętnej myśli. Wkurzała mnie, bo była jak komar krążący przed twarzą. Machałam ręką na oślep, by się go pozbyć, a on i tak wracał, irytująco brzęcząc. Postawiłam na stoliku dwa talerzyki. Rozglądałam się za szufladą ze sztućcami.

- Po prawej - podpowiedział, widząc moje zagubienie. Pociągnęłam za wystylizowany uchwyt. Szuflada z lekkością się wysunęła, prezentując swoją zawartość. Zamarłam. Patrzyłam w jej wnętrze, nie wierząc własnym oczom. Nie było tu zwyczajnego pojemnika, w którym układa się łyżeczki i widelce, ale biała bawełniana ściereczka przykrywająca dno, a na niej poukładane zostały sztućce niemal jak narzędzia chirurgiczne. Cztery komplety. Spojrzałam zdumiona na Artura. Potem znów zajrzałam do szuflady. Miałam wrażenie, że ten widok rozpałił w mojej głowie kolejną czerwoną lampkę.

- Masz tylko tyle sztućców? - zapytałam, chcąc zatuszować doznany szok.

- W tej obok mam jeszcze inne. A czego brakuje? - spytał. Z ciekawości otworzyłam kolejną szufladę. Biała ściereczka! Ta była większa, bo wywinięta na boki tak, by przykrywała zawartość szuflady. Uchyliłam ją. Był tu korkociąg i jakieś łyżki. Wszystko zostało starannie posegregowane jak w poprzedniej! Czy tak mieszkają chirurdzy?

- Już mam - odpowiedziałam beztróska i pozamykałam szuflady, odganiając od siebie widok białych ściereczek. Sztućce z pewnością były wyparzone i zdezynfekowane. Byłam pewna, że w którejś szafce kryje się urządzenie do sterylizacji.

- Higiena to podstawa - wtrącił, jakby rozumiał moje wahanie.

- Jasne. W takim razie teraz ja lecę pod prysznic, a ty zrób herbatę - cmoknęłam go w usta i poszłam zmyć z siebie łunę tych czerwonych lampek, które na chwilę rozpały się w mojej głowie.

Weszłam do łazienki i z ulgą stwierdziłam, że nie ma tutaj śladów kobiety. Może jedynie kolory glazury sugerowały, że to właśnie pani domu ją wybierała, ale doszłam do wniosku, że jestem przewrażliwiona. W końcu Artur nie musiał zbijać kafelków po śmierci żony. Stuknęłam się w głupi, rozczochrany łeb, bo zdrowo przesadzałam z tym śledztwem. Najpierw cały czas porównywałam go z moim byłym mężem i zastanawiałam się, czy warto mu zaufać. Kiedy już wreszcie podjęłam decyzję, że można spróbować, to do serca wkradł się niepokój o to czy Artur widzi we mnie Joannę, czy zmarłą żonę. Chyba niełatwo mi dogodzić. Zawsze znajdę dziurę w całym. Westchnęłam i odkręciłam wodę. Pierwszy strumień był chłodny, więc od razu mnie otrzeźwił. Dopiero po chwili stawał się coraz cieplejszy i woda przyjemnie spływała po moim ciele.

Kiedy wróciłam do kuchni, Artur siedział przy stole. Znad kubków z herbatą unosiła się para. Ledwo odsunęłam krzesło od stolika, gdy rozległ się sygnał piekarnika. Chwyciłam ściereczkę i otworzyłam drzwiczki. Para buchnęła mi w twarz.

- Uważaj, bo się poparzysz! - krzyknął Artur. Ja jednak szybko wyciągnęłam gorącą blaszkę.

- Zobacz, jakie smakołyki - podsunęłam mu pod nos jajka na tostach. - Wykładam. Ile zjesz?

- Dwa poproszę. - Podstawił talerz. Nałożyłam porcję, o jaką prosił. Wtedy przyszło mi do głowy, że dla mnie to zbyt kaloryczna potrawa na wieczór, więc włożyłam sobie najmniejszy kawałek.

Artur napełnił lampki czerwonym winem. Jedliśmy ze smakiem, popijając alkoholem, a ja przestawałam pamiętać o tym, że była jakaś żona. Oczywiście spodziewałam się, że przyjdzie mi się jeszcze zmierzyć z widokiem przedmiotów pozostałych po tej kobiecie, ale teraz przestawało to być ważne.

Rozdział 6

Około dziesiątej Artur pobiegł do szpitala, bo miał zastąpić jakiegoś lekarza, a ja spacerkiem wracałam do domu. W głowie szumiało mi od nadmiaru wrażeń. Byłam upojona wspólnie spędzoną nocą. Miałam wrażenie, że ptaki śpiewały inaczej niż zwykle, że zieleń była zieleńsza, a niebo bardziej błękitne. Nawet nie przeszkadzały mi chimery słońca, które raz chowało się za chmurą, a po chwili przyjemnie łaskotało mnie w nos. Jakaś wewnętrzna euforia i radość rozpieierały mnie od środka.

Zauważyłam, że w ogrodzie sąsiadów pięknie wyglądają żurawki. Jakby ktoś posadził je właśnie dzisiaj. Wcześniej nie zwróciłam na nie uwagi. W oczy rzuciła mi się też biel kamyków rozsypanych na jednej z rabatek. Na nich podskakiwały dwa wróble. Jakby tańczyły w rytm moich emocji.

Przekroczyłam próg domu. Znów poczułam aromat kawy i natychmiast pomyślałam o ekspresie, który niedawno wyzionął ducha. Muszę wreszcie kupić nowy!

- No, jesteś! - Usłyszałam podekscytowany głos Lusi. Taka radość na powitanie mogła wróżyć jakiś genialny pomysł mojej latorośli. Czasami z przerażeniem stwierdzałam, że odziedziczyła to po swojej babci, która uwielbiała wtrącać się w moje życie i zawsze wpadała z nowym planem na to, jak mi je urozmaicić.

- Stało się coś? A ciocia gdzie?

- U pani Jadzi. Ale ja mam dla ciebie bombę - mówiła, podskakując w miejscu.

- Mam się bać? - zaśmiałam się. - Ostatni twój pomysł to było szukanie dawnej miłości cioci i aż się boję zapytać, co teraz - dodałam i od razu w mojej głowie pojawił się obraz stetryczalego obleśnego dziada, którego odnalazłyśmy w

domu starców. Ciocia przez lata żyła wspomnieniem nieszczęśliwej miłości, a on ledwo ją pamiętał.

- Zaraz ci coś pokażę. - Luscia pobiegła na górę do swojego pokoju, by po chwili wrócić z laptopem. - Tylko siadaj.

- A kawę najpierw dostanę?

- Jasne.

Lusia stanęła przy kuchence. Nasypała do kubka dwie łyżeczki granulowanego czegoś, co udawało prawdziwą kawę. Na szczęście zapachniało odpowiednio. I kiedy kubek z gorącym napojem stanął na stole, córka usiadła obok i przysunęła laptopa. Otworzyła kilka stron. Przyglądałam się, co robi, i powoli zaczęło mi świtać, co takiego znalazła.

Na ekranie pojawiła się kamienica z wielkim banerem „Do wynajęcia”. Zaraz Luscia kliknęła w następne hiperłącze. Ujrzałam pomieszczenie z belkami na suficie, dość zaniedbane, ale z ogromnym potencjałem.

- Widzisz? - spytała.

- No. I myślisz, że to by było odpowiednie miejsce?

- Mamo, lokalizacja jest świetna, bo tam jest spory ruch. A zobacz, tu są trzy pomieszczenia. Łazienka, kuchnia i olbrzymi pokój. Idealnie na kawiarnię. - Pokazywała zdjęcia, a ja oczyma wyobraźni widziałam jasne zasłonki w oknach, białe stoliki z wazonami wypełnionymi świeżymi kwiatami i markizę w paski.

- Ma potencjał - powiedziałam z zachwytem.

- A teraz najciekawsze - przerwała mi. - Czynsz. Zobacz.

- Powiększyła opis warunków wynajmu.

- To niemożliwe - odparłam.

- A jednak - rzuciła z tryumfem. - Patrz, przy Rynku kilka tysięcy byś musiała zapłacić, a tu masz tylko tysiąc pięćset złotych!

- Może to stare ogłoszenie. - Byłam sceptycznie nastawiona, bo nie chciałam się rozczarować. - I już ktoś to wynajął.

- Jezu, mamó! - krzyknęła Lusia i uderzyła dłonią o blat stołu. - Dlaczego ty ciągle szukasz dziury w całym?! Dzwon, pytaj i umawiaj się na oglądanie, bo ja o osiemnastej jadę do Gdańska i chciałabym wiedzieć co i jak, zanim wsiądę do autobusu!

- Jejku, ale cię wzięło - zaśmiałam się. - Zaraz zadzwonię. Daj dopić kawę. I pokaż jeszcze raz te zdjęcia.

Lusia ponownie prezentowała mi wszystkie fotografie. Potem na ekranie pojawił się opis oferty. Dokładnie ją przeczytałam. Właściciel chciał wynająć lokal na kilka lat, a co ciekawe, część czynszu można odliczyć od kosztów remontu. Brzmiało naprawdę atrakcyjnie, ale to wydawało się zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe. Przecież już by się ktoś skusił na to pomieszczenie!

- Dzwon - ponaglała Lusia.

- Dobrze, już dobrze - odparłam.

Wyszukałam w swojej torebce telefon. Zauważyłam, że mam nieodebraną wiadomość. Mama. No tak, dawno się nie odzywała. Będę musiała potem do niej oddzwonić.

W ofercie było napisane, że można telefonować codziennie w godzinach od dziesiątej do dziewiętnastej. Spojrzałam jeszcze dla pewności na zegarek i wybrałam numer. Po kilku sygnałach usłyszałam głos kobiety. Przedstawiłam się więc i wyjaśniłam, w jakiej sprawie dzwonię.

- O, to się bardzo dobrze składa! - krzyknęła mi prosto do ucha. - Bo ja akurat jestem w Starogardzie, więc niech pani podjedzie, żeby obejrzeć lokal. Porozmawiamy na miejscu.

- O której mam być?

- Najlepiej od razu, bo niedługo wyjeżdżam - odparła. - A sama pani rozumie, że ofert mam sporo.

Rozłączyłam się. Spojrzałam na Luśkę wielkimi oczami. Wszystko działo się za szybko. - I jak? - spytała córka.

- Podobno ma sporo ofert. Mówiłam ci, że ten czynsz jest kuszący.

- Mamo... - powiedziała Lusia z uśmiechem. - To ogłoszenie od dwóch lat wisi na stronie, więc nie daj sobie wcisnąć, że ludzie się tam pchają drzwiami i oknami.

Ucałowałam córkę w czoło i mocno ją przytuliłam.

- Jesteś genialna.

- To się wie. - Wzruszyła ramionami, jakby to była oczywistość. Uśmiechnęłam się do niej i machnęłam ręką. Trzeba było się zbierać. Napisałam krótką informację na kartce, żeby ciocia się nie martwiła, i po chwili byliśmy już w aucie.

Lusia siedziała wyprostowana jak struna. Widziałam, że bardzo przeżywa ten nasz pomysł na interes. Zaangażowała się bardziej, niż przypuszczałam. Rzuciłam na nią okiem. Patrzyła przed siebie. Jej mięśnie były napięte w oczekiwaniu tego, co miało się za chwilę wydarzyć. Trochę to nietypowe jak na moją córkę, ale może zbyt mocno się przejęła. Błysnął mi w głowie niezidentyfikowany niepokój, który jednak szybko zniknął, bo Lusia już po kilku minutach pokazywała palcem kamienicę oglądaną w internecie.

Przed fasadą stała kobieta w brązowym jesiennym płaszczu. Zaparkowałam na chodniku niedaleko wejścia.

- Lucyna Borecka. - Wyciągnęła do mnie dłoń. - Zapraszam panie do środka. - Wsunęła klucz w starodawny otwór, przekręciła go i otworzyła drzwi. Owiał nas zapach stęchłego drewna, wilgoci i kurzu. Kichnęłam natychmiast.

- Czy jest tu prąd? - spytałam, bo pomieszczenie było bardzo ciemne. Oczy z trudem przyzwyczajały się do panującego tu mroku.

- Jest. Miałam co prawda zdjąć liczniki, ale zostały. Panie chyba nie są stąd, co? - spytała, a ja poczułam na sobie jej przenikliwy wzrok. Miałam wrażenie, że kobieta zadała to pytanie z wyraźną ulgą w głosie.

- Od niedawna tu mieszkamy. Szukam lokalu nadającego się na kawiarnię.

- O, ten jest idealny! - zachwalała.

Włączyła światło. Dopiero wtedy zauważyłam, że w pomieszczeniu okna były zasłonięte drewnianymi żaluzjami od strony ulicy, a od podwórka założone zostały okiennice od zewnątrz. Z radości prawie podskoczyłam, bo widziałam je już odnowione i pomalowane.

Podłoga skrzypiała pod nogami, choć w niektórych miejscach wyłożona została gumoleum. Weszłam do pokoju i omiotłam wzrokiem całe pomieszczenie. Pod jedną ścianą stała stara, bardzo niska i nietypowa komoda. Miała chyba ze trzy metry długości. Brakowało nadstawki, ale i tak robiła imponujące wrażenie. Pani Lucyna zauważyła, że się przyglądam staremu meblowi.

- Jeśli pani chce, mogę to stąd usunąć - powiedziała. - Ale przyznam, że to niesamowicie ciężkie, bo dębowe, więc lepiej odnowić i wykorzystać jako wystrój kawiarni.

- Jezu, mamó - pisnęła Lusja. - To można fajnie odmalować, położyć poduchy i urządzić tu kapitalne miejsce do siedzenia!

- Pomysłową ma pani córkę. Uśmiechnęłam się z dumą na tę pochwałę.

Przeszłyśmy do kuchni. To pomieszczenie było w gorszym stanie. Nie wiem, czy nie trzeba będzie zbić tynku na jednej ze ścian. Przyjrzałam się dokładnie, czy to nie grzyb,

ale trudno mi było ocenić niefachowym okiem. Trzymałam się więc myśli, że to po prostu stary brud.

- W łazience jest nowa muszla i umywalka - powiedziała.
- Tam też były wymienione rury.

Faktycznie, w ostatnim pomieszczeniu coś już zostało zrobione. Przyszło mi do głowy, że można by łazienkę przedzielić, żeby powstały dwie toalety.

- Mamo, zobacz jakie piękne belki - mówiła podekscytowana Lusia.

Patrzyłyśmy na nie z podziwem. Stropy były bardzo wysokie. Belek nawet nie trzeba odnawiać, bo same w sobie wyglądały kapitalnie.

- I jak? Podoba się paniom? - Właścicielka przez chwilę sprawiała wrażenie, jakby się niecierpliwiła. Przeszła z nogi na nogę, a dłonie ukryła w kieszeniach.

- Muszę się zastanowić - odparłam.

- A ja muszę znać odpowiedź, bo wyjeżdżam z kraju - powiedziała. - Więc jeżeli się pani zdecyduje, to szybko.

- Rozumiem, że remont można odliczyć od czynszu. A czy cena jest aktualna?

- Tak, zależy mi, żeby te pomieszczenia nie stały puste, bo niszczeją. A mnie nie będzie w kraju jakieś pięć lat, zapewne z przerwami, ale... - mówiła, a ja całą sobą czułam, że stoimy w miejscu, które chcę mieć. - Możemy się dogadać w ten sposób, że będzie mi pani płaciła co miesiąc pięćset złotych, a resztę odciągnie sobie za remont. Umowę podpiszemy, powiedzmy, na siedem lat.

- A co po siedmiu latach? - spytałam z niepokojem.

- Potem będzie pani miała pierwszeństwo. Jakoś się dogadamy. Dobrze pani z oczu patrzy - kokietowała.

Dałam się ponieść emocjom.

- Dobrze - powiedziałam. Lusia wydawała okrzyki radości, więc nie mogła ostudzić mojego zapału. - Biorę.

Wpłacę zaliczkę i niech pani umawia notariusza, a ja zajmę się formalnościami związanymi z założeniem działalności. -
Podałam jej dłoń.

- Cieszę się.

Wyjęłam portfel z torebki. Miałam przy sobie tysiąc pięćset złotych, za które chciałam kupić ekspres do kawy. Wysupłałam część banknotów i położyłam je na parapecie. Kobieta zapisała w notesie numer mojego telefonu i dane z dowodu. Potem wyrwała kartkę i napisała oświadczenie, że pobrała tysiąc złotych zaliczki. Pokazała swój dokument, a jego numer zapisała na potwierdzeniu.

- Dziękuję - odparłam uśmiechnięta od ucha do ucha, a serce waliło mi jak młot.

- Ja również - stwierdziła jeszcze bardziej podekscytowana ode mnie. - Interes z panią to sama przyjemność. Zadzwoń od razu, gdy umówię wizytę u prawnika. Przyniosę też odpowiednie zaświadczenia, żeby pani miała pewność, że nie zalegam z podatkami ani że nie ma tu dzikich lokatorów. Będzie miała pani spokojną głowę.

- Mamo, superancko!

- Ale roboty też sporo.

- Eee, to się da - zaśmiała się Lusja. - Będę przyjeżdżać na weekendy i zawsze ci pomogę.

Jeszcze raz obeszliśmy wszystkie pomieszczenia. Staralam się zapisać w pamięci ich rozkład. Liczbą kroków zmierzyłam długość ścian i podekscytowana wyszłam na zewnątrz. Chciało mi się fruwać. Gdyby wiatr powiał silniej, uniosłabym się na skrzydłach emocji ponad dachami.

Prosto stamtąd pojechałyśmy do sklepu po ogromne pudełko lodów, którymi należało uczcić dzisiejszą transakcję. Uznałam też, że to dobry moment, by kupić ekspres, który godnie zastąpi poprzedniego smoka.

Wiedziałam, jaki ma być, więc wybór zajął mi tylko kilka minut. Żadne kapsułki nie wchodziły w grę. Musiał mieć prawdziwą kawę, spieniać mleko i parzyć najlepsze espresso pod słońcem. Zapłaciłam kartą, bo gotówki się już przecież częściowo pozbyłam. Dokupiłam jeszcze dwa kilogramy ulubionej arabiki i tak obładowane wróciłyśmy do domu. Nowy smok stanął na stole w kuchni i czekał na uroczyste uruchomienie.

- No, nareszcie - powiedziała ciocia. - A gdzie wy byliście?

- Ciociu, znalazłam lokal na kawiarnię! Na razie niech to będzie tajemnica gdzie. Jak sfinalizuję transakcję, to cię tam zabiorę, co?

- Jo - odparła, zaglądając do pudła. - Ale pod warunkiem, że zaparzysz mi takiej słabiutkiej kawki - zaśmiała się. - Mam nadzieję, że serducho to wytrzyma.

- Wytrzyma - odparłam. - I lody będą! Bez szarlotki, ale za to pyszne. Najlepsze, jakie mieli w sklepie. Najpierw odgrzejemy wczorajszą zupę, a potem będzie deser.

W domu zapanowała ożywiona atmosfera. Miałam wrażenie, że Lusie podskakuje w miejscu. Korciło ją, by opowiedzieć cioci, jakie cudne miejsce znalazłyśmy na kawiarnię, ale obiecała mi, że dopóki notarialnie nie podpiszę aktu wynajmu i nie załatwię wszystkich pozwoleń, dopóty nic nie mówimy, żeby nie zapeszyć. Milczymy jak grób. Lekko podniecony, ale grób.

Na ziemię przywrócił mnie dzwoniący natrętnie telefon. Spojrzałam na wyświetlacz. Mama. Zapomniałam, że miałam do niej oddzwonić, a przecież ona nie z tych, co się dają ignorować.

- Cześć, mamus - rzuciłam w słuchawkę.

- A co ty taka zadowolona? - spytała od razu. Co jak co, ale moja matka miała jakiś czujnik w głowie. Zawsze

doskonale potrafiła określić mój nastrój. - Jest coś, o czym nie wiem? Macie datę?

- Nie, mam, nie mamy - odpowiedziałam już innym tonem. - Obiecałam ci, że gdy wreszcie ją ustalimy, to dam ci znać.

- No ja ci tylko chciałam przypomnieć, że jesteś po czterdziestce... - zaczęła w swoim stylu.

- Wiem, mam, nikt mi tego tak często nie uświadamia jak ty - odpowiedziałam z ironią.

- A co poza tym słycać?

- Wszystko dobrze.

- Wiesz, bo ja sobie tak pomyślałam, że może z ojcem sprzedamy nasze mieszkanie i wprowadzimy się do cioci.

Zamarłam ze słuchawką przy uchu i opadłam bezwładnie na krzesło. Nagle kolorowy świat spłonął żywym ogniem. Widziałam zgliszcza.

- Jezu, mam - szepnęłam.

- No wiesz, dołożyłoby się do tej twojej kawiarni, to byś to zrobiła porządnie, a nie byle jak.

- Mam, w żadnym wypadku! - powiedziałam kategorycznie. - To mój interes! Wyłącznie mój!

- Dziecko, ależ nie denerwuj się tak. To tylko luźna propozycja. Ja nie wiem, po kim ty taka nerwowa jesteś. Nic ci nie można powiedzieć.

- Można - wtrąciłam. - Tylko nie chcę, żebyś urządziła moje życie.

- Nie urządzam, tylko pomagam - odpowiedziała lekko urażona. - No dobrze, jak chcesz. Ale pamiętaj o sfinalizowaniu sprawy z chirurgiem, bo do mety jeszcze spory dystans.

- Rany, mam, do jakiej mety? To nie wyścig.

- Wyścig, wyścig. Latka leca.

- Muszę kończyć. Pozdrów tatę. - Wyłączyłam telefon i odłożyłam go na blat. Luscia i ciocia patrzyły na mnie z niepokojem. Czekwały na wieści, jednakże ja nie miałam ochoty opowiadać o absurdalnych pomysłach mojej matki. Pragnęłam udusić ją gołymi rękoma.

- Co? - spytała Luscia.

- Nie pytaj - odparłam.

Radosny nastrój prysł niczym bańka mydlana. Powrócił dopiero przy uruchamianiu ekspresu. Luscia nałożyła lody do miseczek, a ja podawałam kawę w eleganckich filiżankach. Cioci zrobiłam bardzo słabą i porządnie spieniłam mleko, a wierzch pianki posypałam cynamonem, żeby było inaczej niż zwykle.

Rozdział 7

Kiedy wyszłam od notariusza z dokumentem potwierdzającym wynajęcie wymarzonego lokum, miałam ochotę podskakiwać z radości. Ścisnęłam w kieszeni klucz i szybkim krokiem przemierzałam uliczki, by dotrzeć do przyszłej kawiarni. Nie czułam żadnych lęków i nie miałam najmniejszych wątpliwości. Nie mogłam się doczekać momentu, gdy po raz pierwszy będzie się tam unosił zapach ciasta, gdy ustawię na stolikach świeże kwiaty i ugoszczę klientów.

Drżącą ręką napisałam esemesa do Lusi, że wszystko załatwione. Będę mogła dzisiaj wreszcie pochwalić się bliskim i przyjaciołom miejscem na najwspanialszą kawiarnię w mieście. Co prawda jeszcze bez retuszu, ale liczyłam na to, że spojrzą na wszystko moimi oczyma. Teraz sama chciałam przekroczyć próg wynajętego lokalu.

Pociągnęłam drzwi do siebie i weszłam do środka. Tym razem było jaśniej niż poprzednio. Okna nie zostały zasłonięte. Kurz pięknie się tumanił w promieniach słońca wpadającego przez brudne szyby. Wchodząc do kuchni, o mało się nie przewróciłam. Potknęłam się o odstające gumoleum. Podniosłam je, by zobaczyć stan podłogi. Deski nie wyglądały najgorzej. Korniki je trochę nadgryzły, ale nie było źle. Spojrzałam w niekończący się sufit i zakurzone belki. Dziwny dreszcz przeszedł moje ciało. Pewnie z podekscytowania. Otworzyłam na oścież wszystkie okna, by wpuścić do środka świeże powietrze. Potem odkręciłam w łazience kurek z wodą. Brunatną ciecz po chwili zastąpił krystaliczny, ciepły strumień. Nawet bojler zadziałał.

To wszystko jest teraz moje!

Wykonałam kilka tanecznych obrotów. Podłoga zamruczała pod stopami. Drewniane deski unosiły moje ciało z przyjemnym skrzypieniem w tle.

Nagle spadło na mnie olśnienie. Pozamykałam wszystko i wybiegłam do pobliskiego sklepu. Kupiłam mopa, wiaderko, szczotkę, szufelkę i różne płyny do mycia. Na koniec chwyciłam rolkę papieru i z łupami wróciłam do przyszłej kawiarni. Rozebrałam się do podkoszulka, by solidnie się zabrać za sprzątanie. Kurz nieustannie krążył w powietrzu. Kichałam, ale i tak nic nie było w stanie mnie powstrzymać. Jeżeli mam dzisiaj przyprowadzić tu gości, to muszę się pospieszyć, by miejsce zrobiło na nich wrażenie. Na remontach nikt się nie znał, ale na porządku każdy, więc trzeba było zadbać o estetykę na tyle, na ile się dało.

Zwinęłam kuchenne gumoleum i wyniosłam je na schody prowadzące na podwórze. I tak będę musiała zamówić kontener na odpady, pomyślałam. Umyłam podłogę, która nie prezentowała się najgorzej. Wystarczyło wycyklinować, polakierować deski, i gotowe!

Kiedy mój oddech przypominał już sapanie lokomotywy parowej, usiadłam na komodzie i podziwiałam efekty pracy. Byłam spocona, brudna, ale niezwykle szczęśliwa. Pod wpływem euforii napisałam wiadomości do Blublusia i do Artura, żeby byli u cioci Zosi o siedemnastej, bo chcę ich zabrać na wycieczkę. Odpowiedzi przyszły natychmiast. Odczytałam je, szczerząc się do komórki. Ale im zrzędą miny!

Do domu przyjechałam po piętnastej. Ciocia siedziała przy stole i czytała gazetę.

- Kto dzisiaj zmarł? - spytałam.

- Nikt znajomy. Przestój mamy - zaśmiała się. - A ty co taka naładowana energią?

Zamachałam jej papierową teczką przed nosem.

- Mam! Wynajęłam lokal na kawiarnię!

- No to wreszcie powiedz, gdzie w naszym mieście będzie najlepsze ciasto pod słońcem. A w zasadzie kuch, bo przecież musi być po kociewsku.

- Nie powiem - odparłam tajemniczym tonem. - Ale zawiozę cię tam, ciociu. Za dwie godziny przyjdą Piotr i Artur. Wszystkim wam pokażę, gdzie ten kociewski kuch będzie. - Uśmiechałam się od ucha do ucha. Czułam, że za chwilę eksploduję z powodu nagromadzonych emocji i tajemnicy, która całą sobą krzyczała, by ją wreszcie wyjawić.

- O, a do mnie Jadźka dziś ma przyleźć - powiedziała rozczarowana ciocia. - O siedemnastej właśnie.

- To i ją zabierzemy ze sobą. Akurat pięć osób zmieści się do auta.

- Tylko nie wiem, czy ta pirda przyjdzie na czas. Wiesz, jak to z Jadźką bywa.

- Poczekamy - odparłam, bo nic dzisiaj nie mogło mi zepsuć radości. Nic!

Dwie godziny wlokły się niemiłosiernie. Byłam pewna, że do siedemnastej zniosę jajko. Wpadłam nawet na pomysł, by poprzesuwać wskazówki zegarów, ale ciocia mogłaby wtedy zaniepokoić się moim zdrowiem, więc odpuściłam. Siedziałam i wpatrywałam się w tarczę zegara w kuchni. Każde jego tyknięcie przypominało bicie serca.

Kilka minut przed wyczekiwaną godziną rozległ się głos dzwonka. Podskoczyłam na krześle i pognałam, by otworzyć. W drzwiach ujrzałam wesołego Artura i od razu rzuciłam mu się na szyję.

- Bo mnie udusisz - zaśmiał się.

- Nawet nie wiesz, jaka jestem nakręcona!

Nie zdążyłam zamknąć drzwi, kiedy kątem oka spostrzegłam zbliżającego się Blublusia. No to jeszcze tylko pani Jadzia do kompletu i możemy jechać. Ciocia nasunęła już buty i siedziała gotowa do wyjścia. Wspólnie wyczekiwaliśmy

na pojawienie się Godota w postaci energicznej staruszki. Długa wskazówka na zegarze już dwie minuty temu minęła się z dwunastką. Niecierpliwie podrygiwałam nogą. Nikt oprócz mnie nie był zdenerwowany. Piotr z Arturem o czymś rozmawiali. Nie umiałam się skupić na poszczególnych słowach, bo w myślach poganiałam spóźniałką kobietę.

Kiedy wreszcie usłyszałam dzwonek, o mało nie stratowałam cioci.

- No, jest pani! - krzyknęłam na jej widok. Kobieta spojrzała na mnie z lekkim politowaniem.

- A ty co? Szaleju się jakiego zaś najadła? - spytała podejrzliwie. - Zośka, a tej córce twojej siostrzenicy to się co porobiło?

- Nie pytaj, ale też nie ściągaj butów. Jedziemy.

- Jezus Maria! - krzyknęła przerażona na widok mężczyzn. - A co to za procesja?

- Chodź, po drodze ci powiem, bo Aśka zaraz na zawał zejdzie.

- Wej - odparła. Dała się wyprowadzić z mieszkania i zapakować do auta. Koła zabuksowały, kiedy ruszałam. A ciocia od razu z panią Jadzią, jak na komendę, przeżegnały się i zaczęły coś mamrotać. Miałam cichą nadzieję, że się nie modliły ze strachu.

- A gdzie ty nas wieszysz? - spytał niepewnie Artur. - To nie jest przy Rynku?

- Nie! Zaraz zobaczysz.

Zaparkowałam auto na chodniku niedaleko wejścia do MOJEJ kamienicy. Wskazałam dłonią kierunek, w którym powinni iść.

- Tutaj? - zdziwiła się Zosia.

- Chodźcie, pokażę wam to чудо.

- Jezus Maria! - Pani Jadzia się przeżegnała. - Dziewucho! Wszyscy spojrzeliśmy w jej kierunku, gdy ta

kreśliła znak krzyża. Szturchnęła porozumiewawczo ciocię i obie stanęły jak wryte, wpatrując się w wejście takim wzrokiem, jakby diabła ujrzały.

- Co jest? - spytałam przerażona, bo uznałam, że może źle się poczuły. Pewnie za szybko jechałam!

- Widać, żeś ty nie stąd - szepnęła Jadzia i znów przecięła powietrze znakiem krzyża.

- Bo tu to trzeba się urodzić - wymamrotała ciocia.

- Okej - przerwał te dziwne zachowanie Piotr. - Chodźmy zobaczyć. Nie straszcie Aśki, bo zmieniała kolor twarzy z różowego na zielony.

- Idziemy - podjął Artur.

Ruszyliśmy przed siebie. Za nami drobiły kroczyki dwie staruszki, które o czymś szeptały i co chwilę nerwowymi ruchami zęgały się, jakby chciały odgonić złe moce. Przyznam, że poczułam niepokój, ale kiedy otworzyłam drzwi i zaprosiłam wszystkich do środka, znów ogarnęło mnie podekscytowanie. Od progu nie zniewalał już zapach kurzu. Pachniało środkami myjącymi, co wywoływało pozytywne wrażenie. Przynajmniej na mnie. Pozostali mieli lekko skwaszone miny. Ciocia z panią Jadzią nieufnie przekroczyły próg mieszkania.

- Tfu jego mać! - Jadzia plunęła przez ramię, a ciocia powtórzyła ten dziwny rytuał.

- Jezu, przestańcie, bo ja mam gęsią skórkę. Czy to jakiś nawiedzony dom?! - krzyknęłam poirytowana.

- Ej, świetne wnętrze - powiedział Artur i mocno mnie przytulił, odwracając do siebie, żebym nie widziała min staruszek. - Pięknie tu. Powiedz, jak masz zamiar to zorganizować.

Przystąpiłam więc do oprowadzania gości i opowiadania, gdzie co będzie stało, jak urządzię wnętrze, jakie kolory mam

zamiar wprowadzić, jakiego rodzaju tkaniny i ozdoby dodające klimatu podpowiada mi wyobraźnia.

- Ma potencjał - stwierdził Piotr.

Spojrzałam na cioteczkę. Kobiety stały jak sparaliżowane i wpatrywały się w belki sufitowe. Trzymały się kurczowo pod ramię. Zgodnie milczały.

- A wam co? Co się tu dzieje, do licha?

- Tfu - odpowiedziała pani Jadzia. - W imię Ojca i Syna.

- W imię Ojca i Syna - powtórzyła ciocia.

- Czy któryś z was to rozumie? - spytałam.

Piotr wzruszył ramionami. Artur zmienił temat, prowadząc mnie do kuchni. Podejrzewałam, że faceci coś wiedzą na temat tego miejsca. Ogarnęły mnie czarne myśli. A jeśli tu straszy? A może budynek ma wady konstrukcyjne? Durna baba pod wpływem emocji poszła i wynajęła lokum, nic o nim nie wiedząc! Miałam ochotę się rozplakać. Otrzeźwienie przyszło zbyt późno. Cioteczka wraz ze swoją koleżanką wylewały na mnie wiadra zimnej wody przy wtórze „tfu!” i „w imię Ojca i Syna”. Brakowało tylko trąb jerychońskich i czterech jeźdźców Apokalipsy do kompletu.

Obeszliśmy z Piotrem i Arturem wszystkie pomieszczenia. Stwierdzili, że w tym miejscu naprawdę jest potencjał. Blubluś zaoferował, że poda mi namiary na ekipę remontową, która na pewno zrobi wszystko fachowo, szybko i niedrogo. Poczułam wiatr w żaglach, ale niestety spojrzałam na staruszki i na nowo przyszło zwątpienie.

- Ile będziesz płacić za wynajem? - Artur za wszelką cenę próbował odciągnąć moją uwagę od zachowania kobiet.

- Słuchajcie - znów się ożywiłam. - I to w tym jest najlepsze! Tysiąc pięćset złotych, ale mogę odciągać od tego koszty remontu.

- Nic dziwnego - mruknęła pani Jadzia. - Za darmo pewnie nikt tego nie chciał.

- Co pani mówi? - zdenerwowałam się. - Co jest nie tak z tą kamienicą?

- Wisielcuch tu z diabłem tańczy.

- Co?! Artur! Rozumiesz coś z tego?

- Nie denerwuj się - powiedział. - Pani Jadzia przesadza. Ja za bardzo nie wiem, co się tu wydarzyło. Ludzie gadali, że ta kamienica jest nawiedzona. Ale przecież nikt w to nie wierzy, nie?

- Słuchaj - wtrącił Blubluś najwyraźniej rozbawiony. - Tutaj chyba ze dwadzieścia lat temu podobno powiesił się chłopak. A ciemny lud - podkreślił przymiotnik - wierzy, że dom, w którym dochodzi do takiej tragedii, jest nawiedzony, dlatego nikt z miejscowych nie chciał tego wynająć i tyle. To oczywiście bzdury.

- Ktoś się powiesił? - szepnęłam w ciężkim szoku i od razu mój wzrok powędrował w kierunku masywnych belek. - I ja mam teraz tu gotować?

- Powiesił, nie powiesił, trudno. Dawno to było. Czas ożywić to miejsce.

- W sumie co mi tam! - Próbowałam zachować spokój. - Tylko czy ktoś przyjdzie pić kawę do domu wisielca? - Rozpłakałam się. Miałam ochotę pacnąć się w głupi łeb, że mnie podkuśiło, by z wyboru miejsca robić niespodziankę!

- Przyjdą - pocieszał mnie Artur. - Młodzi nawet nie wiedzą.

- Tu obecnie mieszkają ino złe moce. - Pani Jadzia przemawiała grobowym tonem, a mnie przeszły ciarki po plecach. - One przyciągają nieszczęścia.

- Najwyżej zakalec mi wyjdzie! - stwierdziłam butnie. - Trudno. Wynajęłam. Jest moje. - Otarłam łzy, bo zdecydowanie było za późno na uzalanie się. Ja tam żadnych duchów się nie boję. Przynajmniej w Halloween będę mogła

robić imprezy w prawdziwym nawiedzonym domu. - A może nawet nazwę tę swoją kawiarnię Zakalec?!

- No, i tak trzymaj. - Artur mnie przytulił, a Piotr parsknął śmiechem i dodał, że właśnie taką Aśkę lubi.

- Klicz - wtrąciła znów pani Jadzia, która zachowywała się jak w transie.

- Co klicz? - podchwyciła ciocia.

- To zakalec po naszymu - wyjaśnił Piotr. - Możesz mieć Cafe Klicz.

- A wiecie co? - uśmiechnęłam się. - To całkiem dobry pomysł na początek. Oby tylko zakalce naprawdę nie wychodziły.

Pani Jadzia z dezaprobatą pokręciła głową, a ciocia Zosia popukała się w czoło.

- Świat staje na głowie.

- Jeżeli w Bożnicy, w której w czasie wojny był areszt śledczy, a pod jej murami rozstrzeliwano Polaków i Żydów, może być klub z restauracją, i jakoś nikomu to nie przeszkadza, to ty możesz mieć kawiarnię w domu z duchem wisielca - podsumował Artur trochę niefortunnie.

Nikt się nie zaśmiał. Pani Jadzia przeżegnała się i splunęła przez lewą ramię.

- Aśka, będzie dobrze, zobaczysz - powiedziała wreszcie ciocia zupełnie neutralnym tonem. - Jadźka jak zwykle przesadza, a jak już, to ja ci załatwię takie egzorcyzmy, że sam papież by się nie powstydział.

- O! - krzyknęła pani Jadzia. - I to jest myśl! Naszego księdza trza sprowadzić!

Kiedy wreszcie udało się zapanować nad sytuacją, a emocje staruszkom i mnie opadły, wyszliśmy z lokalu i pojechaliśmy do domu cioci. Przygotowałam kawę, postawiłam filiżanki na stole, a ciocia wyłożyła słodkości. Na

szczęście udało się tak prowadzić rozmowę, że nikt już nie wracał do nieszczęsnego wisielcucha.

Dopiero wieczorem, gdy zadzwoniła Lusia, nie wytrzymałam.

- Słuchaj, córciu! Siedzisz?

- No - mruknęła w słuchawkę.

- Nasza kawiarnia to jajo z niespodzianką - powiedziałam, sama nie wiedząc, czy śmiać się, czy płakać.

- To już wiesz?

- Jak to? - zdenerwowałam się. - Jak to wiesz?

- O tym samobójcy - odparła niewyraźnie, a ja myślałam, że za chwilę ją uduszę gołymi rękoma. - O tym, który podobno się powiesił w naszej kawiarni.

- Ty wiedziałaś?! - krzyknęłam. - Luśka! Dlaczego nie powiedziałaś? Przecież nasz biznes może nie wypalić. A jeśli tam nikt nie przyjdzie? Wiesz, co mi dzisiaj pani Jadzia i ciocia oznajmiły? - mówiłam podniesionym głosem. - Ze tam wisielcuch z diabłem tańcuje! I że tam są złe moce! A ty wiedziałaś i jeszcze mnie nakręciłaś, żebym to przekłete miejsce wynajęła?!

- Jezu, mamó - warknęła naburmuszona. - Nie przesadzaj. Wiesz, ilu młodych ludzi przyjdzie tam, żeby na własnej skórze się przekonać, że w tym miejscu straszy?

- Rany Julek! Jakże straszy? Luśka! Zaczynasz jak ciocia!

- Sprawdziłam to w necie. Dziwnie niski wydawał mi się czynsz, więc poczytałam trochę. Nikt nie chciał tego wynająć właśnie przez tego samobójcę. Ale chyba się już kiedyś przekonałaś na własnej skórze, że internet kłamie, tak? Ludzie wypisują różne głupoty. Pamiętasz, jak o tobie gadali, kiedy nie mogłaś być na festynie zorganizowanym dla Szpilki, bo cię do pracy wezwali?

- Prawda - przyznałam. Nie mogłam wtedy uwierzyć w to, co czytałam na swój temat. - A ty chociaż wiesz, kto tam zmarł?

- Jakiś dziewiętnastolatek - odparła. - Za dużo się nie dowiedziałam. Pisano, że psychol, ale wiesz, jacy są ludzie i co wypisują w necie. Mógł to być nieszczęśliwy chłopak. Może miał depresję. Nie wiem. Ponadto są wersje, że to wszystko wymyśli.

- A wiesz, że pierwsza impreza w naszej kawiarni już niedługo? - zakpiłam. - Ciocia wraz ze swoją bardzo pomysłową koleżanką Jadzią egzorcyzmy nam organizują.

Lusia parsknęła w słuchawkę. Mnie jakoś wcale wesoło nie było. To istna groteska, w dodatku z zabobonami w roli głównej. Jeszcze mi tylko brakowało wody święconej, kościotrupów i nawiedzonego domu. Choć może to ostatnie właśnie sobie wynajęłam.

- Niezłe są. - Lusia śmiała się dalej. - Obstawiałam, że ciocia się tym zajmie. Szpik dla Szpilki wyprosiła na pielgrzymce, więc i to załatwi.

Teraz i ja się uśmiechnęłam. Racja! Ciocia do Lichenia pojechała, by pogadać z Panem Bogiem, żeby szpik dla chorej dziewczynki się znalazł, więc i pewnie ze złymi mocami sobie poradzi. Przepędzi wisielcucha i wszystkie diabły w cholere.

- Ale i tak cię uduszę, gdy wrócisz - powiedziałam już zupełnie łagodnie. - Takich rzeczy nie ukrywa się przed matką.

- Gdybym ci powiedziała, to byś stchórzyła i nie wynajęła, a potem byś płaciła po kilka tysięcy za czynsz w gorszym miejscu - odparła rzeczowo.

- No dobrze. Zobaczymy, co z tego wyjdzie. A ty módl się, żeby klienci przychodzili, bo inaczej nogi z tyłka powyrywam. A! - Przypomniałam sobie nagle. - I żeby

sanepid nie zamknął nam kawiarni, zanim wyda zgodę na otwarcie! Bo normalnie uduszę!

- Dobrze, mamuś, ja też cię kocham.

Po tej rozmowie humor mi się trochę poprawił. Luscia miała rację. Nie było sensu zajmować się zabobonami. Wykształceni ludzie w nie nie wierzą. Dla świętego spokoju poprosi się księdza, by pokropił wodą, zmówił zdrowaśki i sprawa będzie załatwiona. Jeśli tylko ludzie nie okażą się przesądni, będzie dobrze.

Znalazłam telefon i wystukałam esemesa do Blublusia. Odpowiedź przyszła natychmiast. Był chętny, żebyśmy jutro wspólnie pobiegali. To był najlepszy sposób na wywietrzenie głupot z głowy.

Podniosłam Nutusia ocierającego się o moje nogi. Stęknął. Chwyciłam go pod pachę i zabrałam do swojego pokoju. Odszukałam zakupioną jakiś czas temu powieść Irvinga. Jej biała okładka zadziałała uspokajająco. Ułożyłam się wygodnie na łóżku. Poduszkę zwinęłam w rulon i wcisnęłam pod głowę. Nutuś umościł sobie gniazdko tuż przy moim brzuchu. Przystąpiliśmy do oddawania się błogiemu relaksowi.

Rozdział 8

Po ósmej wyrwał mnie ze snu piskliwy dźwięk alarmu ustawionego w telefonie. Miałam ochotę wyrzucić go przez okno, jednak po chwili przyszło oświecenie. Chciałam pobiegać. Wynegocjowałam z Piotrem trochę późniejszą godzinę niż zwykle, a mimo to i tak czułam się, jakby to był środek nocy. Po omacku odnalazłam kapcie zostawione pod łóżkiem. Wcisnęłam je na stopy i niczym lunatyk poczłapałam pod prysznic. W myślach układał mi się plan dnia.

Wrzuciłam na siebie dresy i wyszłam przed dom, by tam poczekać na Blublusia. Chwilę potem zamajaczyła mi w oddali jego sylwetka. Od razu zwróciłam uwagę na pięknie umięśnione uda w obcisłych legginsach. Trzeba było przyznać, że niejeden dwudziestolatek mógłby mu pozazdrościć figury.

Przytruchtał do mnie, najwyraźniej z czegoś zadowolony.

- Jak tam? - rzucił na powitanie. - Widzę, że spać nie mogłaś.

- Mogłam. Ledwo wstałam.

- Biegniemy?

- Do lasku i nad rzekę - odparłam, ruszając przed siebie.

- O, to mi się podoba. Jest moc.

- Za chwilę zamiast mocy będzie parowóz - zaśmiałam się. - Ale tego mi właśnie dziś potrzeba.

Lekkim truchtem ruszyliśmy przed siebie. Chłodny wiatr owiewał policzki, oddech powoli nabierał odpowiedniego tempa. Czułam się wyśmienicie. Otrzymałam dodatkową porcję endorfin. Jak łania pokonywałam kolejne metry, przeskakiwałam dołki i kamienie. Zupełnie jakby nagle ktoś we mnie tchnął nieograniczoną siłę. Ręce też poruszały się w odpowiednim rytmie na wysokości pasa.

Nagle poczułam, że ktoś uwalnia z pęt moje piersi, które podskakują radośnie, prawie dotykając brody. Miałam

wrażenie, że wołają: „Hełoł, wreszcie wolność i swoboda!“. Kilka takich machnięć w przyspieszonym rytmie fali meksykańskiej i stanęłam jak wryta.

- Kurza twarz - jęknęłam, krzyżując ramiona, by Piotr nie zauważył powiewających niczym sztandar cycków, bo mimo luźnej bluzki z pewnością widać było, że walkę z grawitacją zakończyłam z wynikiem jeden zero dla grawitacji albo może nawet dwa zero, bo przecież byłam szczęśliwą posiadaczką dwóch piersi.

- Co jest? - krzyknął Piotr z oddali. Zatrzymał się na zakręcie i spoglądał w moją stronę. - Wymiękłaś?

- Nie, ale zdarzył się mały wypadek.

- Co? - zdziwił się. - Skręciłaś nogę?

- Gorzej - mruknęłam, próbując złapać zapięcie stanika. Nie wiedziałam, czy się urwało, czy tylko odpięło. Stawiałam oczywiście na to pierwsze, bo już kilka tygodni temu zauważyłam, że coś się tam z tyłu nadpruło. Igła i nitka to rzeczy, do których mam wstręt, więc nie było szans, by to przyszyć.

- Co? Mów. - Podszedł do mnie.

Stanęłam jak wypłosz z rękami założonymi jedna na drugą, by chronić zwykle ujarzmione części ciała przed jakimkolwiek ruchem. Zachłyśnięte wolnością, majtałyby się w górę i w dół.

- Dobra. Powiem ci. - Poddałam się. - Stanik.

- Co stanik?

- Chyba się rozpruł. Pomożesz? - spytałam, pokazując brodą na plecy. - Sprawdzisz?

- Jasne. Pokaż.

Blubluś podniósł moją koszulkę do góry. Złapał końce stanika, ale niestety nie dało się go już zapiąć. Awaria po całości.

- Wracam do domu - powiedziałam.

- A bez stanika nie możesz biec?
- Zwariowałaś?! - Spojrzałam na niego takim wzrokiem, że równie dobrze teraz mógł go uderzyć piorun.
- Ja biegam bez - zaśmiał się.
- Bo u ciebie warunki takie, jakby ci to powiedzieć, żeby cię nie zmartwić - zażartowałam. - Jesteś bez szans w wyborach na miss mokrego podkoszulka.
- Wiem, jest kiepsko. Nie dasz rady? Dobrze ci szło, więc szkoda wracać.
- Szkoda, ale bez stanika nie pobiegnę - odpowiedziałam zdecydowanie. - Chyba nie chcesz, żebym obijała sobie zęby, nie? Nigdy nie biegałeś z cyckami majtającymi się w górę i w dół, więc nie wiesz, jak to jest. - I może dobrze.
- O! - Oświeciło mnie nagle. - To jakbyś biegał na golasa i coś... - ucięłam natychmiast i zaśmiałam się z własnego porównania. - Nie ma co. Wracam.

Blubluś po chwili zniknął mi z widoku, a ja ruszyłam do domu. Oczywiście ręce cały czas miałam skrzyżowane, bo utrzymywałam moje cycki w prowizorycznej niewoli.

Szłam spacerkiem, więc miałam czas podziwiać oznaki końca lata w przydomowych ogródkach. Zza drewnianego płotu, który chylił się lekko ku drodze, spoglądał na mnie okazałych rozmiarów krzak nawłoci. Żółte języki kwiatów drgały na wietrze, jakby drwiąc ze mnie. Miałam ochotę sama wywalić im jęzor. Złośliwość przedmiotów martwych czasami doprowadzała mnie do furii. Stanik załatwił mi tak dobrze rozpoczęty dzień!

Gdy przekroczyłam próg domu, ciocia hałasowała w kuchni. Zajrzałam więc najpierw do niej, bo tłukła się jak diabeł po piekle. I to, co zobaczyłam, wprawiło mnie w lekką konsternację. Na stole dumnie prezentowały się dwa krzyże, świeczki, kropidło i plastikowa butelka w kształcie Matki Boskiej. Nie wiem, kto takiego maskarona wyprodukował i

w jakim celu to zrobił, ale ów wytwór właśnie znajdował się na stole, na którym zwykłam spożywać posiłki. Ciocia przeszukiwała szuflady.

- Cześć, ciociu - powiedziałam, a staruszka na dźwięk moich słów podskoczyła w miejscu. Nawet nie słyszała, kiedy weszłam, tak była zajęta poszukiwaniami.

- Już jesteś? - zdziwiła się. - Przed chwilą wybiegłaś.

- Mały wypadek mi się zdarzył - odparłam.

- Jaki wypadek?

- Cycki miały pęd ku wolności - zaśmiałam się. - Stanik mi się zepsuł.

- A to dobre.

- Czegoś szukasz, ciociu?

- Jo - mruknęła.

- Bo wygląda, jakbyś szła walczyć z heretykami. Wojna się szykuje?

- Jo - powtórzyła. - Tylko daj mi klucze od tego swojego Klicza.

- Od kawiarni? - upewniłam się.

- Jo, idziemy tam dziś z Jadźką, Helką i Maurycym. Może jeszcze uda się przekabacić proboszcza, to ci tam zrobimy taką rozpierduchę tych złych mocy, że z każdego kąta „Alleluja!” będzie słyhać - powiedziała i bojowo machnęła wygrzebanym przed chwilą krucyfiksem.

- Ciociu, ja mam nadzieję, że żartujesz. - Usiadłam z wrażenia. Zofia spojrzała na mnie z politowaniem.

- Asiu, czy ja w tych sprawach kiedyś żartowałam? - spytała, ale szybko odwróciła wzrok.

- No nie - odparłam zrezygnowana. Doskonale wiedziałam, że w tym temacie nie było żadnych chichów - śmichów. Miałam już nawet powiedzieć coś mądrego, by cioteczkę spróbować powstrzymać przed tą świętą wojną, kiedy odezwał się dzwonek przy drzwiach.

- O! - krzyknęła ciocia. Nie miałam szans wygrać z nią w tym biegu. - Posiłki idą!

Załamalam się, kiedy usłyszałam podekscytowane głosy staruszków. Chyba niechcący zapewniłam im kapitalną rozrywkę. Wyglądali, jakby szli na imprezę, tylko że zamiast butelek z piwem mieli święconą wodę i krzyże. Okazało się, że w pojemniku w kształcie Matki Boskiej jest woda Świętej Kingi. Skąd ciocia ją miała, nie wiem, ale broń widocznie musiała być potężna.

- My im pokazemy! - krzyknął, jak mniemam, pan Maurycy, jedyny mężczyzna w tym gronie.

Przygarbiony staruszek z laską był pełen wigoru i chęci do działania. Pani Jadzia dla wygody ubrała się w dresy i buty sportowe, co wyglądało dość zabawnie, natomiast Helena miała na sobie długą ciemną spódnicę, a na szyi łańcuszek z krzyżem, który rzucał się w oczy od pierwszego wejrzenia. Cała czwórka wyglądała groteskowo, jakby nagle stali się karykaturą starości.

- Nasza Boziulka da radę! - krzyknęła pani Jadzia, jakby była na wiecu religijnym. - Pogonimy wszystkie diabły i Żydy!

- Jezus Maria! - Przeżegnała się ciocia Zosia. - Nie gadaj głupot!

- Jakich głupot? - zdziwiła się pani Jadzia.

- Jakie Żydy? Toż nasza Maryjka też Żydówka!

- Boziulka? Toż sama masz na ścianie w pokoju jedną częstochowską, a drugą licheńską, jo?

- Jo. - Ciocia kiwnęła głową, nie wiedząc, do czego zmierza koleżanka.

- No, a przecie jak licheńską i częstochowską, to jaka? Nasza, jo? Polska!

- Jezus Maria - powtórzyła ciocia. - I ja mam z tobą robić egzorcyzmy? Toż to najpierw ciebie trzeba strzelić w łepetynę kropidłem. Dawaj, Marcyś, to ją tu przeświécimy.

Marcyś już odkręcał koronę z butelki w kształcie Matki Boskiej, gdy pani Jadzia podniosła ręce w górę i zaczęła się śmiać.

- Dobra, żart! - krzyknęła. - Żarn chciała nastrój zrobić, coby Aśkę nastraszyć.

- No to mnie pani nastraszyła - powiedziałam i aż mnie korciło dodać, że już miałam ochotę karetkę wzywać, ale się powstrzymałam. Przywołałam uśmiech i pokiwałam głową, żeby pokazać, jakie to zabawne.

- No to idziemy - zakomenderował pan Maurycy.

Ciocia Zosia wrzuciła do torby wszystkie rekwizyty. Następnie wyciągnęła do mnie dłoń.

- Klucze - powiedziała głosem nieznoszącym sprzeciwu. Poddałam się. Wręczyłam jej klucze do mojej kawiarni i z radością zamknęłam za tą ferajną drzwi. Miałam nadzieję, że proboszcz nie da się wciągnąć w tę absurdalną sytuację. A Luśkę oczywiście w tym momencie miałam ochotę udusić.

Kiedy wreszcie nastąpiła cisza, poszłam do swojego pokoju i zdjęłam nieszczęsny stanik. Obejrzałam szkody. Poszło zapięcie. Można by je przyszyć, ale z moimi umiejętnościami po kilku godzinach znów by strzeliło. Wrzuciłam więc stanik do kosza na śmieci. W najbliższym czasie muszę kupić nowy, bo koronkowe nie nadają się do biegania. Zamknęłam szarkę z koszem. Drzwiczki uderzyły z łoskotem, bo za mocno je pchnęłam. W tym momencie ponownie rozległ się dzwonek do drzwi. Pewnie gromada staruszków spotkała się z rozumem i powróciła do domu!

Otworzyłam z zamiarem wyrażenia swojej radości wywołanej ich powrotem, ale zaniemówiłam. Moje usta poruszały się niemo. Z pewnością przypominałam rybę

wyrzuconą na brzeg. Przede mną stała mama Szpilki. Uderzyło mnie to, że była ubrana w czarny jesienny płaszcz. Jej ciemne włosy zlały się z sylwetką. Przeszły mnie dreszcze na widok tej kobiety, bo wyglądała jak anioł śmierci. To była pierwsza myśl, która pojawiła się w mojej głowie. Nogi się pode mną ugięły ze strachu.

- Dzień dobry, pani Asiu - powiedziała, wyrywając mnie z okowów czarnych myśli.

- Dobry - jęknęłam. - O nie...

- Pani Asiu, czy coś się stało? - Kobieta nagle przestraszyła się moim zachowaniem i złapała mnie za rękę.

Zza jej pleców wyłoniła się drobniutka postać, której twarz zasłaniał wielki bukiet kwiatów. Łzy zamazywały mi obraz, ale doskonale wiedziałam, do kogo należy to chudziutkie ciało. Po niewielkim wahaniu utonęło w moich ramionach. Szlochałam jak ogłupiała. Chwila niezwykłego napięcia spowodowała przerwanie tamy łez.

- Szpilka, Szpilka - szeptałam, tuląc ją do siebie. - Tak się wystraszyłam.

- Aż sama zwątpiłam, czy wszystko dobrze, bo wyglądała pani, jakby zobaczyła śmierć.

- Kiedy ujrzałam panią w tym czarnym płaszczu... - próbowałam tłumaczyć, zapraszając gości do środka. Dziękowałam też opatrności za zepsuty stanik, bo inaczej nie zastałyby mnie w domu. Taka wizyta warta była poświęcenia niejednego biustonosza!

- To dla ciebie. - Szpilka podała mi kwiaty, których o mało nie zgmiotłam, rzucając się na nią.

Wzięłam od niej niezwykle piękny i kolorowy bukiet. Uśmiechały się do mnie tulipany, róże i gerbery, a wszystko tonęło w zieleni niezwykle ozdobnych gałązek i liści. Włożyłam kwiaty do wazonu, który od razu postawiłam na środku stołu, by cieszył oczy.

Patrzyłam na Szpilkę i nie mogłam uwierzyć. Co na nią spojrzałam, to miałam ochotę podejść i znów ją uściskać, by sprawdzić, czy to nie jakieś majaki. Siedziała teraz przede mną i uśmiechała się. Była zupełnie inna niż w hospicjum. Wreszcie nie w piżamie, ale zwyczajnie, jak nastolatka, w koszulce z jakimś angielskim napisem i w artystycznie podartych džinsach.

- Jak się cieszę!

- Chyba mnie udusisz - odezwała się dziewczynka, kiedy nie wytrzymałam i podeszłam, by znów wziąć ją w ramiona i poczuć, że to dzieje się naprawdę.

- Nie mogę się tobą nacieszyć! - Otarłam łzy z policzków.

- Nawet pani nie wie, jak ja się czuję. Odzyskuję córkę. Jest coraz lepiej. Leczenie przebiega prawidłowo. Sylwunia przytyła już dwa kilo.

- Jak się czujesz? - spytałam dziewczynkę. - Oj, przepraszam, chcecie herbatę czy kawę? Szpilka, może sok?

Kazałam im chwilkę poczekać, a sama pobiegłam do swojego pokoju. Wyciągnęłam z szafy karton z książkami. Miałam przecież przygotowaną niespodziankę dla Szpilki - ostatnią bajkę, którą zilustrował dla mnie Jaromir. Przetarłam okładkę dłonią. Co jak co, ale ten nabzdyczony dupek potrafił rysować jak nikt inny. Miałam wrażenie, że wyjmował z mojej głowy obrazki. Postaci były dokładnie takie, jak je sobie wyobrażałam.

Wyciągnęłam dziesięć książek odłożonych dla Szpilki. Weszłam z nimi do kuchni, gdzie siedzieli moi goście.

- To dla ciebie - powiedziałam, kładąc przed dziewczynką stosik woluminów. Specjalnie położyłam je okładkami w dół, by w pierwszej chwili nie zobaczyła tytułu. Szpilka wstała i chudziutką dłonią chwyciła jeden egzemplarz. Przyglądałam się jej radosnej twarzy. Nigdy jej takiej nie widziałam. Ocean bólu znajdujący się w oczach tej dziewczyny nagle zniknął.

Na głowie miała przewiazaną niebieską chustę w różowe kwiatuszki, więc nie widziałam, czy odrastają jej włosy, ale byłam pewna, że tak. Zauważyłam, że policzki jej się lekko zaróżowiły z emocji. Miała twarzyczkę porcelanowej lalki. Doskonałą w proporcjach.

- O, ja cię! - krzyknęła. - Mamo! Zobacz! - Podsunęła mamie pod nos książkę, by ta mogła zobaczyć, co jest na okładce.

- Podoba ci się? - spytałam, ale nie musiałam czekać na odpowiedź.

Szpilka wyskoczyła zza stołu i rzuciła się w moim kierunku, by za chwilę zawisnąć na mojej szyi.

- Dziękuję!

Jej mama z zapartym tchem przewracała strony. Obserwowałam, jak w książce zmieniają się obrazki, a kobieta od czasu do czasu ociera łzę.

- Asiu - odezwała się dziewczynka. - Dziękuję. To najpiękniejszy prezent, jaki kiedykolwiek dostałam.

- Aha! - krzyknęłam. - Poczekaj, bo mam jeszcze coś!

Znów pobiegłam do swojego pokoju. Odnalazłam w szafce elegancki notes, który kupiłam tydzień temu. Każda nastolatka powinna mieć notatnik, by myśli nie uciekały jak motyle.

- Co to? - spytała, kiedy podałam jej notes.

- To dla ciebie, żebyś mogła prowadzić dziennik.

- Dziękuję - powiedziała z zachwytem. - I dziękuję za książkę.

- Jest piękna! - wtrąciła wreszcie jej mama. - I to książka o tobie. - Wskazała na córkę. - Szpilka - przeczytała. - A kto narysował tę przesłodką szpileczkę na okładce?

- Jaromir Poniatowski - odparłam. - Zdolny grafik. Niedawno robił w Starogardzie wystawę swoich prac.

- Nie znam go, ale proszę mu od nas podziękować. Dziewczynka przewracała kartki książki i śmiała się w głos.

- O! Jest i Mrówka, i Pati jako patyczak! Super! A widziały już książkę?

- Tak - odparłam. - Dostały ode mnie po egzemplarzu. Ty masz ich dziesięć i będziesz mogła podarować je bliskim. Pewnie poproszą cię o autografy.

- Pani Asiu... - Matka Szpilki zaczęła poważnym tonem. - Kiedyś pytałam panią, czy słusznie pani robi, dając mnie i Sylwii nadzieję... - zawahała się. - Bez tej nadziei byśmy nie dały rady.

- Wielkie krople łez spływały leniwie po jej policzkach. - Dziękuję - dokończyła dławiącym głosem. - Dziękuję, że nie pozwoliła mi pani zwątpić.

- To w was była siła. Dzięki niej się udało.

- Będziemy się zbierać. Obiecałam Sylwii, że pójdziemy odwiedzić Mrówkę i Pati, a nie powinnam jej jeszcze tak bardzo męczyć.

- Szpilka, dam ci mój numer telefonu, co? - zaproponowałam.

- Kiedy będziesz się dobrze czuła i miała siłę, to od czasu do czasu poszłybyśmy na spacer. Co ty na to? Jeszcze ci się pochwalę, że wkrótce otworzę kawiarnię i będzie u mnie można zjeść pyszne ciasto.

- Super! - Dziewczynka klasnęła w dłonie.

Kartkę z numerem telefonu schowała do kieszeni dzinsów. Potem obciągnęła koszulkę i była gotowa do wyjścia. Podałam jej ortalionową kurtkę, w której przyszła, i zapakowałam książki w reklamówkę. Nie mogłam nacieszyć oczu widokiem Szpilki wracającej do zdrowia. Jeszcze raz uściskałam ją mocno. Pocałowałam główkę owiniętą kolorową chustką.

- Uważaj na siebie.

- Do widzenia!

Machały do mnie. Patrzyłam przez chwilę, jak się oddalały. W sercu kołatało mi sporo emocji, a w głowie huczało od wrażeń. Właśnie był u mnie namacalny dowód na to, że nie warto tracić nadziei. Nigdy. Nawet gdy się wydaje, że jesteśmy w czarnej dziurze, to trzeba umieć dostrzec światełko, bo to ledwie tłące się coś może rozpaść się wielkimi neonami. Trzeba tylko mocno wierzyć.

Gdy wróciłam do domu, zadzwonił telefon. Jakieś fatum dzisiaj czy co? Chwyciłam aparat.

- Słucham.

- Co tak obcesowo do matki? - Usłyszałam i dobry humor prysł jak bańka mydlana. - Dziecko, co tam u ciebie się dzieje, że nie dzwonisz?

- Wszystko dobrze. Terminu nie ustaliliśmy.

- A jak lokal? Masz?

- Mam. Właśnie wynajęłam.

- Gdzie? Za ile? Czy czasem nie przepłaciłaś?

- Mamo, ja cię proszę - odpowiedziałam zrezygnowana. - Nie denerwuj mnie. Wszystko jest dobrze.

- Widzę, że inaczej nie można. Pojutrze będziemy z ojcem - skwitowała. Potem nie dała mi dojść do słowa i się rozłączyła.

No to pięknie! Usiadłam z wrażenia. Tego mi tylko było trzeba. Matka, egzorcyzmy i nawiedzona kawiarnia. Może jeszcze kilka niespodzianek? Spojrzałam odruchowo w sufit. Mój wzrok jednak spłynął po ścianie, zatrzymując się na zegarze. Coś długo idzie cioci ta walka ze złymi mocami. Uśmiechnęłam się, ale przecież co wojna, to wojna.

Korzystając z chwili ciszy i spokoju, poszłam się przebrać. Wciągnęłam dzinsy, bo przecież ciągle miałam na sobie spodnie dresowe. Rzuciłam okiem w lustro. Efekt był niezadowolający, więc ściągnęłam czerwoną koszulkę i zastąpiłam ją błękitnym pulowerem. Pod szyją zawinęłam

bawełniany komin. Jeszcze wygodne baleriny i mogłam biec do kawiarni, aby odzyskać nad nią panowanie. Miałam cichą nadzieję, że staruszkowie nie zorganizowali sobie tam zbyt hucznej imprezy i wszystkie ściany wciąż były całe. Chcąc nie chcąc, w mojej głowie automatycznie odtworzyły się jakieś pourywane sceny z horrorów. Przeszły mnie ciarki. Przyspieszyłam więc ruchy, bo co jeśli - nie daj Boże - dziadki narozrabiały?

Po paru minutach parkowałam już na chodniku niedaleko wejścia do kawiarni. Koła zatrzeszczały na kamienistym podłożu. A kiedy wysiadłam, od razu powędrowałam wzrokiem do okien mojego lokalu. Wszystkie były otwarte. Z daleka widziałam głowy staruszków. Przyspieszyłam i po chwili znalazłam się wewnątrz. Panowała tu podejrzana cisza.

- Halo?! - krzyknęłam.

Po sekundzie w drzwiach dużego pokoju pojawiła się twarz cioci z palcem na ustach. Bezszelestnie podeszłam do niej. Na widok pani Jadzi leżącej krzyżem na podłodze odruchowo miałam ochotę się przeżegnać. W każdym kącie pokoju paliła się świeczka do podgrzewacza ustawiona na małej białej karteczce, a Halinka, Marcyś i ciocia trzymali się za ręce i coś szeptali, bo usta im się poruszały w tym samym rytmie. Przez chwilę nic nie mówiłam. Próbowałam zrozumieć, choć nie było to łatwe. Wciągnęłam mocniej powietrze, bo panował tu specyficzny zapach. Ocet? Skąd tu ocet?

- Pani Jadziu! - powiedziałam, podchodząc do staruszki. - Niech pani wstanie, przezięb się pani i pobrudzi!

- Ciii!!! - zgromił mnie głos trzech osób, a pani Jadzia ani drgnęła.

- Kurza twarz - jęknęłam. - Co się tu wyrabia? - Ciii!!!

Zamilkłam więc. Usiadłam na komodzie i obserwowałam rozwój wydarzeń. Miałam wrażenie, że psychiatryk w

Kocborowie już na mnie czeka. Nie może być inaczej. Toż to cyrk na kółkach.

Tylko mały były jakieś przechodzone, starawe lekko i nieprzewidywalne w dodatku.

Patrzyłam na staruszków mamroczących pod nosem. Nagle ich usta znieruchomiały, a ręce uwolniły się z uścisku. Ktoś powiedział głośno „amen” i wreszcie pani Jadzia ruszyła się z miejsca. Próbowwała wstać. Szło jej to z trudem, więc doskoczyłam, by pomóc się jej podnieść z podłogi.

- Pani Jadziu - zwróciłam się do niej. - Nic pani nie jest?

- Wszystko rychtig, dziecko - odpowiedziała z entuzjazmem.

- Czuję się, jakby z dwadzieścia lat mi ubyło. - Zaśmiała się.

- Albo i więcej. Toć chyba ostatnim razem żarn tak dobrze się bawiła w pięćdziesiątym ósmym!

Nie chciałam jednak wiedzieć, co takiego robiła prawie sześćdziesiąt lat temu. Z pewnością nie siedziała jak greczna dziewczynka z książką w dłoni.

- Ciociu, jasny gwint, co wy tu wyrabiacie? - pisnęłam.

- Spokojnie, Asiu. Zaraz się świeceki dopalą i skończymy.

- Co tu tak octem jedzie? - spytałam.

- Bo eksperymenty robimy - odparła. - Na prawdziwe egzorcyzmy ksiądz by się nie zgodził. To niebezpieczne.

- Ufff - westchnęłam.

- Ale spokojna twoja rozczochrana - dodała po chwili. - Marcyś poczytał w internetach, co trzeba zrobić - powiedziała z tryumfem.

- W internetach? - powtórzyłam.

- Umyliśmy więc podłogę wodą z octem - tłumaczyła. - Dokładnie jak należy, czystym mopem. Zainwestowaliśmy trochę w tę imprezę. - Zaśmiała się, a staruszkowie jej

zawtórowali i Marcyś dodał, że sprawiedliwie zrzutkę zrobili.
- Potem w każdym kącie zapaliliśmy świeczkę i się teraz pali.

- I jeszcze sól w kątach na tych karteczkach rozsypaliśmy! - dodała pani Helenka. - Na którą też zrzutę zrobiliśmy - uzupełniła z dumą.

- Pięknie - odparłam bez entuzjazmu, który dziwnym trafem nie udzielił mi się od ekipy ratującej mój biznes przed złymi mocami.

- No, a kiedy się to wypali, to trzeba wszystko zebrać i zakopać - podsumowała ciocia Zosia.

- I po sprawie - dodała pani Jadzia najwyraźniej zadowolona z efektów swoich poczynań.

- Pięknie - powtórzyłam.

- Szkoda tylko, że tu jest drewniana podłoga, a nie klepisko - westchnęła pani Jadzia.

- A to czemu? Ja mimo wszystko cieszę się z tej podłogi.

- Bo gadają, że z nasienia wisielcucha powstaje mandragora - powiedziała lekko rozczarowana. - A tu przecie chłopak się wieszał, więc nasienie miał.

- Jezus Maria! - wyrwało mi się. - Ja zaraz oszaleję! Koniec! Koniec tych waszych eksperymentów w mojej kawiarni! - Czułam, że za chwilę eksploduję. Jeszcze jedno zdanie na temat wisielców, a sama chyba przerzucę linę przez tę belkę!

- Racja! - krzyknął pan Marcyś, jakby mnie w ogóle nie słysząc. Czy w ogóle ktoś tu liczył się z moim zdaniem?! - Ale do tego by pies był potrzebny, bo to do jego ogona trza było przywiązać postronek, żeby ciągnął roślinę. - Zmartwił się brakiem psa.

- O! - krzyknęła nagle Helenka i pokazała palcem w górę.
- Chóry anielskie słycać!

- To nie chóry. To mój telefon. - Niestety musiałam rozczarować staruszków. Wygrzebałam aparat z kieszeni. Spojrzałam na wyświetlacz. To się nazywa wycucie chwili!

- Dzień dobry, pani Lucyno - rzuciłam. - Cieszę się, że pani dzwoni, bo chciałam coś wyjaśnić.

- Coś się stało? - spytała.

- Tak. Mam tu ekipę samozwańczych egzorcyistów w wieku osiemdziesiąt plus, a to wszystko dzięki pani!

- Dzięki mnie? - zdziwiła się.

Może nawet wzięła mnie za wariata. Nie wiem, ale miałam ochotę zamordować tę kobietę, bo nie pisnęła słowem, że w tym lokalu doszło do tragedii!

- Tak - odpowiedziałam. - Dlaczego mi pani nie powiedziała, że tu się ktoś powiesił? Przecież ja chcę jedzenie i kawę sprzedawać! - Prawie się rozplakałam w słuchawkę.

- Pani Asiu... - odparła, wzdychając. - Tam się nikt nie powiesił. To plotki.

- Jakie plotki, jak w internecie nawet można przeczytać, że...

- Proszę mnie posłuchać - przerwała mi. - Ludzie lubią takie sensacje. W tej kamienicy mieszkał syn mojej starszej siostry. Prawdą jest, że podjął próbę samobójczą, ale tylko próbę. Rozumie pani? On żyje. Niestety leczy się psychiatrycznie. Nie wrócił do Starogardu i ludzie zaczęli gadać, że się powiesił. Nie wie pani, jak to jest?

- Naprawdę? Ten chłopak żyje?!

- No już nie chłopak, a dorosły mężczyzna - poprawiła mnie. - Ale jest chory.

- Jezu! - krzyknęłam. - Pani Lucynko, dziękuję!

- Ale... - zawahała się. - Wie pani, jak to jest z ludźmi - dodała smutno. - Oni zawsze wiedzą lepiej. A przecież od tamtych wydarzeń minęło tyle czasu.

- No tak - potwierdziłam. - Ludźmi proszę się nie przejmować. Najważniejsze, że chłopak żyje, bo nie wyobrażałam sobie, by tu piec ciasta i parzyć kawę pod tymi belkami. Przecież to stado staruszków, które teraz mam na głowie, już chciało mandragory szukać, tylko podłoga drewniana i psa brak!

- Że co? Jakiego psa? - zdziwiła się i jak nic pomyślała, że z wariatem gada.

- Nieważne, długa historia. Kiedyś pani opowiem.

Ciocia spojrzała na mnie morderczym wzrokiem. Uśmiechnęłam się do niej, bo wreszcie lżej mi się zrobiło na sercu.

- Niech pani spokojnie prowadzi swój biznes. Dzwonię tylko, żeby powiedzieć, że jutro wyjeżdżam i gdyby coś się działo, to proszę napisać maila.

- Dobrze, dziękuję. I życzę szczęśliwej podróży. Kiedy kobieta się rozłączyła, podskoczyłam z radości.

- Juuupi! - krzyknęłam, podbiegając do cioci. Chwyciłam ją za rękę i obróciłam.

- Co jest? - spytała.

- Nie było żadnego wisielca!

- Jak to? Toć... - Pani Jadzia, najwyraźniej bardzo rozczarowana, nie mogła uwierzyć w nowinę.

- To była próba samobójcza. Chłopaka do psychiatryka wywieziono, ale żyje!

- Nie ma wisielcucha? - powiedziała nieco teatralnym tonem. - To ja na darmo żarn tu krzyżem leżała, aż mnie w gnatach zabolęło?

- Ej tam! - Ciocia Zosia na nią machnęła. - Nie na darmo! Przecież próba była, tak? Czyli zło jakieś się tu czaiło.

- No - poparła ją pani Helena. - A my je pogonili!

- I dziękuję wam za te czary - mary - powiedziałam jakoś dziwnie lekka na duszy. - Wszyscy macie pierwszą kawę

gratis podczas otwarcia! I po ciastku. A co mi tam. - Zaśmiałam się, a staruszkowie zarechotali ze mną.

- Ale fajno było - podsumował pan Marcyś. - Aż żal człowieka zdejmuję, że koniec.

- Jeszcze nie koniec, bo dołek trza wykopać - zaoponowała pani Jadzia. - Zbierajta kartki i sól i do ziemi z tym barachłem.

Już zupełnie spokojna patrzyłam na to, jak wykopali dołek starą łyżką. Wsypali tam sól i podarli na strzępy karteczki. Następnie to przysypali ziemią i przyklepali. Każdy potem splunął przez lewe ramię i zrobił znak krzyża. I rychtig, jak to pan Marcyś określił. Sprawa załatwiona. Złe moce przepędzone! A ja odzyskałam spokój. Teraz mogę z czystym sumieniem robić tu kawiarnię!

Kiedy udało mi się zapakować wszystkich do auta, zawiozłam ich do domu cioci na arbatę i ciasto.

Rozdział 9

Pchnęłam masywne drzwi hospicjum. Przede mną rozpostarł się widok na pusty szeroki korytarz. Tu świat nie gna, tu życie powoli się toczy, czasami nawet nie rusza z miejsca, tylko tkwi w marazmie. To świat zawieszony w oczekiwaniu na cud albo przynajmniej na nadzieję.

Zrobiłam głęboki wdech. Potem powietrze z impetem wypchnęłam z płuc i ruszyłam przed siebie. Dziewczynki leżały w łóżkach zwinięte w kłębuszki, odwrócone twarzami do ścian, tyłem do życia i świata. Zapukałam, będąc już w środku. Pati drgnęła i spojrzała na mnie. Od razu uśmiech zagościł na jej twarzy. Mrówka jednak zawzięcie trwała w przyjętej wcześniej pozycji.

- Śpi - szepnęła Patrycja. Machnęła do mnie ręką. Zawiesiłam torebkę na krześle. Rozpięłam sweter i usiadłam.

- Co dobrego się wydarzyło? - spytałam cicho, żeby nie obudzić śpiącej dziewczynki.

- Szpilka u nas była!

- Wiem. Widziałam się z nią - odparłam. Na wspomnienie jej twarzy od razu cieplej zrobiło mi się na sercu. Dopiero po chwili spojrzałam na skuloną na łóżku Mrówkę.

- Jejku, jak ona ładnie wyglądała - szepnęła Pati. - Ja też bym tak chciała. Chcę stąd wyjść.

- Wyjdiesz, zobaczysz. - Pogłaskałam ją po dłoni. Nie wiem, czy moje słowa zabrzmiały przekonująco. Niestety wiedziałam, że statystycznie po prostu jest niemożliwe, by dla wszystkich dzieci w hospicjum zdarzył się cud. Cuda były zjawiskiem reglamentowanym. - Masz co czytać? - spytałam, unikając wzroku dziewczynki.

Nie chciałam, by zobaczyła w moich oczach okruchy zwątpienia czy raczej racjonalizmu.

- Mam - odparła, sięgając po książkę. - Mama przyniosła mi Małego Księcia.

- O! - zdziwiłam się. - Uwielbiam. Zaczęłaś czytać?

- Nie. Na razie obejrzałam rysunki. Podobają mi się. Zobacz - zaśmiała się. - Mrówka wygląda, jakby ją połknął wąż boa, nie? - chichotała.

Kiwnęłam głową.

- Wszystko słyszę - odezwał się stłumiony głos spod kołdry.

- Nie śpisz? - Podeszłam do dziewczynki. Pogłaskałam ją po główce, która wychyliła się z kokonu niczym kurczak ze skorupki.

- Nie - odparła. - Myślę.

- A nad czym, jeżeli można wiedzieć?

- Nic, tak sobie - westchnęła.

- Rozumiem - powiedziałam z powagą. - Czasami każdy musi w spokoju pomyśleć. A wiecie co? - Klasnęłam w dłonie, żeby trochę ożywić dziewczynki. - Zakładam kawiarnię.

- Taaa? - Mrówka na mnie spojrzała i widać, że czekała na rozwinięcie tej historii.

- Tak. I będę tam piec różne ciasta i ciasteczka, robić pralinki, mieszać czekoladę - zaczęłam opowiadać. - I fajnie by było, gdyby znalazł się ktoś, kto chciałby być moim królikiem doświadczalnym i od czasu do czasu coś spróbował.

- Ja! Ja! - krzyknęły prawie jednocześnie. Nie był to co prawda krzyk zdrowego dziecka, bo głosy były słabsze, mniej entuzjastyczne, ale przerwały okropny marazm i pesymizm, które zagościły w tym pokoju.

- To się cieszę. Ale musicie jeszcze trochę poczekać, bo dopiero zamierzam zrobić remont. Dzisiaj miałam tam stado staruszków - zaśmiałam się.

- Po co?

- Odganiaли złe moce.

Opowiedziałam o paleniu świeczek i sypaniu soli, o tym, jak pani Jadzia leżała plackiem na podłodze umytej wodą z octem. Oczywiście pominęłam temat wisielców i mandragory. Dziewczynki śmiały się w głos. Wreszcie udało się je rozbawić i odciągnąć ich myśli od choroby. Wychodziłam z nową siłą w sercu. Czasami miałam wrażenie, że to one są mi bardziej potrzebne niż ja im. Przypominały mi zawsze, na czym polega moje człowieczeństwo. Czułam je wtedy do szpiku kości. Razem z jego kruchością, bezradnością, ale i z nadzieją.

Skierowałam się do pokoju Arka. Zastałam tam jego brata. Michał opierał głowę o ramę łóżka w nogach chłopca. W pierwszej chwili myślałam, że zasnął, chciałam się więc wycofać, jednak ten podniósł powieki i machnął do mnie, bym weszła. Trzymając sweter i torebkę w dłoni, zbliżyłam się do wolnego krzesła. Chory jak zwykle patrzył w jeden punkt i nie reagował. Nie wiem, czy zapadł się bardziej w siebie, ale miałam nieodparte wrażenie, że jest go mniej, jakby się kurczył w pościeli. Może właśnie tego pragnął? Może chciał przestać być, bo wchodząc do tego pokoju, czułam się, jakbym wpadała w otchłań apatii. Brodziło się w niej niczym w mule, który bezlitośnie wciąga i nie pozwala spojrzeć w słońce. Ba! Tu nie było szans na ani jeden promień. Arek wszystkie zgasił i nie pozwolił im rozbłysnąć na nowo.

Siedzieliśmy więc w milczeniu. Dochodziły nas odgłosy hospicjum: stłumione dźwięki za drzwiami, brzęk spadającego metalowego narzędzia i od czasu do czasu kroki w korytarzu. Moją uwagę przyciągnęła mucha, która krążyła nad głową chorego, a potem usiadła na kołdrze i z ogromną cierpliwością swoim rykiem przypominającym odkurzacz badała nieznany teren. Co jakiś czas pieczołowicie wycierała go odnóżami, by po chwili znów przeszukiwać kołdrę chłopca w nadziei na znalezienie pokarmu.

- Czy mogę z panią porozmawiać? - spytał Michał, wyrywając mnie z zamyślenia.

Mucha, przestraszona moim nagłym ruchem, wzbila się w powietrze i zniknęła mi z oczu.

- Jasne - odparłam.

- Wyjdziemy?

Kiwnęłam głową i chwyciłam swoje rzeczy. Michał poklepał Arka po kolanie.

- Zaraz wrócę, brachu. Nie ruszaj się stąd. - Uśmiechnął się do niego, ale brat nie zareagował.

Wyszliśmy na korytarz. Rozejrzałam się. Dwie ławki znajdujące się tutaj były zajęte, więc pozostało nam albo iść na dwór, albo do małej szpitalnej kantyny w drugim skrzydle budynku. Zawahałam się, bo nie miałam pojęcia, jak długa i o czym będzie ta rozmowa.

- Kawa? - Michał przerwał moje rozmyślenia. Kiwnęłam głową. Poszliśmy więc do baru. - Ja zapraszam - dodał, kiedy stanęliśmy przy kontuarze pamiętającym chyba jeszcze czasy PRL - u. - Z mlekiem czy bez?

- Z mlekiem poproszę i rozpuszczalną, jeżeli jest.

- Jest - odpowiedziała kobieta w białym stylonowym fartuchu.

Podeszłam do stolika, przy którym stały trzy krzesła na metalowych nóżkach. Na jednym położyłam sweter i torebkę, na drugim usiadłam i czekałam na Michała. Napięłam kręgosłup. Oparłam łokcie o blat. Po chwili chłopak postawił na stoliku dwie kawy. Sobie zamówił sypaną. Smolisty napój przyciągał wzrok.

- Chciałem z panią porozmawiać już jakiś czas temu.

- Może mówmy sobie po imieniu, co? To zawsze wiele ułatwia. Aśka jestem. - Wyciągnęłam do niego dłoń, a on odwzajemnił uścisk.

- Miło mi - odparł.

- O Arku chciałeś pogadać?

- Tak, bo to, że on jest w takim stanie, ma swoje wyjaśnienie. Chorował od bardzo dawna, więc tu nie chodzi wyłącznie o niedomaganie. Jest coś innego... - zaczął.

Mnie po ciele przeszły ciarki, a zaraz za nimi w głowie zaczęły się wyświetlać najgorsze scenariusze. Nie szło nad nimi zapanować, bo wyobraźnia pognała w siną dal.

- Nie mów, że ktoś mu zrobił krzywdę.

- Nie, nie o to chodzi, choć na pewno on czuje się skrzywdzony - odparł, uśmiechając się do mnie. Nie znałam go dobrze, ale widziałam, że zmusił się do tego grymasu. - Chodzi o to, że my z Arkiem wychowaliśmy się w rodzinie zastępczej. W zasadzie teoretycznie dalej tam jesteśmy, tylko że ja mieszkam w akademiku w Gdańsku i przyjeżdżam tylko od czasu do czasu. Teraz, od kiedy trafił do hospicjum, częściej.

- Jezu, to ci rodzice zastępczy go tu oddali, tak? Nie dawali już rady?

- Nie - powiedział zniecierpliwiony. - Poczekaj, opowiem po kolei.

Michał opowiadał, jak razem z Arkiem trafili do ludzi mieszkających w Suminie. Razem z nimi wychowywała się tam z czasem jeszcze trójka innych dzieci. Rodzice biologiczni zrzekli się praw do Arka zaraz po jego urodzeniu, Michała zabrała im opieka społeczna. Chłopcy mieli mizerne szanse na adopcję. Młodszy był nieuleczalnie chory, starszy - za duży. Wreszcie trafili do Kornelii i Wiktora. Mieszkali z nimi od ośmiu lat. Słuchałam tego z rozdziawioną gębą. Kiedy poznałam Szpilkę, Pati i Mrówkę, wydawało mi się, że to szczyt nieszczęść, że Stwórcę lekko poniosło w doświadczaniu człowieka, tymczasem nie doceniłam Go. Można bardziej. I Arek był tego namacalnym dowodem.

- Nasza zastępcza mama jednak chyba wymiękła - podsumował. - Nie wiem, czy psychicznie nie dała rady, czy coś się wydarzyło. Postanowiła wyjechać do Anglii i zostawić Wiktora samego. To znaczy z bandą dzieciaków. Arek się załamał, bo po raz kolejny został porzucony.

- Jak to wyjechała? Ot tak? Z dnia na dzień? A ja kiedyś nie spotkałam jej przy łóżku Arka? Pamiętasz? Siedziałeś tam z jakąś kobietą.

- Tak - odparł. - Przyszła się pożegnać.

- Ale ona pewnie wróci, nie?

- Mówiła, że jedzie na miesiąc, może na dwa. Dostała tam propozycję pracy jako pielęgniarka. Dawno temu minęły dwa miesiące i nie wróciła. To znaczy wpada od czasu do czasu na kilka dni i tyle. Teraz też przyjechała tylko na chwilę. Po mojemu to raczej ona zostanie w Anglii.

- A co z dziećmi? Nie zabiorą temu ojcu, jeżeli on jest sam?

- Nie wiem. Na razie udajemy, że wszystko jest dobrze. Wiktor jest świetnym ojcem. On naprawdę nas kocha i świetnie sobie daje radę. Ale Arek się zaciął i kiszka. Nie chce rozmawiać, tylko leży tak i patrzy w sufit. Jedynie z twoją Lusią zamienił kilka słów. I tyle. Uparty jest jak osioł.

- O rany - szepnęłam. - Trzeba mu jakoś pomóc. Porozmawiać z nim.

- No tak, ale jak się dowiedzą w hospicjum, jaka jest sytuacja, to zgłoszą to gdzieś i Wiktorowi zabiorą dzieciaki. A mówię ci - jego oczy się zaszklily - że to byłby błąd, bo te dzieci nie znajdą nigdzie lepszego domu, nawet jeżeli nie będzie tam Kornelii. Pogadasz z Arkiem? Może ciebie posłucha.

- Kurczę. - Podrapałam się po głowie. A w tym czasie rozległ się dzwonek mojego telefonu. - Pewnie, że pogadam,

ale niczego nie obiecuję. Widziałeś, że nie mam z nim kontaktu. - Spojrzałam na wyświetlacz.

- Nie krępuj się. Odbierz.

- To kumpel. Może poczekać.

Po chwili jednak przyszedł esemes. Z ciekawości odczytałam, co chciał ode mnie Blubluś. „Wpadaj do fundacji. Na cito”. Coś ukłuło mnie w żołądku. Spojrzałam przestraszona na Michała.

- Przepraszam, ale to chyba ważne. Muszę iść do fundacji. Obiecuję, że pogadam z Arkiem. Jutro u niego będę na pewno.

- Dziękuję.

- To ja dziękuję za rozmowę i kawę.

Chwyciłam torebkę i sweter. Szybkim krokiem poszłam do wyjścia. Zdenerwowałam się, bo Piotr nigdy niczego nie potrzebował na już, więc czarne myśli zleciały się do mojej głowy jak szpaki na czereśnię i zaczęły łapczywie skubać. Nie dało się ich przegonić. Na szczęście miałam blisko, więc szybkim krokiem powinnam tam być za kilka minut. Dobrze, że włożyłam dziś wygodne buty, pomyślałam. Spojrzałam na czarne balerinki, które przebierały jedna za drugą, by jak najszybciej znaleźć się u celu.

Wpadłam do fundacji i po kilku susach chwyciłam za klamkę pokoju Piotra.

- Cześć - wysapałam. - Co się dzieje?! - W tym momencie zamarłam z otwartą z wrażenia paszczą. Piotr nie siedział przy biurku sam. Nad nim pochylał się Jaromir. Od razu poznałam go po przerzedzonych włosach na czubku głowy. I znów był w swoim ulubionym stroju: bluza dresowa, a pod nią golf. Spojrzał na mnie, uśmiechając się od ucha do ucha.

- Szybka jest - powiedział z uznaniem do Piotra. - Naprawdę szybka.

- Jezu - stęknęłam i opadłam na krzesło. - Co się stało?

- No - zawahał się Piotr. - Nie chciałem cię zdenerwować, ale Jaromir przyjechał i jest u nas tylko godzinę...

- Kurczę, to ja mało sobie nóg nie połamię, pędzę tutaj, a ty mi mówisz, że mam jaśnie Poniatowskiego zobaczyć? - warknęłam.

- Wiesz - zaśmiał się Jaromir, jak zwykle złośliwie - królewskie nazwisko zobowiązuje, nie? Szybka audiencja jest wskazana.

- Piotr, trzymaj mnie, bo ja mu chyba zaraz przyłożę podczas tej audiencji!

- Cieszę się, że oboje jesteście w wyśmienitej formie - przerwał Blubluś. - Ale skupcie się. Jaromir za godzinę wyjeżdża, a mamy dla ciebie propozycję. To znaczy w sumie nie my, a Kornik. - Uśmiechnął się tajemniczo. - Dostałem wczoraj maila. Nie chciałem ci nic mówić, dopóki nie porozmawiam z Jaromirem, bo wiele zależało od jego decyzji.

- To kto dostał tę propozycję? Ty, jaśnie wielmożny czy ja?

- W zasadzie wy.

- Poczekaj, poczekaj. - Nagle doznałam olśnienia. - Kornik mówisz? To wydawnictwo?

- Tak, dokładnie korporacja wydawnicza - odparł z satysfakcją. - Chcą odkupić wszystkie twoje bajki.

- Wszystkie? I wydrukować je w wydawnictwie ogólnopolskim? - spytałam, a w mojej głowie pojawiły się listy bestsellerów literatury dziecięcej. Oczywiście na ich szczycie widziałam już swoje nazwisko. Odpłynęłam w marzeniach. Prawie, bo za chwilę przyciągnięto mnie do ziemi za stopę.

- Ale jest haczyk - zaśmiał się Jaromir.

- Jaki znów haczyk?

- A w zasadzie hak - dopowiedział. - Bo to ja. - Rzucił mi wyzwanie wzrokiem. Teraz była moja kolej. Widziałam, że się świetnie bawił moim kosztem.

- To znaczy, że jesteś w pakiecie z tym pomysłem - westchnęłam.

- Tak - wtrącił Piotr. - Warunek jest taki, że Jaro ma przerysować wszystkie twoje bajki, oczywiście bez tych ostatnich, które już ilustrował.

- Czyli Jęczyduszka i Felicja idą pod jego ołówek.

- Tak. - Wyszczrzył zęby. - Ale mogę jeszcze coś wziąć pod siebie. - Mrugnął znacząco.

- Nie wytrzymam i ci przyłożę - warknęłam. - Wcześniej czy później.

- I na to liczę.

- Wrrr! - rzuciłam. - Piotr, trzymaj mnie, bo nie ręczę za siebie.

- Okej - odezwał się zupełnie spokojnie, jakby już przywykł do naszych przepychanek. - Wchodźcie w to czy nie? Ja tylko pośredniczę. Ale gdybyście chcieli, to można by pomóc znów jakimś dzieciakom.

- Ja się zgadzam. - Na myśl o dzieciach złożyłam broń. Od razu zobaczyłam wzrok Mrówki i Arka gapiącego się w martwy punkt na ścianie. - Oczywiście honorarium dla fundacji.

- Poczekajcie! - Piotr znów zabrał głos. - Z honorarium nie może tak być, że wszystko oddajecie. Musimy to jakoś dogadać, bo żadne z was nie opanowało jeszcze sztuki życia samym promieniowaniem słonecznym.

- Dobra. To jakoś dogadamy. Ja wchodzę - podsumował Jaro. - Współpraca z Ašką to sama przyjemność. Nikt tak nie potrafi mnie podkręcić.

- Ha, ha, ha - zakpiłam. - A mnie nikt tak nie potrafi podnieść ciśnienia.

- To potem sobie podniesiecie, co tam chcecie. Teraz macie tu wydruk umowy. Przeczytajcie i zaczniemy działać.

Piotr podał nam zadrukowane kartki i machnął ręką. To był chyba znak, że możemy sobie iść, bo ma nas dość. I proszę bardzo. Wpakowałam dokument do opasłego torbiszca, chwyciłam sweter i pożegnałam się krótkim „cześć”. W korytarzu odetchnęłam. Wkurzał mnie ten Jaromir jak nikt inny. Przegryźć takiemu tętnicę to mało. Trzeba by jeszcze ponacinać skórę i posypać solą. Brrr! Łysiejący dupek!

Ledwo jednak znalazłam się na zewnątrz, gdy usłyszałam wołanie Jaromira. Obejrzałam się. Biegł do mnie oczywiście z wymalowanym na twarzy głupawym uśmiechem. Kiedy był bliżej, zauważyłam, że ma sporą przerwę między jedykami. Wbrew swojej woli pomyślałam, że dodaje mu to uroku.

- Poczekaj!

Stałam więc i czekałam na to, co będzie miał do powiedzenia. Najeżyłam się odpowiednio i podniosłam gardę, oczywiście mentalnie, bo fizycznie nie wyglupiałam się z takimi pozami. Ręce miałam zajęte. W jednej była torebka, w drugiej sweter.

- Zapomniałeś mi dogryźć na pożegnanie? - spytałam.

- To też - zaśmiał się. - Ale przede wszystkim musimy się umówić i przegadać te twoje bajki. Kornik to duży wydawca, więc nie ma szans na prowizorki.

- Dobrze. Na ten czas możemy zakopać topór wojenny. - Poddałam się i chyba opuściłam swoje okopy. Kolce jednak jeszcze sterczały, na wypadek gdyby się zbliżył.

- Słuchaj, jadę teraz, bo jestem umówiony z synem. Zadzwoń do ciebie, to się umówimy.

- Okej. W razie czego mogę też podjechać do Gdańska. Nie ma problemu.

- To cześć - powiedział i od razu odszedł w kierunku parkingu. Czyli tym razem ma samochód, pomyślałam.

Patrzyłam na jego sylwetkę. Z tyłu wyglądał bardzo szczupło, bo nie widać było tego bębenka, który nosił z przodu. Śmiesznie stawiał stopy i garbił się. Tułów dziwnie kolebał się na boki niesiony na chudych długich nogach niczym na szczudłach. Pomimo zabawnego wyglądu nie mogłam oderwać od niego wzroku.

Co ja wyrabiam? Stuknęłam się w czoło. Stoję i gapię się na tę chodzącą ironię zamiast ruszać do swojego auta. A muszę przecież spotkać się z Arturem, by powiedzieć mu o przyjeździe matki. Niech się zbroi w cierpliwość, bo podejrzewam, że mamuśka będzie go nagabywać o termin ślubu i przypominać, że zegar nam tyka, a metryka bezlitośnie pokazuje nie najmłodszy rocznik.

Kiedy siedziałam już w aucie, wybrałam numer telefonu do narzeczonego. Po kilku sygnałach włączyła się automatyczna sekretarka. Próbowałam więc połączyć się jeszcze raz. Nic z tego. Nie odebrał. Wysłałam esemesa. Odpowiedź nie przychodziła, więc przekręciłam kluczyk w stacyjce i wyjechałam z parkingu. Wbiłam się w ruch uliczny, kierując się od razu do domu. Dopiero po pół godzinie przyszła odpowiedź: „Kochanie, mam dyżur. Będę w domu jutro o 9.00”. Okej, jutro się zdzwonimy, pomyślałam, wstukując w telefon ostrzeżenie, że jutro przyjdzie mu się zmierzyć z moją mamuśką.

Rozdział 10

Wyszedł z łazienki w długim szlafroku. Na głowę nasunięty miał kaptur, który zasłaniał twarz. Stałam oparta o kuchenny blat i obserwowałam. Było w jego sylwetce coś niepokojącego, innego niż zawsze. Odwróciłam się i zaczęłam przygotowywać obiad. Sięgałam po produkty. Kroiłam i wrzucałam je do wielkiego gara. Najpierw poszły ziemniaki, potem chwyciłam truskawki i krociłam je na cztery części. Jedną z nich spróbowałam. Jej słodki smak rozlał się po podniebieniu równocześnie z dotykiem męskich dłoni spływającym po ciele. Objął mnie w pasie. Uścisk miał zdecydowany i silny. Przyłgął do mnie biodrami. Poczułam, jak mój żołądek zwija się w rulon, a ciało przechodzi niezwykłą gorącą falą. Nie odwracałam się jednak, by nie przerywać wrażenia. Nieświadomie ścisnęłam w dłoni owoc. Miąższ przeciekł mi między palcami. Mężczyzna całował moją szyję. Gorące usta znaczyły ciało, powodując przyjemne skurcze w podbrzuszu.

Sięgnął pod spódnicę. Rozsunęłam nogi, a jego dłoń zdecydowanymi ruchami zaciskała się na wewnętrznej stronie mego uda, wędrując w górę. Pochyliłam głowę. Oddech stał się szybszy. Nagle chwycił mnie za rękę i gwałtownym ruchem odwrócił do siebie. Miąższ truskawki leniwie ściekał po skórze. Nie byłam w stanie otworzyć oczu. Rozkosz niemal bolała. Wtedy wpił się w moje usta. Żołądek znów oddał się wariacjom skurczów, promieniując na podbrzusze.

- Aśka - szepnął, a ja w niesamowitej rozkoszy podniosłam powieki, by spojrzeć mu w oczy. Zniknął szlafrok, a jego miejsce zajął płaszcz z gronostajów. Kaptur nie zasłaniał mu już głowy. Połyskiwała na niej królewska korona.

- Jaro?! - krzyknęłam i dopiero chwilę później odepchnęłam go z całych sił.

Oddychałam szybko. Twarz zniknęła jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Usiadłam na łóżku i próbowałam się uspokoić. Kot leniwie spojrzął na mnie, a ja analizowałam, co się stało.

- O, mamuńciu - szepnęłam, dotykając miękkiego futerka Nutusia. - O, mamuńciu. - Byłam spocona i rozpalona, a moje ciało ciągle pamiętało dotyk ze snu. Zerwałam się z łóżka i otworzyłam okno. Łapałam świeże powietrze. W półmroku dostrzegłam znajome kontury drzew. - Ja pierdziu. Co się ze mną dzieje? - Dotknęłam dłonią czoła. Jedyne gorączka mogła być usprawiedliwieniem dla takich majaków, ale niestety czoło, w przeciwieństwie do pozostałych części ciała, było chłodne. Dopiero kiedy zrobiło mi się zimno, zamknęłam okno i wróciłam pod kołdrę. Nie mogłam przegonić obrazu twarzy Jaromira. Ciągle czułam na sobie jego dłonie.

Będę liczyć barany, postanowiłam, całą siłą woli skupiając się na wełniastych zwierzętach. Jeden baran, drugi baran... I to wspomnienie ust na szyi! Trzeci baran... Zaciśnięta dłoń na wewnętrznej stronie uda. A kysz! Czwarty baran, piąty baran w królewskiej koronie... O, mamuńciu! Na siłę próbowałam przywołać twarz Artura. Skupiałam się na obrazie, który i tak po chwili z uporem maniaka przybierał pierwotną formę. Chyba z powodu wysiłku, jaki wkładałam w odpędzenie od siebie majaków sennych, znów zamknęłam oczy i oddałam się w objęcia Morfeusza. Na szczęście ten nie okazał się Jaromirem.

Obudziłam się dopiero około dziesiątej. Dzisiaj miała przyjechać mama. Wczoraj zdążyłam upiec ciasto na przyjazd rodziców, bo liczyłam na to, że słodkości złagodzą obyczaje. Matka z pewnością coś szykowała. Nie przyjeżdżałaby bez powodu. Zawsze miała jakiś genialny plan. Zawsze.

Wyskoczyłam z łóżka jak oparzona. Niechcący zrzuciłam Nutusia, który miauknął niezadowolony i z obrażoną miną,

demonstrując focha, przeparadował przede mną i zniknął w kuchni.

- O! Wstałaś! - krzyknęła ciocia. Siedziała przy stole i przeglądała gazetę.

- No - mruknełam. - Zaraz przyjdę, tylko się umyję. Zaspałam!

Poranna toaleta zajęła mi kilkanaście minut. Odświeżona wrzuciłam na siebie sportową sukienkę - dzisiejszy kaprys. Nie zdarzało mi się to zbyt często, ale z niewiadomego powodu dziś miałam ochotę na kobiece łąszki. Może za sprawą snu? Nie wiem.

- O! - zacmokała ciocia. - Wreszcie prawdziwa dama. Zaśmiałam się, ale to był sympatyczny komplement. Mam nadzieję, że Artur też zauważy mój kobiecy image.

- Co w prasie? - spytałam.

- Nic ciekawego - odparła. - Nie ma ruchu w interesie. A twoi rodzice o której będą?

- Pewnie niedługo.

Przygotowałam sobie lekkie śniadanie. Usiadłam obok cioci. Wyglądała na zadowoloną. Przyjrzałam się jej pomarszczonym dłoniom, kiedy przerzucała strony gazety. Na lewej nosiła złoty pierścionek ze szmaragdowym oczkiem. Poza tym żadnej biżuterii. Przeniosłam wzrok wyżej. Twarz miała skupioną, ale pogodną.

- Co tak mi się przyglądasz? - spytała, poprawiając okulary.

- A nic. Tak sobie patrzę. Pięknie, ciociu, wyglądasz. Chciałabym być taka w twoim wieku.

Zachichotała. Zdecydowanym ruchem zamknęła gazetę i odłożyła ją na bok.

- A tak naprawdę co cię gryzie? - Przenikała mnie spojrzeniem.

- Nic - odpowiedziałam lekko zmieszana. - Nic. To chyba trema przed przyjazdem mamy. Znasz ją. Znów się zacznij.

- Artur przyjdzie do nas dzisiaj?

- Przyjdzie - westchnęłam. - Nie da się go uchronić przed tym, by nie wpadł w łapki przyszłej teściowej. - Zaśmiałam się gorzko.

- Musisz wreszcie się jej postawić - powiedziała zdecydowanie. A ja patrzyłam w jej mądre oczy, które miały jakiś tajemniczy blask.

- Wiem.

- No, ale my tu gadu - gadu, a rosół trzeba nastawić. Ja zrobię po swojemu - zdecydowała. - Bo kurczaka trzeba sparzyć odpowiednio, żeby szumów nie było.

- Dobrze, ciociu. To ja pójdę pisać. Nie zdążyłam ci powiedzieć, że duży ogólnopolski wydawca upomniał się o moje bajki.

- O! - Ucieszyła się. - To będziesz sławna!

- Idę więc pisać, zanim ta sława uderzy mi do głowy i stanę się wyłącznie celebrytką.

Usiadłam przy biurku należącym kiedyś do mojego wuja, z którym ciocia mieszkała, kiedy ten został wdowcem. Czekałam, aż uruchomi się komputer. Patrzyłam w lśniącą politurę. Prosiła się, by ją pogłaskać. Poczułam chłód pod palcami. Wróciło przyjemne wspomnienie snu. Zanurzyłam się w nim na chwilę, by zaraz próbować się z niego otrząsnąć. Pomógł sygnał uruchomienia laptopa. Na monitorze pojawiły się dobrze znane ikony. Otworzyłam pusty dokument i siłą woli spróbowałam się skupić na wystukiwanych słowach. Po kilku nieudanych próbach - pisaniu, kasowaniu i powtarzaniu wszystkiego od nowa - wreszcie złapałam odpowiedni rytm, z którego wyrwał mnie dopiero dzwonek. Wtedy też poczułam zapach rosółu rozchodzący się po całym domu. Spojrzałam na

zegarek. Dochodziła czternasta, a ja zapisałam zaledwie pięć stron!

Ciocia pierwsza dobiegła do drzwi, więc już z przedpokoju usłyszałam podekscytowany głos mojej mamy.

- Cześć - przywitałam się z rodzicami.

Wyściskali mnie, jakby nie widzieli od kilku lat. To wzbudziło uśpione podejrzenia. Odruchowo spojrzałam na ojca, czy nie tacha wielkich pakunków. Ostatnio, kiedy tu byli, podrzucili mi atrybuty potrzebne w walce o mężczyznę i idealny związek. Niezbędne z punktu widzenia mojej matki.

- Ale się stęskniłam! - piała mamuśka.

Oczywiście weszła do domu z impetem, pozostawiając w tyle ojca, który robił wszystko w swoim tempie i drobił kroczyki za zbyt energiczną żoną.

- A kwiatuszek gdzie? - spytał tradycyjnie.

- Kwiatuszek w internacie. Przyjedzie w piątek - odpowiedziałam i czekałam na ich reakcję, by określić długość pobytu.

- O, to akurat - westchnęła mama i zajęła miejsce na kuchennym krześle.

Przełknęłam ślinę. Zostają na kilka dni.

- Nalewamy rosół - zakomenderowała ciocia, więc rodzice podreptali do łazienki, by umyć ręce, a potem zasiedliśmy do stołu.

Starłam się wysondować nastrój mojej matki. Przyglądałam się jej ukradkiem. Znow miała na sobie zapinany kolorowy sweterek, który delikatnie rozchodził się na piersiach. W uszach połyskiwały złote kolczyki, które tata kupił jej na dwudziestą piątą rocznicę ślubu. Od tamtej pory nigdy ich nie zdejmowała. Wszystko więc w mamie wyglądało jak zawsze. Tradycyjnie też się pomalowała. Niebieskie cienie, tusz do rzęs i delikatny róż na policzkach.

- Jutro jedziemy do babci - powiedziała nagle. - Chcę zobaczyć, jak ona się czuje, bo dawno jej nie widzieliśmy. Wiesz, pomogę jej może jakieś porządki zrobić.

- Jo - przytaknęła ciocia, choć miałam wrażenie, że matka tłumaczy się przede mną. - A co? Maryśka źle się czuje?

- Nie - zdziwiła się mama i wyprostowała się jak struna. Poprawiła sweterek i znów pochyliła się nad talerzem.

Aha! Coś jest na rzeczy!

- A ciacho będzie? - spytał tato.

- Ty tylko o jednym - skarciła go mama. - Mam nadzieję, że nasz przyszły zięć tu zaraz zawita.

- Przyjdzie, przyjdzie - odparłam. A w myślach dopowiedziałam, że już dawno powinien tu być. Może stchórzył? Wcale bym się nie zdziwiła i w pełni bym go rozgrzeszyła.

- A wy coś dzisiaj długo jechaliście - zmieniłam temat na bezpieczniejszy.

Tata dziwnie wiercił się na krześle i usilnie patrzył w talerz. Mama za to machnęła ręką i zaśmiała się nerwowo.

- A! W naszym wieku to przecież nie ma się co spieszyć, nie?

- Jo - poparła ciocia.

- No to może po obiedzie pokażę wam lokal, który wynajęłam.

- Ja myślę! Po to przyjechaliśmy. No, głównie po to.

Po obiedzie, kiedy rodzice pałaszowali ciasto i popijali kawę, przeprosiłam ich na chwilę i poszłam do swojego pokoju, by zadzwonić do Artura. Odebrał prawie natychmiast i od razu zaczął się tłumaczyć, nie dając mi dojść do słowa:

- Asiu, już jadę, nie denerwuj się. Musiałem coś jeszcze załatwić, ale pamiętam o rodzicach. Dosłownie zaraz będę.

Faktycznie po kilku minutach pukał do drzwi. Moja matka na jego widok oczywiście najpierw poprawiła sweterek, a

zaraz potem przystąpiła do ściskania gościa. Sama chętnie by się koło niego zakręciła, gdyby nie ojciec i dość spora różnica wieku. Tata zachowywał zupełny spokój. Miałam wrażenie, że był lekko zawstydzony zachowaniem żony. W ostatnich miesiącach chyba się postarzał. Garbił się i schudł trochę. Zawsze był szczupły, ale teraz spodnie na nim wisiały, jakby się lekko skurczyły. A może to po prostu starość, która wysysała z człowieka wszystkie soki, pozostawiając wysuszoną powłokę? Wzruszył mnie jego widok, aczkolwiek mama za wszelką cenę starała się być w centrum zainteresowania, więc szybko przeniosłam wzrok z ojca na nią.

- Cieszę się, że państwa widzę - powiedział Artur zbyt teatralnie.

Zgłupiał? Chyba trema go sparaliżowała!

Przy stole rozmowa toczyła się na różne tematy. Zaczęliśmy od pogody. Potem się rozkręciliśmy i ciocia opowiedziała o swoich egzorcyzmach w mojej kawiarni. Tata pękał ze śmiechu. Mama była oburzona, że wynajęłam TAKIE miejsce, że pewnie diabeł z piekła rodem tam nie zajrzy, ale tak to jest, gdy się rodzicielki człowiek nie poradzi.

- Diabeł to najchętniej by tam potańcował - rzucił tata, a matka zgromiła go wzrokiem.

Uśmiechnęłam się pod nosem, bo po egzorcyzmach staruszków nie ma szans na żadne złe moce. Nie podjęłam dyskusji na ten temat, żeby nie drażnić mamuśki.

Po godzinie zapakowaliśmy się w moje auto i pojechaliśmy do kawiarni. Nie zdążyliśmy jeszcze wysiąść, a matka już narzekała, że nie ma tu odpowiedniego miejsca do parkowania, że okolica niezbyt atrakcyjna, że elewacja nie w tym kolorze, co trzeba. Miałam ochotę ją udusić. I nawet zaryzykowałabym, żeby dokonać w swoim lokalu zbrodni, ale podejrzewam, że w starciu z nią to ja mogłabym stać się

ofiara, a ona stanęłaby nad moim truchłem i jeszcze upomniała, że rozkładałam się nie tak, jak należy.

- Ale pięknie - powiedział tata. - Świetne miejsce!

- Co ty tam wiesz! - Matka od razu go zgromiła. - Zobacz, jak sufit tu wysoko. Na tych belkach to zaraz będzie kurz. Sanepid ci to zamknie.

- Jaki kurz? - spytał tato. - Nie przejmuj się matką. Jest potencjał w tym miejscu. Mogę przyjechać i pomóc ci w remoncie.

- Ty? - zakpiła matka. - Ze swoją podagrą i hemoroidami? Nie wspomnę o kręgosłupie! A kibelek u nas ile czeka na naprawę?

- Co ty tam wiesz, kobieto - zdenerwował się.

- No wiem, bo słucham twojego jęczenia i tłumaczenia, że zrobię to jutro. O! - zawołała. - „Zaraz” to w zasadzie twoje drugie imię, nie? - zachichotała, jednak nikogo jej dowcip nie rozśmieszył. - A to trzeba już, natychmiast, tak jak ze ślubem - umiejętnie weszła na swój ulubiony temat. - Nie czekać, bo nie ma na co.

- Tato, nie trzeba - wtrąciłam się, zanim na dobre się rozkręciła. - Piotr Prażmowski obiecał mi podesłać zaufaną ekipę budowlaną. Zaczną od poniedziałku.

- No widzisz? - Matka musiała zawsze mieć swoje na wierzchu. - A co tu te deski takie nierówne? - spytała, pokazując nogą miejsce na podłodze.

- Nie wiem, ale to wszystko się da, tak?

- No tak - mruknęła.

- To się da - wtrącił Artur. - Proszę się nie martwić. Ja Asi pomogę we wszystkim. Jest w dobrych rękach. - Objął mnie, by zademonstrować, że dosłownie tak się mną opiekuje.

- No ja myślę. - Matka westchnęła.

- Dobrze, obejrzelście, więc wracajmy do domu. Nie ma co tu tak stać i gadać o głupotach. - Zakończyłam cczą dyskusję i skierowałam wszystkich do auta.

Do samego wieczora dzień ciągnął mi się jak gumka w kalesonach. Co chwilę spoglądałam na zegarek, bo matka ciągle czegoś się czepiała, ojciec próbował się od czasu do czasu zbuntować, ale po chwili chował głowę w piasek. Artur się motał i dziwnie zachowywał. Jedynie chyba ciocia miała ubaw z całej sytuacji, bo kilka razy rzuciła, że to lepsze niż jej radyjko tak nas posłuchać. A ja ciągle czekałam na to, kiedy matka wyciągnie z kapelusza swojego króliczka, bo to pewne jak w banku, że jakaś niespodzianka w końcu się pojawi.

Rozdział 11

Patrzyłam przez okno, by upewnić się, że rodzice znikają za zakrętem. Będzie trochę spokoju! I nagle coś zaświtało w mojej głowie. Rzuciłam się pędem do pokoju, w którym nocowali. Może matka znów zostawiła jakieś tobołki, by podstępem wyposażyć mnie na wojnę, w której głównym trofeum stał się Artur? Jej zdaniem przeciwniczek były całe stada, bo wolny lekarz, bez garbu w postaci dzieci i byłej żony, był kuszącą partią. Tylko jakimś cudem nie widziałam wokół niego tych piszczących tabunów kobiet. Tajemniczym sposobem umiejętnie je odganiał. Chociaż jak się głębiej zastanowić, to nie wiedziałam, co się działo u niego w pracy. Tyle jest przecież filmów o romansach lekarzy z pielęgniarkami! Ups! Zaczęłam myślami podążać nie w tym kierunku, co trzeba. Nie chciałam być zazdrosna, bo nie miałam powodu. Ale przecież tylko statystycznie musiała być tam co najmniej jedna chętna kobitka, która robiła do niego maślane oczy.

Stałam nieruchomo, kiedy na parapecie usiadł gołąb. Miałam wrażenie, że patrzy na mnie tymi swoimi małymi kaprawymi oczami i śmieje się z absurdalnych pomysłów. Ruszyłam ręką. Fruuu! Poleciał.

Przeszłam do kuchni, by zrobić sobie drugą kawę. Włączyłam ekspres. Zamruczał delikatnie. Nie wydawał z siebie charkotu i nie warczał jak poprzedni. Podstawiłam ulubioną filiżankę. Było w tym coś magicznego. Kawa z pięknego kubka zawsze smakowała doskonale. Wszystko zależało od nastroju. Elegancka filiżanka powoli wypełniała się ciemnym płynem. Zapach kręcił w nosie, pobudzając zmysły. Spieniłam też mleko i wlałam je zamaszystym ruchem do przygotowanego naczynia.

- Idę do Jadźki - odezwała się ciocia. Aż podskoczyłam, bo nie spodziewałam się, że znajdowała się tak blisko.

- Dobrze - odparłam, obejmując dłońmi gorącą filiżankę. - A ja zaraz pobiegnę do Artura. Już od rana dzwonił i ponaglał, że mam być. Potem skoczę do hospicjum i do kawiarni.

- Jo. To lecę, bo znów zastanę kartkę, że Jadzia jest wyidzona. Ciocia podreptała do przedpokoju i zaczęła się ubierać. Coś stuknęło o podłogę. Chyba przewróciła laskę. Mruknęła jakieś kociewskie przekleństwo pod nosem, a potem usłyszałam już tylko trzaśnięcie drzwi i totalną ciszę.

Spojrzałam na zegar, którego wskazówki ułożyły się w pięknym uśmiechu. Sekundnik machnął do mnie porozumiewawczo, by zagęścić ruchy i poderwać tyłek z domu. Dopilałam więc kawę i wciągnęłam buty oraz kurtkę.

Wrzuciłam klucz do torebki. Z pewnością już pochłonęła go czarna dziura, ale martwić się będę tym potem. Czas wreszcie zrobić w niej porządek. A może nawet czas zakupić nowy jesienny fason?

Torbiszczce wylądowało na przednim siedzeniu obok kierowcy, a ja uruchomiłam silnik i pojechałam wprost do Artura. Miałam do przejechania zaledwie parę przecznic. Patrzyłam na swoje dłonie oparte o kierownicę. Manicure! Koniecznie trzeba zrobić manicure. I z tą bardzo odkrywczą i jakże refleksyjną myślą zajechałam przed dom narzeczonego. Nie zdążyłam jednak odpiąć pasów, gdy wyszedł na chodnik, machając do mnie, bym została w aucie. Stało się coś? Był zdenerwowany, kiedy usiadł na moją torbę.

- Uważaj! - krzyknęłam, ale było za późno. Niezwykle atrakcyjne pośladki Artura ugniatały właśnie zawartość torbiszczka.

- Sorki - odparł, wyciągając spod siebie wór raczej nieprzypominający damskiej torebki.

Sorki? Kurza twarz, który facet używa takiego słowa? Mówił tak zawsze czy dopiero teraz? Chyba nawet Blubluś tak nie gada! Nie skomentowałam tego głośno. W czasie moich

analiz językoznawczych Artur położył torbę na kolanach i delikatnie ją wygładził. Trzeba więc było mu wybaczyć to barbarzyństwo. I językowe, i fizyczne.

- Coś się stało?

- Jedź - rzucił, więc ruszyłam przed siebie.

- A dokąd?

- Na Rynek - odparł. - Proszę. To bardzo ważne.

Spojrzałam na niego. Wciąż wydawał się zdenerwowany. Dziwnie mrużył oczy, a lewy kącik ust mu zadrżał. Musiałam w duchu przyznać, że ubrał się dziś elegancko. Miał na sobie błękitną koszulę, która doskonale do niego pasowała i czarną skórzaną kurtkę przypominającą krojem marynarkę. Ładnie pachniał. Tak jak lubię. Orientalnie. Wciągnęłam tę woń i westchnęłam. Zadziałała na mnie podniecająco. Oczywiście to było przyjemne, ale po chwili przyszło otrzeźwienie, że coś nie tak z moim libido. Wariuje. Po rozwodzie wszystkich facetów autowałam z precyzją króla strzelców, a teraz jak już raz jednemu pozwoliłam się dotknąć, to zmysły wariowały. Ech... Znów westchnęłam. Artur spojrzał na mnie pytająco. Wzruszyłam ramionami i jechałam przed siebie. Na Rynku znalazłam wolne miejsce. Zaparkowałam i spojrzałam na mojego pasażera.

- I co teraz? - spytałam.

- Chodź. - Odpiął pasy, ale chwilę siedział nieruchomo, patrząc przed siebie.

- Coś się stało? - spytałam, uważnie mu się przyglądając. Miałam wrażenie, że toczy jakąś wewnętrzną walkę. Nie mógł się zdecydować na następny krok. Mrugnął kilka razy nerwowo, aż wreszcie złapał za kłamkę i wysiadł. Zrobiłam to samo, ale miałam wrażenie, że dzieje się coś dziwnego. Doktorek popadł w amok.

- Zaraz ci powiem. Trzeba coś załatwić.

- Jak trzeba, to trzeba. - Poddalam się, bo widziałam, że to działanie, nie wiedzieć czemu, wiele go kosztuje.

- Proszę. - Otworzył przede mną ciężkie drzwi i zaprosił mnie do wejścia. Nie zdążyłam przeczytać, co było napisane na czerwonej tablicy, bo ciągle spoglądałam na zdenerwowanego Artura, ale byłam pewna, że wchodzimy do ratusza. Po prawej stronie mignęła mi tylko pamiątkowa inskrypcja. Kompletnie nie wiedziałam, o co chodzi. Artur właśnie otwierał przede mną kolejne drzwi, tym razem szklane, oddzielające nas od pań siedzących przy biurkach i odgrodzonych od petentów przezroczystymi ściankami, przed którymi stały po dwa krzesła. - Siadaj - zażądał. Usiadłam więc posłusznie, ale z trudem zapanowałam nad narastającym uczuciem paniki. Zaczęłam nerwowo się rozglądać.

- O co tu chodzi? - spytałam, nachylając się do niego.

On w tym czasie wykladał przed panią siedzącą w okienku dowód osobisty.

- Daj swój - szepnął.

I tu moje posłuszeństwo powiedziało wyraźne STOP. Myśl, kobieto! Ratusz. Dowód osobisty. On i ona. Ożeż!

- Nie dam - odparłam z zadowoleniem, że otrzeźwienie przyszło w porę.

- Słucham państwa - odezwała się wreszcie urzędniczka. A już przez chwilę miałam nadzieję, że to tylko atrapa pracownika.

- Chcieliśmy zarezerwować datę ślubu - wycedził drżącym głosem Artur. Spojrzałam na niego wzrokiem ryby wyrzuconej na brzeg. Wargi zaczęły mi się niemo poruszać, ale nie padały żadne słowa. Za to miałam naprzeciwko siebie jego przestraszoną twarz.

- Na kiedy? - spytała urzędniczka.

- Przepraszam - wtrąciłam, gdy wreszcie moje usta zaczęły nadawać to, co pomyślała głowa. - Ale tego jeszcze właśnie nie ustaliliśmy.

- Pierwszy wolny termin - rzucił Artur.

Wyczułam w jego głosie niepewność. Spojrzałam na niego lekko oszołomiona. W sumie mógł mi przyłożyć obuchem w łeb, efekt byłby taki sam.

- Kochanie - zaczęłam łagodnie, bo chyba to najlepszy sposób na wariatów. - Ale może najpierw uzgodnijmy to na spokojnie, a potem dopiero przyjdziemy zawracać pani głowę. - Uśmiechnęłam się najpiękniej, jak umiałam. - Ocipiałeś - syknęłam do niego po cichu. - Wychodzimy!

- Ale... - jęknął. - Ale my musimy się pobrać.

- W ciąży jesteś? - spytałam złośliwie.

- Może jednak się państwo najpierw dogadają między sobą?

- Bardzo słuszna uwaga. Przepraszam za narzeczonego. Przypuszczam, że zjadł dziś coś nieświeżego i źle się poczuł.

Złapałam Artura pod ramię i prawie siłą wyprowadziłam z urzędu. Oczy urzędniczek z sąsiednich stanowisk odprowadziły nas do wyjścia. Te dopiero miały ubaw. Pewnie niecodziennie się zdarza, że to facet chce ślubu już, zaraz, natychmiast.

- Słuchaj - powiedziałam na zewnątrz. - Co to znaczy?

- Chciałem, żebyśmy dokończyli to, co zaczęliśmy. Jestem odpowiedzialnym człowiekiem - odparł. - Czas więc ustalić datę.

- Kręcisz. Stało się coś, że takiego przyspieszenia dostałeś? Takie zachowanie do ciebie nie pasuje! Przecież uzgadnialiśmy, że damy sobie czas, tak?

- Czy ty mnie kochasz? - rzucił nagle, przechodząc do ataku.

- No tak! - odparłam. - Ale to nie znaczy, że musimy robić wszystko na hura.

- Ale twoja matka... - wymknęło mu się. Zrobił dziwną minę.

- Co moja matka? - Zaczęło mi coś świtać. Bo do równania urzad, on i ona, dowody osobiste zapomniałam dodać wczorajszą wizytę mojej mamuśki!

- Nie, nic. Dobrze, przepraszam. Coś mi odbiło. Wpadłem w panikę albo co. Nie wiem.

- W panikę? - zaśmiałam się. - Czy ona ci zagroziła, że cię odstrzeli, jeśli się ze mną nie ożenisz?

- Nie, ale... - zaczął się jąkać. - Chodzi o czas. Chciałem dobrze.

- Ale że co?

- Obiecasz, że jej nie powiesz? - spytał zupełnie innym tonem, jakby wreszcie z kosmosu wracał prawdziwy Artur. W jego głosie usłyszałam też ulgę.

- Mów!

- Asiu, przepraszam, ale twoja matka powiedziała mi, że jest chora, że ma raka, że nie chce cię martwić, ale przed śmiercią, która nadejdzie dość szybko, bardzo chce zobaczyć, że jesteś szczęśliwą mężatką. A ja czuję się odpowiedzialny za ciebie.

- Nie! - wyrwało mi się nieco głośniejszym głosem, niż zamierzałam. - Nie! I nagle jakiś głos z daleka nas pozdrowił. Kątem oka widziałam męską sylwetkę zbliżającą się w naszym kierunku.

- O! Miło was widzieć - powiedział Jaromir. Spojrzałam na niego z tępym wyrazem twarzy. - Gołąbki się kłóca?

- Drobne nieporozumienie - odparł Artur i uściśnął mi dłoń.

Ja jedynie spojrzałam wzrokiem, który nie pozostawiał wątpliwości, jak bardzo się cieszę, że go widzę. Czy on nie

miał być w Gdańsku? Dlaczego wyłazi z tej swojej nory, kiedy nie powinien?!

- Nie będę wam przeszkadzał - odezwał się bardzo elegancko. - Chciałem tylko powiedzieć Aśce, że przez tydzień jestem na miejscu i robię okładki. Nara, gołąbki. - Zaśmiał się i odszedł, a ja stałam z rozdziawioną gębą.

Nie wiedziałam, czy mam płakać, czy wrzeszczeć. Nie wiedziałam też, czy matka naprawdę jest chora, czy to jej kolejny podstęp.

Artur podszedł i zatopił mnie w swoich ramionach. Przyszła lekka ulga, bo ten jego zapach... Jednak w głowie ciągle miałam matkę. Jest chora czy ściemnia?

- Nie denerwuj się - powiedział ciepłym głosem. - Przepraszam. Chyba wpadłem w panikę. Wiem, jak to jest stracić kogoś bliskiego. Chciałem, żebyś wiedziała, że jestem gotowy się tobą zaopiekować.

Gdy tak mówił i kołysał mnie lekko, cały stres odszedł. Miałam ochotę pacnąć się w głupi łeb. Przecież reakcja Artura była całkiem zrozumiała. Kiedyś stracił żonę, więc wie, jak boli odejście bliskiej osoby. Na pewno chciał dobrze. Co prawda nie wiedziałam, że należy się mną opiekować, ale to stwierdzenie puściłam mimo uszu.

- Już dobrze - zapewniałam.

- Przepraszam - powtórzył. - Ja wiem, że to inaczej powinno wyglądać. - Jeszcze muszę cię przecież przedstawić rodzicom. Sam nie wiem, dlaczego tutaj przyjechaliśmy. Teraz widzę, jakie to było bezsensowne.

- Rodzicom? - szepnęłam z nosem w jego koszuli.

Kurczę! Ja całkowicie zapomniałam, że Artur też musi mieć rodziców!

- Chodź, napijemy się dobrej kawy. - Złapał mnie za rękę i pociągnął za sobą do kawiarni.

- Świetny pomysł - mruknęłam i szłam jak na skazanie.

Chciałam jak najszybciej porozmawiać z własną matką. Musiałam wyjaśnić kwestię jej choroby. Jeśli to prawda, to dlaczego mi nic nie powiedziała? Pytania tłoczyły się w głowie, ale żadne nie znalazło odpowiedzi, więc czekało w kolejce na wyjaśnienie.

Weszliśmy do kawiarni. Na parapecie przy wolnym okrągłym stoliku pod oknem stały poukładane w rzędzie książki. Odczytałam automatycznie kilka tytułów. Nie wszystkie znałam. Rozejrzałam się wokół. Lubiłam to miejsce. Szkoda, że będę musiała z nim konkurować. Z pewnością nie będzie łatwo. Ze ścian spoglądały na mnie ciekawe obrazy miejscowych artystów. Kolory łądowały pozytywną energią.

Po chwili do stolika zbliżyła się kelnerka niewiele starsza od Lusi. Uśmiechała się do nas życzliwie. Podała dwie karty i zniknęła, by stanąć za kontuarem i kontynuować rozmowę z mężczyzną siedzącym na wysokim barowym krześle.

- Co wybierasz? - Artur wyrwał mnie z zamyślenia i rozglądania się po kawiarni. Wróciłam wzrokiem do karty.

- Wielkie cappuccino - odparłam.

- Przepraszam cię raz jeszcze. - Artur kajał się w najlepsze, a mnie zły humor minął zaraz po wpakowaniu porcji lodów do paszczy.

Pozostała jeszcze tylko kwestia mamy, ale dawałam sobie rękę uciąć, że ta kobieta coś kombinowała. Nie byłaby sobą, gdyby zostawiła mi trochę wolności, gdy na horyzoncie rysowała się wizja zięcia lekarza.

- Trudno, stało się, ale nigdy tego więcej nie rób. Nie lubię, jak się mnie stawia przed faktem dokonanym. Mogłeś zapytać.

- Ale swoją drogą, to zaskoczyłaś mnie reakcją. Myślałem, że kobiety właśnie tego oczekują.

- Czego? Że się decyduje za nie?

- Chodzi mi o ślub.

- Dobrze, nie ma co drażnić tematu. Myślę, że jeszcze za wcześnie na datę. Obiecaliśmy sobie dać czas, a ja go z pewnością potrzebuję. Nie chcę się spieszyć. Zresztą twoja mina w urzędzie świadczyła o tym, że działasz wbrew sobie - podsumowałam.

- Nie ufasz mi, co? - Spojrzał mi w oczy wzrokiem zbitego psa.

- Uczę się zaufania i musisz to zrozumieć. Jesteś przystojny, a droga pokusy szeroka. - Uśmiechnęłam się. - Muszę mieć pewność, że na nią nie wleziesz.

- Ja nie z tych. Znasz mnie.

- Mojego męża też znałam - wymusnęło mi się i od razu pożałowałam. - A słuchaj - starałam się zmienić jak najszybciej temat - mówiłeś coś o swoich rodzicach...

- O moich? A nie martwisz się chorobą mamy?

- Martwię się, jednak moja matka jest mistrzynią intrygi, więc nie przyjmuję jej choroby do wiadomości tak długo, aż nie zobaczę zaświadczenia od lekarza. Kiedy ona z tobą o tym rozmawiała?

- Przyjechała do mnie - powiedział, a ja zamarłam na chwilę. - Zanim dotarła do ciebie, była u mnie. Dlatego też się spóźniłem, bo trochę mnie zaskoczyła i musiałem ochłonąć.

- Trochę? Jezu - jęknęłam. - Ja ją naprawdę kiedyś zamorduję. Skąd ona miała adres? - nie dowierzałam.

Toż ona w przeszłości pewnie pracowała dla jakiegoś wywiadu, a my z ojcem nic o tym nie wiedzieliśmy! Założę się, że ją zwerbowano, bo działała jak zawodowiec. Być może mamy w domu pozakładane pluskwy, a ona pod łóżkiem trzyma cały arsenał amunicji na każdą okazję.

- A wiesz, że nie wiem, skąd ma adres - odparł zdziwiony.
- Myślałem, że od ciebie.

- Ode mnie? - parsknęłam. - Nie dałabym matce namiarów na ciebie!

- No dobra, w sumie przecież to jest nieważne - ożywił się nagle. - Chciałbym zabrać cię w niedzielę do moich rodziców na obiad. Najlepiej z Lusią.

- Chętnie ich wreszcie poznam, ale będę mieć tremę, bo to dziwne uczucie w naszym wieku znów bawić się w takie podchody.

- Bawić? - zdziwił się.

- Źle to nazwałam. Ale wiesz, o co mi chodzi. Zaręczyny, ślub, to tak po czterdziestce śmiesznie trochę. Człowiek się czuje, jakby znów miał dwadzieścia lat.

- To ty nie masz dwudziestu?

Wreszcie temat zrobił się lekki i przyjemny. Żartowaliśmy zupełnie rozluźnieni. A ja czekałam tylko na to, kiedy dopadnę swoją mamuszkę. Ciekawa też byłam reakcji Lusi. Co powie na wspólne odwiedziny u rodziców Artura?

Kiedy dopiliśmy kawę, odwiozłam go do szpitala i udałam się do hospicjum. U dziewczyn siedziały mamy, więc przeprosiłam i poszłam do Arka. Chłopak leżał sam w smutnej sali. Nawet najzdrowszy człowiek w zimnym szpitalnym otoczeniu rozchorowałby się na dobre. W pokoju dziewczynek było przytulniej. Ściany w kolorze budynku malinowego, wielobarwna pościel, obrazki z postaciami z bajek niwelowały przygnębiającą atmosferę tego miejsca. U Arka było szaro i byle jak.

- Cześć - powiedziałam od wejścia i oczywiście przybrałam radosny i bez troski wyraz twarzy, choć wewnątrz wszystko się we mnie kotłowało z rozpaczą, kiedy patrzyłam na chłopca. Nie odpowiedział. Przeleciał tylko po mnie wzrokiem i wrócił do wpatrywania się w sufit. - Co ciekawego? - Spojrzałam w górę tak jak on. - Wiesz, kiedyś myślałam, że na suficie można wypatrzeć słońce. - Nie drgnął

ani jeden jego mięsień, a wyraz twarzy się nie zmienił. - Ale żadnego nie wypatrzyłam. No, może kiedyś zarys trąby, ale to by było na tyle. Wiem, że wolałbyś pogadać o piłce nożnej, a nie o słoniach, ale ja się kompletnie na tym nie znam. Luscia jest w internacie. Przyjedzie dopiero jutro, więc może jak będziesz chciał, to przyjdę z nią do ciebie. Możemy?

- Nie - mruknął.

- Nie lubisz Lusi? - Odpowiedziała mi cisza. - Luscia to fajna dziewczyna. Kocham tę moją córkę. Też nie było jej łatwo, bo rozwiodłam się z jej tatą. On mieszka w Anglii i ma nową rodzinę. Ale ona to zaakceptowała. Dalej ma dwoje rodziców, tylko że nie mieszkamy razem. Czasami tak bywa.

- Miiichaaał? - mruknął niewyraźnie. Myślałam, że wszedł jego brat, więc spojrzałam w kierunku drzwi, ale nikogo oprócz nas nie było w pomieszczeniu.

- Co?

- Michał ci powiedział - wymawiał słowa powoli. - Wiesz o czym.

Miałam do wyboru: albo udawać, że nic nie wiem, albo się przyznać i spróbować porozmawiać otwarcie. Biorąc pod uwagę moje dzisiejsze doświadczenia, wybrałam drugą opcję. Żadnego ściemniania.

- Tak - odparłam. W matczynym odruchu chciałam złapać go za dłoń, ale coś mnie przed tym powstrzymało. - Przykro mi bardzo.

- Gadanie - burknął.

- Pewnie, że gadanie - przytaknęłam. - Bo co może wiedzieć o życiu taka baba jak ja, nie?

- Noo. - Znów mruknął, nie odrywając wzroku od sufitu, choć po krótkiej pauzie odwrócił do mnie głowę i spojrzał, jakby wreszcie mnie widząc. - Pogadasz z nimi?

- Z kim?

- Ze starymi.

- Ja?

- No, podobno znasz się na gadaniu. - Słowa wypowiedział powoli, jakby mówienie sprawiało mu kłopot.

- Ale o czym mam z nimi gadać?

- No... żeby... żeby się nie rozstawali - zająknął się. - Ja ich nie znam i wiesz, nie mam prawa...

- Wiedziałem - burknął i znów odwrócił twarz w stronę sufitu.

- Zrozum, że to nie jest takie łatwe. Oni są dorośli. Zamknął oczy i dał mi do zrozumienia, że nie wydusi z siebie już żadnego słowa. Czyli wróciliśmy do punktu wyjścia. Patrzyłam na jego wychudzone ciało, skręcone w jakiejś dziwnej pozycji, na twarz pełną skupienia i zaciętości. Przesunęłam pusty stojak na kroplówkę, żeby zrobić coś z rękoma. Zachybotał się niebezpiecznie. Wreszcie odzyskał równowagę, a ja razem z nim.

- Dobra - powiedziałam. - Pogadam.

Pewnie będę tego żałować, ale przecież w robieniu nieprzemyślanych rzeczy to ja byłam specjalistką.

Arek otworzył oczy. Jakaś radosna iskra w nich błysnęła i nawet przez chwilę cieszyłam się z podjętej decyzji. Może warto dla tego chorego nastolatka wejść z butami w czyjeś życie i wytargać kogoś za włosy, nakazać żyć razem, jak przystało na małżonków?

Chłopiec poruszył palcami dłoni. Nie miał siły unieść ręki. Odebrałam to jako gest porozumienia. Położyłam swoją dłoń na jego. Palce miał chłodne i bardzo szczupłe, wręcz kościste. Zauważyłam wtedy siniaka. Ślad po kroplówce. Jedno ze świadectw choroby. Zacisnęłam dłoń. Łzy napłynęły mi do oczu, więc widziałam go przez mgłę. Szybkim ruchem przetałam powieki. Wstałam tak, żeby mnie dokładnie widział.

- Pojadę do twoich rodziców - powiedziałam zdecydowanie. - Ale nie za darmo.

Wybałuszył na mnie oczy, bo pewnie nie takiej reakcji się spodziewał. - Noo?

- Obiecasz mi coś. Ja zrobię wszystko, rozumiesz? Wszystko, żeby ci pomóc, ale ty masz też coś dać od siebie.

- Nie... nie... ma... mam pie... niędzy - jąkał się, a po chwili na jego twarzy pojawił się niewielki grymas, który na upartego można byłoby wziąć za uśmiech.

- Masz mi przyrzec, że przestaniesz się mazgać i zaczniesz walczyć o siebie. Inaczej się nie dogadamy.

Kiwnął głową. Po chwili zauważyłam, jak poruszają się jego palce. Z wielkim trudem wyciągnął przed siebie wskazujący i środkowy. Gdyby jeszcze mógł unieść dłoń, przypominałoby to gest składania przysięgi. Uśmiechnęłam się do niego i poklepałam chłopca po ramieniu.

- Jesteśmy umówieni. Teraz tylko potrzebuję adres twoich rodziców.

Arek z wielkim trudem podał mi numer telefonu do matki, potem nazwę miejscowości, ulicę i numer domu. Sumin to wioska pod Starogardem. Zajechaliśmy tam kiedyś z Arturem rowerami. Hm. Ładna miejscowość z pięknym jeziorem. Podczas przejażdżki zauważyłam, jak starannie były tam opisane zabytkowe zabudowania. Nawet mało atrakcyjne czworaki folwarczne miały tabliczki z informacją. W Suminie znajdował się też piękny neobarokowy kościół. Zapamiętałam jego fasadę, bo naprawdę zrobił na mnie duże wrażenie.

Od Arka poszłam wprost do pokoju dziewczynek. Po drodze minęłam panią Adę, ale rozmawiała z kimś przez telefon, więc nie zamieniłyśmy słowa. Znow zwróciła moją uwagę bardzo eleganckim wyglądem. Prawie zawsze ubrana była w obcisłą ołówkową spódnicę i oryginalną bluzkę. Czasami zazdrościłam niektórym kobietom klasy. Zawsze

perfekcyjne, dopracowane w najmniejszym szczególe. Ja miałam na stopach trampki. Spojrzałam na nie. Uderzyło mnie, jak bardzo są przybrudzone. Pasowały jednak i do sportowej sukienki, i do dżinsów z dziurami. Były niezwykle wygodne.

Odgoniłam te mało poważne refleksje, bo właśnie wchodziłam do dziewczyn.

- Cześć - zawołałam radośnie. - Jak samopoczucie?

Pati zdjęła słuchawki z uszu i spojrzała w moim kierunku. Mrówka lekko uniosła się na posłaniu i machnęła ręką. Niczym barometr robiłam pomiar ciśnienia w pokoju. Staralam się określić nastroje i zarażać dziewczyny optymizmem, którego niestety mnie też czasem brakowało. Dzisiaj w każdym razie nie było najgorzej. Temperatura raczej letnia, a ciśnienie prawidłowe jak na ten stan zdrowia.

- Mamy już poszły?

- Zobacz, co mi przyniosła - zawołała Pati. - Mam nowy szkicownik.

- Super! A jak ci idzie rysowanie. Pokażesz?

- No - zachichotała. - Próbowałam narysować Mrówkę. Dziewczynka otworzyła gruby brulion i pokazała mi rysunek. Ujrzałam na nim zarys łóżka i jakiejś postaci.

- A gdzie ta Mrówka?

- No tutaj, ale jest pod kołdrą, bo się chowała - odparła.

- Nie chowałam się - wtrąciła druga dziewczynka. - Nie chciałam pozować w szpitalnym łóżku.

- Dobra, dobra, po prostu nie wierzysz w mój talent i bałaś się, że cię brzydko narysuję.

- Gdybyś była prawdziwym malarzem, to bym się skusiła, a amatorom nie pozuję.

Dziewczynki się przekomarzały, a mnie nagle zaczęła w głowie świtać genialna myśl.

- Słuchajcie - wtrąciłam się. - Chciałybyście, żeby profesjonalny artysta narysował wasze portrety?

- Jasne! - krzyknęły jednocześnie.

- Znam takiego jednego - odparłam. - Pamiętacie Leniusiołki? To on je ilustrował, więc może, jeśli go poproszę, to was też narysuje. Co wy na to?

- A zgodzi się?

- Nie wiem. On jest trochę dziwny, ale pogadam z nim i może dla wyjątkowych modelek się zgodzi.

- Ekstra!

Nie wiedziałam, czy nie narobiłam dziewczynkom niepotrzebnej nadziei, bo co jak co, ale Jaromir nie wydawał się typem sympatycznego wujka. A jeżeli odmówi? Cóż, znajdę kogoś, kto narysuje te portrety. Przecież w Starogardzie mieszka sporo artystów amatorów. Jakiś na pewno się znajdzie, więc nie ma co się martwić na zapas.

Umówiłam się z Pati na lekcje w przyszłym tygodniu. Trzeba wreszcie zrealizować następne tematy z języka polskiego i z historii. Mrówka na razie nie miała ochoty na naukę, ale obiecała, że niebawem popracujemy. Obecnie pochylała się nad nowym wierszem, więc przy okazji podpowiedziałam jej, jak budować wersy i w jaki sposób kondensować znaczenia. Przemyciłam też kilka informacji na temat środków poetyckich. To był to bardzo pożytecznie spędzony czas.

Kiedy wsiadałam do auta, czułam się zmęczona, jakby ktoś spuścił ze mnie powietrze i wypompował z energii. Mogłam niczym dziecięcy balonik powiewać teraz na wietrze. W lewo, w prawo. Moja wola nie miała nic do powiedzenia.

Spoczęłam wygodniej na fotelu w aucie i na chwilę oparłam głowę, przymykając oczy. Minuta odsapki szybko minęła i można było ruszać do kawiarni. Chciałam dziś porządnie zmierzyć wszystkie pomieszczenia i narysować ich

plan. W poniedziałek wchodzi ekipa remontowa. Nie będę im się przecież niepotrzebnie pałętać pod nogami.

Zaparkowałam nissana na stałym miejscu i podreptałam do mojego lokum. Drzwi zaskrzypiały, kiedy je otwierałam, ale miałam wrażenie, że to radosny pomruk powitania. Otworzyłam natychmiast dwa okna, żeby zrobić przewiew, bo niezamieszkane pomieszczenia miały specyficzny zapach. Wymieszał się tu kurz ze starością. Miałam też wrażenie, że po moim sprzątaniu nie było śladu. Powietrze miało kolor trupa. Trzeba było je przegonić i zastąpić świeżym, wiosennym, chociażby zamkniętym w spreju. Chwyciłam odświeżacz stojący na komodzie i spryskałam wszystkie pomieszczenia. Lekki przeciąg dopełnił zadania, rozwiewając kwiatowy aromat po kątach. Teraz mogłam przystąpić do działania.

Rozłożyłam przyniesione kartki na komodzie. Wypisałam w słupku nazwy pomieszczeń. Miałam zamiar je pomierzyć, a potem proporcjonalnie rozrysować, zakładając, że dwie małe krateczki to jeden metr.

Zaczęłam od największego pokoju. Kilka razy miarka mi się zwinęła, odskakując od miejsca, w którym przyłożyłam jej koniec. To pewnie po to, by skupiać się na robocie, a nie myśleć o głupotach. Zapisałam wynik i przeszłam do kuchni. Tutaj była ta odstająca deska w podłodze, na którą zwróciła uwagę moja matka. Szturchnęłam drewno czubkiem buta, stanęłam w tym miejscu i kilka razy podskoczyłam, licząc, że może się wciśnię na równi z innymi. Przydałby się młotek, bo jednak byłam za lekka. To miło ze strony deski, że uznała mój ciężar za niewystarczający, ale przecież nie mogła tak wystawać. Wszystko przez matkę, bo to ona zwróciła na nią moją uwagę.

- Skup się na pracy. - Pacnęłam się w rozczochrany łeb. - Szlag z deską!

Zmierzyłam dokładnie długość ścian w kuchni. Zapisałam na kartce wyniki. Po chwili oczywiście znów mój wzrok przyciągnęła paskudna decha. Zaczęłam więc szukać czegoś, co mogłoby zastąpić młotek. Sprawdziłam w łazience, ale niestety daremnie. Potem otworzyłam drzwiczki komody stojącej w dużym pokoju. O! Zdziwiłam się, bo byłam przekonana, że mebel świeci pustkami. Po otwarciu patrzyłam na stos ułożony z dużych talerzy, jakichś pojedynczych szklanek i moździerza.

Trudno było ocenić wiek tych naczyń, ale z pewnością nie były ani stare, ani oryginalne. Moździerz kusił zaś swoim ciężarem. Oceniłam w dłoni jego wagę i fachowo stwierdziłam, że może zastąpić młotek. Uzbrojona przeszłam do kuchni. Kucnęłam nad nieszczęsną deską. Uderzyłam raz. Zabolęła mnie ręka. Potem drugi. Nic. Deska nie wskoczyła na swoje miejsce. Ciągle odstawała. Zauważyłam, że lekko sprężynowała pod wpływem uderzenia, jakby coś od spodu ją blokowało.

- Nie bądź taka oryginalna - wypaliłam do niej. - Równaj poziom.

Wróciłam jeszcze na chwilę do pokoju, bo pamiętałam, że na podłodze leżały tam trzy łyżki. Jedną z nich pani Jadzia kopnęła dołek przed budynkiem. Wzięłam ją i podeszłam do deski, by się z nią wreszcie rozprawić. Pomyślałam, że może coś tam wlało pod spód i trzeba to tylko usunąć. Zaczęłam ją podważać, ale łyżka wygięła mi się w dłoni. Kurza twarz! No, teraz to nie odpuszczę. Wybiegłam do samochodu w poszukiwaniu czegoś, czym można by to solidnie podważyć i zajrzeć pod spód. Znalazłam jakiś przecinak. Skąd ja mam przecinak? Myślałam, że niezbadane są tylko czeluści mojego torbiszca, a okazało się, że bagażnika również.

Wróciłam zadowolona, dzierżąc w dłoni poważne narzędzie i z tryumfem spojrzałam w kierunku podłogi.

Drżycie, dechy! Zaraz tu zrobię taką rozpierduchę, że wszystkie zrównają poziom. Uśmiechnęłam się do zbrodniczych myśli i zabrałam się za podważanie odpornej deseczki.

- Kurde! - wkurzałam się, kiedy nie szło.

Musiały ją trzymać gwoździe. Spróbowałam więc znaleźć newralgiczne miejsca i spróbować jeszcze raz. Yes! Udało się wreszcie podważyć ją z jednej strony i wsadzić łapę w dziurę.

- Łaaa! - krzyknęłam i odskoczyłam, bo coś mnie posmyrało. Puchate to było? - Łaaa! Rany! Brrr! - Wstałam i zaczęłam podskakiwać w panice. Nagle telefon rozkrzyczał się na cały głos. Ze strachu wykonałam kolejny podskok i przyjęłam postawę bojową z przecinakiem w dłoni. Kiedy wreszcie powrócił rozum, rzuciłam się kilkoma susami do telefonu.

- Luscia? - krzyknęłam w słuchawkę.

- Jezu, mamó, ty w maratonie biegłaś, że tak dyszysz?

- Nie, właśnie chyba posmyrałam zdechłą mysz.

Otrząsam się. - Co?

- Jestem w kawiarni i walczę z jedną deską. Wsadziłam łapę pod nią i to nie było miłe przeżycie.

- Okej, to walcz z tymi myszami, a ja w piątek przyjadę wcześniej. Bądź w domu, bo nie wzięłam klucza.

- O której?

- O trzynastej. Przepadły nam ostatnie lekcje.

- Okej. Wszystko w porządku?

- Tak jest. Nikomu nie przywaliłam ostatnio, jeżeli o to pytasz.

- To fajnie.

- Baw się dobrze. Muszę kończyć, bo mój tramwaj jedzie. Pa. Rozłączyła się, zanim zdążyłam odpowiedzieć, ale spojrzenie na telefon podrzuciło myśl mojej rozczochranej łepetynie. Przecież mam tu latarkę!

Rzuciłam się z powrotem do deski. Podważyłam ją i poświeciłam w dziurę telefonem.

- Co to, do cholery?

Coś faktycznie się tam znajdowało. Pod ogromną warstwą kurzu coś prześwitywało. Bałam się jednak znów włożyć tam łapę, więc zaczęłam dla bezpieczeństwa gmerać wygiętą łyżką. Chyba to, co mnie połaskotało, to była warstwa kurzu. Odgarnęłam ją na tyle, na ile mogłam. Teraz trzeba było użyć dłoni. Odgoniłam wszystkie myśli o myszach, szczurach i karaluchach. Brrr! Zamknęłam oczy, jakby to miało mi ułatwić grzebanie, i palcami dotknęłam czegoś szorstkiego. Złapałam to i pociągnęłam w swoją stronę. Otworzyłam przestraszone ślepią, by sprawdzić, co ciągnę.

- Teczka?

Zobaczyłam szarą papierową teczkę zawiązaną starannie na kokardkę. Co prawda kokardka chwile świetności miała już za sobą i można się było jedynie domyślić, że kiedyś była biała, ale pięknie zakręcone pętelki świadczyły o tym, że ktoś przyłożył się do tego, by je elegancko zawiązać.

Usiadłam na podłodze. Deska wskoczyła na swoje miejsce. Co prawda nie zrównała się z innymi, ale w tym momencie kompletnie mnie to nie interesowało. Obejrzałam znalezisko z kilku stron. Nie widniał na niej żaden napis, więc trzeba było zajrzeć do środka. Tylko czy ja mogę? Przyszła refleksja. Gdybym kupiła to pomieszczenie, to może nie miałabym oporów, a ja przecież je tylko wynajmowałam i wszystkie przedmioty znajdujące się tutaj należały do pani Lucyny Boreckiej. Nawet ta wygięta przeze mnie łyżka.

Hm. Zajrzę tylko po to, by sprawdzić, czy to coś ważnego. Właścicielka przecież jest za granicą, więc nie ma co na darmo wydzwaniać. Może to jakieś śmieci wsadzone tu przez kogoś, by wyrównać poziom desek czy coś w tym stylu? Szukałam usprawiedliwienia na swoje wścibstwo. Doskonale

wiedziałam, że żadna siła mnie nie powstrzyma przed zajrzeniem do środka.

Pociągnęłam za koniec tasiemki. Niewielki obłoczek kurzu uniósł się nad moją dłoń. Kichnęłam. Po chwili już wpatrywałam się w zawartość papierowego skarbu.

- Wycinki z gazet? - mruknęłam niezadowolona, bo wyobraźnia zdążyła mi podsunąć wizję jakichś niesamowicie ważnych dokumentów mogących skompromitować prezydenta na arenie międzynarodowej albo chociaż jakiejś mapy skarbów. Uśmiechnęłam się do swoich głupich myśli i zabrałam się za przeglądanie materiałów. - O, rany - szepnęłam, gdy poczułam szybsze bicie serca. Wszystkie dotyczyły tego samego tematu. Wcisnęłam je więc z powrotem do teczki. Związałam ją niedbale, otrzepałam, a następnie wrzuciłam do torebki. Potem jeszcze ze dwa razy podskoczyłam na odpornej desce, aż odniosłam wrażenie, że trochę się wcisnęła. Może wystarczyło ją dobić gwoździami? Chyba będę musiała poprosić o to fachowców. Podczas cyklinowania jakoś się to wyrówna.

Szybko zmierzyłam jeszcze łazienkę. Zapisałam pomiary na kartce i niedbałymi ruchami zrobiłam szkic pomieszczeń. W domu będę się bawić w zachowanie odpowiednich proporcji. Wykonałam kilka zdjęć telefonem i po chwili pędziłam już do domu. Koniecznie musiałam dorwać się do laptopa!

Rozdział 12

Całą noc rzucałam się na łóżku po tym, co wczoraj przeczytałam. Porozkładałam wszystkie znalezione wycinki na biurku. Potem sprawdziłam w internecie, kiedy miały miejsce relacjonowane w nich zdarzenia. Wszystkie dotyczyły jednego tematu! Ktoś, kto tak skrupulatnie je gromadził, musiał interesować się opisanym w nich człowiekiem. Zbyt uważnie śledził to, co pisała prasa. Tylko po co?

Próbowałam przekładać się z boku na bok, ale ciągle mnie coś gniołło i nie dawało spokoju. Kiedy zamykałam oczy, miałam wrażenie, że krzyczą jakieś kobiety, że widzę faceta z wykrzywioną twarzą. A potem znów docierały do mnie przerażające głosy. Bolesne, głośnie, przeszywające powietrze.

Poszłam do kuchni. Nalałam wody do szklanki i usiadłam przy stole. Nagle w głębi domu zapaliło się światło. Podskoczyłam. Po chwili jednak znajome szuranie kapciami uspokoiło mnie. Ciocia pewnie wstała do toalety.

- A ty nie śpisz? - spytała, zagładając.

- No, nie mogę. Mam jakieś koszmary.

- Pewnie na głodniaka poszłaś spać - stwierdziła i podeszła do szafki, na której stał chlebak. - Moja mamusia zawsze powtarzała, że jak się zasypia z pustym żołądkiem, to śnią się źli ludzie. Masz. - Podała mi skórkę od chleba. Drugą zatrzymała dla siebie. - Pożuj, nie połykaj od razu. Rozmemłaj w gębie i zjedz. Zaśniesz na pewno - powiedziała i po chwili człapała już w stronę swojego pokoju. Światło zgasło. Dopiliśmy wodę i wróciłam do łóżka. Leżałam i żułam tę skibkę chleba, aż całkowicie rozmiękła w ustach. Faktycznie, sama nie wiem, kiedy zasnęłam.

Dziś miałam ochotę zacząć dzień od biegania. Nie umówiłam się z Blublusiem, ale mogłam przecież przewietrzyć głowę sama. Włożyłam dres. Gdy zapukałam do cioci, ta akurat siedziała na łóżku pogrążona w lekturze.

Powiedziałam jej, gdzie idę, i wybiegłam przed dom. Rześkie powietrze przeniknęło mnie do kości, ale właśnie o to chodziło. Nie sposób wtedy myśleć o strasznych rzeczach. Potruchtalam w stronę lasu, tam gdzie zawsze biegam z Piotrem. Oddech przyspieszał, serce szybciej pompowało krew, ale było cudownie. Czułam, jak nogi mnie niosą niczym rączą łanię.

Do domu wróciłam po czterdziestu minutach, czyli jak na mnie to całkiem niezły wynik. Odetchnęłam, kiedy zdjęłam buty i weszłam do kuchni. Od razu opadłam na krzesło.

- I jak? - spytała ciocia. - Pomogło?

- Chyba tak.

- To mów, co się dzieje. - Usiadła naprzeciwko mnie. Coś nie tak z tą galameją Arturem?

- Nie. - Zdziwiłam się jej pytaniem. - Wszystko dobrze. I jeszcze raz ci, ciociu, powiem, że to nie jest żadna ciapa.

- No to o co chodzi?

- O nic. Dużo spraw mam na głowie - odparłam wymijająco.

- Jo - powiedziała, a ja miałam wrażenie, że słyszę w jej głosie kpinę. - Gadaj albo twoją matkę na ciebie napuszczę. A wtedy to wiesz, że wyśpiewasz wszystko. - Zaśmiała się, a mnie przeszło przez głowę, że co jak co, ale ciocia mieszka tu prawie całe życie, więc może pewne sprawy wyjaśni.

- Ciociu... - zaczęłam. - Ty słyszałaś kiedyś o Skorpionie? Podobno grasował tu w okolicy taki seryjny morderca kobiet.

- Jezusieńku Nazareński! - Ciocia szybko zrobiła znak krzyża i spojrzała na mnie. - A co? Wrócił?

- Nie, spokojnie, przecież on nie żyje.

- No tak, zapomniałam, że to była chyba ostatnia kara śmierci. A co tobie strzeliło do łba o to pytać? Złego nie ma co wywoływać.

- Tak tylko pytam, bo ostatnio się dowiedziałam, że taki morderca tu grasował. To była głośna sprawa, nie?

- Jo! Psychoza panowała. Kobiety same z domów nie wychodziły. Mój brat to na mnie wrzeszczał, gdy szłam gdzieś po zmroku, mówię ci. Za każdym rogiem człowiek widział mordercę z młotkiem.

- To musiało być straszne.

- Ludziska potem gadali, że jak na nim tę karę śmierci wykonano, to mu odcięto głowę i grabarze do dołu na trumnę nasikali. - Znów wykonała znak krzyża.

- Brrr! - Otrząsnęłam się, bo brzmiało to przerażająco jak scena z horrorów. - Masakra.

- A ty co tak o to pytasz?

- Hm - zawahałam się. - Znalazłam w tej mojej kawiarni wycinek z prasy na ten temat. Nie przypuszczałam, że w okolicy rozegrały się tak straszne rzeczy. Przecież Kociwie wydaje się spokojne.

Ciocia się zamyśliła. Pewnie cofnęła się we wspomnieniach do psychozy, jaka musiała zapanować wśród mieszkańców. Poprzeczna zmarszczka na czole cioci nagle się mocno pogłębiła, a spojrzenie stało się nieobecne, jakby zaglądało w głąb duszy.

Podskoczyłam, gdy zadzwonił telefon. Nie spoglądając na wyświetlacz, odebrałam.

- Cześć, córciu! - Usłyszałam dobrze znany głos. - Wracamy dzisiaj od babci do was. Będziemy za dwie godziny. Jesteście w domu?

- Tak. I nie mogę się doczekać - odparłam z nutką złośliwości.

Chętnie tę swoją matkę dorwę i rozszarpię na kawałki, bo numer z chorobą to nawet jak na nią był lekkim przegięciem.

Ciocia obserwowała mnie z ciekawością. Zmarszczka na czole się spłyciła, a kąciki ust Zofii uniosły się w uśmiechu.

- Mama?
- Niestety. Będą za dwie godziny.
- Czyli ciąg dalszy cyrku - podsumowała. - Chyba sama zacznę jej kibicować, żebyś wreszcie wyszła za męża, bo z tą Krysią na karku to wszyscy oszalejemy. Nie odpuści.
- Ciociu, zięć chirurg piechotą nie chodzi - zaśmiałam się.
- Idę, trochę ogarnę siebie i pokój.

Jeszcze zanim zamknęłam za sobą drzwi, rzuciłam okiem na biurko. Leżały tam porozkładane wycinki z gazet. Przeszedł mnie dreszcz. Zwinęłam je wszystkie i wcisnęłam do teczki. Zawiązałam tasiemkę na kokardę i wsunęłam znalezisko do szuflady. Lepiej niech nie ogląda światła dziennego. I tak rzuciło to już wystarczający cień na moją kawiarnię, a nie chciałam stracić serca do wymarzonego biznesu. Jeszcze nawet go nie zaczęłam, a już wątpliwości kłębiły się jak kurz za konduktem żalobnym.

Przebrałam się. Starannie pościeliłam łóżko i przetałam biurko. Nie było sensu nigdzie wychodzić, jeżeli zaraz mieli tu być rodzice.

Włączyłam komputer. Napisałam wiadomość do pani Lucyny. Wyjaśniłam, co znalazłam pod deską w podłodze, bo kto jak kto, ale chyba tylko ona mogła to wytłumaczyć. Potem otworzyłam dokument z bajką. Cursor mignął do mnie porozumiewawczo. Chwila zastanowienia i słowa płynęły spod palców. Czasami miałam uczucie, że pisanie jest jak przesypywanie piasku na plaży. Przyjemnie łaskotało opuszki. Na ekranie pojawiały się czarne wężyki zdań. Jednak po wypełnieniu trzech stron zacięłam się. Przestało mrowić w palcach. Nie szło dalej. Straciłam płynność i rytm. Nie było sensu zmuszać się do pisania, więc zamknęłam dokument. Otworzyłam wyszukiwarkę. Wśród plików zapisanych w komputerze odnalazłam biznesplan. Czas najwyższy dokładnie jeszcze raz wszystko przeliczyć. Postanowiłam nie

czekać na dofinansowanie z urzędu. Szkoda mi było każdego miesiąca. Trafiła się przecież świetna okazja z wynajęciem pomieszczenia, więc należało wszystko przyspieszyć. Wierzyłam, że jeśli dobrze pogospodaruję budżetem, to uda się go dopiąć. Mogę przecież wziąć kilka sprzętów w leasing.

Paraliżująco jednak działała na mnie myśl o przeprawie z sanepidem. W internecie roilo się od historii na temat tej instytucji.

Potrafiła zniszczyć niejedno marzenie. Wydrukowałam więc wymagania sanitarne, by mieć je pod ręką i przed zgłoszeniem do urzędu sprawdzić wszystkie punkty.

Zaczęłam przeglądać kolory farb do ścian. Wiedziałam, że pomieszczenia mają być jasne, ale trzeba było się zdecydować, czy ma to być jaśmin, wanilia czy piasek pustyni. Znowu pojawiła się ekscytacja i pozytywne emocje związane z kawiarnią. Chyba nie mogłam się doczekać, kiedy upiekę w niej pierwsze ciasto. Wierzyłam, że aromat gorącego wypieku jest w stanie przywołać odpowiedni nastrój. W zapachach była ogromna moc.

Od komputera oderwał mnie dzwonek do drzwi. Matka weszła do domu z impetem. Najprawdopodobniej była czymś podenerwowana. Ojciec miał zaciętą minę. Pewnie więc posprzeczali się w drodze.

- Fajnie, że jesteście - stwierdziłam. - Bo chyba mamy do pogadania.

- Zrób kawę.

- O, to ja was zostawię - oznajmiła ciocia. - Idę mówić koronkę. - Spojrzała na nas i po chwili dodała z przekąsem: - Najlepiej do Aniołów Stróżów.

Rodzice rozsiedli się wygodnie przy stole. Włączyłam ekspres do kawy, który od razu mruknął na powitanie. Ukroiłam po kawałku ciasta. Podałam talerzyki, zbierając się w sobie, by wreszcie raz a dobrze rozliczyć się z matką. Ona

jak gdyby nigdy nic właśnie poprawiła sweterek, ułożyła ręką włosy i czekała na aromatyczny napój.

Kiedy wreszcie usiadłam przy stole, zrobiłam kilka wdechów i wydechów, by było łatwiej wyrzucać z siebie słowa.

- Dobrze, mamo, koniec tych żartów - powiedziałam. Rodzice spojrzeli na mnie zdziwieni. - Mów, czy naprawdę jesteś chora.

Matka nerwowo zakręciła się na krześle.

- Tak - odparła. - Jestem.

Na chwilę zamarłam. Serce przyspieszyło.

- Matka idzie do szpitala - wtrącił ojciec. - W przyszły poniedziałek ma termin.

- W przyszły? - zdziwiłam się, że tak szybko. - I ty chciałaś, żebym do poniedziałku wyszła za mąż?

- Dlaczego do poniedziałku? - Tata spojrział na nią pytająco.

- Słuchaj - odezwała się wreszcie matka. - Ja chcę tylko twojego dobra. Jak ten doktorek nie może się zdecydować, to trzeba mu trochę pomóc, tak? A że nadarzyła się okazja ze szpitalem, to należy ją wykorzystać!

- Jezu - jęknęłam. - Jaka okazja? Mamo, pierwszy raz słyszę, żeby rak był dla kogoś okazją do tego, by wyswatać córkę, a ponadto teraz to nie wyrok!

Ojciec nagle znieruchomiał i zaczął wpatrywać się we mnie ze zdziwieniem. Matka mieszała łyżeczką w kubku, jakby chciała go rozbić. Całą uwagę skupiła na tej czynności.

- A kto ma raka? - spytał wreszcie tata.

- Jak to kto? Twoja żona podobno! Co ty nie wiesz? Mamo! - krzyknęłam. - Ty tacie nic nie powiedziałaś?

Wystraszyłam się nie na żarty i wyobrażenia znów zaczęła podsuwać przerażające obrazy. A jeśli ona faktycznie jest umierająca? Przyjrzałam się jej. Przecież nie trzeba od razu

wyglądać, jakby się stało jedną nogą nad grobem. Mama, jak zawsze, dumnie wypinała pierś, zachowując prostą postawę. Włosy miała ułożone, makijaż nienaganny. A może to wszystko tylko poza?

- Oj tam - stęknęła niewyraźnie. - Idę w poniedziałek do szpitala. To powinno wam wystarczyć.

- Mamo - powiedziałam cicho. - Co ci jest?

- Zaraz, zaraz - wtrącił ojciec. - W poniedziałek idziesz na usunięcie pęcherzyka żółciowego, tak?

Spojrzelśmy na matkę. Ta ani drgnęła. Siedziała sztywno i kurczowo trzymała łyżeczkę.

- Mamo... - wyszeptałam.

- Kryśka! - krzyknął ojciec, uderzając dłonią w blat stołu.

- Gadaj!

- Jezu - stęknęła. - Dlaczego wy wszystko komplikujecie? Tak, w poniedziałek wycinają mi woreczek...

- Od tego się nie umiera.

- Co wy tam wiecie - parsknęła. - Żona naszego sąsiada poszła na to samo i sepsę złapała. Już łopata ją przyklepali. A ponadto takie kamienie żółciowe to potencjalny rak.

- Potencjalny? - spytałam.

- Potencjalny, niepotencjalny! Dobra! Na razie nie mam żadnego raka. Tfu, tfu. - Splunęła. Ojciec aż podskoczył na krześle.

- I ty, mamo, naopowiadałaś głupot Arturowi z powodu pęcherzyka żółciowego? Czy ty jesteś zdrowa na umyśle? Wszystko po to, by wypchnąć mnie za mąż?

- Masz ponad czterdzieści lat! Masz faceta chirurga. Przypominam: chi - rur - ga!

- I co z tego, że jest lekarzem. Gdyby był nauczycielem, to byłby gorszy?

- Porównaj odcinki pensji belfra i lekarza, to sama znajdziesz odpowiedź.

- O, nie! Trzymajcie mnie, bo ja zaraz ją ukatrupię.

- A ja ci pomogę - dodał tata. - To po to mi kazałaś podejść przed szpital, a potem do tego Artura?

- Poddaję się - rzuciła wreszcie i trochę się przygarbiła. - Chciałam dobrze. Musiałam go zmobilizować do działania. Macie wreszcie tę datę?!

- Nie, nie mamy, choć przyznam, że byłaś skuteczna, bo Artur się wystraszył i zawlókł mnie do urzędu.

- Aśka, ty będziesz żałować, zobaczysz. A ja sprawdziłam... - zawahała się, a mnie od razu włos zjeżył się na głowie - on nawet nie pije!

- Jak to nawet? Co ty sprawdzałaś?

- No, wypytałam, bo wiesz... Ostatnio w jednym serialu ktoś rzucił, że chirurdzy to pijaki i ja się wtedy wystraszyłam, że...

- Stop! - krzyknęłam. - Mamo, ja tego nie zniosę.

- I ja też! - Tata wreszcie stanął po mojej stronie. - Kryśka, przesadzasz! Zbieramy się do domu. Koniec. Przyjedziemy dopiero wtedy, gdy będzie ważna okazja. Asia sama niech układa sobie życie.

- Ale tato - wystraszyłam się - do domu macie kilka godzin drogi, a dopiero co przyjechaliście z Bydgoszczy.

- Trudno. Matkę trzeba od ciebie odizolować, bo ona małego rozumu dostaje. Koniec babskich rządów!

Ojciec poderwał się z krzeselka i ruchem ręki nakazał żonie, której nagle opadła chęć do kłótni, zrobić to samo. Patrzyłam na nią i widziałam, że trochę zeszło z niej powietrze. Może sama też doszła do wniosku, że historia z rakiem to była granica, której przejść po prostu nie wypadało. Podniosła się więc ociężale i tradycyjnie poprawiła sweterek.

Po chwili w przedpokoju znalazła się ciocia. Na szczęście o nic nie pytała. Podejrzewam, że doskonale słyszała nasze krzyki, więc była zorientowana w temacie. Nie próbowała

zatrzymywać naszych gości, za co byłam jej wdzięczna. Chyba najlepszym rozwiązaniem był pomysł ojca. Trochę obawiałam się ich podróży, ale tata szepnął mi do ucha, że mam się nie martwić, bo będą często się zatrzymywać i postara się matce wywietrzyć to wariactwo z głowy.

- A, i z żadnym ślubem się nie spiesz - dodał jeszcze i mnie uściskał.

Kiedy wyszli, przez chwilę spoglądałam na drzwi, za którymi zniknęli. Nie mogłam uwierzyć, że ojciec po kilkudziesięciu latach małżeństwa wreszcie się postawił, a matka posłuchała i dała się wyprowadzić z domu. Cud! Normalnie cud!

- O, mortadelo - zaśmiała się ciocia. - Brawo! Czas najwyższy.

- Pewnie się obraziła - westchnęłam z żalem.

- Nawarzyła piwa, to niech sobie je teraz pije. A twój ojciec nareszcie zabrał głos, czyli coś dobrego z tego wyniknęło - skwitowała, podnosząc mnie lekko na duchu, bo faktycznie, tata był dzielny. Chociaż nie chciałabym być w jego skórze, gdy matka w domu odzyska rezon i zorientuje się, że zbyt szybko się poddała.

Rozdział 13

Przeszliśmy z ciocią do kuchni, gdy ktoś zadzwonił do drzwi. Ponaglące dźwięki znów się powtórzyły, pospieszając moje ruchy w drodze do przedpokoju. Pali się czy jak?!

- Macie kuch? - Pani Jadzia rzuciła od progu i bez zbędnych powitań wparowała do środka. Szybko odwiesiła kurtkę na wieszak i skierowała się do kuchni. Nie czekając na zaproszenie, usiadła. - Kuch z krostami mi po łbie łazi - westchnęła z rozmarzeniem.

- A ty co jak po ogień?

- Nalewkę też macie? - spytała w odpowiedzi.

Wyglądała, jakby się coś stało. Na szyi miała przewiazaną chustę w kolorowe kwiaty, a na jej głowie wciąż tkwił beżowy beret. Jak nic, staruszka się zaraz spoci.

- Nie chce pani tego zdjąć?

- Nie! - krzyknęła i dla pewności beret mocniej nacisnęła na uszy. Ukroiłam jej kawałek ciasta i podałam na talerzyku. Zaparzyłam herbatę. Może bardziej melisa by się dzisiaj przydała, ale koleżanka Zosi zażyczyła sobie zwykłej czarnej.

- A tobie co? - Ciocia usiadła naprzeciwko Jadzi. - Ki diabeł cię opętał?

- Jo, żebyśta wiedziały - stęknęła. - Dawaj nalewkę, to będę gadać, bo dzisiaj to normalnie jaki balcer mi zalazł za skórę.

Ciocia szybko podeszła do kredensu. Wyjęła butelkę z nalewką porzeczkową. Nalała do kieliszków. Niestety musiałam odmówić, bo czekała mnie jeszcze jazda samochodem do hospicjum, ale opowieści pani Jadzi nie mogłam sobie podarować. Przekomiczna była ta kobieta. Zupełnie inna niż ciocia, choć w pewien sposób miały ze sobą dużo wspólnego. Nie wiem, czy tylko wiek je połączył i bieganie do kościoła, czy przyjaźniły się od bardzo dawna.

Pani Jadzia przechyliła kieliszek z nalewką i kiedy cała jego zawartość spłynęła do jej gardła, westchnęła i zaklęła pod nosem.

- Pamiętasz, jak ja żarn gadała i śmiała się z bab, co włosy malują?

- Jo - kiwnęła głową ciocia. - To patrzaj.

Pani Jadzia jednym ruchem ściągnęła beret z głowy. O mało nie zakrztusiłam się ze śmiechu. Przede mną siedziała staruszka z różowymi włosami. Ledwo się powstrzymałam, by czegoś głupiego nie powiedzieć.

- O, mortadelo - zachichotała ciocia.

- Polej jeszcze tej nalewki - zakomenderowała pani Jadzia. - Bo na trzeźwo to ja nie dam rada.

Ciocia posłusznie uzupełniła kieliszek gościa.

Skorzystałam z okazji i przeprosiłam staruszki. Chciałam pojechać do hospicjum, a potem do kawiarni. Zapomniałam wymierzyć okna. Napisałam esemesa do Lusi z informacją, gdzie jestem. zaproponowałam jej, że zjemy obiad w mieście, a staruszki niech sobie spokojnie przegryzą temat różowych włosów.

Wsiadłam do samochodu i wtedy przypomniałam sobie o rodzicach Arka. Obiecałam przecież chłopcu, że się z nimi skontaktuję! Zaklęłam pod nosem, bo co ja mu teraz miałam powiedzieć? Że zapomniałam? Zdecydowanie za dużo ostatnio się działo. Nie zdążyłam sobie w głowie ułożyć, jak miałyby ta rozmowa wyglądać. Co ja im powiem? Że co Bóg złączył, niech się nie ważą rozdzielać? Jako rozwódka idealnie się nadawałam na to kazanie! Do tego kawiarnia, rysunki do bajek i Artur. Czas wreszcie jakoś to swoje życie naprostować, bo nie da się dłużej funkcjonować na wysokich obrotach. Chyba wszystkie ostrzegawcze lampki zdążyły mi się we łbie wypalić, więc może czas najwyższy zdecydować się na jakiś krok.

Zaparkowałam przed hospicjum. Budynek z czerwonej cegły widniejący naprzeciwko mnie zawsze działał mobilizująco, dlatego przełączyłam się z trybu użalanie na opcję działanie. Usiadłam na ławce. Była wilgotna. Poczułam nieprzyjemny chłód na siedzeniu. Odgoniłam to wrażenie. Musiałam zadzwonić do mamy Arka i umówić się z nią na spotkanie. Dałam radę kiedyś z mamą Szpilki, to dam radę i teraz!

Wybrałam numer. Kobieta odezwała się po kilku sygnałach. Zaskoczył mnie jej oficjalny ton. W pierwszej chwili miałam wrażenie, że dodzwoniłam się do jakiegoś urzędu, bo wymieniła nawet swoje nazwisko. Z trudem odzyskałam rezon i wyjaśniłam, kim jestem.

- Coś się stało Arkowi?

- Nie, ale chciałabym się z panią spotkać i porozmawiać - odparłam. - Gdyby była pani kiedyś w Polsce, może dałaby się pani namówić na kawę?

Czułam, że się waha. Na chwilę zapadła krępująca cisza i nie zdziwiłabym się, gdyby odłożyła słuchawkę.

- Dobrze - powiedziała zdecydowanym głosem. - Jestem w kraju, bo przyjechałam po dokumenty i resztę swoich rzeczy. Za chwilę wybieram się do Starogardu. Miałam za piętnaście minut wyjeżdżać. Może więc być tak szybko?

- Jasne. Gdzie pani pasuje? Może w Ance? - zaproponowałam, nie dając jej odpowiedzi na pytanie.

- Będę tam za pół godziny - rzuciła, po czym szybko się pożegnała i rozłączyła.

Chwilę trwałam z telefonem przy uchu, słysząc jedynie głuchy sygnał. Ogarnęła mnie trema, bo szczerze mówiąc, nie liczyłam na spotkanie. Myślałam, że kobieta przebywa w Anglii i zbyje mnie obietnicą rozmowy w jakiejś bliżej nieokreślonej przyszłości.

Spojrzałam na zegarek. Niewiele mi dała czasu, ale zdążę zajrzeć na chwilę do dziewczynek. Szybkim krokiem przemierzyłam korytarz.

- Jaki dziś nastrój? Jesienny czy jeszcze letni?

- Zimowy - burknęła Mrówka.

- Zapadacie w sen? Jak niedźwiedzie? - zaśmiałam się.

- Coś w tym stylu - wtrąciła Pati. - Jakoś dziś beznadziejnie.

- Asia - Mrówka usiadła na łóżku - i co z tymi portretami? Zgodził się ten malarz?

Miałam ochotę zasunąć sobie mocnego kopniaka w zadek. Oczywiście, że zapomniałam! Wypadło mi to! Planowałam zadzwonić do Jaromira, ale przyjazd matki wszystko rozsypał jak domek z kart i trudno to teraz poskładać. Muszę zrobić sobie listę zadań, bo inaczej tego nie ogarnę, postanowiłam.

- Mam powiedzieć prawdę czy próbować wmówić wam, że najechali mnie ostatnio kosmicy, zabrali na obcą planetę i przez nich nie mogłam nic zrobić?

- Prawdę - zaśmiały się prawie równocześnie.

- To przyznam się, że na śmierć zapomniałam. Przepraszam - westchnęłam. - Ale obiecuję, że to załatwię. Dzisiaj i tak wpadłam tylko na chwilę, bo mam ważne spotkanie. Wybaczyście mi? Ostatnio chyba za dużo się dzieje.

Usiadłam przy łóżku Pati. Pogłaskałam ją po dłoni. Miała chłodne palce. Na rękach widniały czerwone punkciki w sinożółtych otoczkach, ślady po kroplówkach.

- Asia... - odezwała się Mrówka bardzo smutnym tonem. Ukłuło mnie w sercu na dźwięk jej głosu. Podeszłam do niej.

- Co, skarbie? Boli cię coś?

Kiwnęła główką. Niepokojąco zadrzała jej broda. W jej oczach błysnęły łzy. Widziałam, że z trudem panuje nad tym, by nie rozplakać się w głos.

- Wiesz, ja umrę - powiedziała nagle. - Ja to wiem. Znieruchomiałam. Jakby ktoś wcisnął klatkę stop i rozrzedził powietrze. Nie mogłam złapać oddechu. Patrzyłam na ciało Mrówki zatopione w kolorowej pościeli. Dopiero teraz dostrzegłam totalny absurd tych wszystkich bajkowych postaci na poszewkach. Kontrast był zbyt bolesny.

- Kochanie, nie możesz tak myśleć, a co dopiero mówić - odezwałam się z trudem. Słowa opornie wychodziły z krtani.

- Wszyscy nas oszukują. A wiesz, co to jest hospicjum? - Spojrzała na mnie. - To nie jest zwykły szpital.

Odruchowo ścisnęłam jej dłoń. W gardle urosła mi wielka gęstwa, a żołądek zmienił się w kamień.

- Proszę cię... - szepnęłam. - Nie możesz tak mówić.

- A bo ona coś w necie przeczytała - wtrąciła się Pati. - Ale przecież to nie może być prawda, nie? Szpilka stąd wyszła i jest prawie zdrowa.

- Właśnie. - Chwyciłam się słów Pati jak koła ratunkowego, ale ledwo unosiłam głowę nad powierzchnią bólu i rozpacz. Trudno było łapać oddech.

- Ja to wiem - bąknęła cichutko Mrówka. - Tam napisali, że hospicjum to miejsce, w którym pozwala się dzieciom odejść z godnością i nie można na siłę przedłużać ich życia.

- Jezu - wyrwało mi się. - Co ty czytałaś? Tak nie można. Trzeba wierzyć. Zobacz, teraz Pati znów zostanie poddana leczeniu. Może musicie czekać w kolejce. Szpilka, Pati, a potem ty - pocieszałam Mrówkę. Doskonale jednak wiedziałam, co czuła i jak się bała. Jej chudziutkie, drżące ciało wyrażało więcej niż słowa.

- Ja po prostu chyba umie... - zaczęła.

- Koniec! - rzuciłam, nie dając jej skończyć zdania. - Koniec tego biadolenia! Dziewczyny, tak nie można. Pokaż, co ty tu masz do czytania. - Sięgnęłam po książki leżące na stoliku. - Przeczytałaś to wszystko?

- Tak - odparła zdziwiona moją nagłą reakcją.

- To fajnie. Co ci przynieść z biblioteki? Wiem! - zawołałam histerycznie. - Coś wesołego!

- Mnie też możesz coś wypożyczyć - wtrąciła Pati.

Chwyciłam książki pod pachę i uciekłam jak tchórz na korytarz. Zamknęłam za sobą drzwi i kucnęłam pod ścianą. Ścisnęłam mocno powieki. Oczy piekły, a łzy próbowały wydostać się na zewnątrz. Miałam wrażenie, że jakaś silna dłoń zaciska mi się na krtani, a w żołądek uderza ktoś ze złością. Raz, drugi, trzeci. Skuliłam się, bo ból był potworny.

- O, rany - usłyszałam nad sobą znajomy głos. - Pani Joanno, co się dzieje? - Spojrzałam w górę. Nade mną pochylała się pani Ada, dobry duch tego miejsca. - Proszę do mojego gabinetu. - Pomogła mi wstać. Złapała pod rękę i poprowadziła do siebie.

- Przepraszam, ale nie mam teraz czasu, żeby rozmawiać. To chwilowy kryzys. Mrówka mnie przeraziła. Nie wiem, jak mam ją podtrzymać na duchu, jak sprawić, by się uśmiechała.

- Czasami to jest trudne - odparła. - Usiądzie pani na chwilę?

- Nie, przepraszam, ale mam umówione spotkanie, a jeszcze obiecałam przynieść dziewczynkom książki z biblioteki.

- No dobrze, ale proszę się tak nie zadręczać i nie brać tego wszystkiego do siebie, bo za chwilę pani się nam rozsypie emocjonalnie.

- Ale jak to zrobić? Kocham te dzieciaki - powiedziałam.

- Rozumiem, ale miłość polega też na tym, by pozwolić odejść - odparła, a po chwili dodała zupełnie innym tonem: - Niech pani teraz biegnie załatwiać swoje sprawy, ale gdyby czuła pani, że chce pogadać, to zapraszam.

- Dziękuję.

Zamknęłam za sobą drzwi gabinetu, chwilę zastanawiając się nad słowami pani Ady. Potem rzuciłam okiem na zegarek i pobiegłam do biblioteki. Bardzo szybko przejrzałam półki. Mniej więcej wiedziałam, co dziewczynki już czytały. Tylko jak tu znaleźć coś wesołego? Łatwiej chyba w tekturowe okładki zamykać ból i cierpienie niż radość. Tytuły krzyczały do mnie nieszczęśliwymi zdarzeniami. Wygrzebałam dwie powieści o nastolatkach, którym wiodło się fatalnie, ale w końcu udało się odmienić los. W ostatniej chwili chwyciłam jeszcze Opowieści z Narni. Baśniowy świat był dobry na smutki. Tam przecież zawsze wygrywało dobro. Inaczej być nie mogło.

Szybkim krokiem wracałam do sali dziewczynek. Miałam zaledwie kilka minut, by wyjechać z terenu hospicjum i na czas dotrzeć do centrum. Przed drzwiami wytarłam jeszcze twarz, żeby pozbyć się śladów płaczu. Przybrałam odpowiedni uśmiech i weszłam do pokoju.

- Proszę bardzo. - Położyłam książki na szafkach dziewczynek. - Czytajcie, a ja jadę na spotkanie z ważną osobą. Załatwię wam też najlepszego malarza na świecie, który wykona wasze portrety. Tylko pamiętajcie, żadnych skwaszonych min. - Pogroziłam palcem. Dziewczynki nawet uśmiechnęły się na chwilę. Obiecały poprawę nastrojów. Ucałowałam każdą z nich i pobiegłam do auta.

Oparłam dłonie na kierownicy, próbując oddychać głęboko. Włączyłam radio, by wejść w radośniejszy rytm dnia. Żyłam w dwóch światach. Miałam poczucie schizofrenii. Za drzwiami tego ciężkiego budynku moje życie rozpadało się na kawałeczki, po wyjściu z niego trzeba było je składać w całość, z reguły niedbale. Nie umiałam uporządkować emocji, nie umiałam oddzielić tych dwóch miejsc. A jednak bez tego znajdującego się za drzwiami, śmierdzącego medykamentami, nie umiałabym już żyć.

Rozdział 14

Ruszyłam powoli w stronę Rynku. Bez trudu znalazłam miejsce do parkowania naprzeciwko tylnej ściany ratusza, który przywołał wspomnienie Artura i jego szaleńczego pędu, by ustalić datę ślubu, dlatego że moja mamuśka nawciskała mu kłamstw o swojej wyimaginowanej chorobie.

Zamknęłam auto i skierowałam kroki w stronę kościoła św. Katarzyny. Zawsze mam problem z zapamiętaniem, jak ten kościół się nazywa, teraz też nie mam pewności, czy dobrze skojarzyłam. Sęk w tym, że w Starogardzie przy Rynku są dwie budowle sakralne. Jedna nosi imię św. Mateusza, druga św. Katarzyny. Artur cierpliwie mi tłumaczył, że jeden kościół ma wieżę, a drugi nie. Ale który ją ma, nie mogłam zapamiętać. Kiedyś o mało nie zabłądziłam, gdy szukałam jakiegoś urzędu i miałam skręcić przed kościołem. Skręciłam oczywiście nie przy tym, co należało, i nadłożyłam drogi. Artur śmiał się, że pierwszy raz słyszy, by ktoś poblądził w Starogardzie. Cwaniak jeden. Mieszka tu od lat i zna każdy kamień, więc nie wie, jak to jest wyrwać się z korzeniami i przenieść w zupełnie obce miejsce.

Minęłam kościół z czerwonej cegły, ledwie mieszcząc się na wąskim chodniku. Miałam wrażenie, że budynek stał prawie na ulicy. Wierni po porannej mszy z pewnością wychodzili wprost na jezdnię.

Przeszłam koło optyka i już byłam przed drzwiami Cafe Anka. Rozejrzałam się wokół. Wszystko pięknie, ale przecież nie miałam pojęcia, jak wygląda ta cała Kornelia. Widziałam ją zaledwie raz w przelocie. Siedziała wtedy z głową opartą o ramę łóżka Arka, więc nie było szans dokładnie się przyjrzeć.

Wewnątrz znajdowały się cztery osoby. Wysoka dziewczyna, z pewnością za młoda na matkę, zajmowała krzesło barowe tuż przy kontuarze. Pewnie przyszła poplotkować z kelnerką. Rozejrzałam się jeszcze raz.

Wreszcie moje spojrzenie przykuła kobieta siedząca przy stoliku w rogu kawiarni. W pierwszej chwili jej nie zauważyłam, bo od wejścia zasłaniał ją drewniany filar, na którym zawieszona była lokalna gazeta. Nachylała się, szukając czegoś w torebce. Intuicja podpowiadała mi, że to może być ona. Jej ruchy były nerwowe. Idealnie pasowała do kogoś, kto chce zmienić dotychczasowe życie.

- Dzień dobry. Przepraszam, czy pani Kornelia? - spytałam. Kobieta podniosła głowę. Przez moment przyglądała mi się, pewnie dokonując oceny, tak jak ja przed chwilą.

- Tak. A pani to Joanna? - Lekko uniosła się na siedzeniu i podała mi dłoń na powitanie. - Miło mi.

Zajęłam fotel naprzeciwko niej. Zamówiłam kawę, nie czekając, aż kelnerka podejdzie. Od stolika do kontuaru było niedaleko i skorzystałam z tego, że udało mi się spotkać wzrokiem z młodą dziewczyną.

- Dziękuję, że pani przyszła. To trochę skomplikowana sprawa i nie wiem, jak zacząć.

- Najlepiej wprost, bez owijania w bawełnę - rzuciła oschłym tonem.

Starłam się ją rozszyfrować. Kim była? Dlaczego zdecydowała się na opiekę nad obcymi dziećmi, a teraz po prostu z tego rezygnowała? Znudziła się czy może przeceniła własne siły? Sprawiała wrażenie znerwicowanej. Jej ruchy były gwałtowne i nieskoordynowane. Cały czas się kręciła, uciekając wzrokiem.

- Widzę, że jest pani konkretna. - Uśmiechnęłam się. Ona jednak nie odwzajemniła się tym samym. Nawet nie siliła się na radosny grymas. Spoglądała na mnie z powagą. Mrużyła oczy, wokół których uwydatniała się pajęczynka zmarszczek.

- Lubię jasne sytuacje, więc proszę mówić, bo nie mam za dużo czasu.

- Dobrze. - Nabrałam powietrza. - Jak pani wie, jestem wolontariuszką w hospicjum. Opiekuję się tam przede wszystkim trzema, no w zasadzie teraz dwiema dziewczynkami. Od pewnego czasu zaczęłam odwiedzać Arka. Poznałam tam też Michała. Miałam okazję z nimi porozmawiać. Arek długo nic nie mówił, ale wreszcie zaczął. Poprosił mnie o coś.

- Chyba wiem o co - odparła trochę zbyt nerwowo. - A pani pewnie dokonała już oceny, prawda? - Spojrzała na mnie przenikliwym wzrokiem. Zobaczyłam wtedy w jej twarzy zmęczenie. - Bo to tak łatwo przykleić łatkę. Zła, wyrodna kobieta, która bierze dzieciaki, a potem oddaje je jak zwierzątka do schroniska - zakpiła.

- Nie. - Zawahałam się, choć przyznam, że miałam takie myśli. To nasuwało się samoistnie. - Ja pani nie oceniam - skłamałam. Robiłam to przez cały czas.

- O! To byłaby pani wyjątkiem. Ale proszę posłuchać. Od dziesięciu lat byliśmy z mężem rodziną zastępczą dla obcych dzieci. I to nie dzieci grzecznych i zdrowych, lecz mocno potarganych przez życie, często też upośledzonych. Z każdym z tych dzieciaków przeszliśmy gehennę. Od dziesięciu lat nie byłam na żadnym urlopie. Bo to nie jest praca. Nie da się o piętnastej pozamykać drzwi i odpoczywać. To zajęcie na dwadzieścia cztery godziny przez siedem dni w tygodniu. Non stop. Pani nie ma pojęcia, jak to jest... - Przełknęła ślinę. - Mówi pani, że rozmawiała z Michałem. Wygląda na przystojnego i mądrego, prawda? Obecnie studiuje. A pochwalił się pani, że jest alkoholikiem? To ja zmieniałam zasraną i zarzyganą pościel. Woziałam go na odwyk i wyciągałam z meliny jego biologicznej matki, do której zaczął nam uciekać i razem z nią chlał wódkę. Robił sporo rzeczy, o których się ani pani, ani mnie wcześniej nie śniło. Chce pani tego słuchać?

- Nie miałam pojęcia, ale...

- Ja już po prostu nie daję rady. To mąż przekonał mnie do założenia rodziny zastępczej. On zawsze był idealistą. Jest pedagogiem z wykształcenia, pracował w domu dziecka. Wie pani, taki współczesny Judym z niego. Po latach zrozumiałam, że to nie są moje plany, ale jego. Jeżeli chce to robić, niech robi, lecz ja odpadam. I nikt, nawet Arek ani żadne z dzieci mnie nie zatrzyma. Ja po prostu mam dość. Nie mogę. Jeśli zostanę, zrobię krzywdę sobie albo komuś. - Drżącą dłonią chwyciła filiżankę. - Teraz proszę, może pani mnie oceniać. - Patrzyła na mnie, a jej usta wykrzywiły się w kpiącym uśmiechu. Miałam wrażenie, że ze mnie drwi. Poczulałam się niezręcznie. - No - ponagliła. - To niech pani powie to, co chciała. To, z czym przysłali tu panią chłopcy.

- Oni się po prostu boją, że stracą dom - powiedziałam.

- Jakoś nie pamiętam, żeby Michał kiedyś się o to bał. Jeszcze trzy lata temu wręcz chętnie by wrócił do meliny, z której go wyciągnęliśmy. Gdyby nie mój upór... - wycedziła z goryczą w głosie. - Wtedy jeszcze myślałam, że to wszystko ma sens. Niestety nadzieja okazała się płonna - dodała i na chwilę się zamyśliła. Po chwili rzekła, zmieniając ton: - Spokojnie, nie stracą dachu nad głową. Umowę podpisywał mój mąż Wiktor, więc to on jest prawnym opiekunem, nie ja. Na razie się też nie rozwodzimy. Rozstajemy się po prostu. Papier nam niepotrzebny. Przynajmniej dzisiaj, ale nie mogę zagwarantować, że nie będę chciała go uzyskać jutro. Za to wiem jedno, że nie chcę być rodzicem zastępczym. Nie chcę! Może dla pani zabrzmiało to egoistycznie, ale ja mam prawie pięćdziesiąt lat i chciałabym wreszcie zrobić coś dla siebie. Do tej pory robiłam wszystko dla innych. Żyłam tak, jak chciał mój mąż, i podporządkowałam swoje plany obcym dzieciakom. Dłużej już nie mogę. Nie mogę! Rozumie to pani? - spytała, patrząc mi w oczy.

Widziałam, jak drgnęły jej usta, jak rozchylały się płatki nosa. Podejrzywałam, że ledwo panowała nad swoimi emocjami.

- Rozumiem - odparłam. Nie wiedziałam, co powiedzieć, bo dostrzegłam w tej kobiecie tak dużo żalu i pretensji do życia, że nagle zrobiło mi się jej szkoda. Sprawiała wrażenie osoby na skraju wyczerpania nerwowego, totalnie wypalonej.

- A jak z pani taka społeczniczka, to niech pani pojedzie do Wiktora i zobaczy, jak rodzina funkcjonuje, jakie to są dzieci. I żeby mnie pani źle nie zrozumiała. To nie znaczy, że ja tych dzieci w jakiś sposób nie - zawahała się, szukając odpowiedniego słowa - nie kocham. Ale po prostu już nie mam siły.

- Rozumiem - powtórzyłam, choć tak naprawdę kompletnie nie rozumiałam. Nic a nic. Trudno mi było w to wszystko uwierzyć. Michał, taki spokojny i ułożony chłopak, alkoholik?

- W takim razie dziękuję za spotkanie. Domyślam się, że to z troski o Arka chciała pani rozmawiać.

Kobieta sięgnęła po torebkę i zaczęła w niej czegoś szukać. Po chwili wyjęła portfel. Wyłuskała z niego dziesięć złotych. Wstała, włożyła kurtkę i pożegnała się. Kiedy wyszła, siedziałam jeszcze przez chwilę, patrząc na pognieciony banknot leżący na stoliku.

- Podać coś jeszcze? - Kelnerka przerwała moje rozmyślenia.

- Nie, dziękuję. Zapłacę za swoją kawę.

Rozdział 15

Kiedy wyszłam, zimne, wilgotne powietrze owiało moją twarz. Spojrzałam na róg ulic Podgórnej i Kilińskiego. Mój wzrok przyciągnęło dwóch mężczyzn głośno o czymś debatujących. Przeleciałam po nich wzrokiem bez szczególnego zainteresowania. Wreszcie odwróciłam się w przeciwną stronę i ruszyłam przed siebie. Telefon zawibrował, przypominając o tym, że przecież umówiłam się z Lusią. Szybko wygrzebałam go i spojrzałam na wyświetlacz. Pięć nieodebranych połączeń. Jedna od Artura, jedna od Jaromira i trzy od Lusi. Oddzwoniłam do niej natychmiast. Faceci będą musieli trochę poczekać.

- Jezu! Mamo! Dlaczego nie odbierasz? Gdzie jesteś? Bo ja idę w stronę kawiarni.

- Koło księgarni - odparłam. - Zaraz będę przy bibliotece, więc może tam na ciebie poczekam, co?

- Dobrze. Pięć minut i jestem - rzuciła.

Kiedy znalazłam się przy budynku biblioteki, schowałam się we wnęce przy wejściu. Tutaj przynajmniej nie wiało. Wybrałam numer do Artura.

- Joasiu, gdzie ty się podziewasz? Spotkamy się dzisiaj?

- Dopiero wieczorem, bo mam niezły młyn. Ciągłe się coś dzieje. Potem ci opowiem, okej?

- Będę czekał na ciebie w domu.

Przypomniała mi się obietnica złożona dziewczynkom, więc zadzwoniłam do Jaromira, obiecując sobie, że będę miła.

- Aśka, słuchaj - powiedział dość szorstko. - Musimy spotkać się w sprawie rysunków. Mam część szkiców. Dasz radę podjechać do Gdańska?

- Kiedy?

- Najlepiej na cito. Nie mam czasu, żeby się z tym babrać w nieskończoność.

Przełknęłam tę niemiłą sugestię. Jednak zaplanowałam, że później sobie to odbiję. Potwierdziłam więc, że jutro będę w Gdańsku. Adres obiecał mi wysłać esemesem. Ten facet samym tembrem głosu wyprowadzał mnie z równowagi. Ledwo panowałam nad tym, żeby mu nie odburknąć.

- Cześć, mamó!

Lusia zdecydowanie poprawiła mój nastrój. Uściskałam moją pierworodną. Miałam wrażenie, że z tygodnia na tydzień coraz bardziej się zmienia. Doroślała. Twarz nabierała ostrych rysów, sylwetka stała się kobieca, już nie dziewczęca. Na ramieniu miała przerzuconą wypchaną po brzegi torbę. Pewnie znów brudną bieliznę dziecko przywiozło do prania. Potarosałam ją po głowie, wywołując falę protestów.

- Chodź, wrzucisz rzeczy do auta i pójdziemy coś zjeść. Na co masz ochotę?

- Chyba tu za dużego wyboru nie ma, co? Prawie same pizzerie.

- A wiesz - zastanowiłam się. - To dziwne, nie? Stolica Kociewia, a w centrum nie ma kompletnie nic kociewskiego do zjedzenia.

- Może przodkowie Kociewiaków przybyli z Włoch - zaśmiała się.

Nie było wyjścia, weszliśmy do pierwszej lepszej pizzerii. Lusia wybrała tradycyjnie - cienkie ciasto z szynką i pieczarkami, a ja zamówiłam sobie sałatkę, która niestety mocno mnie rozczarowała. Na szczęście moje dziecko przecenilo swoje możliwości i nie było w stanie pochłonąć średniej pizzy, więc dostało się coś matce.

Najedzone poszliśmy do kawiarni. Lusia pomogła mi dokończyć mierzenie okien. Opowiedziałam jej też o znalezisku ukrytym pod deską w podłodze.

- Żartujesz?

- No coś ty, to chyba nie temat do żartów.

- Musisz mi to pokazać. Naprawdę tu grasował jakiś psychopata? - Patrzyła na mnie z przerażeniem.

- No tak.

- Ciekawe dlaczego ten chłopak próbował się powiesić - zastanowiła się.

- Nie wiem, ale to miejsce mnie przeraża. Nie tak sobie wyobrażałam swoją kawiarnię. Boję się, że stracę do niej serce. Wszystko jest nie tak.

- Jezu, mamó. Nie przesadzaj. Po prostu przygoda - powiedziała radośnie, a ja usłyszałam w jej głosie niepewność.

- Dzieciaki będą tu walić na Halloween.

- Kurczę, Lusiu, ale ja nie o takim miejscu marzyłam - jęknęłam. - Miało być przytulnie, miały być koronki, jasne drewno, firanki w oknach.

- I będzie, zobaczysz - odparła i mocno mnie przytuliła. - Nie zamartwiaj się tym. W co drugim domu ludzie mają jakiegoś szurniętego członka rodziny.

- No - mruknęłam pod nosem. - Ale nie wszyscy próbują się wieszać.

Opowiedziałam jej jeszcze o Arku i jego rodzinie. Lusiu słuchała z uwagą. Też trudno jej było zrozumieć postępowanie Kornelii, choć starała się ją usprawiedliwiać.

- Zobacz, ona całe życie realizowała czyjeś marzenia - powiedziała. - Nie swoje.

- No tak, ale czy to jest prawda?

- Bo ja wiem - odparła. - Uwierzyłaś jej chyba.

- No tak i w pewien sposób rozumiem ją. Nie wyobrażam sobie też srającego i rzygającego pod siebie nastolatka - dopowiedziałam.

- A jeszcze jeśli nie jest to twoje dziecko, to chyba sto razy trudniej się z tym uporać, niż gdyby tak zachowywało się własne.

- Czyli mogę walić w łóżko - zaśmiała się Lusiu.

- Przestań. - Machnęłam ręką. - Ta kobieta naprawdę musiała sporo przejść.

- Pewnie tak, w końcu odpadła - stwierdziła. - I co? Znając ciebie, mogę śmiało przypuszczać, że pojedziesz do tego faceta.

- Taki mam plan. Chcę się przekonać, czy to prawda. Porozmawiam z tym Wiktorem. Może jakoś wspólnie pomożemy Arkowi. Aha! - Przypomniałam sobie nagle. - W niedzielę idziemy na obiad.

- Obiad? - zdziwiła się.

- Do rodziców Artura. Państwo Leśniewscy zapraszają.

- Uuu, to będzie drętwo - skwitowała z uśmiechem. - Impreza sztywniaków.

- Żebyś wiedziała. Na samą myśl się spinam i mam tremę. Ja już chyba jestem za stara na takie podchody.

- Eee tam - odparła, wkładając miarkę do mojej torebki. - Będzie dobrze. Nie oprą się naszemu urokowi.

Przytuliłam ją. Luscia zawsze wiedziała, jak mnie podnieść na duchu. Jedno, co mi w życiu naprawdę wyszło doskonale, to córka. Aż żal, że urodziłam tylko jednego takiego człowieczka. Uśmiechnęłam się do swoich myśli.

Wracałyśmy do domu w dobrych nastrojach. Kiedy wkładałam klucz do zamka, rechotałam z dowcipów Lusi. Opowiadała anegdoty ze szkolnego życia. Miałam tylko nadzieję, że ja kiedyś nie byłam obiektem żartów swoich uczniów.

Od progu uderzył nas dziwny słodkawy - kwaśny zapach i głosy staruszek. Pani Jadzia jeszcze u nas jest? Zdziwiłam się, bo zazwyczaj starsze panie aż tak dużo czasu ze sobą nie spędzały. Przeszłam w głąb domu, skąd dochodziły głosy.

- Tela, tela - powtarzała jedna z nich.

Zamarłam na chwilę, bo drzwi łazienki otwarte były na oścież. Zajrzałam do środka. Moim oczom ukazała się pani

Jadzia klęcząca przy muszli klozetowej z ręką po łokieć zanurzoną w jej wnętrzu. Obok znajdowała się ciocia, skulona dokładnie w takiej samej pozycji. Kurza twarz! Jakieś szaleństwo. Pani Jadzia wyglądała, jakby przed chwilą myła głowę. Mokre różowe kosmyki opadały na jej twarz. Ciocia prezentowała się zdecydowanie lepiej, ale nie miałam pojęcia, co one wyprawiają z rękoma w klozecie.

- O, rany! Co się stało? - zawołała Lusia, stając za mną. Staruszki spojrzały. W twarzy pani Jadzi coś się zmieniło. Być może to zniszczona fryzura powodowała takie wrażenie.

- Scenka - powiedziała.

- Jaka scenka? Jaką próbę przed występami robicie? - spytałam. - Zrekrutowano was do kabaretu? Bo widzę, że nastrój macie rozrywkowy. - Uśmiechnęłam się, bo staruszki cały czas chichotały i taplały rękoma w muszli klozetowej niczym dzieciaki w kałuży.

- Scen - ka - powtórzyła pani Jadzia. - Scenke zam zygneła.

- Co?

Ciocia pokładała się ze śmiechu, nie mogąc mi wytłumaczyć, o co chodzi. Skojarzyłam dopiero wtedy, gdy pani Jadzia uśmiechnęła się do mnie pełną gębą. Już wiedziałam, co dziwnego jest w jej twarzy. Nie miała zębów!

- Szczękę? - spytałam uradowana swoim odkryciem.

- Jo. Zam wyzygała scenkę. Sukamy.

- Łowimy raczej - wtrąciła cioteczka i znów parsknęła śmiechem.

- O! Cekaj, cekaj, mam tera - zawołała pani Jadzia i z tryumfem wyciągnęła dłoń, w której trzymała własną sztuczną szczękę.

- A fuj! - krzyknęła Lusia. - To okropne.

- A tam fuj. Nie bądź taka fraslifa dziefuska. Fypazy się, jo? A nofa to majątek.

- Jo - potwierdziła ciocia. - Ale nie będziemy wyparzać, bo potem będziesz mogła z niej ozdobę na półeczkę zrobić. Najlepiej ją oczyścić za pomocą tabletek musujących.

- Mus to mus - podsumowała jej różowa koleżanka i parsknęła śmiechem, zadowolona ze swojego skojarzenia.

Staruszki wstały z wielkim trudem. Pomogłam pani Jadzi złapać równowagę. Kiedy zionęła mi w twarz wypitą naleweczką, to sama miałam wrażenie, że zdrowo łyknęłam. Kobiety podeszły do umywalki i dokładnie myły ręce.

- Jak to się stało, ciociu? - spytała Lusia.

- Normalnie. Piłyśmy nalewkę i jadłyśmy ciasto. No, może Jadzka więcej piła, a ja więcej jadłam, ale bilans wychodzi po sprawiedliwości - zachichotała. - Potem ją zemdleło i wymiotowała. Zwymiotowała szczękę, to ją próbowaliśmy wyłowić.

- I utąło się - zawołała staruszka, prezentując nam swoje zęby. Na szczęście jeszcze w dłoni.

Trzeba było je dobrze odkazić, ale przyznam, że będę miała traumę, kiedy ją znów u nas zobaczę z pełnym uzębieniem w ustach. Fuj! No, ale jeśli ona się nie brzydzi, to najważniejsze. Ja i Lusia może z czasem o tym zapomnimy.

- Dobrze się pani czuje? - spytałam.

- Fatalnie. As mnie gamba ot śmichu boli. Tylko nie gadajta nikomu, bo baby potem nic, tylko klatkują.

- Może mocnej herbaty zaparzę, co?

- Jo, arbaty się napijemy - zawołała ciocia i chwyciła Jadzię pod rękę.

Radosnym krokiem, lekko chwiejnym i wskazującym na dość sporą ilość wypitych procentów, staruszki przeszły do kuchni. Usiadły na krzesłach i karnie czekały na gorący napój, który miał je postawić na nogi. Odkąd tu mieszkam, pierwszy raz widzę, żeby ciocia tak zabalowała. Jak nic będzie ją jutro bolała głowa.

- To daj mnie jeszcze jakiś kupeczek, to sobi tę scenkę wydesynfekuje.

Podalam jej naczynie, w którym umieściła swoją zgubę. Ciocia natychmiast wrzuciła tam musującą tabletkę i poprosiła, żebym zalała to zimną wodą.

- Ja już nigdy nie będę pić z tego kubka - szepnęła Lusia.

Przyznam, że pomyślałam o tym samym. Wryłam sobie w głowę kwiaty lawendy wymalowane na naczyniu. Celowo wzięłam ten, ponieważ nie miał drugiego do pary, łatwo więc będzie zapamiętać, że lawendowy jest od zwymiotowanej szczęki.

Kiedy udało mi się zapanować nad staruszkami i przydzieliłam im po kubku gorącej herbaty, zaczęłam się szykować do spotkania z Arturem. Łapałam się na tym, że nie czuję zbytniego entuzjazmu na myśl o wyjściu. Zmęczył mnie dzisiejszy dzień. Za dużo emocji. Najchętniej walnęłabym się na łóżko z książką w dłoni i solidnie odpoczęła. Taki nastrój trochę mnie niepokoił, bo przecież wciąż byliśmy na etapie motyli w brzuchu i powinnam skakać z radości przed randką.

Otworzyłam szafę na oścież i szukałam czegoś odpowiedniego, co wyzwoli we mnie większe zaangażowanie. Tymczasem mój wzrok spoczął na spodniach dresowych z obniżonym krokiem i na szarej bluzie. Idealne! Może nie seksowne, lecz doskonale odzwierciedlające mój nastrój. Wyszperałam czarną koszulkę z rysunkiem kota i uznałam, że jestem gotowa. Nie straci głowy na mój widok, ale trudno. Trzeba się było trzymać myśli, że stracił ją już jakiś czas temu, więc nie zwraca uwagi na mój ubiór.

- Iiiiide! - krzyknęłam do Lusi, która siedziała w swoim pokoju. Zajrzałam jeszcze do kuchni. Staruszki z wesołego nastroju przeszły w sentymentalny i pochlipywały, wspominając swoich znajomych, którzy przeszli już na łono Abrahama. Zaproponowałam jeszcze pani Jadzi, że mogę ją

odwieźć do domu, ale ciocia kategorycznie stwierdziła, że Jadzia zostanie u nas na noc.

- Nie będzie wracać po pijaku, bo potem jej sąsiadka powie, że to ja ją tak zaprawiłam.

- Dobrze, ciociu. Ja lecę. Nie rozrabiajcie za mocno. Wrócę rano. - O! - ożywiła się pani Jadzia. - I nie cnotuj się za baldzo.

- Uśmiechnęła się do mnie, prezentując pustą jamę ustną. Różowe włosy, które zdążyły już wyschnąć, wisiały jak strąki, prezentując obraz nędzy i rozpacz. Ale jakże pozytywny! - Użyj za mnie! - świntuszyła.

- Ty, Jadźka, jutro przy spowiedzi to od księdza kijem dostaniesz - zażartowała ciocia. - Głupoty ci się w tym różowym łbie zalęgły!

- Fkońcu zam jest lózofa lantlynka, jo?

- Jo, jo - przytaknęła uradowana ciocia.

- Lecę, bawcie się dobrze. - Pomachałam im na pożegnanie i zniknęłam za drzwiami domu.

Zapięłam szczelniej puchową kamizelkę, bo było chłodno. Szybkim krokiem ruszyłam przed siebie. Zrezygnowałam z auta, bo uznałam, że warto się przespacerować. Artur nie mieszkał przecież aż tak daleko. Zaledwie kilka przecznic. Trochę ruchu się przyda.

Kopnęłam leżący na drodze kamień. Poturlał się przede mną i sprowokował, by powtórzyć uderzenie. Podskakiwał radośnie po wyłożonej kostką uliczce.

Wsadziłam ręce do kieszeni i szłam dziarskim krokiem. Jakoś radośniej zrobiło mi się na duszy, jakby kopnięcie niewinnego kamienia rozładowało emocje. Te złe poturlały się gdzieś przede mną. Potem wystarczyło je tylko minąć i zostawić w tyle.

- Nareszcie jesteś! - zawołał Artur od progu. - Ale się stęskniłem.

- Ej, wariacie - zaśmiałam się, kiedy zaczął mnie całować po szyi. Nie zdążyłam nawet zdjąć butów, a ten rzucał się na mnie, jakby nie widział mnie od miesiąca. Prosiłam, by przestał, choć to było niezwykle przyjemne czuć jego ciepłe pocałunki na delikatnej skórze. Ciarki przeszły po ciele, a w żołądku obudziły się motyle.

- Rany - szepnęła, dmuchając w opuszek mojego ucha. Od razu pojawił się dreszcz, jakby poraził mnie prądem o niewielkim natężeniu. - Jak ty na mnie działasz, kobieto.

- Aż tak? - przekomarzałam się, próbując jednak wyzwolić się z objęć. - Pozwól mi chociaż się rozebrać.

- Oczywiście - mruknął. - Rozebranie to podstawa.

- Przestań, wariacie - powtórzyłam.

- Dobrze, już dobrze. - Poddał się i wypuścił mnie z objęć. Mogłam spokojnie ściągnąć kamizelkę i buty. Na resztę garderoby przyjdzie czas. - Jak ci minął dzień?

- Oj, było ciężko. Zaczęłam awanturą z rodzicami, a skończyłam wyrzyganą szczęką pani Jadzi.

- Co? - zdziwił się.

- Ano tak. Mamuśka oczywiście wymyśliła tego raka. Dokładnie tak, jak podejrzewałam.

Opowiedziałam Arturowi pokrótce o rozmowie z rodzicami, o fochu matki i o zdecydowanej reakcji ojca. Potem przeniosłam się w opowieści do hospicjum, do kawiarni i znalezionych wycinków prasowych, a na koniec zrelacjonowałam wyławianie szczęki pani Jadzi. Artur chłonał moje słowa z uwagą, co było bezcenne, bo nie każdy potrafi słuchać, a jemu przychodziło to bez trudu. Siedział naprzeciwko milczący, od czasu do czasu tylko głaskał mnie po dłoni lub muskał moją szyję. Widziałam, jak mruży oczy. Marszczył też charakterystycznie nos. Krzywił się na to, co opowiadałam. Czasami też ściągał brwi. Robiła mu się wtedy

poprzeczna zmarszczka na czole. Podobno to znak firmowy intelektualistów. Do niego pasowała idealnie.

Nachylił się nade mną i cmoknął mnie delikatnie.

- Nie martw się tym wszystkim - podsumował. - Nie warto.

Jego ciepłe i wilgotne usta wprawiły mnie w przyjemny nastrój. Moja ekscytacja dzisiejszymi wydarzeniami powoli zamieniała się w podniecenie, które przyjemnie rozchodziło się po ciele. Podejrzewałam, że moje oczy stały się maślane i sprawiały wrażenie, jakby na chwilę pojawiła się na nich zaćma. Nic nie widziały i nie rozpraszały pozostałych zmysłów obrazami. Świat skumulował się w dłoni, w opuszkach palców i na skórze.

- Chodź - szepnął Artur i chwytając mnie za rękę, delikatnie skierował do sypialni.

Rozdział 16

Obudził mnie swędzący nos. Miałam wrażenie, że to jakiś owad krąży nade mną, łaskocząc powietrzem wprawionym w ruch mikroskopijnymi skrzydełkami. Odgoniłam go dłonią, nie otwierając oczu. Po chwili wrażenie wróciło. Jeszcze jeden ruch ręką wywołał cichy chichot wpadający do prawego ucha. Pobudkę przypieczętował ciepły pocałunek.

- Witaj, kochanie. - Szept rozplynał się rozkoszą po mojej duszy.

Wtedy dopiero przyszedł czas, by podnieść powiekę. Najpierw jedną, aby ocenić sytuację. Potem drugą, by zobaczyć pochyloną nade mną twarz, która zdecydowanie należała do mężczyzny. W dodatku do mojego mężczyzny. Jednodniowy zarost dodawał tej twarzy uroku i męskości. Czułam się błogo. Zamknęłam oczy, by nie przerywać poranka.

- Mm - mruknęłam niczym kotka na rozgrzanym dachu. Wtedy kolejny pocałunek zagościł na moich ustach.

- Kawka? - spytał.

- Yhy - odpowiedziałam leniwie.

- To pędzę do kuchni.

Gdy poczułam, że wstaje z łóżka, podniosłam powieki. Chciałam na niego spojrzeć. Jego nagi pośladek prezentował się niczego sobie. Uśmiechnęłam się na ten widok. Aż dziwne, że po rozwodzie tak długo wytrzymałam w celibacie. Przecież nie ma nic piękniejszego niż bliskość nagiego, kochanego mężczyzny. Westchnęłam, gdy zniknął za drzwiami.

Z trudem zmobilizowałam się do tego, by wstać. Poduszka obok nosiła jeszcze odcisnięty ślad głowy Artura.

- Po południu mam dyżur! - krzyknął.

- Spoko - odparłam. - Ja muszę jechać do Gdańska. Podeszłam do krzesła, na którym zawisły części mojej garderoby. Stałam przy komodzie. Nie wiem, dlaczego

moją uwagę przykuł uchwyt szuflady. Miał oryginalny kształt. Jego końce przypominały pęki róż. Chwyciłam za rączkę i niewiele myśląc, pociągnęłam. Wścibstwo nie było moją cechą, ale coś wtedy mnie podkusiło, by zajrzeć. Jakiś czort na ramieniu siedział i szeptał „ciągnij, ciągnij”, więc to zrobiłam. Przede mną pojawiło się wnętrze szuflady. Spojrzałam i zamarłam. Przeszedł mnie dreszcz, a wrażenie miłości wypełniającej pokój przysło jak bańka mydlana.

- Kurza twarz - szepnęłam i natychmiast zatrzasnęłam szufladę.

- Idziesz?

Podskoczyłam na dźwięk jego głosu.

- Tak, już, już, tylko się ubiorę.

Weszłam szybko do łazienki. Odkręciłam zimną wodę. Zanurzyłam w niej dłonie, by za chwilę obmyć twarz. Schłodziłam tym swoje emocje. Mój oddech był szybki, ale powoli starałam się go opanować. Cholera jasna! Łzy cisnęły się do oczu, jednak nie dałam im spłynąć. O, nie! Kiedy wiele lat temu wychodziłam z budynku sądu z orzeczeniem rozwodu, przyrzekłam sobie, że już nigdy, ale to nigdy nie będę płakać przez żadnego faceta! Dużo czasu mi zajęło, żeby komuś zaufać. Nie! Niemożliwe, żebym się pomyliła. Nie, nie, nie!

- Asia! - Usłyszałam wołanie za drzwiami.

- Już idę. - Obmyłam twarz jeszcze kilka razy. - Spokojnie, spokojnie - szepnęłam do siebie. - To nic takiego, nic. - Zrobiłam głęboki wdech i wydech. Spojrzałam w lustro. Uniosłam kąciki ust w grymasie przypominającym uśmiech. Muszę tylko ochłonać. Wszystko będzie dobrze. To ciągle jest ten sam wspaniały mężczyzna, co przed kilkoma minutami. Ten sam. Mój Artur. Mój?!

- Kawa stygnie!

Uśmiechnęłam się jeszcze szerzej i wyszłam z łazienki. Wrzuciłam na siebie ubranie i przeszłam do kuchni. Na małym stoliku czekała kawa i talerzyk. Na środku Artur postawił patelnię z jajecznicą.

Podeszłam do szuflady, by wziąć sztućce. Znow uderzył mnie widok rodem z sali operacyjnej oglądanej w serialu medycznym. Odkryłam białą ściereczkę i wyjęłam spod niej po dwa widelce i noże. Dziwny dreszcz przeszedł mi po plecach, gdy nakrywałam pozostałe sztućce bawełnianą szmatką. Zamknęłam szufladę i usiadłam przy stole.

- Coś się stało? - spytał.

- Nie. Dlaczego? - Nerwowo wzruszyłam ramionami.

- Tak mi się wydaje.

- Nie. Przypomniałam sobie, że muszę dziś sporo załatwić.

- Ale na jutro jesteśmy umówieni? - Spojrzał na mnie.

- Jasne. - Wymusiłam odrobinę entuzjazmu.

- To przyjadę po was około dwunastej, dobrze? Przytaknęłam. Dwunasta to dobra godzina. Zdążę do jutra wszystko przemyśleć. Tak. Poukładałam to sobie w głowie na spokojnie. Będzie dobrze. Czemu ma nie być? Statystycznie rzecz ujmując, miałam szansę na ułożenie sobie życia. Tego trzeba się trzymać. Statystyki nie są złe. Łapałam się nawet jako statystyczna Polka. Mam akurat lekko ponad czterdzieści lat, pracowałam kiedyś w oświacie, jedno dziecko, noszę rozmiar czterdzieści, miseczkę C, a moja torebka jest dokładnie taka jak większości kobiet, więc jako statystyczna Polka zasługuję na statystyczny związek! Zasługuję! Koniec i kropka! Tylko jaki był ten mariaż wynikający z tabelk i procentów?! Pełen kłamstw i niedomowień?

- Pyszna jajecznica - powiedziałam.

- Mam dziś jedną operację - zaczął. - Ciekawy przypadek, bo... - opowiadał.

Widziałam tylko poruszające się usta. Od czasu do czasu wykonywał jakąś minę lub machnął w powietrzu widelcem. Widziałam, jak trzyma nóż. Miałam wrażenie, że ma w dłoni skalpel. Smarował chleb masłem, ale jakby był już w szpitalu i wykonywał zabieg. Trudno mi było skupić się na tym, co mówi. Rzucał medycznymi terminami. Wpadały w ucho i zaraz ulatywały w przestworza, nie pozostawiając śladu w mojej pamięci. Myślałam, że spotkałam idealnego mężczyznę. Bez wad. Rozum podpowiadał, że tacy ludzie nie istnieją, tymczasem serducho zaprzeczało i wrzeszczało: „Hełoł! Mamy szczęście! Trafiliśmy ideał niczym szóstkę w totka!”. Powoli odkrywałam, że Artur nie był taki doskonały. Zaczynałam czuć, że przegrywam z kilkoma sprawami.

- Taaak? - wydusiłam bezwiednie.

- Nieźle, co? - zakończył.

- Nieźle - potwierdziłam, choć nie miałam pojęcia, o czym mówi. - Dziękuję za pyszne śniadanie. - Odsunęłam od siebie talerz. Dopiłam kawę. - Będę uciekać, bo mam spotkanie w sprawie bajek.

- Przyjadę po was jutro - powiedział. - Ubierzcie się elegancko, bo moja mama to tradycjonalistka - dodał, czym mnie trochę uraził.

- Elegancko? - spytałam.

Czy on myślał, że ja w dresach pojedę na spotkanie z jego matką? Zdziwił mnie tą uwagą. Do tej pory myślałam, że to dla niego nieistotne. A jednak! Spojrzałam na swoje spodnie. No tak. Byłam nieelegancka i mało atrakcyjna.

- No wiesz... - zawahał się. - Nie chciałem cię urazić, ale gdy poznasz moją matkę, to zrozumiesz. To coś w stylu twojej, ale trochę inaczej.

- Okej, rozumiem. - Uśmiechnęłam się, bo co jak co, ale matki się nie wybiera, a moja do świętych też nie należała, więc darowałam mu tę uwagę. Nie ma co się niepotrzebnie

spinać. - Będę przykładem elegancji. A teraz zmykam. - Podeszłam i pocałowałam go w policzek. Złapał mnie za rękę i nie pozwolił zbyt szybko odejść. Delikatnie cmoknął moje usta.

- Będę tęsknił.

- Ja też. Udanej operacji - powiedziałam i pomachałam mu, znikając po chwili w przedpokoju. Słyszałam, jak wkłada naczynia do zmywarki. Nie odprowadził mnie, więc otworzyłam drzwi i wyszłam na dwór. Ku mojemu zdziwieniu była dziś ładna pogoda. Nie wiało i nie padało, za to powoli przez chmury przebijało się słońce, zapowiadając piękną złotą jesień.

Szłam do domu. Nie było co się spieszyć. Jaromirowi wysłałam esemesa, że będę w Gdańsku około trzynastej. Spojrzałam na adres, który mi wysłał. Nazwa ulicy nic mi nie mówiła. Zresztą słabo znam Trójmiasto. Musiałby mieszkać przy Targu Węglowym lub na Podwalu Staromiejskim, żebym trafiła bez nawigacji.

Mijałam domy, których dachy połyskiwały w słabych promieniach słońca. Powietrze było przesiąknięte jesienną wilgocią, ale bardzo przyjemnie muskało policzki. Zapowiadał się piękny dzień. Być może zadziała zbawiennie na moje samopoczucie i rozwieje niepotrzebne rozterki. Robić z igły widły to moja specjalność. Należało się więc opanować i iść do przodu. Powoli. Życie to przecież dyscyplina długodystansowa, więc trzeba równomiernie rozkładać siły i gospodarować emocjami, a nie huzia na Józia i wszystko albo nic. Tylko spokój może mnie uratować. Nie miałam zamiaru się spieszyć. To matka powodowała nerwową atmosferę, wciąż przypominając o metryce. Nie zamierzałam się jej poddawać. Miałam czas, by wszystko płynęło naturalnym rytmem i się wyjaśniło.

- Cześć! - rzuciłam od progu. Ruch w kuchni świadczył o tym, że Lusia z ciocią już nie śpią. Co do staruszki miałam pewność, natomiast Lusia mogła się dziś wylegiwać długo. W końcu była sobota.

- Chcesz arbaty? - Usłyszałam.

- Poproszę.

Przy stole siedziały dwie kobiety. Jedna siwa, druga różowa. Ucieszyłam się na ich widok. Ta kolorowa wyglądała na zmarnowaną. Miała ziemistą twarz i podkrążone oczy, ale uśmiechała się, prezentując pełne uzębienie. Niestety od razu w moim wspomnieniu pojawił się obraz „scenki” pływającej w klozecie.

- Dzień dobry - powiedziałam do pani Jadzi. Ciocia właśnie stawiała na stole kubek z herbatą. Usiadłam obok staruszek. Przeglądały wczorajszą gazetę. - Jak zdrówko? - spytałam.

- Oj, jak nie urok, to kocia dupa - stwierdził gość.

- Kocia dupa?

- Biegunka - odpowiedziała ciocia. - Wiesz, nie na nasze lata taka butelka nalewki.

- Ale ja żarn spała jak zabita - stwierdziła z zadowoleniem pani Jadzia. - A jak tam twój dupuś? - spytała po chwili. Bez trudu domyśliłam się, że chodzi o Artura.

- Dupuś ma dziś operację - odparłam.

- Coś nie tak? - podłapała ciocia, bo wiedziała, że nie zgadzam się na nazywanie Artura tymi określeniami, a teraz nie zaprotestowałam.

- Nie - wzruszyłam ramionami. - Wszystko dobrze. A jak nekrologi? - Zmieniłam temat. - Jakiś ruch w interesie?

- Jo, ruch to zawsze jest, tylko akurat nie nasza półka.

- Jakieś młodziki poszli do piachu - dodała pani Jadzia.

- Siedemdziesiątki i sześćdziesiątki - wyjaśniła ciocia. - Zobacz. - Podsunęła mi gazetę pod nos. - Lat sześćdziesiąt

siedem, lat siedemdziesiąt trzy. Toż ja wtedy jak fryga biegałam.

- Wej - przytaknęła jej koleżanka.

Kiedy tak rozmawiałam ze staruszkami na temat wieku odpowiedniego, by przenosić się na tamten świat, do kuchni weszła Lusja. Przecierała zaspane oczy i spoglądała na nas z ciekawością. Potem zajrzała mi do kubka, by sprawdzić, co piję.

- Zrób sobie śniadanie - powiedziałam. - Bo ja zaraz do Gdańska jadę w sprawie bajek.

- Okej - odparła. - Wychodzę, bo się umówiłam z koleżanką. Dasz mi jakąś kasiorkę?

- Na co?

- Kupiłabym sobie coś do ubrania. Spodnie i bluzę. Kosmetyki mi się kończą. No wiesz.

- Trzy stówki wystarczą?

- Będzie ciężko, ale dobre i tyle - zażartowała.

Potem otworzyła drzwi do lodówki i stała tak dobre kilkanaście sekund, wpatrując się w jej zawartość. Na szczęście darowała sobie komentarz, że nie ma nic do jedzenia. Półki mogły się uginać, ale jeśli nie było ulubionego sera, to znaczy, że nic nie było.

- Dzieci mówili, że dziś przyjadą, więc czas gnaty ruszyć.

- Pani Jadzia podniosła się z krzesła.

Ciocia odprowadziła koleżankę do przedpokoju. Słyszałam, jak jeszcze chwilę plotkowały. Nawet zakłęły po kociewsku, a potem już tylko dotarł do mnie odgłos zamykanych drzwi i przekręconego zamka.

- To ciebie na obiedzie nie będzie? - spytała Zofia, kiedy wróciła do kuchni.

- Raczej nie. Nie wiem, o której wrócę - odparłam.

- A ty, Lusiu?

- Ja mogę zjeść na mieście, jak mi moja kochana mamusia ze dwie dyszki dołoży. - Uśmiechnęła się najpiękniej, jak umiała.

- Ciotka ci dołoży - odpowiedziała staruszka. - Raz mogę.

Pozartowałyśmy chwilę, obserwując, jak moja latorośl pochłania kanapki z serem, a potem każda poszła do swojego pokoju. Musiałam wziąć prysznic, bo nie wykąpałam się u Artura. Miałam wrażenie, że ciągle czuję jego zapach na sobie. Nie przeszkadzał mi, ale wolałam jechać na spotkanie z Jaromirem bez wspomnienia dzisiejszego poranka.

Stałam przed lustrem, by nałożyć makijaż. Odpowiednia dawka środków maskujących zmarszczki była obowiązkowa.

- Ożeż - jęknęłam, widząc nierówno odrastające brwi. Za chwilę będę miała całkiem niezłe krzaczory. Zajrzałam do kosmetyczki w poszukiwaniu pęsety. Przerzucałam jej zawartość, ale tego, co potrzebowałam, oczywiście nie było. - Lusiu! - Jeśli czegoś nie mogłam znaleźć, to sprawca nasuwał się sam. Pobiegałam do jej pokoju. Grzebała w szafie, a na łóżku piętrzył się niezły stos ubrań.

Stała w majtkach i koszulce, pewnie nie mogąc się zdecydować na odpowiednią stylówkę. Wyjście nastolatki do miasta to nie taka prosta sprawa. Nie można było się zdać na przypadkową garderobę. - Luśka! Masz moją pęsetę! - krzyknęłam.

- Nie mam.

- Masz, bo nie ma jej w mojej kosmetyczce. Na pewno wzięłaś. A ja się spieszę!

- To zobacz w pudełku. - Pokazała na komodę. - Tym zielonym z różyczkami.

Otworzyłam wieko. Było tu chyba wszystko! Kosmetyki, grzebienie, szczotka, spinki, gumki i nożyczki. Przekopywałam się przez różne przedmioty. Wreszcie znalazłam pęsetę. Jedną, a za chwilę drugą i trzecią!

- Proszę! - Wyciągnęłam do niej dłoń, na której prezentowały się zguby.

- A widzisz - odparła, uśmiechając się. - Musiały tu przyjść.

- Na twoich nóżkach - dodałam.

- Eee tam, po prostu to pęsety nomady. - Odwróciła się do mnie, pokazując mi szarą bluzę. - Myślisz? - Przyłożyła ją do siebie. - Pasuje do tych džinsów?

- Jasne - stwierdziłam fachowo. - Idealnie. Zabieram jedną pęsetę, a resztę ci tu odkładam. Już się wystraszyłam, że z krzaczorami na twarzy będę musiała jechać.

- Weź jedną na drogę - zarechotała. - Bo odrosną. Chwyciłam leżące na krześle džinsy i rzuciłam nimi w Lusię.

Uchyliła się zgrabnie. Spodnie uderzyły w szafę, a następnie spadły na podłogę.

- Zamorduję - zaśmiałam się.

- Też cię kocham.

- Dobra, lecę, bo nie dojadę na trzynastą.

Wróciłam do łazienki i dokończyłam pacykowanie. Brwi dopracowałam równiutko. Mogłam pokazać się ludziom. Nawet nie było widać, że skóra się zaczerwieniła, bo starannie to zatuszowałam.

Nałożyłam na powieki brązowy i beżowy cień. Jeszcze tylko machnięcie pędzlem i gotowe.

Spodni postanowiłam nie zmieniać. Uwielbiałam te z obniżonym krokiem. To był szczyt wygody i nie zamierzałam dzisiaj z niego rezygnować. Jutro będę się męczyć w eleganckim stroju. Wrzuciłam na siebie czarną koszulkę i zapinaną na zamek błękitną bluzę. Nie chciałam brać kurtki. Pogoda była ładna, więc mogłam śmiało wyjść w ulubionej kamizelce. Przecież dla Jaromira nie musiałam się stroić. Nie miałam zamiaru mu się podobać.

Wsiadłam do auta. Wpisałam w nawigację odpowiedni adres i ruszyłam. Wyjeżdżając ze Starogardu, wybrałam jeszcze numer jaśnie wielmożnego i krzyżąc do mikrofonu umieszczonego nad moją głową, poinformowałam go, że jadę.

Na autostradzie przycisnęłam mocniej pedał gazu. Mój nissan zamruczał z radością i popędził przed siebie, prawie rozkładając skrzydła. Jechało się przyjemnie. Nie było zbyt dużego ruchu, więc po pięćdziesięciu minutach wjeżdżałam już na osiedlowy parking zupełnie nieznanego mi blokowiska. Nawigacja tymczasem powtarzała uparcie, że jestem u celu.

Spojrzałam jeszcze raz na zapisany w telefonie numer bloku, klatki i mieszkania. Siedem d przez jedenaście. Okej. Gdzie ta siódemka? Rozejrzałam się. Naprzeciwko mnie była ósemka, obok z prawej dziewiątka, przeszłam więc kilka kroków w przeciwną stronę. Właściwy blok ujrzałam z daleka, cyfra wymalowana na elewacji granatowym kolorem jednoznacznie wskazywała na odpowiedni adres. Zgodnie z porządkiem alfabetycznym była to czwarta klatka od prawej. Odnalazłam na domofonie numer mieszkania Jaromira. Nie było tu żadnych nazwisk, pewnie ze względu na ochronę danych osobowych. Nikt się nie odezwał, ale urządzenie zamruczało, zapraszając mnie do środka.

Weszłam na trzecie piętro. Drzwi z jedenastką były uchylone, więc zapukałam i pchnęłam je przed siebie.

- Cześć! - zawołałam, bo w przedpokoju nikt mnie nie witał.

- Cześć! Wchodź - odpowiedział mi znajomy głos, a po chwili jego właściciel pojawił się przede mną. Wreszcie nie miał na sobie golfu i bluzy dresowej. Luźne džinsy i szara koszulka z wizerunkiem The Blues Brothers pasowały do niego idealnie. - Kawa czy herbata?

- Kawa - odpowiedziałam lekko zdziwiona, że od progu nie przywitały mnie złośliwe uwagi.

- Coś ci długo zeszło - stwierdził, jakby czytając w moich myślach. - Chyba jechałaś zółwim tempem. Z mlekiem? - dodał, trzymając w ręku karton. Kiwnęłam głową, więc nalał do kubka.

- To twoje mieszkanie?

- Mieszkanie to za dużo powiedziane - odparł. - Dziupła. Zapraszam do pokoju.

Weszliśmy do dość dużego pomieszczenia z minimalistycznym wystrojem. W oknach nie zawieszono firanek. Zastępowała je ciemna roleta odsłonięta do połowy. Pod oknem stał szary narożnik. Na nim leżał zmiętolony koc i dwie poduszki. Jaromir uwolnił dłonie od kubków z kawą, szybko zgarnął pościel i wrzucił ją za wersalkę. Muszę przyznać, że nie zdziwił mnie metodą sprzątania.

Przy narożniku znajdowała się ława. Na niej komputer, obok porozrzucane papierowe teczki. Dwie z nich leżały na podłodze. Czuć tu było twórczą atmosferę pracy. W pokoju oprócz jednego regału z książkami nie postawiono żadnego mebla na płyty czy bibeloty. Jaromir nie miał też telewizora. Białe ściany porażały sterylnością. Miałam wrażenie, że wszystko znalazło się tu po coś i przede wszystkim miało być funkcjonalne. Żadnych ozdóbek, zbędnych dekoracji, kwiatów, zdjęć i obrazów. A przecież to mieszkanie należało do wziętego grafika! Za to pod ścianą z lewej strony stały na podłodze obrazy. Tylko się tego domyślałam, bo wszystkie prostokątne płaskie przedmioty były starannie owinięte w szary papier.

- Siadaj.

Zrobiłam wolne miejsce na ławie bliżej siebie, by przestawić tu kubki. Przesunęłam teczki na bok. Komputera wolałam nie ruszać. Z artystami nigdy nic nie wiadomo. Gotów byłby mnie za to zrugać. Jednak on szybkim ruchem zamknął laptopa i odstawił go na wolną część narożnika, czym

mnie zdziwił, bo byłem pewna, że na ekranie będzie mi pokazywał swoje prace.

- Najpierw kawa - powiedział, rozwiewając moje wątpliwości.

Zapadła niezręczna cisza. Chwyciłam więc kubek w dłoń i upiłam odrobinę gorącego napoju. Jeszcze raz się rozejrzałam. W sumie nawet trudno było na czymś skupić uwagę, więc wpatrywałam się w książki ustawione na smętnym regale. Było tu sporo albumów i przewodników po historii malarstwa.

- A co ty dzisiaj taka bez energii?

- Wydaje ci się.

- Skrępowana jesteś? Siedzisz, jakbyś kijek połknęła - skomentował w swoim stylu, lecz nie dałam się sprowokować. Fakt jednak jest faktem, że niezręcznie się czułam, siedząc koło niego. Zdecydowanie za blisko. Czułam, że wkracza w moją intymną przestrzeń. Kto jak kto, ale Jaromir nie powinien tego robić. Dziwnym zbiegiem okoliczności we łbie zaczęły mi się odtwarzać sceny ze snu, w którym główną rolę zagrał właśnie Jaro. Zrobiło mi się dziwnie nieswojo, a w żołądku poczułam falę gorąca. Próbowałam to wrażenie odganiać, ale ono natrętnie powracało.

- Nie, czemu? - Wzruszyłam ramionami, udając beztroskę. - Ciekawe masz mieszkanie. Takie minimalistyczne.

- To kawalerka, w której nocuję, kiedy przyjeżdżam do syna. Kupiłem ją niedawno.

- Aha, i jeszcze się urządzasz - podsumowałam.

- Nie - zdziwił się. - Jest już urządzona. Chyba nie spodziewałaś się firanek z falbankami i obrusików w kwiatki?

- No właśnie tego się spodziewałam - odgryzłam się. - Słuchaj, może miejmy to już za sobą, zanim się znów pokłócimy, co? Pokaż mi te projekty.

- Czy my się kiedyś pokłóciliśmy?

- No nie, tak tylko się przytkamy słowami dla zabawy,
- Przytknąć to ja dopiero bym mógł.
- Rany, proszę cię! Ja nie mam dziś na to siły.
- A co? Doktorek nawalił? - Spojrzałam na niego morderczym wzrokiem. Podniósł ręce w poddańczym geście i zaśmiał się: - Dobra, dobra. Zobacz, co narysowałem.

Sięgnął po teczkę leżącą z jego strony. Otworzył ją, a przede mną pojawiły się bajeczne postaci. Jęczyduszka! Od razu poznałam. To rysunki z opowieści o jęczącej dziewczynce, której wyczerpał się zbiorniczek ze łzami. To jedna z pierwszych historii, które napisałam dla dziewczynek z hospicjum. Jaromir przekładał ilustracje. Coś do mnie mówił, ale nie słyszałam, bo w mojej wyobraźni te postaci nagle ożyły, rozmawiały i ruszały się.

- Ej. - Szturchnął mnie w ramię. - Zawiesiłaś się?
- Nieee, ale te rysunki są takie piękne! - powiedziałam z nieukrywaniem zachwytem.

- Serio? Wszystko ci odpowiada? - zdziwił się. - Jesteś mało wymagająca.

- No widzisz. Taka jestem. Biorę od losu, co daje.

- To błąd - odparł. - A teraz zobacz krowę Felicję.

Położył przede mną następną teczkę z kolorowymi ilustracjami. Zdziwiłam się, że wykonywał je na papierze, że nie pokazywał mi ich w komputerze. Ucieszyło mnie to, bo zupełnie inaczej odbierałam ilustracje w takiej właśnie wersji. Miałam wrażenie, że postaci żyły, uśmiechały się do mnie, jakby za chwilę miały wyskoczyć i hasać po pokoju! Nie mogłam wyjść z podziwu.

- Wspaniale!

- Nawiasem mówiąc, nieźle masz w tym łbie, że wymyślasz latające krowy i zbiorniczki ze łzami - zaśmiał się.

- I co? Masz jakieś uwagi? Coś poprawić czy idziemy w te klimaty?

- Idziemy. Podoba mi się.

- Tak myślałem. - Spojrzał na mnie wyraźnie zadowolony.

Miał małe oczy, opadające powieki i coś, co niepokoiło. Zakręciłam się nerwowo na siedzeniu, ale nie oderwałam wzroku, który nagle ześliznął się na jego wąskie i lekko spierzchnięte usta. Jaromir również przyglądał mi się z zainteresowaniem, błędząc wzrokiem po zakamarkach mojej twarzy. Zaszło mi w gardle. Czułam dziwny lęk, ale też jakąś ciekawość tego człowieka. Usta mu lekko drgnęły. Zahipnotyzował mnie tym ruchem. Nie mogłam oderwać wzroku i gdy lekko się nachylił, odniosłam wrażenie, że wszystko dzieje się w zwolnionym tempie. Nie uciekałam, gdy był coraz bliżej i bliżej.

- Tu jest jeszcze jedna teczka. - Wyciągnął kolejny zestaw zza moich pleców.

Drgnęłam. Wróciłam do rzeczywistości. O, ja głupia! Jaromir miał pełną kontrolę nad sytuacją. Wykrzywił się tym swoim cynicznym uśmieszkiem i pokazywał następne prace.

Dopiłam resztki kawy i odstawiłam kubek.

- Może wody? - zadrwił. - Nie myślałem, że się tak podniecisz.

- Nie przeginaj - parsknęłam. - Jestem pod wrażeniem rysunków.

- Cieszę się, choć szkoda, że tylko rysunków.

- A czego niby jeszcze? Może ciebie?

- Fajnie by było. To schlebiłoby każdemu facetowi.

- Nie byłabym tego taka pewna. - Nawet nie zauważyłam, kiedy nasza rozmowa zaczęła przypominać flirt. - Może wystarczy, że podobam się jednemu.

- Masz na myśli doktorka? Jesteś pewna, że to docenia? Bo mnie on wygląda na takiego, który przed twoim przyjściem chowa zdjęcia zmarłej żonki - zadrwił, a ja

poczułam bolesny skurcz w żołądku. Skąd on to wie? Od razu wyświetlił mi się obraz z dzisiejszego poranka. Szuflada, a w niej trzy zdjęcia ślubne. On i ona. Uśmiechnięci, szczęśliwi i zakochani. Schował je już dawno temu czy robił to przed moim przyjściem? Nie miałabym chyba nic przeciwko, gdyby stały na widoku, bo rozumiałam, że ją kochał, ale upchnięcie ich w szufladzie świadczyło o tym, że zrobił to pośpiesznie, jakby starał się coś ukryć... - Nie mów tylko, że zgadłem - rzucił nagle. - Aśka!

- Mylisz się! Jutro mam poznać jego rodziców. - Nie wiem, dlaczego to powiedziałam. Zabrzmiało, jakbym próbowała przekonać samą siebie, że wszystko jest tak, jak być powinno.

- O - odparł z przekąsem. - Czyli prezentacja stada. Wstałam. Może zareagowałam zbyt nerwowo, ale chciałam stąd wyjść, bo poczułam, że za chwilę się rozplacę przy człowieku, przy którym nie mogłam okazać słabości. To nie był facet, któremu można płakać w mankiet. Po pierwsze nie miał mankietów, a po drugie - wyśmiałby mnie, że jestem mazgaj.

- Muszę już iść - rzuciłam. - Rysunki genialne, ale po prostu muszę - powtarzałam nerwowo, a w gardle urosła mi gęsia skórka. Emocje tłumione od rana koniecznie chciały ze mnie wyleźć właśnie teraz, jakby nie widziały, że to nie najlepszy moment!

- Poczekaj - szarpnął mnie za ramię. - Dlaczego ty zawsze uciekasz? - Spojrzał mi prosto w oczy. Jego silny uścisk czułam na ramieniu. Parzył.

- Ja?

- Tak, ty.

Stałam tak, motając się w emocjach i nie wiedziałam, co powiedzieć. Dlaczego uciekam, kiedy zaczyna się dziać coś nie po mojej myśli? Dlaczego? Bo nie chcę znów wyć po

nocach z bólu, a za dnia udawać, że jestem silna, że dam radę? Lepiej uciec zawczasu.

- Nie uciekam - skłamałam. - Aha, słuchaj, zapomniałam - rzuciłam suchym tonem. - Mam do ciebie prośbę. Czy poszedłbyś ze mną do hospicjum i narysował portrety dwóch dziewczynek? Opiekuję się tam Mrówką i Pati. One są bardzo chore.

- Jezu - stęknął i puścił moje ramię. Wsadził dłonie do kieszeni i przybrał nonszalancką pozę. - Aśka, czy ja wyglądam na gościa z Monciaka, który maże portrety? W dodatku jakimś bachorom?

- Fakt - odpowiedziałam z wyraźnym cynizmem w głosie. - Nie wyglądasz. To cześć.

Ruszyłam do drzwi. Nie chciałam go już o nic więcej prosić. Był skończonym dupkiem i nic tego nie zmieni. Nie wiem, dlaczego choć przez chwilę przeszło przez ten mój łeb, że to tylko taka jego poza. Blubluś twierdził, że Jaro był w gruncie rzeczy wrażliwym człowiekiem. Gówno prawda. Chyba kompletnie nie znał się na ludziach, jeżeli zauważył w tym zadufanym w sobie dupku jakieś uczucia czy odrobinę empatii. Ten facet był idealnym przykładem bufona. W dodatku do kwadratu! A rysunki do moich bajek robił tylko ze względu na Piotra, po starej znajomości. Może miał jakiś niespłacony wobec niego dług. Nie wiem. I nie chcę tego wiedzieć!

Trzasnęłam drzwiami. To była moja kropka kończąca znajomość z tym panem. Nigdy więcej! Niech spada do tej swojej Warszawki albo zostaje w Gdańsku, tylko żeby moje oczy go więcej nie widziały.

Wściekła poszłam do samochodu. Tu też trzasnęłam drzwiami. Auto zadrzało od tego uderzenia. Dołożyłam jeszcze dłonią w kierownicę. Dupek! Pieprzony dupek! Znajdę kogoś, kto zgodzi się narysować portrety dziewczynek!

Wracalam do domu wkurzona na caly swiat. Zeby stlumic przekleństwa, jakimi ciskalam w mysłach, włączylam muzyke. Zagluszala wszystko. Poglosnilam maksymalnie. Rozbrzmiala Zaz. Niestety nie znam francuskiego, wiec nie bylo szans probowac nadazac za wokalistka. Si jamais j'oublie to jedyne slowa, ktore z trudem umialam z nia zaspiewac. Jednak Zaz zdecydowanie zlagodzila moja zlosc. Byla w tej muzyce pozytywna energia. Poruszalam palcami na kierownicy w odpowiednim rytmie. Potem dołączylam do tego glowe.

- O... oooo... oooooo! - Od razu lepiej!

Prowadzacy audycje wiedzial, jak dobrze mi robi, bo kiedy skonczyla sie ta piosenka, zabrzmiala nastepna w wykonaniu tej samej wokalistki. Znów można było zaśpiewać.

Niestety na dwóch kawałkach się skończyło. Potem już przekazywano ważne informacje. A te ważne nigdy nie były dobre, więc przełączyłam dalej. I tak od stacji do stacji, od piosenki do piosenki udało mi się dojechać do Starogardu.

Rozdział 17

- Luuusia! - wrzeszczałam u dołu schodów. - Idziesz?

- Co ty taka podminowana jesteś? - spytała ciocia, która cały czas uważnie mi się przyglądała.

Chodziłam z kąta w kąt, nerwowo spoglądając na zegarek. Zbliżało się południe i za chwilę miał tu być po nas Artur, a Luśka ciągle się grzebała.

- Chyba za stara jestem na ten cyrk z oficjalnym poznawaniem rodziców - westchnęłam.

Usiadłam koło cioci na krześle przy stole. Upiła łyk swojego cappuccinko i uważnie mi się przyjrzała. Miała bardzo przenikliwe spojrzenie. Poczułam niemalże, jak wwierca się we mnie i przechodzi aż do stóp.

- A tak naprawdę o co chodzi?

- Oj, ciociu, długo by opowiadać.

- Jadzia chyba dobrze go nazwała dupusiem, jo?

- Nie wiem - odparłam, wzruszając ramionami. - Czasami naprawdę nic nie wiem.

- Wieczorem musimy pogadać - zdecydowała. - A z tym figolasem Poniatowskim to jak jest?

- Z tym to jeszcze gorzej. - Uśmiechnęłam się. - Ten to jest dupek do kwadratu.

- A to urodzaj nam się zrobił. Jeden dupuś, drugi dupek, a trzeci pewnie będzie jak półdupেক z za krzaka - zażartowała.

- Na szczęście trzeciego nie ma.

- Jestem. - Usłyszałam za sobą głos Lusi. - Przyjechał już?

- Nie, ale pewnie zaraz będzie. Pokaż tylko, jak ty się ubrałaś.

Dokładnie przyjrzałam się Lusi. Nałożyła dziś czarną spódnicę do kostek. Założę się, że za chwilę na nogi wciśnie swoje ciężkie buciory. Na szczęście bluzkę wybrała elegancką z szarej koronki. Wyglądała trochę pogrzebowo, ale za to z

klasą. Raczej nie spodziewałam się, że założy różowy pulowerek, więc nie doznałam szoku. Makijaż miała nienaganny, delikatny, jak przystało na nastolatkę. Usta pociągnęła jasnym błyszczakiem. Na nosku nie prezentowała się żadna kropelka potu, co z jej strony pewnie wymagało nie lada wysiłku. Zawsze pociła się jej ta część twarzy. Niewielkie drobinki wilgoci zazwyczaj mieniły się w świetle, ale tym razem ich nie było. Nos został odpowiednio przypudrowany.

- Bardzo dobrze - podsumowałam. - A ja? Mogę tak? Wstałam, by zaprezentować się córce. Obróciłam się wokół własnej osi, o mało nie przewracając się w za wysokich szpilkach. Elegancka sukienka nie była najwygodniejszym elementem garderoby, ale dzisiaj nie wypadało inaczej. Chabrowy kolor pasował do mojej jasnej karnacji. Ponadto bardzo go lubiłam. Przynajmniej nie zlejemy się z Lusią w jedno, choć kusilo mnie, by nałożyć czarną kreację.

- Jeszcze srebrne kolczyki - stwierdziła fachowo Lusja. - Poczekaj, zaraz ci przyniosę. - Dwoma susami skoczyła do schodów i zniknęła u góry, by po chwili wrócić z parą ładnych, delikatnych ozdób. Wcisnęła mi je do ręki, więc szybko założyłam i podeszłam do lustra. Zwisające łańcuszki zakończone małymi cyrkoniami pięknie się prezentowały. Połyskiwały w świetle i doskonale odbijały się na tle ciemnych włosów i chabrowej sukienki.

Na widok Artura oniemiałam. Ubrał się jak na własne wesele. Włożył granatowy garnitur, jasną koszulę i różowo - fioletowy krawat. Pewnie nigdy bym takiego mu nie wybrała, ale to jego sprawa i jego rodzice. Nie miałam zamiaru ingerować w to, jak się nosił.

Dowód odebrał z urzędu już dawno temu, więc mógł sam o sobie decydować. Nie było potrzeby mu matkować.

- O, mortadello - szepnęła ciocia na jego widok, co idealnie podsumowywało moje myśli.

W trójkę prezentowaliśmy się jak szczury idące na otwarcie kanału. Jednak Artur najwyraźniej był wniebowzięty. Ekscytację miał wymalowaną na twarzy.

Wsiedliśmy wszyscy do jego samochodu i ruszyliśmy do Lubichowa - niewielkiej miejscowości pod Starogardem. Rozmowa się nam nie kleiła. Chyba każde z nas miało lekką trewę. Zależało mi, żeby jak najlepiej wypaść przed rodzicami Artura, a on pewnie chciał, by oni mnie zaakceptowali.

- Mam się bać? - spytałam trochę już zmęczona tą nienaturalną ciszą. Lusia oczywiście siedziała ze słuchawkami w uszach i kompletnie nie miała z nami kontaktu.

- Dlaczego? Moi rodzice są normalnymi ludźmi.

Od razu pomyślałam, że może pije do mojej matki i dodaje po cichu, że w przeciwieństwie do twoich. Jestem zbyt drażliwa i czepiam się słów. Wszystko przez jego ślubne fotografie wciśnięte w pośpiechu pomiędzy gacie i skarpety.

- Tak tylko pytam, bo mam trewę. Czym oni się zajmują?

- Tata był farmaceutą. Pracował w jednej z aptek w Gdańsku, prawie całe życie dojeżdżał do pracy ze Starogardu, ale kochał to, co robił, więc pewnie było to do zniesienia. Rodzice dopiero na emeryturze przeprowadzili się do Lubichowa. Nie znajdziesz tam mojego pokoju i starych pluszowych misiów. - Zaśmiał się. - A mama była kadrową w szpitalu wojewódzkim.

- O rany - wyrwało mi się. - Wszyscy związani ze służbą zdrowia.

- No, tak się złożyło.

- A chirurgiem to ty chciałeś zostać czy rodzice naciskali?

- To była moja decyzja. - Spojrzał na mnie zdziwiony. - Uwielbiam swoją pracę. Chociaż... - Zamyślił się na chwilę. - Był moment, że chciałem być mechanikiem.

- Czyli grzebanie we wnętrznościach cię zawsze pociągało - zażartowałam.

- Coś w tym jest. - Skręcił w prawo i wjechał w niewielką ulicę, przy której stały nowe domki jednorodzinne. - To ten z grafitowym dachem. - Wskazał przed siebie.

Podążyłam wzrokiem za jego palcem. Rysował się tam parterowy dom z jasnożółtą elewacją. Wjechaliśmy w otwartą na oścież bramę, a po chwili z domu wychyliła się męska głowa. Wywnioskowałam, że należąca do seniora. Artur zgasił silnik. Jego ojciec szedł już do nas z rozpostartymi ramionami.

- Nareszcie jesteście! - Przytulił syna, a potem spojrzał na mnie. - Cieszę się, że panią poznam, bo ten łobuz długo panią ukrywał.

- Proszę do mnie mówić Asia, bez pani. - Podałam mu dłoń. Uścisnął ją delikatnie. Miał ciepłe i suche palce. Podobnie jak Artur.

- O! - Po chwili z domu wyłoniła się kobieta. Korpulentna starsza pani przystąpiła do ściskania i całowania syna. Potem podeszła do mnie i natychmiast wzięła mnie w ramiona. Zesztywniałam pod tym dotykiem, bo wydał mi się zbyt wylewny i zbyt sztuczny.

- A to moja córka Lusia - przedstawiłam swoją latorośl, która z uśmiechem na twarzy przyglądała się temu cyrkowi. Niemalże od razu utonęła w ramionach kandydatki na moją teściową.

- Zapraszamy do środka! - Kobieta dyrygowała ruchem.

Weszliśmy do domu. Od progu uderzyła mnie niezwykła elegancja wnętrza. Podłoga wypucowana na wysoki połysk sprawiała wrażenie marmurowej. No, chyba że faktycznie był to marmur, a nie imitujące go kafle. W dużym pokoju, do którego zostaliśmy zaproszeni, również pod nogami mieliśmy jasny kamień. Robiło to niezwykle wrażenie. Na środku ustawiono stół, który mógł pomieścić dwanaście osób. Po lewej stronie od okna stały w podobnym stylu kanapa, dwa fotele i ława. W rogu za to dumnie prezentowała się witryna,

przez której szyby było widać drogie alkohole. Wnętrze urządzone zostało z przepychem, nowobogacko i mało przytulnie. Z góry prawie kapał kryształami ogromny żyrandol. Od razu spięłam się jeszcze bardziej, bo wiedziałam, że trudno w takim pomieszczeniu o ciepłą i kameralną atmosferę.

- Proszę siadać. - Pani domu wskazała nam miejsca przy pięknie zastawionym stole. Aż strach było cokolwiek ruszyć, by nie zniszczyć starannie wykonanej kompozycji. - Za chwilę Marianna poda nam obiad.

Spojrzałam pytająco na Artura. Ten tylko się uśmiechnął. Jaka, kurczę, Marianna?

Wszyscy zasiedliśmy do stołu. W pierwszej chwili nie wiedziałam, co zrobić z rękami. Ułożyłam więc dłonie na udach i pod obrusem nerwowo zaciskałam palce.

- Ma pani ładną córkę - wtrącił tata Artura.

- Dziękuję.

- Pani też jest niczego sobie - dodał. - Trochę podobna do naszej Bożenki.

- Stasiu - wtrąciła matka. - Nie zaczynaj.

- Oczywiście, Celinko.

- Słyszałam, że pochodzi pani z zachodniego krańca Polski.

- Tak - odparłam. - Na Kociewie przyjechałam opiekować się ciocią. I proszę mi mówić po imieniu.

- A gdzie pani pracuje? - Uparcie mi paniowała, a ja miałam wrażenie, że zależało jej, bym czuła dystans.

- Yyy - zająknęłam się. - Obecnie jeszcze nigdzie, ale...

- Jest pani bezrobotna? - spytała z pretensją w głosie, a potem wymownie spojrzała w stronę synka, który siedział uśmiechnięty jak prosię w deszcz i milczał, zostawiając mnie na pastwę swojej rodzinki.

- Mama jest w trakcie otwierania własnego biznesu - wtrąciła Lusia.

- Biznesu? To ciekawe. A wie pani, z czym się wiąże własny biznes?

- Moje dziecko! - Stanisław przerwał żonie. - To ciężki kawałek chleba. Prowadziłem przez wiele lat aptekę...

- O, jest obiad - odezwał się wreszcie mój męski obrońca.

- A ty, synku, ostatnio jakoś tak zmizerniałeś - zatroszczyła się mamuśka, kiedy do pokoju weszła, jak się domyśliłam, pani Marianna.

Kobieta postawiła dużą wazę na środku stołu. Podniosła pokrywkę i zanurzyła w niej łyżkę. Wzięła mój talerz jako pierwszy i naląła mi zupę. Po zapachu nie rozpoznałam, co to takiego, ale zapowiadało się dość przyjemnie. Nie wiedziałam tylko, czy zdołam coś przełknąć, bo żołądek zwinął mi się w rulon, a w gardle urosła wielka gęsia łuska. Bałam się też, że kiedy chwycę łyżkę w dłoń, nie będę mogła trafić nią do ust. Byłam tak zestresowana!

Waza na stole na szczęście odwróciła uwagę od mojej osoby. Lusia uśmiechała się do mnie porozumiewawczo. Miałam wrażenie, że bawi ją ta sytuacja.

- Proszę, jedzcie - zakomenderowała Celina. Na te słowa wszyscy chwyciliśmy za łyżki. - Częstujcie się ciepłą bagietką.

Na stole pojawiły się dwa niewielkie koszyki z kromkami jasnego pieczywa. Zanurzyłam łyżkę w zupie, bo ciekawa byłam, co nam ci nowobogaccy zaserwowali na powitanie. Wyłowiłam coś, co przypominało krewetkę. Ups! Ryzykowne. Mama Artura nie wiedziała, czy jadamy owoce morze. Na szczęście obie z Lusią nie gardziłyśmy takimi przysmakami. Być może pani domu nie zależało na tym, by się nam przypodobać.

- Co to za zupa? - spytała Lusia wprost.

- Rakowa - odparła Celina. Zauważyłam, że trzyma łyżkę bardzo dystyngowanie, jakby znajdowała się na królewskim przyjęciu. Kiedy mówiła, układała usta w dziubek, niczym nastolatka do selfi. - Marianna doskonale ją przyrządza, a Arturek uwielbia.

- Uwielbiasz, Arturku? - rzuciłam w jego stronę, bo nie mogłam się powstrzymać. Ten jednak niezrażony uśmiechnął się i kiwnął głową.

- Nie wiedziała pani, że lubi owoce morza?

- Nie, nie miałam okazji się o tym przekonać.

- Bożenka zawsze gotowała według moich przepisów - ciągnęła. - A jakie mięsa ona piekła! Palce lizać.

Spojrzałam na gospodynię. Miałam ochotę ją zamordować, ale uśmiechnęłam się, najpiękniej jak mogłam. A więc Bożenka... Ulubienica teściowej. I co ojciec Artura powiedział? Że jestem do niej trochę podobna? Pięknie.

- Musieli ją państwo bardzo lubić - zagałam, prowokując dalszą rozmowę. Czułam się jak masochistka, ale coś pchało mnie w ten temat. Może chciałam zobaczyć reakcję Artura? Sama nie wiem.

- Oj - zachwyciła się Celina. - To był kryształ, nie dziewczyna. I jaka inteligentna! Świeć, Panie, nad jej duszą.

- Mamo - upomniał ją Artur. Brawo! Nareszcie jakaś reakcja. - Chyba to nie jest najlepszy temat.

- Racja, choć Asia bardzo ją przypomina. Podobna jest do naszej synowej - wtrącił ojciec, a mnie zabolalo to „naszej”. Miałam wrażenie, że wyznaczają wyraźne granice, co nasze, a co wasze. - Opowiedz nam o sobie - zwrócił się do mnie. Zanotowałam w pamięci, że koniecznie muszę się przyjrzeć tej Bożence na zdjęciach, żeby sprawdzić, w czym ją przypominam.

- Hm - zamyśliłam się. - Chyba nie ma wiele do opowiadania. Przez kilkanaście lat pracowałam jako nauczycielka. Teraz zakładam kawiarnię.

- Asia opiekuje się dziećmi w hospicjum - wtrącił Artur.

- O, to się chwali, czyli jednak ma pani coś wspólnego ze służbą zdrowia.

- Mam. Mój narzeczony jest chirurgiem - zażartowałam.

Tymczasem przy stole zapadła cisza. Dwie pary oczu wpatrywały się we mnie przenikliwie. Ich właściciele sprawiali wrażenie, jakby wyruszyli na poszukiwanie własnych rozumów. Chwilę trwało, zanim je odnaleźli.

- Narzeczony? - spytała matka Artura i od razu spojrzała na syna. - Zaręczyłeś się i nic nie powiedziałaś rodzicom?

Ja też z ciekawością patrzyłam na niego, lecz on zawzięcie wiosłował łyżką w zupie, unikając kontaktu wzrokowego z kimkolwiek. Na jego usprawiedliwienie miałam to, że swojej matce też nie powiedziałam. Musiałam w duchu przyznać, że moja była bystrzejsza, bo jeden rzut oka na dłoń córki wystarczył. Celina nie skojarzyła, że pierścionek, którym błyskam po oczach, wymachując łyżką i wsuwając zupę rakową, pochodzi od jej synusia.

- Arturku - przypomniała, że czeka na odpowiedź. Odłożyła sztućce i swoim pięknie wymalowanym paznokietkiem wskazała na synalka. Ten wreszcie spojrzał na nią.

- Mamo, nie mamy z Asią po osiemnaście lat, by pytać o waszą zgodę - zaczął iść w te same klimaty, co ja przed swoją matką. Brawo. Powinien już wiedzieć, że to droga donikąd, bo mamusia nadal widziała w nim chłopca w krótkich spodenkach.

- Ale założę się, że jej matka - wskazała tym samym krwistoczerwonym paznokietkiem w moim kierunku,

równocześnie nagle z łatwością przechodząc na ty - wie! - dokończyła z wyrzutem.

- Owszem, ale dowiedziała się też po wszystkim - włączyłam się do dyskusji.

- A my jak zawsze na końcu! - Kobieta zachlipała. - Chwyciła serwetkę z kolan i przyłożyła jej róg do oka. Potem powtórzyła zabieg z drugiej strony twarzy. Robiła to starannie, by nie rozmazać makijażu. Miałam wrażenie, że był to gest praktykowany przez lata. Pan Stanisław od razu pochylił się nad małżonką i spytał, czy podać jej krople na uspokojenie. Ta jednak fuknęła, że na krwawiące serce matki nie ma lekarstwa.

Pięknie. Mogłyby zagrać razem z moją matką w jednym spektaklu. Każda zasłużyłaby na gromkie brawa publiczności.

Na szczęście w trakcie tego cyrku pani Marianna zabrała wazę i głębokie talerze, a na stole zaczęły pojawiać się nowe półmiski. Wjechała kaczka z jabłkiem i pieczeń obłożona plastrami pomarańczy. Po chwili kobieta postawiła obok ziemniaki i trzy salaterki z surówkami. Oczywiście były buraczki.

- Może się napijesz? - spytał Artur i wstał, by nalać do kieliszków wino stojące w otwartych butelkach. - Jakie chcesz, kochanie, czerwone czy białe? - zwrócił się do mnie. A że na trzeźwo trudno było to ogarnąć, chętnie podstawiłam lampkę i poprosiłam o czerwone.

Matka Artura zgubiła na chwilę naszą uwagę, więc można było zająć się jedzeniem. Im szybciej zakończymy posiłek, tym prędzej popędzimy do domu.

- Mają państwo ładny dom - wtrąciła całkiem nieźle ubawiona Lusia.

- Prawda? - zaczęła gospodyni. - Sama go urządzałam.

- Ma pani bardzo dobry gust. Te meble idealnie pasują do wnętrza.

Normalnie wazeliniarza wychowałam. Luscia podeszła kobietę całkiem sprytnie i nie dała jej wrócić do tematu zaręczyn. Zaczęła ją odpytywać z pomysłów na urządzenie domu, stylu mebli i doboru kwiatów. Okazało się, że pani Celina miała na tym punkcie bzika, więc odpłynęła w swój ulubiony temat. I kiedy tak dryfowała w oceanie samouwielbienia, mogliśmy spokojnie zjeść kaczkę. Co prawda nie było łatwo w tej atmosferze przełykać, ale Artur wyglądał na zadowolonego i sięgał właśnie po dokładkę.

- Pyszne, mamó - westchnął, klepiąc się po brzuchu.

- A pani Asia zjadła jak ptaszek - skomentowała gospodyni. - Nasza Bożenka to...

- Mamó! - przerwał jej Artur.

Spojrzałam na niego zdziwiona tą nagłą reakcją. Może wreszcie się obudził.

- Co mamó? - parsknęła, a potem z uśmiechem wytrenowanym pewnie na tę okazję spojrzała na mnie i dodała: - Proszę sobie rozebrać trochę tej kaczuszkę.

No, kurza twarz! Rozebrać kaczuszkę?! Rozbieram to ja doskonale, ale zdania pojedyncze i złożone. Mogę zrobić analizę logiczną i gramatyczną, jak kto woli. Miałam na talerzu kawałek piersi, więc co tu jeszcze rozbierać?

- Będzie deser? - wystrzelił z głupia frant mój obrońca.

- Oczywiście, synku - odpowiedziała kobieta łagodnym głosem. - Jest twoja ulubiona szarlotka.

Po chwili pani Marianna znów zmieniła dekorację na stole. Pojawienie się deseru zapowiadało, że obiad wkrótce dobiegnie końca. Zaczynałam już odliczać minuty do wyjścia. Uśmiechałam się jak głupi do sera, ale wcale nie było mi wesoło. Rozumiałam też, jak musiał się czuć Artur w obecności mojej matki. Jeżeli ja w przyszłości będę taką teściową, to pozwolę się córce odstrzelić. Tak się nie da żyć!

Alkohol lekko szumiał mi w głowie, ale dzięki temu sytuacja wydawała się bardziej znośna.

Spojrzałam na zegarek. Męczymy się przy wspólnym stole dziewięćdziesiąt sześć minut i trzydzieści dwie sekundy, a wydawało mi się, że minęły już wieki od momentu, kiedy przekroczyliśmy próg tej rezydencji. Niestety z przykrością stwierdzam, że za wysokie progi na moje skromne nogi, choć pewnie moja matka byłaby zachwycona i jeszcze bardziej kurczowo kazałaby mi się trzymać narzeczonego lekarza. Sama by pewnie zawisała u jego mankietu.

Na szczęście Artur wyczuł sztywność i nienaturalność tego spotkania i kiedy zmiótł z talerza dwa kawałki szarlotki oraz wyłopał kawę z delikatnej porcelany, zakomunikował rodzicom, że będziemy wracać do domów - każdy do swojego - bo miał wczoraj do późna dyżur i musi odpocząć. Mamusia na dźwięk słów „dyżur” i „odpocząć” zaczęła kiwać głową i robić miny pełne zrozumienia i współczucia dla ukochanego synka.

- Jeszcze tylko pokażę tej młodej damie naszą biblioteczkę - zwróciła się do syna. Oczywiście nie miała na myśli mnie, a moją latorośl, która dyskretnie puściła mi oko.

- Chętnie zobaczę - odparła Lusia i poszła za matką Artura. Miałam ochotę pójść za nimi, bo hasło „biblioteka” zadziało jak kość na Burka, ale widząc elegancki krok pani Celiny, zrezygnowałam. Nie pasowałam do tej kobiety, choć też miałam na sobie niczego sobie kieckę.

- Cieszę się, że cię poznaliśmy - powiedział gospodarz.

- Ja również.

- A ty, synu, wpadaj do nas częściej. Matka się ucieszy.

- Dobrze, ale sam wiesz, jak to jest od dyżuru do dyżuru.

Kiedy wreszcie Lusia wróciła ze zwiedzania biblioteki, mogliśmy zakończyć to żenujące spotkanie. Nie ma co ukrywać. Nie skradłam serc rodzicom Artura. Może Lusi

udało się zaskarbić sobie ich względy, ale ja nawaliłam na całej linii. Ponadto wychodziłam stąd z coraz większymi wątpliwościami. Miałam wrażenie, że Bożenka w ostatnich dniach została wskrzeszona i zaczęła żyć w mojej głowie, robiąc całkiem niezłe zamieszanie.

Wsiedliśmy do samochodu. Posłałam gospodarzom sztuczny uśmiech przez szybę. Artur pomachał i włączył silnik. Ruszyliśmy do domu. Można było odetchnąć. Miałam wrażenie, że sukienka zaczęła mnie dusić i uwierać!

- Ale masakra - zawołała Lusia. Artur się zaśmiał.

- No, moi rodzice są specyficzni - odpowiedział dyplomatycznie.

- Bardzo specyficzni - przytaknęłam. - Na szczęście nie tylko ja mam dziwną rodzinę.

- Polubili cię. Parsknęłam śmiechem.

- Chyba żartujesz. Twoja mama nie uważa, żebym dorastała do pięt Bożence, a twój tata po prostu starał się grzecznie zachować.

- Nie przesadzaj. Nie było tak źle.

- To chyba byliśmy na dwóch różnych obiadach. Przy okazji cię zapytam o coś, co nie daje mi spokoju. Dlaczego trzymasz zdjęcia ślubne w szufladzie ze skarpetami? Chowasz je przed moim przyjściem?

- Grzebałaś w mojej szufladzie?!

- Nie. Zajrzałam przez przypadek.

- Jak można zajrzeć komuś przez przypadek do szuflady? Otworzyła się na twój widok? - zaczął mnie atakować.

- Odpowiesz na pytanie?

- Nie, nie odpowiem, bo nie podoba mi się, że szperałaś w moich rzeczach.

- A masz coś do ukrycia?! Artur! - krzyknęłam. - Rozumiem więc, że przed moim przyjściem wrzucasz zmarłą żonę pomiędzy skarpety, a kiedy mnie nie ma, stawiasz ją na

widoku i całujesz czule w szybkę na dobranoc. Wytłumaczysz mi, po co ten cyrk?

- Nie chciałem cię urazić.

- Czym? Mówiłeś, że sprawa zmarłej żony jest poza tobą. Przecież nie każę ci jej wykreślać z życiorysu!

- Bo jest za mną!

- I żebyś mnie źle nie zrozumiał. Nie mam nic przeciwko twojej żonie. Po prostu wpadam w panikę, gdy widzę, że starasz się coś ukryć, bo ramki ze zdjęciami w szufladzie z bielizną świadczą o tym, że wrzuciłeś je tam w popłochu. Tylko nie wiem dlaczego. - Spojrzałam na niego wymownie, ale nie skomentowałam tego. Mrugnął kilka razy powiekami. - Twoja mamuska cały czas mnie porównywała do twojej żony. Ty szukasz we mnie Bożenki?! - Nie wytrzymałam. Łzy napłynęły mi do oczu. Byłam wściekła na Artura, na biedną nieżyjącą kobietę i na jego rodziców.

- Ups - szepnęła Lusja, jednak na tyle wyraźnie, żebyśmy to usłyszeli. - Pierwsza kłótnia kochanków.

Artur zacięcie milczał. Widziałam, jak zaciska dłonie na kierownicy. Aż kłykcie mu pobielwały. Był wściekły. Pewnie nie tak wyobrażał sobie zakończenie obiadu u rodziców.

- Wysadź nas koło mojego domu - powiedziałam dobitnie. Nie skomentował tego. Jechaliśmy w milczeniu. Lusja też się nie odzywała. Nie chciała prowokować awantury, bo że wisiała w powietrzu gęstym od wzajemnych pretensji, to było czuć na kilometr.

- Proszę bardzo - zakomunikował, kiedy podjechaliśmy przed dom cioci.

Wysiadłam, rzucając oschłe „cześć”. Nie było żadnego buziaka ani innych czułości. Byłam na niego wściekła. Potwierdził wszelkie obawy na temat stosunku do zmarłej żony. Gównie prawda, że sprawa rozliczona. Ciągle o niej myślał. Nawet mnie wybrał sobie na jej podobieństwo. Ale po

moim trupie. Nie będę zastępować żadnej kobiety. Nie jestem chińską podróbką!

Nie odwróciłam się za siebie, kiedy pchnęłam furtkę prowadzącą na posesję cioci. Słyszałam, że Artur odjeżdża z piskiem opon. No to pięknie zakończyliśmy ten dzień. Kątem oka uchwyciłam ruch za firanką w kuchni. Pewnie cioteczka nas zauważyła.

- Nieźle, co - bardziej stwierdziła niż zapytała Lusia, kiedy ściągałyśmy buty w przedpokoju.

- No - mruknęłam. - Klasyk w moim wykonaniu.

- Eee tam, mamó, wszystko się wyjaśni. Przecież ta Bożena nie żyje.

- No właśnie, a ja czuję jej oddech na plecach.

- Ale wiesz, że te zdjęcia jeszcze o niczym nie świadczą? W końcu byli małżeństwem.

- Wiem, ale słyszałaś jego mamuszkę? Bożenka to, Bożenka tamto, Bożenka sramto i owamto. Oni by chcieli, żebym była taka jak ona.

- No może trochę ta cała Celina przesadzała. - Trochę? - oburzyłam się. - To za mało powiedziane!

- Ale przyznaj, że ty też przeginasz.

Przeszłyśmy do kuchni. Ciocia myła kubeczek. Z pewnością słyszała, o czym rozmawiamy. Odwróciła się i spojrzała na mnie z przejęciem.

- I jak? Katastrofa?

- Jakbyś, ciociu, wiedziała.

- Pierwsza kłótnia - dorzuciła Lusia.

- O co poszło?

Usiadłam na krześle i podparłam brodę rękoma. Miałam dość.

- O Bożenkę - odparłam z sarkazmem. - O jego byłą, doskonałą żonę, która w dodatku nie żyje, więc urosła do rangi legendy, z którą nie mam szans się skonfrontować.

- Ależ po co się porównywać?

- No - zawahałam się. - Nie mam pojęcia, ale chyba powinnam walczyć, a z duchem walczyć się nie da.

- Po mojemu, Asiu, to wcale nie trzeba tu żadnej strategii. Tobie się chyba udzieliło od matki. Miłość to wojna, busz, trzeba wyposażyć się w broń i tak dalej, i tak dalej. A to tak nie działa. Jak człowiek kocha, to nie musi o nic walczyć.

- Oj, ciociu - westchnęłam. - To chyba nie jest takie proste. - Jest prostsze, niż ci się wydaje. Po prostu dupuś nie dla ciebie - podsumowała ze stoickim spokojem. Spojrzałam na nią zdziwiona. Lusia aż usiadła obok i też wpatrywała się w Zofię. - No tak - dodała jeszcze. - Naleweczki?

- Poproszę - odparłam. - O ile pani Jadzia nie wypić wszystkiego.

Ciocia podeszła do segmentu. Wyjęła nienapoczętą butelkę. Kolor wskazywał na jasne owoce. Jak zmieszam to z wypitym winem, to z pewnością zamienię się w panią Jadzię i spędzę noc nad kibelkiem. Na szczęście jeszcze nie miałam sztucznej szczęki, więc przynajmniej zostanie mi oszczędzony połów.

- Myślisz, ciociu, że Artur nie jest dla mamy? - zdziwiła się Lusia. - Ja tam go bardzo lubię.

- Tu lubienie nie ma nic do rzeczy. Ja też go lubię, ale nie o to chodzi.

- Ciociu, ale ja przecież dla niego się przeprowadziłam, rzuciłam pracę i sprzedałam mieszkanie!

- Nie dla niego, tylko dla siebie. - Ale...

- Nie ma ale. Bez chłopaka też można żyć. Przecież doskonale ci się udawało przez lata.

- Ale...

- Co ale? Aśka, czy ty nie widzisz, że sama szukasz pretekstu do tego, by skończyć ten związek?

- Ale ja nie chciałam i nie chcę kończyć! - odparłam, kompletnie nie rozumiejąc, co ta moja ciotka mówi. Pomieszania jakiegoś dostała czy jak?

- Mnie się to widzi inaczej. No, napij się naleweczki. - Podniosła swój kieliszek i gestem zachęciła mnie do tego samego. Wlałam do ust słodką i niezwykle mocną ciecz. Gęsta słodycz wypełniła mnie od środka. Zrobiło mi się gorąco w żołądku, jakby alkohol od razu spłynął głęboko do wnętrza. - O, mortadelo - westchnęła ciocia. - Co ja się z wami mam! Na stare lata chyba mi alkoholizm grozi. Jak nie różowa Jadźka, to złamane serce.

- Ale ja nie mam złamanego serca - jęknęłam. - To pierwsza sprzeczka i nie róbmy z tego pogrzebu.

- A mnie się to widzi inaczej - powtórzyła. - Wspomnisz słowa starej baby.

- Dobra, idę do siebie zrzucić tę kieckę. Bawcie się dobrze z nalewką - rzuciła Lusia i zniknęła za drzwiami prowadzącymi na górę.

Po chwili już pewnie nakładała słuchawki na uszy i uciekała w świat muzyki. My postanowiłyśmy jeszcze wypić po kieliszku tego słodkiego boskiego nektaru. Potem ciocia zakręci butelkę i schowa ją na gorsze czasy.

Rozdział 18

Liczyłam na to, że wieczorem Artur się przełamie i zadzwoni z przeprosinami. Nic takiego jednak nie miało miejsca. Stałam na stanowisku, że jakoś powinien to wyjaśnić. Jeżeli liczy, że ja pierwsza wyciągnę rękę, to się grubo myli. To nie ja mam trupa w szafie. Dosłownie i w przenośni. Uśmiechnęłam się do swojego spostrzeżenia. Wydało mi się zabawne, bo kto wie, czy Arturek nie chowa pomiędzy ubraniami urny z prochami. Gdyby to w Polsce było legalne, założę się, że na sto procent miałby ją w domu.

Spojrzałam na zegarek. Dochodziła jedenasta. Znów dzisiaj nie biegałam. Koniecznie muszę spotkać się z Piotrem i z nim pogadać. Teraz natomiast miałam plan, by pojechać do hospicjum, a potem czas najwyższy zobaczyć, jak wygląda ta rodzina zastępcza Arka. To też musiałam omówić z Blublusiem. I wtedy przyszło oświecenie! Przecież dzisiaj do kawiarni wchodzi ekipa remontowa!

Piotr odebrał po kilku sygnałach.

- Cześć - rzuciłam w słuchawkę. - I jak? Weszli dzisiaj z remontem?

- Tak. Rano. Przecież obiecałem, że pojedę im otworzyć. Przekazałem zapasowy klucz. Gdy będziesz miała chwilę, to podjedź do nich i jeszcze sama wytłumacz co i jak. Rysiek mówił, że rozumie, ale lepiej, jeżeli byś na chwilę tam wpadła.

- Dobra. Dziękuję ci pięknie. Potem cię normalnie ozłocę.

- Postawisz kawę i ciasto - odparł, chyba uśmiechając się do słuchawki.

Jeden normalny facet w tym towarzystwie! Westchnęłam, bo aż żal, że Piotr był ortodoksyjnym gejem zainteresowanym wyłącznie Sebą paradykującym zawsze w spodniach w kratkę.

- Okej, to lecę teraz, bo mam napięty plan. Buziaki. Pa. Wrzuciłam do torby telefon, zaraz za nim poleciały chusteczki higieniczne. Sprawdziłam, czy mam portfel i dokumenty od

samochoodu. Po kilku chwilach byłam gotowa do działania. To najlepszy sposób, by nie zadrećczać się głupotami. Ostatnio miałam całkiem niezły bilans, jeżeli chodzi o mylne wyobrażenia na temat facetów. Ja chyba po rozwodzie z durnym chłopem za długo byłam sama i zapomniałam, jacy oni są i jak się z nimi obchodzić. Niby się mówi, że w obsłudze prości od cepa, ale kto w dzisiejszych czasach miał w rękach cep? No, ja na pewno nie. Widziałam jedynie na obrazku, więc obsługa wymagałaby treningu. Na razie trenuję nieudolnie. Młóćę na oślep.

Zaparkowałam przed wejściem do kawiarni. Drzwi były uchylone, bo akurat budowlańcy wnosili narzędzia. Naliczyłam pięciu panów. Sporo, więc robota powinna iść szybko.

- Dzień dobry! - krzyknęłam. - Kto jest tu szefem?

- Tamten przy oknie. - Jeden z mężczyzn wskazał mi wysokiego bruneta. Podpierał się pod boki i najwyraźniej nad czymś rozmyślał, bo twarz miał bardzo skupioną. Podeszłam do niego. Wyciągnęłam rękę i przedstawiłam się.

- A to pani - stwierdził. - Ryszard Borkowski. Proszę mi jeszcze dokładnie powiedzieć, jak to ma finalnie wyglądać.

Oprowadziłam go po pomieszczeniach. Przedstawiłam swoją wizję wystroju wnętrza. Facet kiwał głową i co jakiś czas rzucał budowlanymi terminami. Kilka razy też stwierdził, że będzie trudno, ale coś wymyśli.

- Przygotuję na jutro umowę i wstępny kosztorys. Podam też wysokość zaliczki.

- Super. Jeżeli już nie jestem potrzebna, to pędzę dalej, bo mam dzisiaj napięty plan działania. Jak pan przewiduje, na kiedy wyrobicie się z robotą?

- Rozumiem, że zależy pani, by skończyć jak najszybciej. Myślę, że w miesiąc powinniśmy się uwinąć, ale wie pani, jak to jest. Może zdarzyć się obsuwa.

- Jasne. Piotr za pana ręczy głową, dlatego jestem spokojna. - Uśmiechnęłam się i podałam mu rękę na pożegnanie. Umówiliśmy się na jutro. Będę musiała więc wypłacić pieniądze, by zaliczkować remont. Wreszcie jednak poczułam wewnętrzną radość. Coś zaczyna się dziać. Bałam się, że stracę serce do tego miejsca, zanim cokolwiek w nim zrobię.

Wybiegłam z kawiarni, rzucając okiem na zegarek. Czas, czas! Zawsze ten czas. W dodatku w deficycie!

Wyjechałam z chodnika i szybko wbiłam się w uliczny ruch. Pognałam od razu do hospicjum. Musiałam pogadać z Arkiem i z dziewczynkami. Jego miałam zamiar jeszcze wypytać o Michała, a Mrówkę i Pati przeprosić za to, że na razie nici z portretów. Muszą poczekać, aż znajdę kogoś, kto zechce je namalować. Książę Poniatowski odmówił i niech spada na drzewo. Drugi raz go prosić nie będę!

Wpadłam do sali. Dziewczyny oczywiście leżały w swoich łóżkach. Mrówka miała dziś podłączoną kroplówkę. Serce zabiło mi mocniej na jej widok. To dziecko niknęło w oczach! Zrobiłam odpowiednią minę, by nie straszyć wyrazem twarzy. Przełknęłam ślinę, bo zaschło mi w gardle.

- Cześć! - zawołałam prawie radośnie. Niełatwo było z siebie wykrzesać odrobinę optymizmu. Dziewczynki na szczęście zareagowały bardzo żywo. Pati od razu usiadła na łóżku. Mrówka dźwignęła się z trudem. Wyglądała, jakby każdy ruch sprawiał jej ból.

- Super, że jesteś! - krzyknęła Patrycja. - Już nie mogłyśmy się ciebie doczekać!

- A co się stało? Tak się stęskniłyście? - Ucieszyłam się, że miały dobre humory.

- Zobacz! - Pati wychyliła się zza łóżka. Otworzyła szufladę szafki i wyciągnęła kartkę.

Zamurowało mnie.

- Skąd to masz?

- No jak to? - zdziwiła się. - Był ten malarz i nas narysował. Zobacz, ja wyglądam jak żywa, nie?

- Zgadza się. - Chwyliłam rysunek. Przedstawiał uśmiechniętą Patrycję. Faktycznie wyglądała dokładnie tak, jak w rzeczywistości. Tylko oczy miała większe, ale równie radosne jak w tej chwili.

- Ja też mam - jęknęła Mrówka. I już wyciągała do mnie rączkę wolną od kroplówki. Podeszłam i wzięłam jej portret. Piękny! Autorowi udało się ująć jej charakterystyczne rysy i to niezwykle spojrzenie.

- Był u was pan Jaromir Poniatowski? - spytałam, by się upewnić, choć doskonale znałam jego kreskę i nie miałam co do tego żadnych wątpliwości.

Dlaczego więc powiedział, że nie przyjdzie? Po co zgrywał takiego chama, a potem za moimi plecami zrobił to, o co prosiłam? Jeśli powiedział, że jest ode mnie, to nie miał problemu z ustaleniem, o które dziewczyny mi chodziło. Wszyscy tu wiedzieli, że Mrówka, Pati i Arek to moi podopieczni.

- Taaa - rzuciły chórem. - I jeszcze cukierki nam przyniósł. A, i kredki zostawił!

- To na pewno Jaromir? - Uśmiechałam się do nich, a te zdziwione przytakiwały.

Dziwny człowiek z tego faceta. Bardzo dziwny. Już nie wiedziałam, czy on cały czas się zgrywa, udaje cynika, a w gruncie rzeczy jest wrażliwym człowiekiem, czy chamstwo to jego cecha wrodzona. Kiedy byłam przy nim, niemiłosiernie mnie wkurzał. Potem okazywało się, że jednak robi coś dobrego. W dodatku zawsze po cichu, bez poklasku, jakby to było oznaką słabości, jakby się wstydził, że komuś pomógł. Dziwny, bardzo dziwny.

- Dziękujemy ci! - Dziewczynki przerwały moje rozmyślania.

- Nie ma za co. To nie moja zasługa.

- A wiesz, że ten Jaromir obiecał, że jeszcze raz przyjdzie i pokaże nam, jak rysować? Zobacz, zostawił nam takie kredki. To są suche pastele. Suche, bo można je tak fajowo rozcierać palcem po kartce.

- O, to dlatego macie upaprane kołdry!

Dziewczynki zdążyły już wypróbować kredki i przy okazji ubrudziły pościel. Usłyszałam, jak ogromny kamień z łoskotem spadł mi z serca. Nie musiałam przynosić przykrych wieści. Jaromir się spisał. Dziwnie to załatwił, ale ważne, że sprawił dziewczynkom radość i kolejny dzień udało im się zamalować na kolorowo.

- A wiecie może, co tam u Arka? - spytałam.

- Podobno dalej nie chce gadać - odpowiedziała Pati. - A z tobą rozmawia?

- Niewiele. Pójdę się z nim zobaczyć. Coś wam przynieść?

- Nie. Ja chyba zaraz zasnę - odparła Mrówka cichutko. Przymrużyła oczy, jakby ciążyły jej powieki.

Pogłaskałam ją po główce i ucałowałam w czoło.

- Śpij, kochanie.

- A jak twoja kawiarnia? - zainteresowała się Pati.

- Dzisiaj zaczyna się remont. Nie mogę się doczekać - odpowiedziałam ściszym głosem, by nie przeszkadzać Mrówce. - Będziecie musiały być moimi pierwszymi gośćmi.

- Super by było - pisnęła. - Tylko nie wiem, czy mnie do Warszawy nie wyślą.

- Jak wyślą, to i odeślą z powrotem - zażartowałam. - A u mnie macie zawsze dobry wyciskany soczek i ciacho.

- Zbankrutujesz.

- Spoko. Dam radę z trzema dziewczynkami.

- Z dwiema - szepnęła Mrówka. W pierwszej chwili miałam wrażenie, że się przesłyszałam, ale ona dodała cichutko: - Ja będę na was patrzeć z nieba.

Ścisnęło mnie w żołądku, kiedy to usłyszałam. Miała przymknięte powieki. Oddychała ciężko. Widziałam, jak unosiła się jej klatka piersiowa, a na twarzy wymalowany był dziwny rodzaj skupienia. Usiadłam obok i położyłam dłoń na jej paluszkach. Lekko drgnęły, ale nie otworzyła oczu.

- Nie mów tak, proszę. Będzie dobrze. Zobaczysz. Przecież nie na darmo Kociwiacy mówią, że to się da, nie? - Próbowałam zachować pogodny ton, co graniczyło niemalże z cudem, bo wewnątrz wszystko we mnie drżało, jakby za chwilę miało się rozsypać w drobny mak.

- Moja mama mówi, że trzeba się modlić do Anioła Stróża - rzuciła Pati.

- To dobry pomysł - podchwyciłam. - Modlitwa pomaga.

- Mój Anioł jest na urlopie - skomentowała Mrówka, ciągle leżąc z zamkniętymi oczami.

- Anioły nie mają urlopów. Zawsze się opiekują dziećmi.

- Mój mnie porzucił - jęknęła. - Ja to wiem.

Podniosłam do ust jej dłoń. Złożyłam na niej pocałunek. Poczułam chłód jej paluszków. Delikatnie odłożyłam je z powrotem na łóżko. Pogłaskałam. Szukałam w tych gestach ukojenia i spokoju. Przez twarz Mrówki przeszedł grymas bólu. Zacisnęła mocniej powieki.

- Pośpij sobie - wymamrotałam, bo nic innego nie przyszło mi do głowy. Kiwnęła lekko. Odczytałam to jako potwierdzenie. Położyłam jeszcze palec na ustach i pokazałam Pati, żeby była przez jakiś czas cicho. Niech Mrówka zaśnie. Pomachałam jej i na palcach skierowałam się do wyjścia. Za drzwiami odetchnęłam. Nigdy nie uporam się z emocjami, które towarzyszą mi podczas tych wizyt. A mimo to przeszłam

korytarzem do pokoju Arka. Okazało się, że w jego sali pojawił się nowy chłopiec.

- Cześć - powiedziałam od wejścia i podałam mu rękę.

Nie przyszło mi do zakutego łba, że chłopak może być unieruchomiony przez chorobę. Nie był w stanie odwzajemnić gestu, więc dotknęłam jego ramienia i wymieniłam swoje imię. Odpowiedział coś, czego nie zrozumiałam. Być może zareagował na „cześć”, a może też się przedstawił. Uśmiechnęłam się i podeszłam do Arka. Tu zauważyłam niezwykłą zmianę. Na jednej ze ścian, naprzeciwko jego twarzy, wisiał plakat Lechii. Chłopak utkwiał wzrok w zdjęciu drużyny. Mnie jakby nie widział.

- Chcę dzisiaj pojechać do twoich rodziców - powiedziałam, a jemu nie drgnął ani jeden mięsień twarzy. - Rozmawiałam z twoją mamą - dodałam i dopiero wtedy zauważyłam reakcję. Rzucił na mnie okiem, a potem znów wpatrywał się w zawodników Lechii. - Pogadasz ze mną czy mam wyjść?

Zapadła niezręczna cisza. Chłopiec na łóżku obok przyszedł z odsieczą i zaczął coś mrużyć. Wydawał z siebie nieartykułowane dźwięki. Zbliżyłam się więc do niego i spytałam, czy coś mu potrzeba. Pytanie było durne jak szlag, ale to jedyna rzecz, jaka przyszła mi do głowy. Miałam wrażenie, że próbuje coś powiedzieć, że wskazuje na coś wzrokiem.

- Chcesz się napić? - spytałam, spoglądając na butelkę wody znajdującą się na stoliku. Chwyciłam ją w dłonie. Chłopak jakby kiwnął głową. Jednak w tej chwili do pokoju weszła pielęgniarka.

- O, widzę, że poznała już pani naszego Kamilka. Podeszła do chłopca i wzięła ode mnie butelkę. Odstawiła ją z powrotem na stół. Podniosła lekko dziecko na pościeli i dopiero wtedy podała mu wodę przez rurkę.

- Asia. - Usłyszałam za sobą głos Arka. Usiadłam na krześle. Teraz ja milczałam. - Co mówiła mama?

- Że cię bardzo kocha - odparłam bez namysłu. - I nie wyjedzie?

- Pewnie wyjedzie. Ale wiesz, czasami tak jest, że trzeba coś zrobić dla siebie, bo inaczej człowiek się dusi i powoli umiera. Myślę, że twoja mama zasługuje na urlop.

- Urlop?

- Tak. Od dzieci też jest potrzebny urlop. Potraktuj to właśnie w ten sposób. Zawalcz o siebie, a mamie daj odpocząć. Jestem pewna, że wszystko się ułoży.

- Nie wierzę.

- Dlaczego jesteś takim niedowiarkiem? Daj życiu szansę.

- Ono mi nie daje - skwitował.

- Jak to nie? Masz wspaniałą rodzinę, brata...

- Co ty możesz wiedzieć.

Obejrzałam się na pielęgniarkę. Pewnie słuchała naszej rozmowy.

- Myślę, że trochę wiem - odpowiedziałam. - Sporo przeżyłam i nauczyłam się, że życie nie jest czarno - białe. Ma sporo odcieni szarości, ale i innych kolorów też. Trzeba tylko chcieć je zobaczyć.

- Ble, ble, ble, gadanie - skwitował.

- Może i ble - dodałam. - Masz prawo tak sądzić, choć wydaje mi się, że wcale tak nie myślisz. Widzisz nadzieję, dlatego mnie prosiłeś o rozmowę z mamą. A wiesz, że nadzieja ma swoją barwę i zapach?

- Co za brednie?

- Żadne brednie. Dla mnie nadzieja jest zielona i pachnie konwaliami.

- A mnie pachnie bzem - wtrąciła pielęgniarka.

- Babskie gadanie.

- Wcale nie babskie. Kamil potwierdza, prawda - dodała, a po chwili zwróciła się do chłopca. - Co mówisz? Że niebieska jest nadzieja? O, widzisz - powiedziała do Arka. - Według Kamila nadzieja jest niebieska i pachnie... - zawahała się, jakby odczytywała pomrukiwania chorego - i ma zapach skóry. Bo dobra piłka jest skórzana! - zawołała z tryumfem.

Arek lekko się uśmiechnął, ale szybko ukrył swoje zadowolenie. Na łóżku obok pomrukiwaniom i chrząknięciom nie było końca. Spojrzałam na Kamila. Jego twarz rozświetlała wewnętrzna radość. Sprawiał wrażenie bardzo ożywionego.

- Okej, to ja teraz lecę do Sumina - odparłam, wstając z krzesła. - A ty leż i nie rozrabiaj - zażartowałam. Potem stanęłam przed łóżkiem Kamila. Pielęgniarka poprawiała mu pościel. - Cieszę się, że mogłam cię poznać - powiedziałam do chłopca. Mrugnął powiekami, jakby potwierdzał, że jemu również było bardzo miło. Uśmiechnęłam się. - Do widzenia.

Jechałam do Sumina bez żadnego planu. Nie miałam pojęcia, jakim człowiekiem jest ten cały Wiktor. Nie uprzedziłam o mojej wizycie, więc równie dobrze mogłam go nie zastać. Mimo to jakaś wewnętrzna siła pchała mnie do tego domu. Chciałam pomóc Arkowi, porozmawiać z jego ojcem zastępczym i upewnić się, że sam da sobie radę z dziećmi. Doskonale wiedziałam, że nie mam do tego prawa, ale nie umiałam odpuścić. Przyciskałam gaz, by znaleźć się jak najszybciej na miejscu. Może wspólnie uda się nam coś zaradzić, o ile nie wywali mnie na zbity pysk za to, że wtrącam się w nie swoje sprawy. Była też jeszcze jedna rzecz, która nie dawała mi spokoju. Michał. Czy Kornelia celowo naopowiadała mi o nim przerażających historii, by pokazać, jak miała ciężko? Wiedziałam, że alkoholizm u nastolatków też się zdarza. Przez cały okres pracy w szkole tylko raz odkryłyśmy z pedagogką ucznia mającego problem z

alkoholem. Młodzi ludzie uzależniają się szybciej. A jak w domu wódka leje się niczym woda z kranu, to łatwo ulec pokusie. Na rauszu życie jest znośniejsze.

Przyglądałam się uważnie numerom domów. Wreszcie podjęłam decyzję, by zostawić auto na parkingu przed remizą strażacką. Obok znajdował się sklep spożywczy. Kupiłam w nim kilka czekolad, żeby nie iść do dzieciaków z pustą ręką, i wolnym krokiem ruszyłam wąskim chodnikiem.

Furtka była otwarta na oścież, więc weszłam na podwórko. Rozglądałam się wokół, czy czasem nie wyskoczy na mnie jakiś wiejski Burek, ale na szczęście nic w pobliżu nie czekało. Podeszłam do drzwi i nacisnęłam przycisk. Wewnątrz rozległ się piskliwy dźwięk. Serce biło mi w szybszym tempie. Czułam, jakbym za chwilę miała wejść na scenę i wygłosić wielką improwizację.

- Dzień dobry - powiedziałam na widok wysokiego bruneta przypominającego na pierwszy rzut oka zbójnika Rumcajsa z kreskówki oglądanej w dzieciństwie. Uśmiechnęłam się, by rozbroić jego marsową minę. Ciemny zarost skutecznie ukrywał twarz. Być może pod brodą i wąsami czał się niezły przystojniak.

- Dzień dobry - odparł z lekkim wahaniem w głosie.

- Pan Wiktor?

- Taaa.

- Mam na imię Joanna - przedstawiłam się szybko. - Jestem wolontariuszką w hospicjum. Odwiedzam tam pana syna.

- Aaa! - zawołał. - To o pani opowiadał Michał. Proszę wejść do środka. - Uchylił mocniej drzwi. Wtedy zauważyłam, że ma dłonie upaprane mąką.

- Przepraszam, że pana nachodzę, ale chciałam porozmawiać.

W tej chwili zza Wiktora wyjrzała na mnie para wielkich błękitnych oczu. Dziewczynka kurczowo trzymała się nogi mężczyzny i spoglądała na mnie wystraszona.

- Może niech pani wejdzie do środka. - Machnął dłonią, a w powietrzu uniosły się drobinki mącznego pyłu. - Umie pani robić knedle? - spytał nagle.

- Knedle?

- No, takie ze śliwkami. Bo ta mała księżniczka jadła kilka dni temu w przedszkolu i nie daje mi żyć. Moja mama jest akurat w sanatorium, więc nie może przybiec z odsieczą.

- Hm - zawahałam się. - Kiedyś robiłam, ale dawno temu.

- Dawno to i tak częściej niż ja, bo ja nigdy - roześmiałam się, a mnie od razu spodobał się ton jego głosu i sposób mówienia.

Dziewczynka podążała za nim krok w krok, trzymając go za spodnie. Na mnie spoglądała nieśmiało.

- Czy ma pan ugotowane ziemniaki?

- Tak, już nawet je przepuściłem przez praskę - odparł. - Zgodnie z instrukcją wujka Google.

- A śliwki wydrylowane? - Przejęłam dowodzenie w obcej kuchni.

- Drylują się - odparł i na chwilę zniknął mi z oczu. - Starszaki się męczą.

Zajrzałam do małej jadalni. Przy stole siedziało dwoje nastolatków.

- Dzień dobry - powiedziałam, dokładnie lustrując ich wzrokiem. Kiwnęli głowami.

- To jest Natalia i Mieszko, a ten owsik łażący za mną krok w krok to Julka. To pani... - zawahał się, szukając w pamięci mojego imienia.

- Aśka - podpowiedziałam, podając dzieciom czekolady. Wzięły je z wahaniem. Wiktor kiwnął głową, więc trochę śmielej chwyciły po tabliczce. Jedną dodatkową zostawiłam

na stole, bo kupowałam na oko, nie pamiętając, czy Michał mówił mi, ile jest tu dzieci.

- Dobra, to wy zagęszczajcie ruchy przy tych śliwkach, a pani Asia pomoże nam z tym piekielnym ciastem. - Skierował się do kuchni, a ja podążyłam za nim. Z daleka usłyszałam niewyraźny komentarz nastolatków. Nie był chyba oznaką sympatii.

Ściągnęłam wreszcie kurtkę i odwiesiłam ją na krzesło stojące przy ścianie. Kurczę! Jak to było z tymi cholernymi knedlami? Próbowałam w pamięci szukać jakiegoś przepisu. Problem jednak polegał na tym, że ja zawsze wszystko robiłam na oko. Było wielce prawdopodobne, że mogą się albo rozciapać podczas gotowania, albo będzie można ich używać jako piłeczek golfowych. Wszystko zależy od tego, ile mi się sypnie mąki.

- Gdzie ma pan te ziemniaki? - spytałam, rozglądając się bezradnie po kuchni.

- Wiktor jestem, bez pan.

- Okej, to gdzie masz ziemniaki?

Po chwili na stole pojawiła się miska wypełniona kartoflaną mazią. Wyglądało, jakby knedli miało wystarczyć dla pułku wojska.

- Co ci jeszcze podać?

- Mąkę i jajka, i chyba nic więcej. Ostrzegam, że nie biorę pełnej odpowiedzialności za ten eksperyment.

- Dobrze, oby tylko przypominały knedle - zaśmiał się. - Bo nasza księżniczka jest dziś bardzo smutna. Odszedł jej chomik i musimy jakoś poprawić małej damie humor. - Maznął dziewczynkę w nos. Od razu go zmarszczyła, prezentując ząbki. Nie odezwała się jednak ani słowem. Ciągle próbowała się chować za opiekunem.

Umyłam dokładnie dłonie. Ten nawyk skutecznie we mnie wypracowało hospicjum. Zawsze trzeba było dezynfekować

ręce. Pamiętam, jak na początku nie wolno mi było nawet dotykać pacjentów, dopiero kiedy podpisałam stosowną umowę, zapoznałam się ze wszystkimi zasadami, mogłam sobie pozwolić na bliższy kontakt z chorymi dziećmi.

Ciepła woda spływała po moich palcach, nie pozostawiając śladów brudu i mydła. Wytarłam je dokładnie w papierowy ręcznik stojący niedaleko zlewozmywaka.

- Spadłaś nam z nieba - powiedział Wiktor. Potem nachylił się nad Julką i wytarł jej nos. Dziewczynka ciągle milczała i z uwagą obserwowała każdy mój ruch.

- To się okaże - odparłam. Wbiłam do miski dwa jajka, wsypałam mąki na oko i zanurzyłam dłonie w kleistej masie. - Pomożesz mi lepić kulki? - zwróciłam się do dziewczynki, lecz ta od razu schowała głowę za zastępczego tatę.

- Julka potrzebuje czasu. Nie lubi obcych.

- No tak. Ja też nie lubię, jak się obcy ze mną spoufalają. - Uśmiechnęłam się przyjaźnie do dziewczynki.

No, niby prawda. Tylko co ja robię w kuchni tego faceta? Spoufalam się jak nic. Ale przecież jeśli dzieci są w potrzebie i pragną knedli, to nie wypada odmówić. Z całą siłą gniotłam ciasto, aż zaczęło przypominać jednolitą masę i przestało się lepić do rąk. Wiktor na chwilę wyszedł z kuchni. Za nim oczywiście poszła przyczepiona do jego nogi Julka. Z pokoju obok dochodziły jakieś głosy. Rozmawiał z nastolatkami.

- Nie będę jadł tych głupich knedli. - Dotarły do mnie strzępy rozmowy. To pewnie Mieszko. Nie wiedziałam tylko, czy nie będzie ich jadł ot tak, dla zasady, bo ja je lepię, czy może w ogóle nie lubi tego typu potraw.

Po kilku minutach do kuchni wrócił Wiktor. Wyglądał na lekko zdenerwowanego. Postawił na blacie miskę ze śliwkami. Julka wciąż była w tym samym miejscu. Przypominała glonojada przyklejonego do szyby.

- Przepraszam, ale od kiedy moja żona wyjechała, trudno mi to wszystko ogarnąć.

- Domyślam się. Rozmawiałam z nią - powiedziałam szczerze. - Wiesz, bo ja bardzo martwię się o Arka i na jego prośbę pozwoliłam sobie wtrącić się w wasze życie.

- Spoko. - Wzruszył ramionami. - Muszę pojechać do niego, bo dawno go nie odwiedzałem, ale nie mam z kim zostawić dzieci. Dopóki moja mama nie wróci i mi nie pomoże, dopóty jestem uziemiony. Mieszko jest w trudnym wieku, Julka, jak widzisz, jest moim cieniem. Natałka jeszcze zachowuje resztki zdrowego rozsądku - westchnął. - Dużo mi pomaga, ale nie tak to powinno funkcjonować. Jednak - powiedział to słowo, wyraźnie je akcentując - dajemy radę i nie pozwolę, by nasz dom się rozleciał. A w zasadzie co chciałaś osiągnąć, przychodząc tutaj? - Spojrzał na mnie.

Obsypałam mąką przygotowaną stolnicę. Umyłam dłonie. Przedłużałam trochę tę chwilę, bo nie znałam odpowiedzi na jego pytanie. Stałam odwrócona plecami do mężczyzny, którego bez zapowiedzi nachodziłam w jego domu. Okazało się to bardzo wygodne, bo nie trzeba było patrzeć mu prosto w oczy. Wreszcie przeszłam do stołu. Wyłożyłam kawałek ciasta i usiadłam na krześle, by zabrać się za lepienie kulek z nadzieniem śliwkowym.

- Nie wiem - odparłam szczerze. - Obiecałam Arkowi, więc jestem. Chciałam chyba zobaczyć, jak to jest...

- Co? Jak co jest?

- Nigdy nie widziałam, jak funkcjonują takie patchworkowe rodziny. Nie chcę, żeby to źle zabrzmiało - zaniepokoiłam się.

- Mam nadzieję, że nie przyjechałaś tu jak na wycieczkę do zoo - uśmiechnął się.

- Nie, przestań. Chciałam raczej zobaczyć, jak sobie radzicie. Może potrzebujecie pomocy czy jak? Michał martwi się o Arka.

- Tak myślałem, że jeszcze Michał za tym stoi. On już jest dorosły i może żyć po swojemu. Zarabia, uczy się, ale zawsze do nas przyjeżdża. Od czasu do czasu pomaga przy dzieciakach. Zmienił się, bo... wiesz, on... - zawahał się. - Nie był łatwym nastolatkiem. Dał nam nieźle w kość.

- Wiem, twoja żona mi powiedziała.

- No to widzisz, że nie jest łatwo. Ale ja je wszystkie kocham. Taki dom to moje marzenie, choć wiem, jak absurdalnie to brzmi. Zawsze chciałem pomagać. Może niepotrzebnie narzuciłem swój sposób życia Kornelii. Nie wiem.

Julka wychyliła się zza Wiktora i paluszkami wskazującym trąciła ulepioną przeze mnie kulkę. Udawałam, że tego nie widzę. Oderwałam kawałek ciasta i położyłam blisko niej. Dziewczynka od razu cofnęła dłoń. Jednak po kilku sekundach jej paluszki nieśmiało zbliżyły się do ziemniaczanej kulki. Nie reagowałam, robiąc swoje. Julka coraz odważniej dotykała ciasta, aż wreszcie zamknęła je w swojej dłoni i zaczęła ugniatać. W każdym razie wyraz jej twarzy się nie zmieniał. Ciągle była poważna, skupiona i zamknięta w sobie.

- Nie mogłeś tego przewidzieć.

- No nie. A ty od dawna jesteś wolontariuszką?

- Od ponad roku. Przyjechałam do Starogardu zaopiekować się ciocią i żeby nie oszaleć w domu, znalazłam sobie zajęcie.

- Mogłaś oglądać seriale.

- Chyba żartujesz. Ja muszę być w ruchu, ponadto lubię czuć się potrzebna.

- A jak Kociwie? Podoba ci się Starogard?

- Tak - odpowiedziałam bez wahania. - Chyba to, co najważniejsze, już widziałam. Sporo miejsc objechałam rowerem. Podziwiałam okoliczne łąki i jeziora, zachwyciłam się kamienicą Wiecherta, obejrzałam młyny, Biblię Gutenberga w Pelplinie, grodzisko w Owidzu.

- A zaangażowałaś się już w akcję ratowania młynów? - wszedł mi w słowo.

W mieście znajdowały się opuszczone dziewiętnastowieczne budynki, które z roku na rok podupadały. Dziwnym trafem co jakiś czas wybuchał tam pożar, który po kolei trawił zabudowania. Właściciele byli nieuchwytni, a włodarze bez prawa własności do nieruchomości oraz bez pieniędzy rozkładali bezradnie ręce. Walka mieszkańców o te zabytki przypominała dosłownie i w przenośni walkę z wiatrakami.

- Nie. Ja raczej z tych, którzy wolą ludzi ratować, choć doceniam wartość tego, co zostawili nam przodkowie.

- Czyli mamy wiele wspólnego.

- Wiesz, czasami mam wrażenie, że my za bardzo tkwimy w przeszłości. Ciągłe wspominy albo chwile świetności, albo nurzamy się w martyrologii. A gdy człowiek tak mocno zakorzenia się w tym, co było, to łatwo może przegapić przyszłość.

- Prawda. Rozumiem, że masz na myśli nie tylko wielką historię.

- Nie. Sama też tak przez jakiś czas żyłam. Rozpamiętywałam to, co było, a w tym czasie życie przeciekało mi między palcami. Nie warto. - Zamyśliłam się. - Ludzie chyba powinni być najważniejsi, a dzieci szczególnie.

- Racja.

- Taka filozofia dla kucharek, co? - Spojrzałam na niego. Wyglądał na rozbawionego.

- Bez kucharek życie byłoby nieznośne - zażartował. - A wiesz, że w tych starogardzkich młynach robiono najlepsze paluszki, jakie kiedykolwiek jadłem? - Uśmiechnął się sentymentalnie, ale po chwili zmienił temat: - A z czego się utrzymujesz? Bogaty mąż?

- Męża brak. Niedługo otwieram kawiarnię, a wcześniej byłam nauczycielką.

- Z powołania?

- Tak. Z powołania. Chyba tak - zastanowiłam się. - Jeżeli stajesz za biurkiem i czujesz się jak ryba w wodzie, chcesz nauczyć dzieciaki miłości do ojczystego języka, zarazić pasją, a po lekcjach wychodzisz ze szkoły tak podniecony, jakbyś wracał z randki, to chyba jest to powołanie. Jednak nie ukrywam, że po kilkunastu latach coś się we mnie wypaliło. Te wszystkie dokumenty, ewaluacje, sprawozdania, raporty zabijają ducha. Czasami miałam wrażenie, że stałam się wyrobnikiem.

- Wiem coś o tym. Pracowałem w szkole zaraz po studiach. Byłem pedagogiem. Chciałem zbawiać świat, tylko że ten świat nie chciał być zbawiony przeze mnie.

- Boże, ale smęcimy - powiedziałam.

Z drugiego pokoju zaczęły dochodzić jakieś krzyki.

- Natka! Mieszko! - zawołał Wiktor. Na chwilę ucichło, lecz zaraz znów zrobiło się głośno. - Niestety, muszę interweniować. - Wstał i zdecydowanym krokiem ruszył do pokoju obok. Julka wreszcie się od niego odkleiła. Być może nawet nie zauważyła, że jej opiekun wyszedł. Stała i jak zauroczona gniotła w rączkach ciasto. Nie chciałam jej spłoszyć, więc nie zaczęłam rozmowę.

- Żyją? - spytałam, kiedy mężczyzna wrócił do kuchni.

- To są łobuzy - westchnął. - Buntują się z powodu odejścia Kornelii, ale na pewno to ogarniemy.

- Wstawiaj wodę. Zaraz będzie można wrzucać knedle. Potrzebna nam jeszcze bułka tarta i masło, chyba że wolicie je zjeść ze śmietaną.

- Jest jedzenie? - zawołała dziewczęca główka, która wychyliła się zza futryny drzwi kuchennych.

- Zaraz będzie - rzucił Wiktor. - Możecie myć ręce i powoli siadać do stołu.

- To już chyba sobie poradzicie, co? - spytałam, odkładając na deskę ostatnią kulkę ze śliwką. Sporo tego wyszło. Z pewnością jeszcze nigdy nie ulepiłam takiej liczby knedli.

- Pewnie, że sobie poradzimy, ale skoro tyle dla nas zrobiłaś, to musisz zjeść z nami. Nie ma innej opcji. Masz dzieci?

- Mam córkę - odparłam. - Lusię.

- O, to weźmiesz dziecku tych knedli.

- Dziecko jest w internacie. Dziękuję, ale przyznam, że cioci, z którą mieszkam, mogę wziąć. Ucieszy się.

- Nie ma sprawy.

Pilnowałam, by obiad ugotował się, jak należy. Wiktor podsmażał bułkę tartą na maśle i polewał nią owocowe kule, które ja wykładałam na talerze. Dzieci czekały przy stole. Mieszko co chwilę wstawał z krzesła, biegał po jadalni, wydając dzikie okrzyki, i wracał na swoje miejsce. Gołym okiem było widać, że chłopiec ma ADHD.

- Pyszne! - krzyknęła Natalka, kiedy zjadła pierwszą kluchę.

- Cieszę się.

- Zapraszamy częściej. Nie, dzieciaki?

- Nie! - wrzasnął Mieszko i znów zrobił rundkę po pokoju.

Wiktor cierpliwym głosem zwrócił mu uwagę, więc chłopiec mruknął pod nosem coś, co mogło uchodzić za

przeprosiny, i wrócił do stołu. Po chwili znów brykał. Miałam ochotę przyznać Wiktorowi medal za opanowanie. Ani razu nie pokazał, że został wyprowadzony z równowagi. Normalnie anielska cierpliwość w męskim wydaniu.

Spojrzałam na zegarek i poderwałam się z krzesła jak oparzona.

- Późno już! Ale się zasiedziałam! Muszę lecieć. Miło było was poznać.

- Poczekaj, zapakuję ci trochę knedli dla cioci.

Gospodarz szybkim krokiem przeszedł do blatu przy kuchence. Włożył do plastikowego pojemniczka kilka knedli i po chwili wręczył mi wałówkę. Podziękowałam i szybko ruszyłam w stronę auta. Nie spodziewałam się, że spędzę tutaj aż tyle czasu! Kiedy jednak wychodziłam z tego domu przepojonego śliwkowo - maślanym aromatem, ukłuł mnie żal. Nie miałam czasu analizować tego wrażenia, odgoniłam je, zatrzasnąjąc za sobą drzwi. Chłodne powietrze od razu rozwiało zapach jesiennego obiadu.

Rozdział 19

- Ciociu, mam dla ciebie niespodziankę! - zawołałam.

- A co ty tak od progu krzyczysz jak potępieniec?

- Zobacz, co ci przyniosłam. - Postawiłam przed nią pojemnik z knedlami. Otworzyłam go, a Zofia prawie natychmiast zanurzyła nos w darowanym obiedzie. Spojrzała na mnie zdziwiona. - Knedle. Ze śliwkami.

- Po opakowaniu dedukuję, że nie kupiłaś - powiedziała. - Nie mów tylko, że to ta galameja Artur je lepił.

Na dźwięk imienia mojego narzeczonego coś mocno zakłuło mnie w środku. Przez chwilę o nim nie myślałam, a teraz żal wrócił i zagnieździł się we mnie na nowo. Ciocia chyba spostrzegła cień na mojej twarzy i machnęła ręką.

- Odgrzeję ci, co? - spytałam.

Nie czekając na odpowiedź, zaczęłam grzebać w szafce z garnkami.

- Kto te kluchy gniótł?

- Ja - odparłam z dumą. - Byłam u rodziny zastępczej jednego chłopca z hospicjum i akurat trafiłam na małą kuchenną awarię, więc zakasałam rękawy i nalepiłam knedli.

- Kluchy dobre na wszystko - westchnęła ciocia i już siedziała z widelcem w dłoni, czekając, aż jej nałożę na talerz. - Mam nadzieję, że nie będę tego jeść sama i że usiądziesz do stołu ze starą ciotką.

Westchnęłam, bo przecież nie byłam głodna, a mimo to zapach kusił. Może więc jeszcze jednego zmieszczę. Wiktor zapakował mi aż pięć, a tyle to cioteczka na pewno nie da rady pochłonąć.

Siedziałyśmy przy stole. Nad nami unosił się cudny aromat śliwek pomieszany z cynamonem, bo ciocia zażyczyła sobie właśnie tej przyprawy. Czuję się jak mała dziewczynka na wakacjach u babci, która dawniej specjalnie dla mnie lepiła pierogi z owocami. Dziadek się śmiał, że

gdyby nie ja, to pewnie nigdy by ich nie jadł, bo tylko dla niego babci nie chciało się babrać w mące.

- No i opowiadaj - zachęcała ciocia, zajadając ze smakiem knedle.

Wzruszyłam ramionami, bo przecież nie było o czym. Ponagliła mnie ruchem dłoni.

- Oj, ciociu, nie ma co gadać. Myślałam, że wszystko jasne, że przeprowadziłam się tutaj, że podjęłam decyzję, a teraz nie wiem, czy to było słuszne. Wiesz... - zawahałam się, a w gardle urosła mi gęsia skórka, która nie pozwoliła wydusić kolejnego słowa.

- Decyzja słuszna, tylko co do motywacji lekko się pomyliłaś - odparła zagadkowo. - Ja stara jestem, może na wielu rzeczach się nie znam, pewnie szczególnie na miłości, ale ja ci mówię, że dobrze będzie. W kościach to czuję.

- Ech - westchnęłam. - Ostatnio takie dylematy miałam ze dwadzieścia lat temu.

- Dzwoniłaś do niego?

- Do kogo? - zdziwiłam się.

- No do tego nieszczęsnego doktora, a do kogo innego?

- Nie i chyba nawet nie mam ochoty. Myślałam, że może on...

- Zadzwoń. Mądrzejszy musi ustąpić. Pogadaj z nim i już.

Tego wieczora jednak nie zdobyłam się na tak rozumianą mądrość. Spoglądałam od czasu do czasu na wyświetlacz, ale telefon uparcie milczał. A ja próbowałam bezskutecznie ubrać to wszystko w jakiś sens.

Rozdział 20

Pchnęłam ciężkie drzwi hospicjum. Pomimo że robiłam to kilka razy w tygodniu już od roku, to i tak miałam wrażenie, że przechodzę na drugą stronę lustra. Tu wszystko było inaczej. Ludzkie pragnienia ograniczały się do jednego marzenia, by żyć. Nieważne z kim, nieważne jak, ale by móc jeszcze oddychać powietrzem poza murami tego miejsca.

Łóżko Pati było puste, ale rozkopana pościel świadczyła o tym, że dziewczynka jest gdzieś w pobliżu. Przy Mrówce na krzeselku przycupnęła jej mama. Siedziała z torebką na kolanach, jakby zatrzymała się tu na chwilę i bała się, że zaraz coś ją spłoszy i będzie musiała wyjść. Przypominała Anioła Stróża z dziecięcego obrazka. Brakowało jej tylko skrzydeł. Wystarczał grymas bólu na twarzy córki, a kobieta podrywała się z miejsca niczym spłoszony motyl. Zawsze coś w ostatnim momencie ją zatrzymywało i nie uciekała. Z troską pochylała się nad ciałkiem swego dziecka, poprawiała brzeg pościeli, by zająć czymś ręce, a potem znów przycupnąć na brzegu krzesła w gotowości do lotu. Dłonie zbyt kurczowo zaciskały się dziś na torebce. Nie pozwalały się rozłożyć jak skrzydła i poddać powiewowi nadziei.

- Dzień dobry - przywitałam się tylko, bo nie chciałam im zabierać tych wspólnych chwil.

Odpowiedziało mi spojrzenie pani Ireny. Żaden mięsień twarzy Mrówki nie drgnął. Miałam wrażenie, że utonęłaby w pościeli, gdyby nie kotwica w postaci pompy do morfiny, która trzymała ją na powierzchni bólu. I gdyby nie mama, która od czasu do czasu z drzeniem dotykała jej drobnych paluszków. Jednak po chwili wracała do zaciskania dłoni na torebce, bo tu można było mocniej.

Kiedy cofałam się na korytarz, zauważyłam, że z daleka macha do mnie pani Ada. Najwyraźniej chciała, bym do niej przyszła. Minęłam po drodze lekarza rozmawiającego o czymś

z pielęgniarką. Przez chwilę miałam wrażenie, że wyławiam z tej dyskusji imię Mrówki. Mimo to przeszłam do pokoju pani Ady. Drzwi zostawiła uchylone. W pokoju znajdowała się młoda dziewczyna. Na oko może dwudziestokilkuletnia.

- To jest właśnie pani Asia, o której mówiłam - powiedziała, wskazując na mnie. - A to Matylda, studentka, która chciałaby zostać naszą wolontariuszką.

Podaliśmy kobiecie dłoń na powitanie i usiadłam obok.

- Matylda jest po półrocznym szkoleniu. Będzie wolontariuszką medyczną i chciałabym, żeby pani ją zapoznała z dziećmi - zwróciła się do mnie.

- Nie ma problemu - odparłam.

Z podziwem przyjrzałam się dziewczynie. Wolontariusze medyczni to dla mnie herosi. Nasze hospicjum jest niewielkie, ale i tak była to niezwykle ciężka praca. Lekarze i pielęgniarki to co innego. Oni są w pracy, zarabiają na życie i mają większą świadomość tego, co się dzieje z pacjentami. Potrafią ocenić szanse lub ich całkowity brak. A wolontariusz zawsze wierzy, że musi być dobrze. Czasami za bardzo się spala, ale walczy i szarpie się z losem, nie pozwala pacjentowi myśleć, że to koniec. W dodatku ci medyczni pomagają w pielęgnacji pacjentów. To chyba najtwardsi ludzie, jakich znam. Dziewczyna obok mnie wyglądała jednak na delikatną, nawet na trochę przestraszoną rolę, do której przygotowywała się pół roku.

- Widziała pani Mrówkę?

Kiwnęłam głową, a w myślach błagałam, by nie próbowała wyjaśniać mi, jak wygląda sytuacja dziewczynki. Nie! Nie! Nie! Nie chciałam tego słyszeć. Wstałam więc szybko i zwróciłam się do Matyldy.

- Idziemy? - spytałam. - Mówmy sobie po imieniu. Asia jestem. Chciałam, by swą świeżością zatrzymała mnie w mojej nadziei, by nie pozwoliła spaść na dno.

Pani Ada się uśmiechnęła, bo zrozumiała moją nerwową reakcję. Nie powiedziała ani słowa. Wyszliśmy na korytarz. Odetchnęłam. Uciekłam!

- Najpierw Arek i Kamil - powiedziałam.

W pokoju chłopców czas się zawiesił, tak jak Arek zawiesił wzrok na suficie. Tylko Kamil ożywił się na nasz widok.

- Cześć, chłopaki. Przyprowadziłam wam piękną młodą dziewczynę. Oto Matylda. Przystojniak pod oknem to Arek, a ten dżentelmen tutaj ma na imię Kamil.

Matylda założyła gumowe rękawiczki i podeszła do każdego z osobna. Przywitała się. Zauważyłam, że szybko weszła w rolę. Uśmiechała się do pacjentów i starała się nawiązać z nimi kontakt. Nawet Arek kilka razy coś do niej mruknął. Zachowywała się jak zawodowa pielęgniarka. Sprawdziła, czy Kamil nie ma pełnego woreczka na mocz. Opatuliła go pościelą i poprawiła poduszkę. Chwilę przyglądałam się jej profesjonalnym ruchom i zastanawiałam się nad swoim wolontariatem. Przychodziłam, gadałam, uczyłam, czytałam bajki. A może właśnie to za mało? Może powinnam robić to, co Matylda? W dodatku nigdy nie zakładałam rękawiczek. Myłam dokładnie dłonie przed wejściem i po wyjściu od chorych.

- Byłam wczoraj u twojego taty - powiedziałam do Arka.

- W domu wszystko w porządku. Nie musisz się martwić. Tęsknię za tobą.

Po policzku zaczęła spływać mu łza. Najpierw z lewej strony, a zaraz potem, jakby próbując nadażyć za siostrą, druga z prawej. Złapałam chłopca za dłoń. Uparcie milczał.

Spędziłyśmy tu zaledwie kilkanaście minut, następnie odwiedziłyśmy Mrówkę i Pati.

- Mam gościa - szepnęłam, widząc, że jedna z dziewczynek śpi. - Przyprowadziłam wam nową wolontariuszkę Matyldę.

- Też będzie pisać dla nas książki? - spytała Patrycja.

- Nie. - Studentka się zaśmiała. - Będę się wami opiekować, ale jeżeli będziecie chciały, mogę też poczytać.

- Asia - szepnęła dziewczynka. Nachyliłam się nad nią. - Boję się o Mrówkę. Bardzo się boję.

Położyłam jej dłoń na rączce. Pogłaskałam, dając sobie chwilę na powstrzymanie emocji.

- Ja też - odparłam cicho. - Ja też. - A jeśli ona...

- Trzeba być dobrej myśli - odparłam bez sensu. Doskonale wiedziałam, że w hospicjum to nie wystarczy. - Matylda też będzie nad nią czuwać. Przecież to się da, nie? - Słowa grzęzły mi w gardle. Spoglądałam na małą główkę spoczywającą w kolorowej pościeli. Kroplówka i pompa do morfiny zdominowały tło.

Wyszłam na korytarz. Usiadłam na ławce i próbowałam uspokoić oddech. Matylda pochyliła się nade mną.

- Nie możesz tak się związywać z pacjentami. Na szkoleniu przecież...

- Ja nie byłam na żadnym szkoleniu - weszłam jej w słowo. - Nic nie poradzę, że pokochałam te dziewczynki.

- Tak to ty się zaraz wykończysz.

Patrzyła na mnie przestraszonym wzrokiem. Pewnie zastanawiała się nad tym, gdzie podział się mój profesjonalizm. A on bujał się daleko stąd. I absolutnie za nim nie tęskniłam. Bolało jak skurczybyk! Miało prawo boleć. Nie chcę być automatem. Chcę czuć życie do samej podszewki, do dna, choćbym miała zatracić się w studni uczuć. Tylko nie wiem, jak długo dam radę.

- Poradzisz sobie sama? - spytałam, ocierając łzy. Musiałam wyjść na świeże powietrze.

Pożegnałam się z Matyldą i pojechałam do centrum miasta. Zostawiłam auto przy hali sportowej. Tuż obok znajdował się park, z którego miałam blisko do kawiarni. Chciałam się chwilę przejść. Niewiele osób mijałam na parkowych alejkach. Przy sąsiedniej ścieżce dostrzegłam dziewczynkę zbierającą liście. Babcia tłumaczyła jej, z jakich spadły drzew. Doszłam do posągu przedstawiającego Wierzyżankę - panią naszej rzeki. Przelewała wodę z dzbana. Zamarła zaklęta w brąz. Położyłam dłoń na chropawym kamieniu cokołu. Chłód przeniknął opuszki palców. Może czasami taki stan to błogosławieństwo? Patrzyłam na wielkie stopy kobiety i miałam nieodpartą chęć dotknąć jej dużych palców. Potem zrobiłam kilka kroków do tyłu, spojrzałam na jej twarz odlaną z brązu. Pożegnałam ją lekkim uśmiechem.

Szłam przed siebie alejkami wylanymi asfaltem. Gdzieś tam nabrzmiałe korzenie drzew spowodowały nierówności. Park żyłastymi ścieżkami prowadził mnie do mostu. Pode mną wiała się teraz rzeka, nad którą z pokorą pochylały swe głowy stare wierzby. Leniwy nurt wody unosił żółte listki. Oparłam łokcie o barierkę na moście. Spoglądałam przed siebie. Nie wiem, o czym myślałam. Po prostu wzrokiem sięgałam, jak tylko daleko się dało, do granicy drzew.

- Asia? - Usłyszałam za sobą dobrze znany głos.

Przymknęłam oczy. Na ramieniu poczułam dłoń. Powoli odwróciłam się i spojrzałam mu w oczy. Nie wiem, czy dostrzegłam skruchę, czy żal, czy tęsknotę za kimś, kto już nie wróci.

Rozdział 21

Pojechałam do Blublusia. Musiałam z nim pogadać. Z takim natłokiem wątpliwości każdy lgnie do przyjaciela. Olga była zdecydowanie za daleko, a rozmowa telefoniczna to nie to samo.

Weszłam do fundacji. Od razu skierowałam kroki do pokoju Piotra. Siedział sam przy biurku i coś czytał z uwagą.

- No cześć. Co tam? - spytał, tylko na chwilę odrywając wzrok od monitora.

- A nic - odparłam. - Sama nie wiem. Jestem załamana zdrowiem Mrówki.

- Przykro mi. Ada ci powiedziała?

- Nie. I nie chcę wiedzieć. Chcę jej pomóc. Przecież znów możemy zrobić jakąś akcję. - Złapałam się tej myśli.

- Aśka, sama wiesz, że to nie jest proste i nie chodzi o kasę. Przykro mi, ale takie rzeczy się zdarzają.

- Brzmi banalnie.

Spojrzał na mnie uważnie. Odsunął się lekko od komputera.

- Tylko mi się tu nie rozklejaj. Idąc do hospicjum, musiałaś brać takie ewentualności pod uwagę. Stąd jest tylko jedna droga, wiesz dokąd.

- Brałam, ale zanim poznałam dziewczynki. - Wytarłam łzę, która nie dała się powstrzymać zaciśnięciem powiek.

Piotr wyszedł zza biurka i mnie przytulił. Poczułam się bezpiecznie, kiedy zatopił mnie w ramionach. Pachniał bardzo znajomo. Chwilę tak trwaliśmy w uścisku, gdy nagle ktoś wszedł do środka.

- Ups.

Spojrzałam na nogi gościa. Kraciaste spodnie podsuwały mi na myśl tylko jedno imię. Nikt prócz Sebastiana nie nosił spodni a'la pan Kleks. Odsunęłam się od Piotra i podałam dłoń jego partnerowi.

- Przykro mi z powodu Mrówki - rzekł Sebastian, a ja poczułam, jakby ktoś kopnął mnie w żołądek.

Na chwilę zamilkliśmy. Słysząc było jedynie delikatny szum wentylatora w komputerze.

- A jak sprawa z doktorkiem? - Piotr zmienił temat. - Posuwa się? - Uśmiechnął się dwuznacznie.

- Posuwa i nie posuwa - westchnęłam. - Czasami mam wrażenie, że szuka we mnie Bożenki, swojej zmarłej żony. Pierwszą kłótnię mamy już za sobą. Szkoda słów. Nie wiem, co z tego wyniknie.

- To nie jest zły facet - stwierdził Seba.

- Wiem - rzuciłam bez przekonania. - Dobra, uciekam, bo smęczę, a muszę jeszcze pojechać w jedno miejsce.

- A jak rysunki Jaromira?

- O, dobrze, że przypominasz. Jeszcze i to powinnam ogarnąć. - Pomachałam im na pożegnanie i wyszłam z fundacji. Po chwili byłam w drodze do Sumina.

Weszłam na podwórko Wiktora. Gdzieś w oddali zaszczeakał pies. Przydusiłam przycisk dzwonka, ściskając w dłoni plastikowy pojemnik.

- Cześć - powiedział gospodarz lekko zdziwiony moim widokiem.

Zauważyłam, że na brodzie miał jakiś paproch. Ledwo się powstrzymałam, żeby go nie ściągnąć.

- Przywiozłam pojemnik. - Wyciągnęłam przed siebie jego własność.

- Aaa, nie trzeba było. Wejdz. Dzieciaki są w szkole. Jestem tylko z Julką. - Dopiero wtedy zauważyłam, że z za jego nogi wyłoniła się jasna główka dziewczynki.

- Cześć - powiedziałam do niej, a ona zniknęła za opiekunem.

- Napijesz się kawy?

- Chętnie. Wiesz, byłam dzisiaj u Arka i tak pomyślałam, że może gdybyś chciał któregoś dnia pojechać do niego, to mogę zaopiekować się dziećmi.

- Nie trzeba. Dam sobie radę - odparł, stawiając przede mną kubek. - Mleka?

- Poproszę.

Poczułam się lekko skrępowana, bo nagle trafiłam na dziwny chłód Wiktora. Zachowywał się zupełnie inaczej niż wczoraj.

- Nie chcę cię urazić, ale nie bardzo rozumiem, dlaczego tak się nami zainteresowałaś.

- Ja... - zawahałam się. - Nie wiem. Chciałam pomóc Arkowi. Mówiłam ci.

- Dzisiaj też jesteś tu z jego powodu?

- Dobrze - westchnęłam. - Rozszyfrowałeś mnie. Dzisiaj mam dołek. Błąkam się jak smród po gaciach, bujam się od jednej osoby do drugiej, szukając czegoś, sama nie wiem czego. Może odpowiedzi.

- Podobno jestem specjalistą od odpowiedzi na trudne pytania. Prawda, Julka? - zwrócił się do dziewczynki, która spłoszonym wzrokiem spojrzała na mnie. Dopiero po chwili kiwnęła główką.

- Na moje nie znasz. W hospicjum jest umierająca dziewczynka, z którą się zżyłam. - Pierwszy raz w powietrzu zabrzmiały słowa odarte ze złudnej nadziei. - Nie wiem, co robić.

- Pogodzić się? Pożegnać? Dać jej odejść?

- Nie umiem. Nie chcę się poddawać.

- Czasami trzeba skapitulować. Nie można trzymać kogoś na siłę i karmić wiarą w to, że będzie dobrze, bo doskonale wiesz, że nie będzie. Może pozwól sobie i tej dziewczynce pożegnać się w spokoju.

- Ale jak często można rezygnować? - szepnęłam. Doskonale wiedziałam, że Wiktor ma rację. Nie chciałam jednak o tym myśleć. - Dzisiaj już jedną białą flagę wywiesiłam.

- W sensie?

- Pogodziłam się z facetem - westchnęłam, bo zestawienie tych sytuacji wydało mi się niedorzeczne.

- To chyba dobrze. Długo jesteście razem? Opowiedziałam mu pokrótce o tym, jak się poznaliśmy i jak ostatnio się posprzeczailiśmy o głupotę. Potem wyrzuciłam z siebie te wszystkie obawy o to, czy nie jestem dla niego Bożenką. Wiktor słuchał, co jakiś czas tylko wtrącił słowo. Julka patrzyła na mnie tymi wielkimi oczami.

- W tej materii to ja głupszy jestem od ciebie - odparł. - Kornelia chce rozwodu - podsumował.

Poczułam się jak totalna idiotka. Idę do obcego faceta i opowiadam mu o swoich problemach, jakby on miał za mało własnych. Miałam ochotę kopnąć się w tyłek. Normalnie idiotka roku we własnej osobie.

- Przepraszam. I co zrobisz? - spytałam, bo przecież podczas naszej rozmowy Kornelia zarzekała się, że nie potrzebuje papierka potwierdzającego rozstanie.

- Nic. Poddam się - odparł.

- Ot tak? Bez walki?

- Nie ma już o co walczyć. Pozamiatane. Czasami to najlepsze rozwiązanie. Trzeba pozwolić odejść.

Przygnębiona jeszcze bardziej wróciłam do domu. Dopiero tutaj udało mi się przestać myśleć o problemach, bo na uliczce przed naszym wejściem stały jakieś niezidentyfikowane graty.

Jakby ktoś się do nas wprowadzał! Zostawiłam auto trochę dalej od domu i pobiegłam w kierunku furtki, by wyjaśnić, co zaszło. Dopiero wtedy zauważyłam, że na ganku siedzi trzech

staruszków. Ciocia Zosia, pani Jadzia i pan Marcyś. Żywo o czymś rozmawiają.

- Wej! Nareszcie jesteś! Ileż można być wyjechanym! - zawołała pani Jadzia, machając do mnie.

- Co się stało? - spytałam z przerażeniem, widząc graty przed domem i prawie całą ekipę specjalistów od egzorcyzmów.

- Zobacz, co my ci z Marcysiem natchali! - Wskazała na meble. Dopiero teraz przyjrzałam się stercie rupieci. Stoliki i krzeselka! Jakież kartony i mała komódka. - Do kawiarni!

- Super! - Ucieszyłam się chyba dziś po raz pierwszy. - Ale jak to tutaj przynieśliście? - Z przerażeniem spojrzałam na trzęsących się staruszków.

- Mój wnuk to przywiózł i wypakował, bo się spieszył do roboty - powiedział z dumą pan Marcyś.

- Czas to teraz pownosić - stwierdziłam.

- Zadzwoń po tego twojego galameję, niech potacha trochę, to mu głupoty z głowy wywietrzeją, a i odpowiednio to nam od razu posegreguje - wtrąciła ciocia i parsknęła śmiechem.

Potem wytłumaczyła swoim znajomym, jak to Artur meble na strychu „segregował”. Pani Jadzia skwitowała, że chirurg to chirurg, wiadoma sprawa. Porządek musi mieć.

Mnie od razu przed oczyma pojawiły się sztucce ułożone w równiutkim rządku. O tym jednak nie powiedziałam głośno.

Zadzwoiłam do niego. Niech to będzie przypieczętowanie naszej zgody.

Przyszedł piętnaście minut później i w milczeniu wnosił meble do piwnicy. Pan Marcyś komenderował jak dowódca w trakcie oblężenia. Strategię wnoszenia mebli miał opanowaną do perfekcji.

- Po wszystkim porywam cię do siebie - powiedział Artur.

Kiwnęłam głową, bo motyle nieśmiało zatrzepotały skrzydełkami. Chyba wciąż były obrażone na doktorka, choć delikatnie dawały o sobie znać. Będzie musiał je długo i namiętnie przywracać do życia.

Rozdział 22

- Jak było wczoraj? - spytała ciocia, kiedy obie krzątałyśmy się po kuchni.

- Dobrze - wzruszyłam ramionami, przypominając sobie prawie upojną noc. Prawie, bo miałam wrażenie, że Bożenka patrzyła na mnie z każdego kąta i szczyrzyła ironicznie zęby.

- Pogadaliście?

- Nie. Nie ma do czego wracać. Pewnie sobie to wszystko wyolbrzymiłam.

- Czyli wolałaś trupa zamknąć w szafie - odparła cioteczka, doskonale zdając sobie sprawę z tego, że zabrzmiało to dosłownie i w przenośni.

- Nie będę tam zaglądać i już.

- Pięknie. Tylko pamiętaj, że trup z czasem zacznie śmierdzieć.

- Wiem - westchnęłam. - Dolać ci mleka do kawy? - zmieniłam temat.

- Idę dzisiaj do lekarza - powiedziała ciocia. - Coś chyba sobie chcą pogrzebać w moich żyłach.

- Źle się czujesz, ciociu? - wystraszyłam się.

- Nie, ale ostatnio lekarka mówiła, że może za jakiś czas mnie położyć do szpitala i trochę przepcha.

Zaśmiałam się, bo zabrzmiało to dość oryginalnie w tym wieku.

- Żyły, tak? - dopytałam dla pewności.

- Ty się lepiej nie śmiej. Każdą starą rurkę trzeba od czasu do czasu udrożnić, nawet tę z krwią.

- Prawda - zachichotałam. - Mama coś dawno nie dzwoniła, nie? Obrażona na amen i sama nie wiem, czy powinnam się do niej odezwać, bo zaraz znów zaczną się pytania o magiczną datę. - Spojrzałam na swoją dłoń. Połyskiwał na niej pierścionek od Artura. Miałam wrażenie, że lekko mnie uwiera. Poprawiłam go dyskretnie, ale chyba i

tak nie udało mi się ukryć tego ruchu przed bystrym okiem cioteczki. Na szczęście nie skomentowała.

Ledwo usiadłam do stołu, gdy zadzwonił telefon. Spojrzałam na wyświetlacz. Jaromir. Jeszcze tylko tego dupka brakowało do kompletu.

- Cześć. Jesteś w domu? - spytał, ale nie dał mi dojść do słowa. - Zaraz po ciebie będę. Chcę ci pokazać wszystkie rysunki, ale musisz jechać ze mną do Gdańska. Jestem autem, więc cię zabiorę - wyrzucał z siebie słowa, nie bardzo przejmując się tym, co mam do powiedzenia.

- Dobrze - burknęłam, bo nie miałam siły z nim gadać, tłumaczyć, że nie, bo nie mam nastroju, albo odkładać to na kiedy indziej.

- Kto to? - spytała ciocia. - Bo minę masz niewyraźną.

- Księżę Poniatowski - rzuciłam.

- To niech Bóg ma cię w opiece. Do rozbiorów się szykuj.

- Zachichotała.

Spojrzałam zdziwiona jej poczuciem humoru, ale cioteczka wyglądała na tak zadowoloną, że wolałam nie pytać, co ma na myśli. Sięgnęła po gazetę i po chwili już przeglądała ulubione nekrologi, wzdychając co jakiś czas, że świat się kończy, jeżeli nawet sześćdziesięciolatek na tamtą stronę zabierają. Nie chciałam jej przypominać, że jakiś czas temu byłam na pogrzebie jednej z dziewczynek z hospicjum. Może takie rzeczy wypierała ze świadomości. Tak było zdecydowanie łatwiej wierzyć.

Rozdział 23

Jaromir pojawił się przed domem pół godziny później. Zaalarmował o swoim przybyciu dźwiękiem klaksonu. Cywilizowani ludzie raczej w tym celu używają dzwonka przy furtce, ale przecież Jaro był inny niż wszyscy. Lubił zwracać na siebie uwagę. Tym sposobem cała uliczka mogła się dowiedzieć o przybyciu jaśnie pana. Nie chciał też wejść do środka, tylko poganiał, że mam się spieszyć. Stał przy samochodzie w otwartych drzwiach i marudził pod nosem. Przyjrzałam się tej karykaturze faceta. Nie wyglądał jak artysta. Przerzedzone włosy zwichrzył wiatr, a spod rozpiętej kurtki wystawała bluza dresowa i oczywiście nieodłączny golf.

Wsiadłam do samochodu, zatrzasnąjąc drzwi zbyt głośno. Aż zadzwoniło w uszach. Jaromir nie omieszkał tego złośliwie skomentować. Dopiero potem przekręcił kluczyk w stacyjce i ruszył. Widziałam, że ciocia obserwuje nas przez okno. Pełna kontrola nad sytuacją. Dobrze, że chociaż nie wtrącała się jak mama.

- Gdzie jedziemy?
- Do mnie. Potem cię odwiozę.
- Nie spodziewałam się takiej wyprawy.
- Kiedy jechałem do Starogardu, to zapomniałem wziąć rysunki - odparł. - Zresztą mam je porozkładane po całej chałupie, bo chciałem, żeby mi się dobrze opatrzyły. Wiesz, to jak przymierzanie butów. Na pierwszy rzut oka nie masz pojęcia, czy nie będą uwierały.
- Rysunki cię uwierają? - zadrwiłam i miałam ochotę dorzucić coś złośliwego o owsikach w tyłku, ale powstrzymałam się od dodatkowego komentarza.
- Nie rysunki, tylko poszczególne elementy. Kiedy coś nie pasuje, to po jakimś czasie to zauważasz, bo cię denerwuje.
- To tak jak ja ciebie a ty mnie. - Doskonale rozumiem.

- Coś w tym stylu.

Wszedł ostro w zakręt. Złapałam się kokpitu, ale nie poprosiłam, by zwolnił. Na autostradzie też jechał jak wariat. Znosiłam to dzielnie. Nie miałam ochoty na żadne przepychanki. Spokój. Wyłącznie spokój może uratować ten dzień i następne tygodnie. Nie wiem, czy z tym wariatem za kierownicą to się uda. Wyprzedzał kierowców i komentował:

- W domu siedzieć, a nie po autostradzie się włóczyć! No, kurwa, wycieczkę krajoznawczą sobie zrobili!

A ja nic. Spokojnie patrzyłam przed siebie. Niech się Jaro wygada, wyładuje na innych, a potem pogadamy o rysunkach.

- A ty co? - Spojrzał na mnie. - Języka w gębie nie masz?

- Mam, ale sobie go oszczędzam.

- Okej, rozumiem, że nie tylko do gadania służy - zarechotał w swoim stylu.

Zrobiłam głęboki oddech i przełknęłam wszystkie słowa, które cisnęły się na usta. Oaza spokoju.

Jaromir zaparkował przed swoim blokiem. Weszliśmy do mieszkania. Odwiesiłam kurtkę na wieszak, ale nie ściągałam butów. Zauważyłam, że on zrobił dokładnie to samo. Miękkie kapciuszki do niego nie pasowały. Zdziwiłabym się, gdyby je miał.

- Kawa? - spytał.

- Może być - odparłam. - A masz mleko? - Mam.

Gdy przekroczyłam próg jego jedyne go pokoju, zamarłam. Wszędzie porozkładane były rysunki. Na podłodze, na szafce, na stoliku, na tapczanie i na parapecie. Stałam pośrodku na jakimś skrawku wolnej podłogi i zaczęłam się rozglądać. Zewsząd spoglądały na mnie baśniowe postacie. Była krowa Felicja i jej przyjaciel motylek. Tuż obok leżała seria rysunków z Jęczyduszką! Jakbym na chwilę znalazła się w swojej wyobraźni. Wyglądało to dokładnie tak jak w moich

myślach, jakby Jaromir to wszystko zobaczył moimi oczyma, a potem tylko przeniósł na papier i podbarwił.

- I jak? - spytał.

- Rewelacja. - Spojrzałam na niego i przez chwilę zastanawiałam się, jak to możliwe, żeby tak dokładnie odczytał te postacie. Zauważyłam, że marszczy czoło, a na nim oprócz poprzecznych bruzd pojawiło się pionowe wybrzuszenie. Jakaś żyła przecinała mu skórę prawie od nasady nosa. Po chwili znikła, a zmarszczki się wygładziły.

Jaromir też patrzył na mnie. Jego spojrzenie trącało jakąś niewidzialną strunę. Sięgnął dłonią do mojej twarzy, ale jakby w ostatniej chwili zmienił zamiar. Odgarnął mi kosmyk włosów z czoła. Drgnęłam pod wpływem tego dotyku. Odwróciłam oczy. Znowu spoglądałam na rysunki.

- Pozbieraj te z kanapy, to przyniosę kawę - powiedział, przerywając moje ośmieszenie. - Pod stolikiem leży teczka.

Wyszedł do kuchni, a ja wygrzebałam spod ławy plastikową okładkę. Otworzyłam ją i odruchowo zajrzałam do środka, bo były tam już jakieś prace. Wyciągnęłam pierwszy z brzegu rysunek. O, kurza twarz! Ręka mi zadrżała. Z lękiem rzuciłam okiem na drzwi, czy aby nie idzie Jaro, i przejrzałam kilka następnych prac. Potem szybko schowałam wszystkie arkusze i wrzuciłam je na półkę pod ławą. Zaczęłam nerwowo zbierać ilustracje do bajek z kanapy. Delikatnie, by ich nie pognieść, wkładałam do pustej teczki. Potem usiadłam jak gdyby nigdy nic i czekałam na kawę, choć miałam wrażenie, że serce za chwilę wyskoczy mi z klatki piersiowej. Dlaczego nigdy nie powiedział mi o tych rysunkach? Co jest z tym facetem?

- Czyli podobają ci się? - spytał, stawiając kubki na blacie.

- W tamtym coś mi nie pasuje. W tym z bocianem. Widzisz?

- Dla mnie jest dobrze - odparłam lekko zmieszana.
- Nie chciałabyś nic zmieniać?
- Nie - powiedziałam zdecydowanie i zanurzyłam usta w gorącej kawie. - Kurczę! - jęknęłam, kiedy sparzyłam sobie wargę.
- Gorące!
- Oparzyłaś się? - spytał i wyciągnął dłoń, jakby chciał dotknąć bolącego miejsca. Miałam wrażenie, że każdy jego ruch w moją stronę odbywał się w zwolnionym tempie, tworząc jakieś dziwne napięcie.
- Spoko - rzuciłam nerwowo. Wstałam z kanapy, by jeszcze raz obejrzeć rysunki. Po kolei brałam je do ręki. Chciałam znaleźć coś, co by mi się nie spodobało, bym mogła skrytykować, nakazać poprawkę, ale nie umiałam. Po prostu z rozdziawioną gębą podziwiałam talent Jaromira, choć w głębi duszy chciałam mu dopiec.
- Jeśli chcesz, to mogę ci dać ze dwa rysunki Starogardu do tej twojej niewydarzonej knajpy - powiedział.
- Chętnie - odparłam. - Choć knajpa, mam nadzieję, będzie wydarzona.
- Na pewno - zaśmiał się. - Ludzie już o niej gadają i pewnie przyjdą zobaczyć, czy wisielec nie jest tam główną atrakcją.
- Nie było żadnego wisielca.
- Wiem. Ale gawieź wierzy głęboko - sparafrazował Mickiewicza, czym, muszę przyznać, mnie ujął.
- No dobrze - westchnęłam, wracając na miejsce. Napiałam się kawy. Jej temperatura była już odpowiednia. - Czyli przyjechałam tu tylko na chwilę, by zobaczyć rysunki, i mogę wracać. Uwag nie mam żadnych. Są piękne. Mogę już jechać do domu?
- Nie musisz wracać. Jeśli chcesz, to pospacerujemy po plaży - zaproponował, a ja o mało się nie zakrztusiłam.

- Nie mów tylko, że proponujesz mi randkę. - Przed oczami od razu stanęły mi znalezione przed chwilą szkice.

- W życiu! Żadnych randek! Nie moje klimaty.

- Tak myślałam.

- Aśka, a ty nie za stara jesteś i za mądra na te wszystkie romantyczne głupoty? Randki? Po co? I tak wszystko kończy się wielką awanturą poprzedzoną kilkoma scenami łóżkowymi.

- No cały ty!

- Przynajmniej nie jestem hipokrytą. Wprost mówię, o co mi chodzi.

- A o co ci chodzi? O tę awanturę czy o sceny łóżkowe?

- Najczęściej tylko o tę przyjemniejszą część.

- Niewiele oczekujesz.

- W romantyczne dyrdymały nie wierzę. Całe to udawanie i strozenie piórek jest do luzu.

- A miłość?

- Miłość jest przereklamowana. Tak naprawdę każdemu chodzi o to, by na stare lata mieć kogoś, kto dupę podetrze albo poda leki. A to można sobie kupić.

- Nie wierzę - jęknęłam. - Jesteś cholernym egoistą, w dodatku tak cynicznym, że to przechodzi ludzkie pojęcie.

- Aśka, nie bądź hipokrytką. Przecież tobie chodzi o to samo.

- Nie! - Wstałam i przeszłam na środek pokoju. Zapraǳnęłam stąd wyjść. - Mnie chodzi o coś więcej! O dom! O to, by chciało mi się co rano wstawać, by pachniało świeżym chlebem, by słychać było śmiech, by słońce wpadało przez szyby!

- Ja pierdzielę - jęknął.

- Dobra, Jaromir, ja mam dość. Po co my w ogóle rozmawiamy? Wystarczyło, żebyś pokazał mi rysunki, i znikam.

- Nie znikaj. Lubię z tobą gadać.
- A mnie to irytuje!
- Przynajmniej iskrzy.
- Może nie tak... - zawahałam się, bo sama nie wiedziałam, co chciałam powiedzieć.

- Właśnie tak lubię. - Rozpostarł się wygodnie na kanapie i patrzył na mnie ze swoim durnym uśmiechem przyklejonym do facjaty.

- To w takim razie lubimy co innego. Idę.
- Poczekaj - poderwał się. - Odwiozę cię.
- Nie, dziękuję. Poradzę sobie.
- Przestań, wariatko. - Złapał mnie za ramię i przyciągnął do siebie.

Poczułam, jak jego usta wtapiają się w moje i żar taki nagle buchnął mi w żołądek, jakby ktoś wrzucił tam furę rozżarzonych węgli. Poddalam się temu pocałunkowi prawie bezwarunkowo. Czułam jego dłoń zaciskającą się na mojej głowie, chwytającą włosy, potem zwalniająca uścisk. Rejestrowałam każdy najmniejszy dotyk, kiedy nasze usta oddawały się czystemu szaleństwu.

- Jezu... - Oderwałam się od niego.
- No - rzucił z zadowoleniem, stawiając kropkę nad moimi wywodami. - Chodź, odwiozę cię.

Na miękkich nogach, cały czas milcząc, schodziłam po schodach. Próbowalam analizować to, co się stało, ale za cholere nie szło. Mózg się zawiesił i w nieskończoność postanowił odtwarzać scenę pocałunku. A kysz! Cholera jasna! Przecież Jaromir to egoistyczny dupek. A wersję z dupkiem już przerobiłam i nie chciałam powtórki!

Rozdział 24

- Olga? - zachlipałam w słuchawkę. - Olga, ratuj!
- Jezu, Aśka, co się dzieje? - spytała przerażona przyjaciółka.
- Nie wiem - odparłam i wysmarkałam nos w chusteczkę.
- Nie wiem. Głupia jestem jak but i tyle.
- Co ty znów narobiłaś?
- Pokiełbało się to wszystko - stęknęłam w słuchawkę. - Wszystko do dupy.
- Mów, ale tak, żebym rozumiała, i nie bełkocz.
- W skrócie wygląda to tak, że Artur widzi we mnie Bożenkę, a Jaro łaskę do przelecenia.
- Czy możesz jaśniej? Jaką Bożenkę znów? Zdradził cię twój chirurg?
- Nie, ale chyba sypia nie ze mną, lecz z Bożenką. Olga, on ma jej ubrania poutykane w szafie, w szufladzie zdjęcia ślubne! Ja nie wiem, czy ja jestem jeszcze Aśką dla niego czy już Bożenką. No nie wiem!
- A co ma do tego ten cały Jaro?
- Pocałował mnie - wyrwało mi się z jękiem.
- I?
- I nic.
- Ale tak cię pocałował, że po gębie dostał, czy może tak, że chcesz więcej? - zaśmiała się.
- To nie jest zabawne, Olga! Ja tyle lat po rozwodzie facetów goniłam. Normalnie prawie drogą cnoty kroczyłam, a teraz co? Rozpusta. Z jednym sypiam, z drugim się całuję, a trzeciemu kluski lepię - zaszlochałam.
- Jezu, Aśka, to jest jeszcze ktoś trzeci?
- No - burknęłam w telefon. - Ale z tym to żart. Jest dwóch. I ja nie wiem, co robić.
- Rozumiem więc, że pocałunek ci się podobał i Jaro po gębie nie zarobił.

- Nie, ale powinien, choć tak mi wszystkie członki zmiękły, a mózg się rozwodnił, że nie było szans.

- Ciekawe, czy jemu też tak zmiękło - zachichotała.

- Olga, jak ja mam o tym powiedzieć Arturowi?

- Arturowi? A po co?

- No a jak teraz? Jak ja mu spojrzę w twarz?

- Słuchaj, nic takiego się nie stało. Facet pewnie rzucił się na ciebie. Jeśli powiesz o tym Arturowi, to może się zrobić nieprzyjemnie. Po co to komplikować, jeśli jeszcze macie tę jego zmarłą żonę na tapecie?

- No mamy - westchnęłam. - Upchnęłam ją w szafie i nic to nie daje.

- Aśka, ty piłaś coś?

- Nie. Powinnam się dzisiaj narębać jak szpadel, ale nie mam z kim!

- Jechać z odsieczą? - Tak!

- Cwaniara. Teraz nie mogę. Szkoda, bo bym sobie z tobą mały resecik zrobiła. A jak kawiarnia?

- Remontuje się. Postępy widać. W dodatku formalności idą w miarę sprawnie.

- Na pewno dotrę na otwarcie - powiedziała. - A teraz muszę kończyć, bo mam stos zadań domowych do sprawdzenia. Arturowi nic nie mów. Zobaczysz, to wszystko się samo jakoś wyklaruje, tylko nie histeryzuj. A! I matce swojej nie mów.

- W życiu Warszawy! Ta już by jechała z wachlarzem pomysłów. Żadna siła jej nie powstrzyma, aby mnie przed ołtarz z doktorkiem poprowadzić.

Olga się rozłączyła, a ja nakryłam głowę poduszką i miałam ochotę wrzeszczeć. Jeszcze do tego te rysunki Jaromira nie dawały mi spokoju! Dlaczego on mi to robi?!

Rozdział 25

Od rozmowy z Olgą minęło kilka dni. Postanowiłam nie mówić Arturowi o incydencie z Jaromirem, bo właśnie tak miałam zamiar to potraktować. Nic nieznaczący epizod, który zadział się bez mojej woli, a jak nie mą woli, to nie ma winy. Takie pokrętne tłumaczenie przyjął na razie jako wystarczające. Nie wiedziałam, czy moje sumienie je zaakceptuje, ale spróbować było warto. Nie chciałam psuć relacji z Arturem, bo i tak zbyt duży cień na nią rzucała jego zmarła żona. Oczywiście o niej też nie rozmawialiśmy, a zdjęcia ślubne w szufladzie dalej tkwiły. Pewnego dnia, będąc u niego, nie mogłam się powstrzymać i sprawdziłam. Leżały jak gdyby nigdy nic, tyle że zostały odwrócone tak, by po otwarciu widać było tył oprawy. Jednak wiedziałam, że po drugiej stronie dalej stali uściśnięci ci sami państwo młodzi. Bożenka szczerzyła się zza grobu.

Znalazłam fotografię, na której była sama. Przyjrzałam się jej. Miała ciemne włosy i oczy, podobnie jak ja. Sylwetki miałyśmy jednakowe, być może wzrost również. Odtworzyłam w głowie słowa ojca Artura. Na pierwszy rzut oka faktycznie można było nas uznać za podobne, pomyślałam i szybko odłożyłam fotografię. Narzeczony na szczęście nie zauważył, że znów grzebię w jego szufladzie.

Sobota zaczęła się leniwie. Za oknem siąpiło, nie miałam więc ochoty na wyjście z domu. Siedziałyśmy we trzy w kuchni i popijałyśmy gorące kakao. Luscia opowiadała o szkole. Trajkotała jak najęta.

- Kochasz mnie, mamuś? - rzuciła ni stąd, ni zowąd, a potem obłapiła mnie za szyję.

- No pewnie. - Przytuliłam ją mocno. - Stęskniłam się za tobą. Tydzień poza domem to za długo.

- Poczekaj, aż pójde na studia.

- Weź dziecko na kolanka - zaśmiała się ciocia Zosia.

- A pewnie, co mi tam - odparłam zadowolona.

Lusia nie skorzystała z gościnności moich kolan. Stwierdziła, że to by była lekka przesada tak znęcać się nad matką.

- A jak, ciociu, twoje zdrowko? - spytała.

Staruszka podniosła głowę i spojrzała na nią, ważąc słowa. Dopiero po chwili kąciki jej ust uniosły się w uśmiechu.

- Dobrze. Przepchają mi żyły i trzeba będzie dalej ciągnąć ten wózek.

- Ciocia musi się zgłosić na trzy dni do szpitala - wtrąciłam. - Ale dopiero pod koniec października.

- To się da! - stwierdziła cioteczka i odstawiła na bok pusty już kubek. - A ciasto to dziś jakieś będzie?

- Coś wymyślę - odparłam. Najchętniej wypełniłabym dom jakimś maślano - waniliowym zapachem. A taki najlepiej oddawało drożdżowe.

Kiedy moje myśli pogalopowały w kierunku słodkości, zadzwonił telefon. Zdziwiłam się, gdy zauważyłam na wyświetlaczu imię pani Ady z hospicjum. Szybko odebrałam rozmowę.

- Pani Asiu, przepraszam, że przeszkadzam w sobotę, ale myślę, że chciałaby pani wiedzieć - zaczęła, a we mnie nagle wszystko się zatrzymało. - Mrówka.

- Nie - jęknęłam. - Proszę, nie.

- Chyba czas się pożegnać. Pewnie chciałaby panią zobaczyć. Rozłączyłam się. Tępo patrzyłam przed siebie. Nie mogłam wydusić słowa, a łyzy jedna za drugą pędziły po policzkach. Czułam ich słony smak w kącikach ust.

- Mamo! - Lusia zbliżyła się do mnie i położyła mi dłoń na ramieniu. - Co się stało?

- Mrówka odchodzi.

Rozdział 26

Dobrze znany zapach uderzył mnie na wejściu. Odruchowo przetarłam twarz, by stłumić niemiłe wrażenie. Lusia ledwo za mną nadążała, a ja chciałam jak najszybciej znaleźć się przy mojej podopiecznej. Jej łóżko zostało oddzielone. Spojrzałam, czy jest Pati, ale pościel dziewczynki równo zaścielono. Przy Mrówce siedzieli jej rodzice. Oboje trzymali córkę za dłoń i płakali.

Usiadłam koło Lusi na krzeselku w korytarzu. Naprzeciwko nas stała jakaś dziewczynka ubrana w czerwoną kurtkę. Wyglądała na przestraszoną. Już ją tutaj widywałam, ale nie potrafiłam sobie przypomnieć z kim.

- I co teraz? - spytała Lusia.

Bezradnie wzruszyłam ramionami. Dopiero po kilku minutach rodzice Mrówki wyszli z sali. Mężczyzna podtrzymywał szczupłą żonę, która ledwo trzymała się na nogach. Od razu podbiegła do nich dziewczynka z naprzeciwka. Więc to jest młodsza siostra Mrówki. Dopiero teraz skojarzyłam ich podobieństwo. Rozejrzałam się, czy w korytarzu nie ma ich starszego brata.

- Mogę? - zagadnęłam, wskazując głową na drzwi do pokoju.

Odpowiedział mi szloch. Minęłam rodziców umierającej i weszłam do środka. W powietrzu unosił się dziwny zapach, inny niż zwykle. Budził strach. Dławił oddech. Przysiadłam na krzeselku. Teraz ja pewnie sprawiałam wrażenie motyla, który przycupnął jedynie na chwilę, a zaraz z lękiem poderwie się i ucieknie do innego życia, rozbijając na kawałki taflę lustra oddzielającego dwa różne światy. Dotknęłam chłodnej dłoni Mrówki. Miała zamknięte oczy. Kołdra na jej drobniutkiej piersi prawie wcale się nie unosiła. Jej oddech był niedostrzegalny.

- Jesteś? - szepnęłam, a łzy poleciały ciurkiem. - To ja, Asia. Mrówko, kochanie. Moje czarne słoneczko o złamanych promieniach - powiedziałam, używając metafory Herberta, która od razu spotęgowała płacz. Starłam się całą siłą woli stłumić łzy. Chciałam się pożegnać z dziewczynką, ale nie wiedziałam jak. Co powiedzieć komuś, kto wyrusza w podróż po kres? Podniosłam jej kościstą dłoń do ust. Pocałowałam chłodne paluszki. Miałam wrażenie, że jakiś niewielki mięsień drgnął w jej twarzy. - Będzie mi ciebie bardzo brakowało. Na zawsze będziesz w moim sercu. Na zawsze. Słoneczko moje.

- Ma... - Usłyszałam tak cichy głos, że od razu spojrzałam na wargi dziewczynki, by upewnić się, czy to ona.

Poczułam na ramieniu lekką dłoń. Odwróciłam się. Stała za mną mama Mrówki.

- Jestem, córciu, jestem. - Pocałowała ją w główkę. Zaczęła poprawiać poduszkę, jakby to coś miało zmienić. - Nie odchódź, proszę cię. Skarbie, jestem, słyszysz? Mamusia jest przy tobie. Jest też tatuś i Anulka. Kochamy cię tak mocno. - Dotknęła jej twarzy. Nagle wydała z siebie potworny krzyk. - Jej jest zimno! Nie rusza się! Przykryjcie ją! Ma chłodne czoło, ma tak bardzo chłodne czoło! - zaczęła powtarzać i rozglądać się wokół. - Niech pani coś zrobi!

Złapała mnie za rękę. Całą siłą wbiła we mnie palce. Poczułam, jak drżała. Jakby za chwilę miała rozsypać się w proch. Chwyciłam ją w ramiona. Przytuliłam. Wtedy jej słowa ugrzęzły w gardle i rozległ się jeszcze potworniejszy płacz. Zabiorę go ze sobą na drugą stronę lustra, do mojego świata pełnego banalnych pytań.

Po chwili mąż kobiety przejął ją w swoje ramiona. Matczyny szloch uzupełniło męskie łkanie.

Do sali wszedł lekarz w asyście pielęgniarki.

- Przykro mi - powiedział krótko i lakonicznie. On pewnie już dawno nie miał złudzeń.

Mama Mrówki opadła na krzesło. Zawyla tak przeraźliwie, że pewnie jej krzyk razem z głosami innych matek długo będzie odbijał się od ścian hospicjum. Płakała. Płakał jej mąż. A przy nich młodsza córka, szlochając, powtarzała:

- Mamusiu, nie płacz. Mamusiu, nie płacz. Mamusiu! Mamusiu!

Pielęgniarka dyskretnie ocierała łzę.

W tym morzu rozpaczy Mrówka płynęła na drugi brzeg.

Patrzyłam na trzęsącą się w spazmach płaczu matkę. Niemal fizycznie odczuwałam jej ból. Miałam wrażenie, że pępowina łącząca ją z dzieckiem ostatecznie została odcięta. W powietrzu jakby brzdęknęła stal.

Pielęgniarka zapalała gromnicę na stoliku. Płomień świecy dusił ostatni żar życia.

W drzwiach zauważyłam Matyldę. Kiwnęła mi na powitanie. Miała spokojną twarz, zrównoważone współczucie malowało się na niej jasnymi kolorami. Zauważyłam, że na dłoniach miała lateksowe rękawiczki. Była przygotowana do pracy. Czekala, aż wyjdziemy.

- Gdzie jest Patrycja? - zapytałam panią Adę, która nie wiadomo kiedy pojawiła się między nami.

- Zabrali ją wczoraj w południe do Warszawy - odparła. - Wie?

- Nie.

Zapłakałam.

Szpilka pewnie też nie wie. Zżyły się ze sobą, miały wspólne marzenia, leżały przez wiele miesięcy w jednej sali. Śmiały się, cierpiały, oddychały tym samym bólem, wierząc, że uda im się wyrwać chorobie. Pokochałam je całym sercem. Wszystkie razem i każdą z osobna. Moje małe dziewczynki z łysymi główkami, kruche jak zapałki.

Gdzieś w oddali usłyszałam głos Lusi. Przytuliła mnie.

- Kocham cię - powiedziałam wtulona w jej włosy. Wciągnęłam zapach skóry mojej córeczki. Jakże byłam szczęśliwa, że mogłam to zrobić!

- Chodźmy - szepnęła. - Zostawmy ich samych. I tak już nic tu po nas.

- Tak - jęknęłam, bo kłuło w sercu niemiłosiernie. Szłyśmy korytarzem, a głuche odgłosy kroków wystukiwały makabryczny rytm. Coś we mnie tego dnia pękło, przelało się i nie chciało wrócić na swoje miejsce.

Pociągnęłam do siebie ciężkie drzwi i wyszłam na zewnątrz. Padał drobny deszcz. Chłodny wiatr buchnął mi w twarz, próbując ochłodzić emocje. Nabrałam powietrza, bo przecież z nim miało być łatwiej.

- I jak? Dasz radę jechać?

- Nie wiem. - Wzruszyłam ramionami. Dopiero kiedy siedziałam w samochodzie i trzymałam ręce na kierownicy, odezwałam się znów do Lusi: - Chyba nie dam rady.

- Przejdźmy się, co? Albo weźmy taksówkę, a jutro odbierzesz auto.

- Nie - odparłam. - Nie dam rady znieść tego po raz trzeci. Najpierw Kinga, teraz Mrówka. Kto następny? Nie mogę. Nie dam rady.

- Mamo, ale przecież nie musisz.

- Musiałam, ale teraz nie wiem, czy dam radę. Nie wiem.

- Rozpłakałam się. Lusia pogładziła moją dłoń spoczywającą na kierownicy.

- Daj sobie czas. Masz prawo wymieknąć. Jesteś przecież tylko człowiekiem.

Przekręciłam kluczyk w stacyjce. Zanim wyjechałam z parkingu, odebrałam rozmowę telefoniczną. Dukając słowa przez łzy, opowiedziałam Arturowi, co się stało. Próbował mnie pocieszać. Bezskutecznie.

- Przyzwyczaisz się. Zobaczysz.

- Ale ja nie chcę się przyzwyczajać! - krzyknęłam.
- Asiu, nie denerwuj się. Przyjedź do mnie. Pogadamy.

Rozłączyłam się. Luscia milczała. Nie komentowała mojego wybuchu. Widziała, jak się biję z myślami, jak nie umiem się uspokoić. Samochód kilka razy zgasł, zanim udało mi się wreszcie ruszyć. Wracałam do swojego pokręconego i banalnego życia. Z Lusią u boku.

Kiedy weszliśmy do domu, ciocia stała już w przedpokoju, by za chwilę mocno nas przytulić. Ludzkie ramiona miały niezwykłą moc. Nie tylko dawały wsparcie, lecz także możliwość podłączenia się do czyichś zasobów energetycznych. To jak ładowanie baterii.

- Siadajcie. Arbaty naparzę.

Posłusznie wykonałam polecenie. Zająłam miejsce przy stole. Luscia zaproponowała cioteczce, że to ona zrobi herbatę, ale nie było szans na zamianę ról.

- Ja wam zrobię taką na nerwy, zobaczycie - odparła i zabrała się za przygotowywanie jakiejś mieszanki w imbryku.
- Będzie dobrze - mruzczała pod nosem, jakby rzucała zaklęcia. Dopiero po chwili na stole pojawiło się naczynie z gorącym i niezwykle aromatycznym napojem. Luscia podała filiżanki. - Niech się zaparzy. A ty opowiadaj.

- Nie ma o czym - bąknęłam. - To już koniec. Nie pomogła, ciociu, twoja pielgrzymka do Lichenia. Bóg cię nie wysłuchał - zaczęłam biadolić.

- Aśka, nie bluźnij - przerwała mi. - A ja myślę, że mimo wszystko pomogła. Spójrz na to z innej strony. Trzy dziewczynki w hospicjum. A co to jest hospicjum, to ja ci tłumaczyć nie muszę. I co? Jedna już w domu, a druga na leczeniu. Przykro mi, że nie udało się z tą Mrówką. Naprawdę mi przykro. Doskonale wiesz, że cuda, jeżeli się zdarzają, to tylko sporadycznie.

- Wiem, ale...

- Aśka, tu nie ma ale. A to, że ja pojechałam do Lichenia i potargowałam się z Bogiem, to nic nie znaczy. To nie negocjacje. Doskonale wiesz, że żartowałam, że chciałam podnieść cię wtedy na duchu, dodać ci siły. - Spojrzała na mnie. - No, chyba że uważasz, że ja całkowicie ześwirowałam na stare lata. Asia, ja tak samo jak każdy boję się śmierci. Oswajam sobie ją na różne sposoby. Mówię te swoje paciorki, powtarzam niczym mantrę, bo mam nadzieję, że tak mi będzie łatwiej. Ale też nie złorzeczę Bogu, kiedy zabiera dzieci. Widocznie taki ma plan. Nie wiem dlaczego. Trudno mi to zrozumieć. Ale wierzę, że ta dziewczynka wróci do nas jako anioł. Zobaczysz.

- Oj, ciociu...

- Ja wiem, stara jestem, nie znam się. Stary człowiek może gorszy niż dziecko - westchnęła. - Pewnie jak patrzysz na mnie i na Jadźkę, to pukasz się w głowę. Różowe włosy, szczeka, egzorcyzmy. - Uśmiechnęła się. - Wiesz, to wszystko może jest lekko zwariowane, ale pozwala nie myśleć. Kiedy się ma moje lata, to przecież czeka się tylko na jedno. - Machnęła ręką. W jej oczach zaszklily się łzy. - Ażebi to rokijas wzión! - dodała po kociewsku. Potem naląa herbatę.

Przez chwilę szukałam odpowiednich słów, ale jedyne, co przyszło mi do głowy, to zwyczajne „dziękuję”.

- Z tymi egzorcyzmami... to oczywiście żart był - powiedziała ciocia, kiedy już usiadła naprzeciwko mnie i objęła dłońmi kubek.

- Przepraszam. Nie powinniśmy tak. Jadźka wszystko wymyśliła. Prawdziwe egzorcyzmy to nie są żarty i nie nam by je wyczyniać. Głupio zrobiliśmy.

- Wiem - odparłam.

- Przepraszam, stara a głupia jestem.

- Pójdę zaraz do Artura. - Zamoczyłam usta w gorącym naparze. Nie chciałam rozmawiać o starości i o przemijaniu. Nie teraz.

- Idź, idź. Doktorek na pewno wie, jak sobie radzić w takich momentach. Uczą ich tego na studiach.

- Powiedział, że się przyzwyczaję - mruknęłam z drwiną, bo przecież nie chodziło o to, by przywyknąć, oziębnąć i zobojętnieć na cierpienie.

Rozdział 27

Szłam wąską ulicą w stronę domu Artura. Zaciął wiatr, smagał po policzkach chłodnym powietrzem. Zauważyłam, że przybyło żółtych liści. W ogrodach przekwitały ostatnie rośliny, a część przebarwiała się na czerwono. Gdzieś jeszcze pojawiały się kolorowe główki kwiatów, ale było ich zdecydowanie mniej.

- Nareszcie jesteś! - zawołał Artur i od razu chwycił mnie w ramiona. Wzmocniło mnie poczucie bezpieczeństwa. Mogłam wypuścić nadmiar wstrzymywanego powietrza. - Jak się czujesz?

- Dobrze - skłamałam, bo przecież nic nie było dobrze. Umarło dziecko, więc jego banalne pytania brzmiały jak największy absurd.

- Napijemy się wina?

Zatopiłam się w miękkim fotelu. Nie miałam ochoty nic mówić i nic robić, chciałam przestać czuć i słyszeć. Nie odpowiedziałam na pytanie. Artur po chwili postawił na ławie butelkę i dwa kieliszki. Napełnił je i podał mi lampkę z krwistoczerwoną cieczą. Upiłam łyk. Cierpki smak rozlał się po podniebieniu.

- Dzięki.

Mój narzeczony usiadł w fotelu obok. Próbował mnie złapać za rękę, ale nie miałam najmniejszej ochoty na pieszczotę, nawet na tak niewinną, więc po chwili odpuścił i również zatopił się w miękkich poduchach fotela. Spoglądaliśmy na siebie w milczeniu.

Artur jest niezwykle przystojny, pomyślałam. Mam szczęście, że mnie pokochał. Tylko że w ostatnich dniach nie czułam z tego powodu bezgranicznej radości. Raczej miałam wrażenie, że obijam się o bandy i kręcę w miejscu. Robiło mi się od tego niedobrze.

- Najgorsze są pierwsze przypadki - odezwał się nagle. - Potem będzie łatwiej. Pacjentów nie można traktować zbyt osobiście.

- Artur, co ty bredzisz? - przerwałam mu. - Jakie zbyt osobiście? Jakie przypadki? Ja pokochałam te dziewczynki. Dla mnie to nie jest cyfra w statystykach.

- O tym właśnie mówię. Tego nie wolno robić. Nie można się angażować emocjonalnie.

- Mam być maszyną?

- Nie - odparł, znów próbując złapać moją dłoń. - Profesjonalistką.

- Niezły eufemizm - zakpiłam.

- Bożen... - urwał niespodziewanie, a mnie tak boleśnie zakłuło w sercu, że nie mogłam przez moment złapać oddechu. Przyrzekłam sobie jednak po naszej ostatniej rozmowie, że nie będę poruszać tego tematu. Trupa przecież zatrzasnęłam w szafie! Tylko że złośliwiec ciągle wyściubiał stamtąd nos! - Asiu - poprawił się natychmiast. - Może ty w takim razie nie powinnaś być wolontariuszką, jeżeli tak się związujesz z pacjentami? Wykończysz się psychicznie. I mówię to całkiem poważnie. To nie są żarty. Możesz pomagać innym, ale tylko stosując się do pewnych zasad.

- Zasad? - powtórzyłam w zamyśleniu. - W dupie mam zasady! Boli jak cholera, ale gdybym miała to wszystko przeżyć jeszcze raz, podeszłabym do sprawy tak jak wcześniej, emocjonalnie. Nie żałuję.

- To nie żałuj - odparł chłodno. - Nie użalaj się też nad sobą.

Jego ostatnie zdanie zabolowało. Nie takiego pocieszenia potrzebowałam od niego. Rozumiem, że jest lekarzem, ale mógłby wykazać się większą empatią.

Odtworzył mi się w pamięci teatrzyk Gałczyńskiego. Poeta i lekarka wyznawali sobie miłość. Każde mówiło swoim

językiem. Tak właśnie my z Arturem próbowaliśmy się porozumieć. Niestety podobnie jak u Ildefonsa brzmiało to groteskowo.

Rozdział 28

W nocy przerzucałam się z boku na bok, nie mogąc spać. Miałam wrażenie, że czuję zapach z hospicjum. Pierwszy raz tak wyraźnie towarzyszył mi w domu. Wyniosłam więc wczorajsze ubrania do kosza na bieliznę. Nad ranem wzięłam kolejny prysznic i dokładnie spryskałam się perfumowaną mgiełką do ciała, ale wciąż nie mogłam się pozbyć nieprzyjemnego wrażenia. Wreszcie wpadłam na genialny pomysł, jak zagłuszyć tę natrętą woń. Ubrałam szlafrok i poszłam do kuchni. Jeden rzut oka na piekarnik i utwierdziłam się w przekonaniu, że najlepszy sposób na pozbycie się zapachu to zastąpienie go nowym, kojarzącym się wyłącznie pozytywnie. Jabłecznik z cynamonem! Z dużą porcją cynamonu!

Zagniotłam kruche ciasto. Wbijałam w masę palce z ogromną zaciekłością. Odganiałam od siebie natrętne myśli o pogrzebie Mrówki. Skup się na cieście, powtarzałam. Jedno uderzenie o deskę. Potem głęboko zanurzone palce i ścisk. I znów odwrócenie kleistej masy i ucisk, napór całym ciałem, aż wreszcie ciasto stało się aksamitne w dotyku. Wtedy przełożyłam je na talerzyk i wrzuciłam do lodówki.

Obieranie jabłek i ścieranie ich na tarce nie wymagało siły. Dawało jednak czas na przemyślenia.

- A ty co tak o świcie się tu tłuczysz? - spytała cioteczka.
- Piekę ciasto.
- A to już nie ma poprzedniego?
- Hm - zawahałam się, bo faktycznie coś chyba jeszcze w lodówce zostało. - Możliwe, że jest.
- A kto to zje?
- Nie wiem, ciociu. Nie chodzi o jedzenie. Chodzi o zajęcie rąk i o zapachy.
- A jaśniej?

- Jaśniej to będzie za chwilę, kiedy wstawię to do piekarnika. Kiedy poczujesz zapach cynamonu, zrozumiesz. Robię dom - dodałam po namyśle.

- Myślisz, Asiu, że wystarczy jedno ciasto, odrobina prażonych jabłek i będzie dom?

- Jeszcze cynamon - dodałam z uporem maniaka. Kolejne jabłko zniknęło na tarce, zamieniając się w wiórki.

- Żeby to było takie łatwe - westchnęła ciocia.

- Zawiozę Szpilce - stwierdziłam. Pomysł narodził się w jednej sekundzie. Przecież muszę się zobaczyć z Sylwią!

- A! To co innego.

Ciocia zniknęła za drzwiami łazienki, a ja dosypałam do jabłek dwie łyżki cukru i sporą porcję cynamonu. Zapachniało! Zachęcona dodałam jeszcze szczyptę.

Wyłożyłam blaszkę papierem do pieczenia. Na spód trafiła połowa ciasta, potem jabłka. Na wierzch starłam resztę kruchego i wsunęłam szarlotkę do piekarnika. Ustawiłam czas i temperaturę. Pozostało czekać, aż dom wypełni się przyjemnym zapachem.

Sięgnęłam po gazetę. Była otwarta na nekrologach. Ciocia musiała być na bieżąco. Oczywiście od razu wpadła mi w oko informacja o śmierci Mrówki. Wyrazy bólu i współczucia składała dalsza rodzina. Nerwowo zmięłam dziennik i wrzuciłam go do kosza.

- A co się znów tak miotasz?

- Nic, ciociu. Próbuję sobie to wszystko w głowie poukładać.

- To układaj, układaj. Pamiętaj, że wszystko ma swoje miejsce - odparła, a ja na chwilę zastanowiłam się nad jej słowami. Miały metaforyczne znaczenie. Podeszłam do staruszki i ją objęłam.

- Dziękuję, ciociu, że cię mam.

Zauważyłam, że ukradkiem ociera łzę. Potem poczułam jej dłonie na plecach. Przytuliła mnie do siebie, a ja na chwilę stałam się małą dziewczynką w objęciach babci.

- A co to za czułości? - spytała Lusia, pojawiając się nagle tuż obok nas. - Ja też chcę. - Moja córka podeszła i mocno nas uścisnęła. - A teraz czas na śniadanko - stwierdziła kilka sekund później.

Zaraz na stole znalazły się chleb i masło. Lusia zalała tutki herbaty w kubkach, a ciocia wystawiła talerzyki. Wybrała te w kwiatuszki, które były zarezerwowane na szczególne dni, kiedy odwiedzali nas goście.

Po śniadaniu, kiedy ciasto dopiekło się na złoty kolor, wystawiłam blaszkę i jeszcze ciepłe przekroiłam na pół. Ciocia z Lusią zażyczyły sobie po kawałku, więc podałam im odpowiednie porcje na talerzykach deserowych. Część ciasta dla Szpilki przełożyłam do plastikowego pojemnika. Nie przykrywałam go, by nie zaparowało.

- Jedziesz tak wcześnie? - spytała Lusia.

- Tak. Napiszę esemesa, że za chwilę do nich przyjadę. Muszę... chcę porozmawiać ze Szpilką.

- A ja, mamó, zostanę, bo mam niedługo sprawdzian ze słówek, więc muszę pozakuwać.

- Okej, lepiej będzie, gdy pojedę sama.

- Pyszne - pochwaliła ciocia. - Ciepła szarlotka jest najlepsza. Uśmiechnęłam się, widząc, jak zajada z apetytem. Wybierała z talerza wszystkie okruszki. Nic nie mogło się zmarnować. Przyjrzałam się jej pomarszczonym dłoniom. Miała szczupłe, wręcz kościste palce. Skóra wydawała się pergaminowa.

Jakaś wewnętrzna energia kazała mi wyjść z domu. Nie mogłam tu siedzieć beczynn timer, mimo tego że wypełniłam go cudownym aromatem. Wreszcie natrętny zapach hospicjum przestał kłuć w nos.

Odpowiedź od mamy Szpilki przyszła bardzo szybko. Po kilkunastu minutach wysiadałam już z samochodu przed ich blokiem.

- Przepraszam, ale nie mamy za dużo czasu, bo Sylwunia ma za godzinę kontrolę - powiedziała kobieta od progu.

Mnie to nie przeszkadzało. Chciałam jedynie ucześcić się skrawką nadziei, przywrócić w sobie wiarę, że jednak to wszystko miało sens. Spojrzałam na Szpilkę. Łzy od razu wcisnęły się pod powieki.

- Jak dobrze cię widzieć. - Objęłam jej drobne ciało. Miałam wrażenie, że od naszego ostatniego spotkania trochę przytyła, niewiele, ale biorąc ją w ramiona, czuło się różnicę.

- Stało się coś? - spytała wystraszona mama dziewczynki.

- Tak. - Kiwnęłam głową, a wtedy łzy przedarły się przez zaporę rzęs. - Mrówka.

- Nie! - krzyknęła Szpilka. - Nieprawda!

Wszystkie trzy płakałyśmy. Powoli opowiedziałam im, jak dziewczynka odeszła. Szpilka cały czas powtarzała, że to niemożliwe. Jej mama kilka razy złożyła dłonie do modlitwy i daje sobie uciąć głowę, dziękowała Bogu, że to nie jej córka zmarła.

- Aha! - Otarłam łzy. - Mam coś dla was. Upiekłam, bo musiałam czymś zająć ręce.

- Szarlotka? Mrówce by smakowała. - Tak.

- A jak się pani trzyma? - spytała mama dziewczynki. - Była pani żyta z... - przełknęła ostatnie słowo, które nie dało się wydusić z powodu guli w gardle.

- Nie wiem, co teraz będzie. Musiałam tu przyjechać, by zobaczyć Szpilkę i znów uwierzyć, że to ma sens.

- A pamięta pani, co mi mówiła? Ze trzeba walczyć, nawet jeżeli ta walka polega na rozbijaniu trumny od środka.

- Tak, wiem. Tylko nie mam pojęcia, czy mam jeszcze siłę robić to dla innych - odpowiedziałam szczerze.

- A ja myślę, że pani ma dużo siły i jeszcze zawalczy o niejedno dziecko.

Zamyśliłam się. Tym razem to ja straciłam nadzieję, a matka Szpilki starała się znaleźć odpowiednie słowa, by mnie pocieszyć. Spojrzałam na Sylwię, której główka nie była już zupełnie łysa. Próbowałam z całych sił chwycić się rąbka nadziei. Łagodne spojrzenie dawało szansę na odbudowanie tego, skąd kiedyś czerpało się siłę, ale to już nie będzie solidna budowla. Jej fundamenty zbyt mocno zostały podmyte przez łzy.

- Pani Asiu, przepraszam, ale musimy zaraz wychodzić. - Kobieta podniosła się z tapczanu i lekko skrępowana dawała mi do zrozumienia, że powinnam wyjść.

- Jasne. Przepraszam.

Chwyciłam jeszcze raz dziewczynkę w objęcia. Poczułam jej ciche westchnienie. Poglaskałam ją. Sztywne krótkie włoski zakłuły w dłoń, ale to był niezwykle przyjemny dotyk dający wiarę, że jednak czasami się udaje, że czasem najzwyczajniej w świecie to się da.

Kiedy wyszłam przed blok, nie wiedziałam, co mam zrobić. Stałam przez chwilę, obserwując, jak wiatr podrzuca w górę foliową torebkę z nazwą popularnej sieci sklepów spożywczych. Przypominała niewielki latawiec, który nieudolnie wzbijał się i znów opadał, tańcząc w rytm podmuchów powietrza.

Nagle w mojej głowie pojawił się impuls. Wskoczyłam do samochodu i pojechałam przed siebie. Niestety trasa wiodła obok marketu Mrówka. We wspomnieniu widziałam dziewczynkę, która pisała dla mnie wierszyk. Miała tyle planów. Była zakochana w Krzysiu, dla którego fundacja Blublusia kiedyś zbierała pieniądze. Tyle dobrego miało się wydarzyć. A są tylko łzy.

Przed domem Wiktora ogarnęły mnie wątpliwości. Robię się namolną i natrętną babą. Facet gotów jeszcze pomyśleć, że mu się narzucam.

Zauważyłam, że furka otwarta była na oścież. Na podwórku stał samochód, którego wcześniej tu nie widziałam. Może to ta cała Kornelia przyjechała. Przemyślała sprawę i postanowiła wrócić na łono rodziny. Nie wiedząc czemu, weszłam na posesję, skradając się jak złodziej, i od razu przypadłam do okna kuchennego wychodzącego na ogród. Dobrze je zapamiętałam. Przyłgnęłam do muru, by zajrzeć do środka i zorientować się w sytuacji. Jeżeli jest Kornelia, to czas spadać. Nie chciałam wciskać się pomiędzy wódkę a zakąskę. Z pewnością małżonkowie prowadzili poważne rozmowy.

Dyskretnie zajrzałam przez szybę. Niestety światło tak się odbijało, że niczego nie dostrzegłam. Przyłożyłam dłoń. Zrobiłam z niej mały daszek, by lepiej widzieć, co się dzieje w środku. Słyszałam przytłumione głosy. Męski na pewno, co do pozostałych miałam wątpliwości czy to kobieta, czy dzieci.

Nagle z potwornym wrzaskiem wyskoczyłam jak z procy! Poleciał na mnie strumień lodowatej wody. No, kurza twarz!

- Jaka cholera?! - krzyknęłam, zapominając, że skradam się przy oknie w obcym ogródku i zaglądam ludziom do mieszkania.

Usłyszałam z oddali śmiech dziecka. Założę się, że to ten niemogący usiedzieć w miejscu Mieszko! Zaraz normalnie smarkaczowi nogi z dupy powyrywam! Jednak lekki podmuch wiatru natychmiast ostudził mój zapal, żeby pędzić za nastolatkiem. Przede mną jak spod ziemi wyrósł Wiktor.

- Aśka? - spytał zdziwiony. Wyglądałam jak sto nieszczęść, w dodatku szczękające zębami. - Co ty? Śledzisz nas?

- Nie, nie! - zaprzeczyłam natychmiast. - Sama nie wiem, dlaczego tu jestem.

- Ona zaglądała przez okno! - wrzasnął chłopak z oddali. Cwaniak trzymał się na odległość, bo przeczuwał moje mordercze plany.

- Nie - znów zaprzeczyłam. - Zaraz to wy... wy... wyjaśnię - zaczęłam się jąkać.

- Chodź do domu, bo nabawisz się tu zapalenia płuc. Mieszko, marsz do środka - nakazał chłopcu, który jeszcze odwrócił się do mnie i... Cholera! Gówniarz chyba wystawił mi język!

- Wiktor, ja prze... prze... przepraszam.

- Zdejmij te mokre ubrania - powiedział. - Dam ci mój dres, bo masz mokre spodnie. Będiesz się w nim topić, ale nie możesz zostać w mokrych portkach.

Kiwnęłam głową. Po chwili trzymałam w ręku bawełniane spodnie. Karnie poszłam do łazienki, by przebrać się w suche ubranie. Na szczęście bluzka pod kurtką nie przemokła. Potem Wiktor odwiesił mokre części mojej garderoby na grzejnik i podał mi gorącą herbatę.

- Przepraszam - jęknęłam. - Wiem, jak to głupio wygląda, ale myślałam, że masz gości i chciałam zajrzeć... Bo wiesz, ja... - jąkałam się. - Nie chciałam ci przeszkadzać.

- Wystarczy zapukać - odpowiedział. - Zacznę podejrzewać, że nas szpiegujesz.

- Nie! - prawie krzyknęłam. - Tylko po prostu racjonalne myślenie mi się wyłączyło - dodałam ciszej. - Nie wiedziałam, co robić.

- Normalnie jak człowiek idzie do drugiego w gości, to dzwoni - odparł jak do osoby specjalnej troski. Dobrze, że jeszcze mi tego nie przeliterował. - Czy coś się stało?

Kiwnęłam głową. Nie miałam odwagi patrzeć mu w oczy. Siedziałam i wpatrywałam się w kubek z herbatą.

- Mrówka zmarła.
 - Mrówka? - spytał, biorąc mnie pewnie za niezłą wariatkę.
 - Dziewczynka z hospicjum. Moja podopieczna. Zaprzyjaźniłam się tam z trzema dziewczynkami. Potem poznałam Arka. Ale one... Poznałam je jako pierwsze. Szpilkę, Pati i Mrówkę.
 - Przykro mi.
 - Nie wiedziałam, co mam robić. Wsiadłam w auto i tu przyjechałam, bo w domu ciągle są wspomnienia. Przepraszam. Nie powinnam.
 - Nie. - Poklepał moją dłoń. - Dobrze, że przyjechałaś. To ja przepraszam za zachowanie Mieszka.
 - Zaraz sobie pójdę.
 - Poczęstowałbym cię czymś słodkim, ale nic nie mamy - powiedział lekko zakłopotany.
 - A może... - zawahałam się. - Znam już trochę twoją kuchnię. Może upiekłabym wam ciasto, co? Albo zrobiłabym obiad? Cokolwiek!
- Wiktor spojrzał na mnie zdziwiony. Utwierdził się właśnie w przekonaniu, że jestem szurnięta. Obca baba przyjeżdża i pyta, czy może się porządzić w jego kuchni.
- Niecodzienna propozycja - zaśmiał się. - Ale rozumiem, że tego potrzebujesz. Przykro mi z powodu tej Mrówki. Naprawdę. Wiem, co to znaczy śmierć dziecka. Domyślałam się, że zżyłaś się z tą dziewczynką.
 - A wiesz - głos mi się lekko załamał - mój narzeczony mówi, że przywyknę.
 - Myślisz, że to możliwe?
 - On jest lekarzem. Bywa, że traci pacjenta. Jest więc profesjonalny, to znaczy nie angażuje się emocjonalnie. Ale ja tak nie chcę. Przecież tak się nie da. O, zmarła jedna

dziewczynka, to teraz zaopiekuję się następną - ironizowałam.
- Nie chcę tak.

- Wiem. Też bym nie chciał - odparł. Po chwili wstał i rozejrzał się po kuchni. - No dobra, to proszę bardzo, możesz przejąć moje królestwo. Jeżeli chcesz, zrób nam jakieś ciasto. Dzieciaki będą miały na deser.

Do kuchni weszła Julka. Nawet nie spostrzegłam, że nie była wcześniej przyklejona do nogi Wiktora. Przecierała zaspane oczka. Wyglądała, jakby miała za chwilę się rozpłakać. Mężczyzna podszedł do niej i wziął ją na ręce. Pocałował w główkę. Uśmiechnęłam się na ten widok.

- I co, księżniczko? - spytał. - Będiesz jadła ciacho, które Asia nam tu upichci?

Dziewczynka spojrzała na mnie i lekko kiwnęła głową. Wyglądało na to, że udzieliła mi swego błogosławieństwa.

Domownicy wyszli z kuchni. Słyszałam, jak Wiktor pogania Mieszka, by się zbierał do szkoły. Natalii chyba w domu nie było. Być może siedziała już w szkolnej ławce.

Rozejrzałam się po kuchni. Wiedziałam, gdzie jest szafka z mąką i cukrem. Wyciągnęłam napoczęte opakowania. Przejrzałam szuflady w poszukiwaniu przypraw. Nie rozstrzygnęłam jeszcze, co chcę upiec. Trzeba było improwizować z dostępnych składników. Wystarczyło zająć czymś głowę i ręce, a powietrze wokół zaczarować zapachami.

Nagle do kuchni wpadł Mieszko. Niczym wicher popędził obok stołu. Machnął ręką i torebka mąki rozsypała się po podłodze. Chłopiec się tym nie przejął. Umiejętnie wpadł w zakręt. Mączny pył wzbił się w powietrze, a dzieciak za chwilę zniknął.

Podeszłam do miejsca wypadku. Chwyciłam rozdartą torebkę, by część mąki uratować. Na próżno, wszystko znalazło się na kuchennej terakocie. Klapnęłam na tyłek tuż

obok, podkuliłam nogi, obejmując kolana, i rozplakałam się. Coś się we mnie odblokowało i nie byłam w stanie zapanować nad falą rozpacz.

- Ej... - Poczułam dotknięcie. - Co pani jest? Spojrzałam. Przede mną stał Mieszko. Wyglądał na wystraszzonego.

- Nic - zaszlochałam.

- Ja niechcący - zaczął się tłumaczyć. - I wodą też mnie oblałeś niechcący?!

- No nie, ale wtedy broniłem naszego domu - odparł hardo.

- No tak. A teraz może broniłeś kuchni?

- Nie. Samo wyszło.

- Tylko że samo się nie posprząta.

- Pomogę.

- A z czego upieczemy ciasto?

- Polecę do sklepu - zaoferował się i już widziałam ten błysk w oku, który nakazywał mu pędzić dalej.

Powstrzymał się na chwilę. Chwycił zmiotkę i szufelkę. Zaczął zamiatać. To zmobilizowało mnie, żeby podnieść się z podłogi. Sprawdziłam w szafce, czy jest jeszcze mąka. Na szczęście gospodarz okazał się chomikiem. Miał spore zapasy.

Z drugiego pokoju usłyszałam Wiktora nawołującego chłopca, by szykował się do szkoły.

- Dzięki - powiedziałam do niego i przejęłam szufelkę.

- Spoko - rzucił i zniknął tak szybko, jak się tu pojawił.

Istny pędziwiatr!

Wiktor wrócił do kuchni po pół godzinie. Słyszałam trzaśnięcie drzwiami. Pewnie wreszcie chłopak poszedł do szkoły.

- Łobuz z niego - zagadnął mężczyzna, jakby wiedział, o kim pomyślałam. - Ale miał trudną przeszłość. Niejeden dorosły by nie dał rady, a ten mały jest dzielny. Trzeba tylko

sporo z nim pracować. Zresztą komu ja tłumaczę. Chyba doskonale wiesz, jak to jest z ADHD.

- Jesteś dobrym opiekunem.

- Staram się. - Uśmiechnął się i zajrzał mi do miski. - Co to będzie?

- U was musi być tendencyjnie. Ze śliwkami.

- Może być.

Po godzinie wyciągałam ciasto z piekarnika. Trochę przeszkadzały mi za luźne spodnie. Co chwilę musiałam je podciągać, bo przydeptywałam nogawki.

Pokroiłam jeszcze gorący wypiek na niewielkie kawałki i ułożyłam je na talerzyku na środku stołu. Usiadłam koło Wiktora i Julki. Dziewczynka spoglądała wesołymi oczkami, jakby była coraz bliżej odezwania się do mnie. Miałam nadzieję, że wkrótce usłyszę jej głos.

- Dziękuję - powiedziałam.

- Za co? - zdziwił się Wiktor. - To my dziękujemy, bo mamy ciacho na kilka dni. Chociaż w sumie jak te głodomory wrócą ze szkoły, to pożrą wszystko w trymiga.

Zamknęłam na moment oczy i wciągnęłam głęboko powietrze przesycone słodkim aromatem.

- Co robisz?

- Wyobrażam sobie prawdziwy dom. Zaczynam zawsze od zapachu.

- To otwórz oczy - powiedział. - Rozejrzyj się. Są dzieciaki. To one robią prawdziwy dom.

- A ja, głupia, myślałam - uśmiechnęłam się, otwierając oczy - że to zapach robi dom.

- Bez wszystkiego się da, ale nie bez dzieciaków, nie? Księżniczko? - Połaskotał Julkę, która zachichotała, spoglądając na opiekuna.

- Nie będę wam już przeszkadzać. Jadę do siebie. Obiecuję też, że już nigdy nie będę się skradać. - Podniosłam dwa palce jak do przysięgi.

- Wpadaj, kiedy chcesz. Julka cię lubi - odparł. - Nie? - dodał, pstrykając pieszczotliwie dziewczynkę w nosek. Od razu go zmarszczyła, ale zaraz jej twarzyczkę rozpogodził uśmiech. Nie kiwnęła jednak główką na potwierdzenie tych słów.

- Dziękuję.

Rozdział 29

Minęło kilka tygodni od pogrzebu Mrówki. Długo śnił mi się po nocach. Trudno było spać, trudno skupić się na pracy. Wyszukiwałam sobie różne zajęcia, ale do hospicjum poszłam zaledwie dwa razy. Kiedy dowiedziałam się, że Pati ciągle jest w Warszawie, a Arka Wiktor zabrał do domu, nie chciałam tam przebywać, by znów nie związać się emocjonalnie z chorymi dziećmi. Bałam się i nie byłam gotowa. Bo wystarczyło jedno spojrzenie na małą główkę, oczy przepełnione bólem i twarzyczkę wykrzywioną cierpieniem, by się dać oswoić. A potem już nie było odwrotu.

Przez ten czas pomalowałam wszystkie meble przytachane przez staruszków. Dzięki temu Artur wpadł na pomysł, by odświeżyć ściany przedpokoju w swoim domu. Pomogłam mu wybrać farbę. Odczytywałam w sklepie oryginalne określenia kolorów i w pewnym momencie zauważyłam puszkę z etykietą „szczypta cynamonu”. Pokazałam Arturowi. Spodobała mu się od razu, więc fragment jego domu został przyprawiony odrobiną orientalnej przyprawy. Cieszyłam się z tego drobiazgu, bo wreszcie znalazło się w tym wnętrzu coś, czego nie wybrała Bożenka.

Wspólnie przejrzelśmy też to, co znajdowało się na strychu u cioci i gotowa byłam na umeblowanie mojej kawiarni. Nastał w końcu dzień, kiedy będzie można zawieźć tam krzesła i stoliki, poustawiać je odpowiednio i ponakrywać serwetkami. Ciocia wykrochmała wszystkie robione ręcznie ozdoby. Pani Jadzia dzielnie jej pomagała. Nie chciały skorzystać z krochmalu dostępnego w sklepach. Nagotowały więc gar wody z mąką kartoflaną, a potem wszystko starannie wymoczyły. Za prasowanie też zabrały się wspólnie. Stwierdziły, że ja na pewno nie umiem tego zrobić porządnie, a przecież wszystko ma być jak się patrzy, kiedy przyjdą pierwsi goście.

- Ty tam nam rezerwuj stolik - przypominała pani Jadzia. Planowały być na otwarciu razem ze swoimi znajomymi. Ciocia naliczyła, że wszystkich „starych, ale jarych” będzie sześcioro.

- Moherowych beretów nie zapraszamy, więc się nie martw - żartowała.

Cieszyłam się z jej dobrego humoru, bo jeszcze dwa tygodnie temu martwiłam się, kiedy poszła na kilka dni do szpitala. Na szczęście wróciła do domu po trzech dniach w dobrej formie.

Śmiała się, że jak jej te rurki wewnątrz przepchano, to teraz spokojnie dociągnie do setki.

Wszyscy w ostatnich dniach byliśmy bardzo podekscytowani. Ponadto okazało się, że pewna kawiarnia w mieście jest w trakcie likwidacji, a druga mocno podupadła. Widziałam oczywiście w tym szansę dla siebie. Mniejsza konkurencja to większy zysk. Zacierałam dłonie, choć trema była ogromna. W żołądku coś ścisnęło, nie pozwalając jeść. Przez ostatnie dni schudłam kilka kilogramów, co oczywiście było niewątpliwą zaletą tego zamieszania. Przyczynił się do tego również sanepid, przed którym drżałam najmocniej, a który okazał się wcale nie taki straszny.

Kiedy sprawdzałam, czy wyschła farba na białym stoliku przecieranym na zielono, zadzwonił telefon.

- Cześć! - Od razu poznałam głos Jaromira.

Coś nerwowo ścisnęło mnie w żołądku. Dawno go nie widziałam. Unikałam go, jak mogłam, choć Piotr nalegał, że powinnam z nim domknąć sprawę bajek. Wychodziłam jednak z założenia, że Jaro sam doskonale da sobie radę i przypilnuje wydawcy. Wszelkie kontakty z nim ograniczyłam do minimum i już prawie zapomniałam o pocałunku.

- Co tam? Bo wiesz, akurat zarobiona jestem.

- Wiem, ale mam dla ciebie obrazy do kawiarni i jeszcze jedną małą niespodziankę.

- Umieram z ciekawości - zadrwiłam. - Dobrze. W kawiarni za jakieś dwie godziny.

- Okej, będę, choć nie wiem dokładnie o której, więc nie ruszaj się stamtąd.

- Wedle rozkazu, mości księżę - dodałam już do głuchego sygnału w słuchawce. Rozłączył się, dziad jeden!

Za piętnaście minut miał przyjechać samochód dostawczy, by przewieźć graty do kawiarni. Artur obiecał pomóc, ale od godziny spoglądałam na zegarek, który nerwowo machał do mnie wskazówkami i pokazywał jego spóźnienie. Zawsze starał się być punktualny, a tym razem, gdy jest potrzebny, nawala. Ledwo pomyślałam, a usłyszałam dźwięk przychodzącego esemesa: „Kochanie, musiałem zostać w szpitalu. Nagły przypadek”.

No tak. Chcesz mieć najlepszą partię w mieście, to płąć, pomyślałam, stosując logikę mojej mamuśki. A trzeba przyznać, że rodzicielka pohamowała swoje zapędy wydawania córki za męża i siedzi cichutko albo leży krzyżem w kościele, modląc się, bym wreszcie podała datę. Co jak co, ale ojciec mi wreszcie zaimponował swoją stanowczością. Kiedy zadzwonił dwa tygodnie temu i przepelniony szczęściem oznajmił, że wreszcie sam sobie kupił buty, to myślałam, że mi się przesłyszało.

- Rozumiesz? - pytał podekscytowany. - Nareszcie takie, jak chciałem ja, a nie matka!

- To widzę pełen bunt na pokładzie - zaśmiałam się. - Skąd wiedziałeś, jaki masz rozmiar?

- Nie wiedziałem, ale ekspedientka spojrzała na moją stopę i od razu domyśliła się, który but podać.

W mojej rodzinie zadziała się więc wielka rewolucja. Matka ucichła, ojciec sam sobie ubrania zaczął kupować, a ja startowałam z niewielkim biznesem.

Wyjrzałam przez okno, żeby sprawdzić, czy jest już dostawczak. Zrobiło się szaro i ponuro. Zapowiadało się na deszcz. Mam nadzieję, że przyjadą punktualnie i nie będziemy musieli taszczyć sprzętów utaplani po pas w błocie, pomyślałam.

- Nie zapomnij tych serwetek - upominała ciocia. - Masz to przykryte gazetami. Zobacz, jakie wyszykowane.

Podeszłam do niej i wzięłam jedną z najmniejszych robótek. Była tak sztywna, że pewnie można by ją złamać.

- Rychtig, jo? - zaśmiała się cioteczka. - Żadnym kupnym krochmalem by tak nie wyszło.

Uściskałam ją i podziękowałam wylewnie. Ciocia mocno zaangażowała się w moją kawiarnię. Chciała we wszystkim pomagać. Rozpowiedziała swoim koleżankom, że otwieram lokal, w którym będzie można zjeść kuch z krostami i inne smakołyki. W razie czego zorganizuję jeszcze bingo, gdyby klientela była mocno geriatryczna, pomyślałam.

- O! Są! - krzyknęła Zofia. - Leć im otwórz, niech to targają. Wybiegłam przed dom. Przywitałam się z mężczyznami, a oni bez zbędnych ceregieli zaczęli wnosić wskazane przeze mnie meble. Podałam im adres kawiarni i po załadowaniu samochodu wsiadłam w swoją pszczołkę i pognałam na miejsce, by dopilnować rozładunku.

- Tylko ostrożnie! - przypominałam, jakby te stare graty warte były majątek. Bądź co bądź trzeba było przyznać, że po odnowieniu mogła mi ich pozazdrościć niejedna kawiarnia. Wszystko w babcinym stylu, a retro teraz w modzie. Mam nadzieję, że mój lokal przyciągnie klientów. Przekroczyłam próg bielonej podłogi. Omiotłam spojrzeniem puste, rozjaśnione przestrzenie. W powietrzu czuć było zapach

nowości i farby. Jutro zagłuszę go domowymi wypiekami. To miejsce zacznie żyć.

- Gdzie to? - spytał mężczyzna w granatowym uniformie.

- Stawiajcie na środku. Sama poprzestawiam. Tylko tę ciężką komodę dajcie pod ścianę - dyrygowałam, a wewnątrz rozpierała mnie niezwykła energia. Kiedy wniesiono ostatni mebel, wyjęłam portfel i wyłuskałam z niego odpowiednią kwotę.

- Dziękuję. Jakby co, to jesteśmy do dyspozycji, bo chyba dobrze chłopaki zapier... - urwał nagle i po chwili dodał: - Pracują.

- Bardzo dobrze - odparłam.

Chciałam jak najszybciej zostać sama i poustawiać meble zgodnie ze swoim wyobrażeniem. Podwinęłam rękawy i poprzemносиłam krzesła w jeden kąt, by mi nie przeszkadzały. Najważniejsze to rozplanować wnętrze tak, aby klienci sobie wzajemnie nie przeszkadzali. Wydawało się, że ustawić meble to żadna filozofia, ale gdy zaczęłam nimi jeździć po całym pomieszczeniu, szukając optymalnego rozwiązania, okazało się to dość trudne.

- No! - zawołałam z tryumfem, osiągając zamierzony efekt.

Teraz należało tylko dostawić krzesła i fotele, co też okazało się dość skomplikowane, bo w zasadzie każde było z innej parafii. Na niskiej komodzie ustawionej pod oknem ułożyłam poduchy. Potem przyszedł czas na wykrochmalone serwety. Jezus Maria! Toż to idzie naprawdę połamać! Sztywne były jak blacha. Super! Stałam w kuchni i podziwiałam salę. Piękna. Prawie jak wyciągnięta z moich marzeń. Jeszcze wazony. Kupię świeże kwiaty, i gotowe.

Przeszłam do kuchni, by przygotować na jutro pralinki. Wymyśliłam, że będę nimi witać gości. Chciałam też upiec ciasteczka z czekoladą, które miały powędrować do wielkiego

słoja. No i dobrze byłoby mieć ze cztery ciasta. Lody mroziły się już w zamrażarce. Niedużo, bo tylko cztery smaki, ale wzięłam je na próbę z małej tradycyjnej lodziarni znajdującej się przy Rynku. Właściciel specjalnie dla mnie zrobił smak matchy - takie uwielbiała Lusja. Wybrałam też słonecznikowe, waniliowe i cytrynowe. Jeżeli będą smakowały gościom, wezmę więcej. Na razie kończyła mi się gotówka, a nie chciałam od nikogo pożyczać pieniędzy.

Zagniotłam w misie ciasto na ciasteczka. To szło bardzo szybko. Wyłożyłam je łyżką na blachę i już po chwili się piekły. Tymczasem mieszałam masę na pralinki. Nagle ktoś załomotał w drzwi. Zamknęłam się od środka na klucz, żeby czuć się bezpieczniej. Nagły hałas spowodował, że się wystraszyłam.

Wyjrzałam przez okno od ulicy. Jaromir. Całkiem o nim zapomniałam. W rękach trzymał dwa obrazy zapakowane w folię bąbelkową, a pod pachą jeszcze coś.

- Wchodź.

- No, już myślałem, że zapomniałaś. - Wszedł do środka. - Masz. - Obrazy położył na jednym ze stolików i zaczął rozpinać płaszcz.

- Pracuję. - Rozpakowałam to, co mi podał, i oniemiałam. Książka! Nasza wspólna bajka! Aż podskoczyłam z radości, o mało nie rzucając mu się na szyję. - Cudo! - krzyknęłam niezwykle podekscytowana.

- Nieźle wyszło, to prawda. Mam w aucie twoje egzemplarze autorskie.

- Rany! Ale się cieszę! - piszczałam z podniecenia.

- Coś ładnie pachnie - stwierdził. - Ruchanki robisz? - zaśmiał się obleśnie, a ja miałam od razu ochotę pacnąć go w głupi łeb.

- Proszę cię, nie zaczynaj. - Pobiełam do kuchni, by zajrzeć do piekarnika. Nawet nie zauważyłam, że przyszedł tu

za mną. Wyjęłam ciasteczka, zmuszając go, żeby się odsunął, bo inaczej dozna uszczerbku na zdrowiu.

- Przyniosłem obrazy. Pokażę ci je. - Przeszedł do stolika, tymczasem ja ściągnęłam na kratkę słodkości. Na blachę wyłożyłam szybko następną turę ciastek i udałam się do gościa.

- Dostanę ciasteczko? - spytał.

Posłusznie przyniosłam mu jedno na papierowej serwetce. Podejrzewam, że to radość rzuciła mi się na mózg i dzisiaj Jaro mógłby poprosić o bardzo wiele.

- Może wyparzy ci jęzor - rzuciłam wbrew temu, co pomyślałam.

- O! Ładnie wygląda, choć wolę z fjutem. - W ogóle powinnaś tu sprzedawać ruchanki z fjutem. Tak po kociewsku.

- Jaro, dlaczego ty jesteś taki oblech?

- Oj tam, oj tam. - Musnął ręką kosmyk moich włosów. - Przecież to lubisz. A ruchanki z fjutem są niewinne. To zwykłe racuchy z syropem, a tak fajnie brzmią. Pewnie kojarzą się lepiej, niż smakują.

- Chyba mylisz znaczenie słów „lubię” i „irytujesz mnie”. Nagle złapał mnie za nadgarstek i przyciągnął do siebie. Nie wiem, dlaczego wtedy nie uciekłam, nie dałam mu po twarzy, a bezwolnie wpatrywałam się w jego małe, przymrużone oczka i... czekałam, aż mnie pocałuje!

Tym razem nie zrobił tego gwałtownie. Nie spieszył się. Powoli zbliżył usta. Poczulałam jego ciepłe wargi. Niepewnie wyczekiwałam, co dalej, gdy nagle usłyszałam znajomy głos.

- Aśka!

Nie chciałam spojrzeć w kierunku źródła tego głosu. Miałam nadzieję, że to jest jedynie mój wyrzut sumienia, że jego tu realnie nie ma.

- Aśka! Dlaczego? - spytał z taką pretensją i żalem, że będzie mi się to śniło przez lata. Nie umiałam mu spojrzeć w oczy. Nie odwróciłam głowy. Spuściłam jedynie wzrok.

- Bo jesteś nudny, doktorku - wtrącił się Jaromir. Rozległo się głucho trzaśnięcie i nastąpiła cisza. Potem dłoń Jaro spoczęła na moim policzku. Ciepło cmoknął mnie w usta.

- Na mnie już czas - rzucił.

Wyszedł! Dupek Jaromir właśnie przed chwilą najspokojniej w świecie, z ciastkiem w dłoni, poszedł sobie w szarość za oknem.

Rozdział 30

Naciskałam nerwowo na dzwonek przy drzwiach Artura. Odpowiadała mi cisza, choć doskonale wiedziałam, że jest w domu. Sprawdziłam w szpitalu. Dzisiaj nie miał dyżuru. Telefonu też nie odbierał. Nie chciał gadać. Doskonale to rozumiałam. Od razu powracały wspomnienia. Zachowałam się dokładnie tak samo jak mój były mąż! Pamiętam to uczucie, kiedy dowiedziałam się o jego kochance. Artur pewnie czuł to samo, co wtedy ja. Nie wiedział, że oprócz głupich dwóch pocałunków nic między mną a Jaromirem się nie wydarzyło. Ponadto ostatnio między nami było lepiej, Bożenka jakby odpuszczała. Przystawałam czuć jej oddech na plecach.

- Artur! - wrzasnęłam na cały głos. - Aaaartuuur!

W oddali zaszczekał pies. W innym końcu dzielnicy odpowiedział mu następny. Pewnie wymieniły spostrzeżenia na temat idiotki drącej japę z samego rana pod czyimiś drzwiami. Nerwowo spoglądałam na zegarek, bo nie mogłam sobie pozwolić na to, żeby tu sterczeć cały dzień. Mam dziś o szesnastej otwarcie kawiarni, a muszę jeszcze kupić kwiaty i upiec ciasto.

- Artuuur! - znów się wydarłam na całe gardło. Wiedziałam, że takie nawoływania muszą ściągnąć któregoś z sąsiadów. Właśnie obok na ganek wyszła zatroskana kobieta i spoglądała na mnie z ciekawością.

- Czemu pani tak krzyczy od samego rana? - spytała, szczerze opatulając się swetrem.

- Nie mogę się dostać do znajomego - odparłam.

- Widocznie nie ma ochoty pani widzieć - podsumowała błyskotliwie. - I proszę się tak nie wydzierać, bo wezwę straż miejską.

- Przepraszam. Już sobie stąd idę.

Oddaliłam się na odpowiednią odległość, licząc na to, że może mimo wszystko doktorek wyjdzie z domu. Po chwili machnęłam jednak ręką i wsiadłam do auta. Zakłęłam pod nosem, ale nie dałam spłynąć łzom.

Akurat kiedy wjeżdżałam w Nowowiejską, zadzwonił telefon. Blubluś.

- Hej. Jak przygotowania? - spytał. - Może potrzebujesz pomocy?

- No - pociągnęłam nosem. - Kupiłbyś mi kwiaty do wazonów na stół?

- Jasne. A jakie?

- Byle jakie - odparłam.

- Aśka, co się dzieje?

- Właśnie spaprałam sobie życie.

- Co zrobiłaś?

- Rozwaliłam swój związek. Artur się na mnie śmiertelnie obraził. Tylko proszę, nie pytaj, o co poszło, bo sama przed sobą się nie przyznaję do tego, co zrobiłam.

- A co zrobiłaś? - Nie powstrzymał się.

- Szkoda gadać.

- Okej. A jak ci się podobają książki? Jaromir miał ci je wczoraj dostarczyć.

- No - jęknęłam. - I dostarczył, ale w sumie dał mi jedną, a potem pognał.

- Co się stało?

- O to też nie pytaj.

- Rany, Aśka! - zawahał się. Pewnie dodał dwa do dwóch i jakiś wynik mu wyszedł, bo po chwili dorzucił: - Tylko nie mów, że...

- Nic nie mówię. Jestem głupia pinda i tyle.

- A może tak miało być, co? Od jakiegoś czasu masz wątpliwości. Człowiek, który ich nie ma, nie zrobiłby chyba nic durnego, nie?

- Durny człowiek zawsze robi durnoty - zaszlochałam. - A mogłam zostać u siebie, pracować w szkole. Komu to przeszkadzało, co? Ale nie! Mnie się zachciało romansów! Boże, Piotr, ja od rozwodu ignorowałam facetów, a teraz jakby wszystkie hamulce puściły. Ponadto wcale nie jestem lepsza niż mój były!

- Może jeszcze to naprawisz.

- Wątpię. Artur się zaciął.

- Ale chcesz to naprawiać? - spytał po krótkim namyśle.

- Nie wiem - odparłam.

Zaczęłam się zastanawiać nad tym, czego chcę. Zakochałam się w Arturze. Tego byłam pewna, choć chyba nigdy nie zobaczyłam słonia na suficie, a przecież zakochani je widzą. Uśmiechnęłam się do siebie. Już nie pamiętałam, jak one wyglądają. Może więc to tylko zauroczenie? Może uległam presji matki, że lekarz, że samotny, a potem ta jego żona... Trupa z szafy niełatwo przepędzić, tym bardziej że Artur go ciągle omiatał z kurzu. A Jaromir? Hm. Z tego też nic nie będzie. Wkurzał mnie. Irytował jak mało kto. I z pewnością nie nadawał się do stałego związku. Jednak te rysunki ukryte przede mną coś we mnie poruszyły. Jeżeli widział mnie tak, jak narysował, to może on... Próbowałam jednak odgonić od siebie wnioski, jakie nasuwały się w mojej rozczochranej łepety. Nie, to niemożliwe. Znów sobie coś ubzdurałam. Zastanawiałam się teraz, czy ja naprawdę pragnę czegoś stałego. Może w zupełności wystarczą mi gwałtowne porywy serca, a potem powrót do domu, kapciuszki, książka i totalna cisza?

Wjechałam w zakręt. W górę poderwał się jakiś czarny ptak. Spojrzałam za nim, jak odlatuje na najbliższe drzewo. Potem kolejny zakręt i wjazd na chodnik przy kawiarni. Wyjęłam z bagażnika tobołki z produktami spożywczymi. Pomogłam sobie łokciem zamknąć klapę i ruszyłam w stronę

nowego życia. Od zewnątrz kawiarnia prezentowała się pięknie. Bielone drewniane okiennice i szyld nad drzwiami zapraszały do wnętrza. Nad nazwą głowiłam się bardzo długo, choć roboczo mówiłam na to miejsce Klicz. W domu zorganizowałam burzę mózgów. Każdy podawał swoją propozycję, a potem się nad nią zastanawialiśmy.

- Co mata przeciw Klicz? - pytała pani Jadzia, która ostatnio się u nas zadomowiła.

- Zakalec? - Ciocia popukała się w głowę. - Zaraz będą gadać, że tu to same zakalce dają do jedzenia.

- Bo powinno być po kociewsku - upierała się. - Kocie niebo. Co? I daj ta do tego parasolka?

- Kocia dupa lepiej by pasowała - zdenerwowała się ciocia. - Akurat najpierw klicz, a po nim biegunka jak ta lala. - Zaśmiała się. Po chwili wszyscy rechotaliśmy. Głupawka nie zapowiadała szybkich efektów.

- A słuchajta! - Pani Jadzia się nie poddawała. - A może Mandragora?! Pasowałoby, jo? Po wisielcuchu idealnie. Może gdzieś tam przez te szparki w deskach wyjdzie.

- Przestań straszyć Aśkę. Już jej powiedziałam, że żartowaliśmy z tymi egzorcyzmami.

- Wyklepałaś? - zdziwiła się. - Toć był fejn!

- Jaki tam fejn, Jadźka! Toć dziewczyna się bała, spać po nocach nie mogła, a ty chcesz mieć ubaw.

- Oj tam, trocha nie zawadzi.

- Trocha, jo. A teraz koniec.

- Literatka! - krzyknęła nagle Luscia, przerywając dyskusję staruszek, a ja odruchowo wstałam, żeby podać jej szklaneczkę. - Literatka! - powtórzyła. Wszyscy spojrzeliśmy na nią, bo wyglądało na to, że moja córka zawiesiła się na jednym słowie.

- Co?

- Kawiarnia Literatka! Mamo! To jest dobra nazwa. Patrz, wydajesz już prawdziwe książki w dużym wydawnictwie, więc jesteś literatką, a ponadto to nazwa szklanki, więc pasuje idealnie!

- Literatka? - zdziwiłam się. Faktycznie. Proste i dobrze brzmi.

- A mnie tam Klicz podobał się bardziej - podsumowała pani Jadzia.

- Niezłe.

- No i hurdu - burdu, wymyślone.

- Jo! - Ciocia postawiła kropkę nad i. Wyciągnęła karafkę z nalewką i wspólnie opiłyśmy sukces.

Teraz napis „Literatka” spozierał na mnie z drewnianego szyldu. Przekręciłam klucz w zamku. Nie odsłaniałam okiennic. Zapaliłam światło i zabrałam się za pracę. Sporo czasu już przeciekło mi przez palce, więc teraz trzeba było zakasać rękawy i piec ciasta, żebym miała czym witać gości. Sprawdziłam też, czy pralinki w lodówce stężały. Wyglądały smakowicie. Dzisiaj każdy klient dostanie po jednej na dobry początek wieczoru, o ile oczywiście zdążę z przygotowaniami.

Rozdział 31

Wyciągnęłam ostatnie ciasto z piekarnika. Ustawiłam je na desce i otarłam pot z czoła. Gotowałam się. Czułam, że wilgoć spływa mi po dolnej części kręgosłupa. Nie najlepszym pomysłem było otwieranie okna, bo przeziębienie miałabym gwarantowane, ale że ostatnio racjonalne myślenie zawiesiłam na kołku, postanowiłam wpuścić do środka trochę świeżego powietrza. Odśloniłam okiennice. Światło natychmiast omiotło wszystkie zakątki. Otworzyłam dwa okna. Celowo wybrałam te od ulicy, licząc na to, że waniliowo - cynamonowy zapach zaprosi przechodniów do środka. Spojrzałam na zegarek. Dochodziła piętnasta, a Blublusia wciąż nie było z kwiatami. Gdy dzwoniłam, odezwał się prawie natychmiast, jakby czekał na wiadomość ode mnie.

- Aśka, jestem właśnie w kwiaciarni. Co mam kupić? Róże?

- Nie - odparłam bez namysłu. - Kup najzwyklejsze goździki. Białe będą idealne.

- Mają. Ile wziąć?

- Weź dwadzieścia. Zaszaleję - odparłam z uśmiechem. Pewnie będę musiała na nie wyjąć z portfela ostatnie grosiki, bo kasa rozmyła się, jakby była z lodu, ale co tam. Raz się żyje. Odruchowo spojrzałam na pierścionek zaręczynowy. Uwierał. Pokręciłam nim, by znów znalazł się w wygodnej pozycji, jednak to chyba nie jego położenie było nieprawidłowe. Westchnęłam. Mama się załamie, kiedy jej powiem.

Blubluś zjawił się po piętnastu minutach z ogromnym bukietem kwiatów. Kupił więcej, niż prosiłam. Spojrzałam na niego pytająco.

- Końcówkę kobieta miała, to wziąłem wszystkie.

- Zaraz ci oddam kasę.

- Niech to będzie ode mnie na dobry początek.

Objął mnie, przywracając mi równowagę. To najlepszy przyjaciel, jakiego kiedykolwiek miałam.

- Zaraz będzie Seba - rozwiął moje wątpliwości co do swojej orientacji. Uśmiechnęłam się, bo aż chciało się powiedzieć, że taki fajny facet stracony dla kobiet.

- To ja idę się myć - odparłam. - Jeżeli możesz, to powkładaj kwiaty do wazonów. Muszę się przebrać. Jestem spocona i śmierdzą jak skarpetki mojej córki. - Przypomniałam sobie, że Lusia zawsze, kiedy ściągała trampki, mówiła, że to broń biologiczna.

Chwyciłam wieszak z bluzką, którą wczoraj sobie tutaj przywiozłam. Wymyśliłam, że na otwarciu kawiarni nałożę koronkową kreację, a pod to czarne body. Wpadło mi w oko podczas niedawnych zakupów. Zawsze chciałam takie mieć. Wymodeluje mi talię i wyrówna niedoskonałości figury.

Poszłam do łazienki, zostawiając Piotra z kwiatami. Nalałam ciepłej wody do miski i w spartańskich warunkach próbowałam przywrócić sobie świeżość. Trochę zachlapałam przestrzeń wokół siebie, ale trudno. Właścicielka kawiarni musi być pachnąca. Miałam nadzieję, że Lusia zdąży przyjechać z Gdańska na otwarcie. Chciała dziś pomagać w obsłudze gości, a ja tego bardzo potrzebowałam. Rodzice obiecali, że zjawią się kilka dni później, bo mama miała wizyty u lekarzy. Zapewniali jednak, że po zabiegu jest wszystko w porządku. Musiała tylko przestrzegać diety. Olga też na razie nie dotrze, bo w trakcie roku szkolnego raczej trudno się gdzieś wyrwać. Przynajmniej obiecała, że przyjedzie przed Nowym Rokiem, westchnęłam. Nie mogłam się doczekać, kiedy opowiem jej o tym, jak po raz kolejny skomplikowałam sobie życie. Powinna mieć ze sobą obuch siekierki, by przywalić mi w facjatę dla porządku. Może wtedy odnalazłabym się z rozumem, który gdzieś hulał po świecie i nie miał ochoty wracać pod rozczochraną kopułę.

Stałam przed lustrem. Przetarłam twarz. Kosmyki włosów zwichrzyłam dłonią, bo nie chciałam mieć uklepanej fryzury i wyglądać jak leniwiec z popularnej kreskówki dla dzieci. Spróbowałam naciągnąć body. No, mamuńciu, to dopiero będzie wyzwanie, jęknęłam na widok gumowej zbroi.

- Jedziemy z tym koksem - mruknęłam pod nosem i włożyłam głowę w gorset. Był tak ciasny, że już mając go na szyi, czułam się niekomfortowo. Ale jeśli inne kobiety mogą, to ja też! Jedną ręką, potem drugą. Udało się. Teraz to tylko przeciągnąć przez cycki w dół i tam zapiąć na haftki. Łatwizna. Teoretycznie mam to obcykane. - Ja pierdyczę! - jęknęłam, siłując się z gumową tkaniną. Szło tak opornie, że ledwie dałam radę posunąć to o centymetr. W pewnym momencie zmiażdżyło mi biust. Dopiero po wielkich mękach udało mi się wsunąć go w sztywne miseczki. Reszta ubrania zwałkowałam się na brzuchu i uciskała przeponę. - Kurde!

- Asia! - Usłyszałam nawoływanie Piotra. - Wszystko w porządku?

- Taaa - odparłam.

Jasne, że w porządku. Tylko że teraz ani w górę, ani w dół. Utknęłam w jakimś cholerstwie. Zaraz się spocę i po sprawie. Goście przyjdą oglądać cudaka niemogącego się wyzwolić z wyszczuplającej zbroi. Noż kurza twarz! Pociągnęłam z całej siły. Jest! Odwinęło się i dało sprowadzić na dół. Wygięłam się nienaturalnie, by zapiąć haftki. Gdy jedną zapinałam, druga puszczała. Wyprostowałam się i zrobiłam kilka głębokich wdechów.

- Tylko spokojnie. - Policzyłam do dziesięciu. Skłon i oglądanie siebie z drugiej strony. Cztery haftki! Jedna, druga, trzecia! Fuck. Jedna... trzecia... Fuck! Jedna... czwarta. - No! Sukces! - Spojrzałam w lustro. Pomijając to, że zrobiłam się czerwona na gębie niczym piwonia w pełnym rozkwicie, wszystko wyglądało pięknie! - Mam talię!

Schłodziłam twarz zimną wodą, ale nie przyniosło to należytego efektu. Będę witać gości z rumieńcami jak matroszka.

- Co tak długo?

- Oj, nie będę opowiadać - odparłam, obciążając kreację.

- Ślicznie wyglądasz.

- Na pewno zdrowo z tymi rumieńcami.

Pokroiłam ciasto i ładnie je wyeksponowałam na tacach. Resztę ustawiłam na talerzach w chłodniczej gablocie. Sprawdziłam jeszcze, czy ekspres działa i czy czekolada na gorąco kręci się w maszynie. Za dwadzieścia minut się zacznie! Byłam niezwykle podekscytowana. Starłam się nie myśleć o Arturze, ale wracał jak bumerang i zastanawiałam się, czy przyjdzie. Wiedział, że to dla mnie ważny dzień. Gdyby chciał się pogodzić i raczył mnie wysłuchać, to byłaby idealna okazja.

- Dzisiaj pewnie będzie tu ciasno - odezwał się Piotr.

- Pewnie tak, ale damy radę.

Nagle drzwi od kawiarni się otworzyły i do środka niczym huragan wpadła Luśka.

- Cześć! - krzyknęła od progu. Plecak rzuciła w kąt i od razu przeszła do kuchni, stękając, że jest strasznie głodna. - Masz coś oprócz słodczy?

- Tak! Do lodówki odłożyłam tortillę. Zrobiłam ją specjalnie dla ciebie. Tylko odgrzej sobie.

- Zjem na zimno, bo zaraz będą goście.

Krzątałam się z kąta w kąt, co chwilę rzucając okiem na zegarek. Kiedy nie chcemy, to czas pędzi jak szalony, teraz za to włókł się niemiłosiernie. Piotr usiadł przy jednym ze stolików i sprawdzał coś w telefonie. W powietrzu było słychać ciszę. No prawie, bo Lusia starała się ją zagłuszyć, jak tylko mogła. Właśnie coś jej spadło na podłogę.

- Spoko! Nic się nie stało!

- Usiądź i nie stresuj się - powiedział Piotr, a ja nagle ocknęłam się i pomyślałam, że przecież nie mam żadnej muzyki! Żadnej! A chyba w kawiarni powinno coś grać.

- Jezu - uderzyłam się w czoło. - Radio by się przydało albo stary gramofon.

- Proponuję zostać przy radiu - stwierdziła fachowo Lusja. - Ale nie mogę ot tak sobie włączyć w miejscu publicznym.

- Jutro to sobie załatwisz - przerwał Piotr. - Jeśli będziesz potrzebowała muzyki, to ja mogę zaśpiewać.

- Trzymam cię za słowo.

W tym momencie zaskrzypiały drzwi i do środka weszli pierwsi goście. Ciocia Zosia ze swoją ekipą. Jak zawsze niezawodni i lekko przed czasem. Za nimi pojawił się Sebastian w nowych kraciastych spodniach opinających jego długie chude nogi. Znajomi wlewali się do środka stopniowo, jakby się umówili, żeby nie robić zbyt dużego tłoku przy wejściu. Wieszak zapełniał się kurtkami i płaszczami. Wewnątrz robiło się gwarno. Słysząc było śmiechy. Spoglądałam z nadzieją na każdego, kto wkraczał do Literatki. Ciągle jednak nie widziałam twarzy Artura. Serce kłuło, bo liczyłam na to, że się przełamie i mi wybaczy. Przecież chyba mnie kocha, a ja w sumie nie zrobiłam nic złego. Wszystko bym mu wyjaśniła. Założę się, że wyobraźnia podsunęła mu sprośne obrazy.

- Szpilka! - zawołałam, kiedy zobaczyłam w progu dziewczynkę ze swoją mamą. Podbiegłam do niej, by ją uściskać. Potem zaprosiłam moją podopieczną do jednego ze stolików. Trzeba było poprzesuwać krzeselka i kilka przynieść z zaplecza, bo ledwo się wszyscy mieścili.

Lusja roznosiła na tacy lampki z szampanem oraz z lemoniadą. Ja częstowałam pralinkami. Nagle Piotr chrząknął znacząco.

- Proszę państwa, chciałbym zabrać głos. I w imieniu nas wszystkich pozwolę sobie, Asiu, złożyć ci życzenia, aby to twoje marzenie kręciło się słodko, aby nigdy nie zabrakło tutaj kawy, wypieków i uśmiechu. Gratulujemy ci serdecznie! Oczywiście będziemy przychodzić, by robić tłok.

Rozległy się brawa. Czułam się tego dnia niezwykle szczęśliwa. Nie przerażała mnie niewiadoma. Nie bałam się przyszłości. Wiedziałam, że sobie poradzę, bo przecież właśnie realizowałam kolejne życiowe marzenie. Szkoda tylko, że przyjdzie mi spełniać je samotnie, bez ukochanego mężczyzny u boku. Wiedziałam, że Artur już nie przyjdzie. A kiedy zdążyłam o tym pomyśleć, w progu ujrzałam nowych gości.

- Zapraszam!

- Znajdzie się miejsce dla nas? - spytał Wiktor, ściskając za dłoń Julkę.

- A gdzie reszta? - Rozejrzałam się za Natalią i Mieszkiem.

- Zostali z babcią - odparł. - A Julki, jak zauważyłaś, zostawić się nie da.

- Świetnie, że jesteście. Zapraszam. Zaraz znajdziemy krzesła. A może tam, na komodę się wciśnięcie? Na poduszkach będzie wam wygodnie.

Przedstawiłam Wiktora swoim znajomym. Julka kurczowo trzymała się jego ręki, kiedy witał się z gośćmi. Zauważyłam, że ciocia zaczęła mu się z ciekawością przyglądać. Coś do niego powiedziała, a potem poważnie spojrzała na mnie i chyba się zamyśliła. Dopiero po kilku sekundach ponownie uśmiechała się i rozmawiała z pozostałymi. Pani Jadzia za to była duszą towarzystwa. Nie omieszkała opowiedzieć wszystkim o egzorcyzmach.

- Żebyście widzieli, jaką Aśka miała minę! Jak usłyszeliśmy, że ona idzie, to ja zam plackiem na ziemię skoczyła i

uwalila się krzyżem, a Zosia z Marcelim coś tam mamrali pod nosem. Śmiechu było co niemiara.

- To był ten wisielec czy nie? - spytała pani Grażynka, trochę chyba przestraszona poczuciem humoru staruszków.

- A gdzie tam! My wiedzieli, że nie było, ale ta durnowatych rzeczy naczytała się w tych internetach, to uwierzyła! - zawołał pan Marcyś.

Postawiłam na stołach tace z przysmakami. Luscia roznosiła kawę i herbatę. Wszyscy zajadali z apetytem. Obawiałam się, że na jutro nic nie zostanie, trzeba więc będzie od rana piec pełne blachy słodkości, żeby zacząć zwyczajny dzień pracy.

Rozdział 32

Po dwóch godzinach biesiadowania goście zaczęli się żegnać. Wychodzili znów stopniowo, po kolei. Dzięki temu mogłam z każdym być przez chwilę sam na sam. Z warg spływały słowa gratulacji i pożegnania. Łapałam je, bo wiedziałam, że zachowam ten dzień w pamięci na zawsze.

- Pewnie wpadniemy tu jeszcze z Julką - powiedział Wiktor i uścisnął mi dłoń. - Prawda, księżniczko?

Dziewczynka akurat trzymała w rączce pralinę i skubała ją ząbkami, jakby się bała, że słodycz jest za mała, więc trzeba ją oszczędzać.

- Dziękuję, że przyszliście.

Odprowadziłam ich do drzwi. Pomogłam Julce założyć kurtkę. Zawinęłam jej na szyi szalik. Nie protestowała, choć wciąż nie powiedziała do mnie ani jednego słowa. Miałam jednak wrażenie, że mnie zaakceptowała, od czasu do czasu nieśmiało się uśmiechała i nie zawsze już chowała się za zastępczego tatę.

Kiedy wyszli, wróciłam do gości. Rozlałam resztki szampana.

- Asiu, ja jadę, ale coś mnie się w głowie kręci. Czy mogę zabrać ze sobą Luškę? - spytała ciocia, lekko przytrzymując się krzesła.

- Jasne, dam radę to ogarnąć. Źle się czujesz, ciociu? - zaniepokoiłam się.

- To chyba od tego siedzenia - odparła. - Zaraz przejdzie, ale pewniej się będę czuła z Lusią.

- Przyjdę jutro z tobą, mamó, to ci pomogę posprzątać. W sobotę powinno być sporo klientów.

Kiedy ostatni goście wyszli, chciałam już przekręcić klucz w drzwiach, lecz nagle zauważyłam, że po drugiej stronie ulicy ktoś do mnie macha. W pierwszej chwili serce mi

załomotało, ale spostrzegłam, że to nie ta wyczekiwana od rana sylwetka.

- Spóźniłem się? Już zamykasz? - spytał Jaromir, taszcząc przed sobą niewielki karton.

- No, raczej - burknęłam.

- A dostanę coś słodkiego? Mam fanty na zapłatę - zaśmiał się, pokazując pudełko. - Przecież książek ci ostatnio nie dałem.

- Wchodź. Postaw to tutaj. - Wskazałam krzesło. - Czego się napijesz?

- Masz jeszcze szampana? - Spojrzał na pustą butelkę.

- Niestety nie, ale mogę otworzyć wino - odparłam bez entuzjazmu. - Przyszedłeś na piechotę?

- Tak. Nocuję dzisiaj w hotelu. Miałem tutaj zlecenie.

- Siadaj. - Postawiłam na stoliku butelkę. Podałam mu korkociąg i wróciłam do kuchni po czyste lampki.

- Może ci najpierw pomogę to poznosić, co?

- W sumie - zawahałam się. - Przydasz się przynajmniej na coś.

- Co ty taka smutna? Nie cieszysz się?

- Cieszę, ale jestem zmęczona - odparłam. - Ponadto zła jestem na ciebie. Serio.

- Za co?

- Przez ciebie Artur ze mną nie gada.

- Powinnaś być mi wdzięczna. - Wzruszył ramionami. - Uratowałem cię przed największą życiową głupotą.

- Co ty możesz wiedzieć?

- Aśka, gołym okiem widać, że doktorek to flaki z olejem. Gdzie on do ciebie? Ty jesteś inna - mówił, zbierając naczynia.

Kompletnie mi nie leżało jego dzisiejsze zachowanie. Pomagał mi? Sprzątał? I to jest ciągle ten sam Poniatowski?

- A jaka ja niby jestem, co?

- Z ikrą. Trochę szalona i roztrzepana, to fakt, ale to kręci facetów i ty doskonale o tym wiesz.

- Szkoda, że Artura nie kręci.

- Bo Artur to dupa wołowa. Gdyby był babą, to powiedziałbym, że cierpi na syndrom niedopchnięcia - zakpił w swoim stylu.

Nie odgryzłam się szowinistyczną ripostą. Dzisiaj nie miałam na to nastroju.

Po zniesieniu naczyń do kuchni usiedliśmy w fotelach. Jaromir napełnił lampki winem. Chyba pierwszy raz w życiu nie skakaliśmy sobie do oczu. Patrzyłam na niego. Uśmiezek dalej miał lekko ironiczny. Marszczył też ciągle czoło i mrużył te swoje niewielkie ślipia. Była w nim jakaś zagadka.

- A ty dlaczego rozstałeś się ze swoją żoną? - spytałam.

- Hm. - Zamyślił się, a potem głupawo uśmiechnął, jakby chciał coś ukryć. - Ja nie nadaję się do stałych związków.

- Każdy się nadaje.

- Nie - odpowiedział zdecydowanie. Potem delikatnie palcem przejechał po moim ramieniu. Przeszły mnie ciarki, ale nie dałam po sobie poznać, że to mnie w jakiś sposób ruszyło. - Dobre wino - zmienił umiejętnie temat.

- Yhy - mruknęłam.

- Nie obejrzysz książek? - spytał.

Wstałam z fotela i podeszłam do pudełka. Jaromir ruszył za mną. Otworzyłam wieko i wyjęłam bajkę. Miała twarde okładki. Wyglądała pięknie. Znałam już rysunki Jaromira, ale gotowy produkt wyglądał cudownie. Przejrzałam kilka egzemplarzy i odłożyłam je delikatnie na miejsce.

Nagle poczułam na dłoni palce mężczyzny. Nie zdążyłam podnieść wzroku, gdy chwycił mnie za nadgarstek i przyciągnął do siebie. Ciepło bijące od niego było tak przyjemne i obezwładniające, że bez oporu poddałam się namiętnemu pocałunkowi. Motyle w żołądku uderzały z

ogromną siłą, jakby chciały wydostać się na zewnątrz, a przyjemne ciepło schodziło niżej i niżej. Miałam ochotę skulić się z powodu bólu rozkoszy. Dłonie stały się odrębnymi bytami. Bez mojej zgody zaczęły błądzić po ciele Jaromira. Odpinały jego koszulę, dotykały gładkiego torsu! Potem chwyciły moją koronkową bluzkę, ściągnęły ją jednym ruchem i odrzuciły w bok. Nie wiem, czy to wciąż były moje dłonie. Spodnie też poleciały gdzieś w kąt.

- Rany! - jęknął nagle. - Co to?

Dopiero teraz poczułam, jak jego ręce bezradnie błądzą po moim ciele w poszukiwaniu guzików od gorsetu. Fuck!!! Zapomniałam, że mam na sobie zbroję!

- Po... poczekaj - wydyszałam. - To ma zapięcie w kroku.

- O! Pas cnoty! - Jego palce od razu znalazły haftki. Kiedy z nimi walczył, zwijałam się przy każdym jego dotknięciu. Cholera!

Przecież to nie ja! Ja nigdy tak... Dlaczego z nim?! Próbowałam myśleć, jednak po chwili znów tak podniecająco ścisnęło w podbrzuszu, że moje racjonalne myślenie biegło w siną dal.

- Poczekaj. - Spróbowałam dokończyć odpinanie. Chwyciłam gumową materię, by ją podciągnąć do góry. Noż kurza twarz! Nie szło cholerstwo! Szarpnęłam mocniej. Zatrzymało się na wysokości cycków i nie mogłam ruszyć ręką. Stałam więc przed Jaromirem, świecąc najintymniejszym miejscem swojego ciała.

- O, tak może być - mruknął z zadowoleniem i położył dłoń na wewnętrznej stronie mojego uda. Walczyłam z bólem. Próbowałam ruszyć ręką.

- Auaaa - zajęczałam. - Łaaa!

- Aż tak? - szepnął, rozpinając rozporek, gdy ja ciągle stałam z ramionami w górze, trzymając gorset na wysokości biustu i nie mogąc się ruszyć.

- Nie! - zawołałam. - Jaro! Moja ręka!
- Co? - Spojrzał na mnie nieco przytomniej. - Jaka ręka?
- Moja. Zwichnęłam rękę. Chyba mi coś przeskoczyło w barku!

- Nie - zaśmiał się. - Powiedz, że to taka gra wstępna.
- Durniu! Pomóż mi się z tego wydostać!
- Czyli jesteś unieruchomiona, a ja na widoku mam twoją brochę - rechotał. - I mogę z nią zrobić, co tylko chcę. W dodatku całkiem niezłą masz fryzurkę. - Przejechał dłonią po moim podbrzuszu, a ja podskoczyłam jak rażona prądem.

- Pomóż mi!
- Wezwać pogotowie? - drwił.
- Jaro, uwierz mi, że jak tylko się z tego uwolnię, to tak ci przywalę, że rodzona matka cię nie pozna.

- To będzie łatwe, bo moja matka nie żyje, odkąd skończyłem siedemnaście lat - odparł i wreszcie zaczął ciągnąć gorset w górę. Kiedy mnie z niego uwolnił, nadal nie mogłam ruszyć ręką. Bolało okropnie. - Zadzwoń po chirurga? - kpił.

Palant - burknęłam, próbując się czymś zasłonić. Jednak prawa ręka nie dawała się ruszyć.

- Pokaż to. - Złapał mnie za bark. Chwycił bolącą kończynę i pociągnął ją delikatnie, a zarazem fachowo i dość gwałtownie w swoją stronę. - Wskoczyło?

- Kurrrr!!! Jezu! Nie wiem! Boliii!

- Poruszaj trochę.

Spróbowałam delikatnie zrobić, co kazał. Było lepiej. Bolało, ale na upartego dało się ręką ruszyć.

- Cholera - wyrwało mi się.

- Aśka, z tobą nawet seks jest ekstremalną przygodą - zaśmiał się, lecz potem kazał mi usiąść i pomógł nałożyć spodnie. - Masz tu jakąś koszulkę?

- W dużej torbie na zapleczu.

Po chwili miałam już na sobie górną część garderoby. Wciąż bolało jak skurczybyk. Usiadłam w fotelu i próbowałam rozruszać rękę.

- Masz, napij się. Dobrze ci zrobi.

Usiadł obok i zaczął grzebać przy rozporku.

- A ty co? - spytałam.

- Jak to co? A kto dokończy dzieła? - Wybuchnął śmiechem, ale widząc moje przerażenie, dodał, że to taki żarcik na rozluźnienie. Zapiął rozporek i chwycił lampkę wina.

- Przepraszam.

- Nie ma za co - odparł. - Może to i lepiej - rzucił, a mnie zrobiło się trochę przykro.

Może chciałam tego bardziej niż on. Było w nim coś takiego, co mnie irytowało, ale też budziło nieprzeciętną ciekawość i chyba czas to przed sobą przyznać. Wiedziałam też, że nawet gdyby Artur chciał mi wybaczyć, nie mogłam się teraz na to zgodzić. To by było nieuczciwe. Był pierwszym mężczyzną, który mnie zauroczył, odkąd się rozwiodłam. Coś we mnie otworzył, odblokował, ale raczej nie była to miłość. Przecież gdyby w grę wchodziło to uczucie, nie obściskiwalabym się z nieobliczalnym Jaromirem. Czego ja właściwie chciałam od życia? Pytałam siebie i spoglądałam na mężczyznę obok.

- Dlaczego? - spytałam, biorąc duży haust wina.

- Mówiłem ci, że ja się nie nadaję. A ty zasługujesz na coś więcej.

- A czym jest to coś więcej?

- Domem, miłością, stabilizacją.

- Myślisz?

- A ja, wiesz, jestem na krótkie dystanse.

- Dlaczego? - powtórzyłam pytanie.

- Jak już widziałem cię nagą, to chyba mogę ci powiedzieć - zawahał się. - Chyba jestem przeklęty, bo jak kogoś pokocham, to go tracę - odparł szczerze.

Pierwszy raz widziałam w nim zupełnie innego mężczyznę. Nagle zobaczyłam zagubionego i nieszczęśliwego człowieka, jakby zdjął przede mną maskę i przyznał, że król jest nagi.

- Nieprawda, masz przecież syna, a to już jest jedna osoba, którą kochasz.

- Tak - zamyślił się. - Ale mój syn ma lepszy kontakt ze swoim ojczymem niż ze mną. Mój tata zmarł, kiedy miałem osiem lat. Matka niecałe dziewięć lat później. Moja żona rozwiodła się ze mną po czterech latach małżeństwa, bo nie umiałem być mężem. Nie nadaję się do stadnego życia - powiedział z sarkazmem. - Cholernie cię lubię, ale ty potrzebujesz stada z całą tą głupawą otoczką.

- Jaro... - zawahałam się, bo miałam ochotę zapytać go o rysunki, lecz po zastanowieniu dodałam tylko: - Dziękuję.

Rozdział 33

Kiedy w niedzielę zamykałam Literatkę, byłam zupełnie wykończona. Ból w barku jeszcze trochę dokuczał, ale był zdecydowanie słabszy niż wyrzuty sumienia po felearnym wieczorze. Lusja pojechała już do Gdańska, więc wszystko zostało wyłącznie na mojej głowie. Wcześniej myślałam, że prowadzenie malutkiej kawiarni to niewielki wysiłek. Zaskoczyła mnie jednak liczba klientów. Praktycznie drzwi się nie zamykały. Cały dzień wszystkie stoliki były zajęte. Wiedziałam, że to pewnie z czasem minie. Teraz po prostu mieszkańcy są zainteresowani nowym lokalem i pchają się jak pszczoły do miodu. Jeśli tak będzie jeszcze przez kilka dni, to padnę na twarz i nie ruszę ani nadwyrężoną ręką, ani zdrową nogą.

- Przepraszam panią - zaczepiła mnie przechodząca chodnikiem kobieta. - Pani jest właścicielką tej kawiarni?

- Tak - odparłam i przekręciłam po raz drugi klucz w zamku. Nacisnęłam jeszcze na klamkę, by się upewnić, czy drzwi zostały przeze mnie dobrze zamknięte. - A o co chodzi? - Odwróciłam się do niej.

- Szukam pracy - powiedziała.

Automatycznie zmierzyłam ją od stóp do głowy. Na oko mogła mieć sześćdziesiąt lat. Dokładnie trudno było stwierdzić, bo w świetle ulicznej lampy szczegóły się rozmazywały. Zwróciłam uwagę na nieładną kurtkę w wielkie kwiaty. Kobieta dłonie chowała w kieszeniach. Może teraz nerwowo przebierała palcami.

- Jest pani cukiernikiem?

- Nie, ale umiem piec - odparła niepewnie. - Wychowałam pięcioro dzieci. A to żarte było strasznie. Kuch z krostami to ja mogę z zamkniętymi oczami robić, a i po naszymu ruchanki, jak pani by sobie życzyła. Sernik,

szarlotka... A to, czego nie umiem, to ja się nauczę, oby tylko robota była.

- A gdzie pani wcześniej pracowała?

Kobieta przestąpiła z nogi na nogę.

- Szczerze pewnie by chciała pani wiedzieć? - zadała pytanie retoryczne, a po chwili dodała: - Nigdzie.

- Skąd więc decyzja o pracy teraz?

- Bo zawsze marzyłam, by mieć robotę - odezwała się cicho i spuściła głowę. Zaczęła oglądać czubki butów. - Dzieciaki poszły na swoje. W tamtym roku pochowałam starego. I co ja mam, pani, robić? W chałupie pajęczyny oglądać? Kiedyś chciałam iść do pracy, to mi mój tylko skórę obił i na tym się skończyło.

- Przykro mi.

- Przepraszam, że zawracam pani głowę. Co ja sobie pomyślałam... - Ruszyła przed siebie. Lekko się przygarbiła.

Tak mi się żal tej kobiety zrobiło, że niewiele myśląc, zawołałam za nią:

- Jak ma pani na imię?

- Stanisława Idziak jestem.

- Pani Stasiu, a te ruchanki to naprawdę pani umie takie prawdziwe kociewskie?

- Jak moje dzieciaki były małe, toć ja co rusz je robiła. Jak one pałaszowały! Tera to ja nie mam komu - westchnęła.

- Przyjdzie pani jutro o jedenastej?

- Łoj! - zawołała i przyskoczyła do mnie. - Prawdę mówią, że pani to już nasza. - Chwyciła mnie w ramiona i zaczęła ścisnąć. Zaśmiałam się, bo miło mnie polechtała takim komplementem. Nasza jestem! - Co tu wiele gadać, jutro będę. Niech Bóg pani to wynagrodzi.

- Ale nie obiecuję na sto procent - zaczęłam się ubezpieczać, bo przecież nic o tej kobiecie nie wiedziałam, a już na pewno muszę zobaczyć, jak pracuje, czy ma serce do

pieczenia. Nie da się przecież robić pyszności, nie wkładając w to uczuć. - I pensji pewnie na początek dużo pani nie będzie mogła zaproponować, jeśli się dogadamy.

Machnęła ręką. Potem otarła łzy i upewniła się, czy nie powinna przyjść wcześniej.

Kiedy odchodziła, chwilę za nią patrzyłam. Miałam wrażenie, że szła energicznym krokiem, z podniesioną głową. Nawet kwiaty na kurtce nie wydawały się już tak paskudne, jak przed kilkoma minutami. Odchodziła w cieniu budynków, by po chwili zniknąć za rogiem kamienicy. Dopiero wtedy poszłam do swojego samochodu. Usiadłam za kierownicą i poczułam, jak bardzo jestem zmęczona. Bolał mnie kręgosłup, bark i łydki, a jutro rano trzeba tu wrócić i upiec kolejne dwa ciasta, bo na razie wszystko szło na bieżąco. W poniedziałek miałam nadzieję na mniejszą liczbę gości. Ludzie pewnie będą w pracy, więc trochę odpocznę i zrobię plan na cały tydzień. Poznam też bliżej tę Stanisławę. To szaleństwo zatrudniać kogoś po ciemku na ulicy! Ale w tej kobiecie było coś, co nie pozwoliło mi dać jej po prostu odejść.

Przekręciłam kluczyk w stacyjce. Przed oczami błysnął mi pierścionek. Artur wciąż milczał. Czas było to załatwić. Nie można przecież tkwić w zawieszaniu. Wyjęłam ze schowka notes. Wyrwałam kartkę. Napisałam na niej wielkimi literami „Przepraszam”. Zawinęłam w nią pierścionek i ruszyłam do domu Artura.

Po kilkunastu minutach wjechałam w jego ulicę. Było pusto, nigdzie ani żywej duszy, jakby ta dzielnica pogrążyła się już we śnie.

Zaparkowałam przed domem. W pierwszym odruchu chciałam go zawołać, licząc na to, że światło błysnie w oknie i klucz zazgrzyta w zamku, że wyjdzie do mnie i porozmawiamy. Myślałam, że zakończymy nasz związek w cywilizowany sposób. Zrezygnowałam jednak. Wiem, że

zasłużyłam na to milczenie. Podeszłam do skrzynki na listy i wrzuciłam zawiniątko. Spadło prawie bezszelestnie na jej dno, być może wyściełane jakimś nieodebranym listem. Szkoda, że to właśnie tak się kończy. Liczyłam na przynajmniej jedną rozmowę.

Rozdział 34

- Myślałam, że pośpisz dzisiaj dłużej - powiedziała ciocia na mój widok. Przypuszczam, że przypominałam zombie. Czułam się, jakbym kilka dni przeleżała pod ziemią, a teraz ktoś nagle mnie wykopał.

- Już ósma - odparłam. - I tak jakoś nie mogłam dzisiaj spać.

- A co się dzieje?

- Nic, ciociu. Dużo emocji związanych z kawiarnią. - Postawiłam kubek i włączyłam ekspres. Odgłosy mielenia ziaren zagłuszyły moje słowa. - Zatrudniłam wczoraj pomoc.

- Aśka. - Ciocia się przeżegnała. - Pomoc? A stać cię na to?

- Nie wiem - powiedziałam szczerze. - Biznesplany to moja słaba strona, ale jeżeli utargi w weekendy będą takie jak w tę sobotę i niedzielę, to z pewnością wyjdę na swoje.

- A co to za pomoc?

- Stanisława Idziak albo Idzik. Nie pamiętam, bo chwilę tylko na ulicy rozmawialiśmy.

- To ty łapankę w nocy na pracowników robiłaś? Usiadłam z kubkiem gorącej kawy naprzeciwko niej. Szczelniej owinęłam się szlafrokiem, bo było mi trochę chłodno.

- A tak się kobieta napatoczyła. Samo wyszło. - Ziewnęłam. - Na razie i tak to będzie próba.

- Jezu! Aśka! - Ciocia zamarła. - Obrabowała cię ta baba!

Podskoczyłam, kiedy krzyknęła. Dopiero po chwili zrozumiałam, że wskazywała palcem na moją dłoń. Nie połyskiwał tam już przecież pierścionek od Artura. Odruchowo dotknęłam pustego palca.

- Oj, ciociu - jęknęłam. - Sama oddałam.

- Pogadaliście?

- Nie. - Coś boleśnie zakłuło mnie w żołądku. Chyba to stała reakcja na jego wspomnienie. - Zawiesił się i nie chce gadać. Koniec.

- Ale nie koniec świata - dodała już innym tonem.

- Niby nie, ale boli. - Zapanowałam nad łzami, które nagle wcisnęły się pod powieki.

- Gdyby to był koniec świata, to teraz skakałabyś w nieznane, bo kto tam wie, co kryje się poza jego krańcem - powiedziała z powagą. - A tu przecież wszystko jasne jak słońce.

- No - mruknęłam. - Koniec jest bardzo jasny.

- A byłaś w hospicjum? - Zmieniła temat na jeszcze bardziej niewygodny dla mnie.

Nie uporałam się ze swoimi lękami. Bałam się tam pójść, bałam się pokochać nowe dzieciaki. Potrzebowałam więcej czasu.

- Wiesz co, ciociu. Ja to myślę, że mam bezterminowy abonament na wszelkiego rodzaju nieszczęścia - westchnęłam.

- Chciałabyś - zaśmiała się. - Za każdy abonament trzeba płacić, więc nie licz na coś bezterminowego i darmowego.

- Eee, szkoda słów. Idę się wykąpać i lecę zaraz do roboty. Muszę być w kawiarni przed tą Stasią.

- A ja spróbuję się dowiedzieć czegoś o tej twojej nowej pracownicy. Idziak mówiłaś?

- Idziak albo Idzik. Na oko koło sześćdziesiątki.

- O, to nie moja półka. - Zamyśliła się. - Zresztą na mojej już się tak przerzedziło, że od razu bym wiedziała, o kim mówisz.

Rozdział 35

Otworzyłam okno w kawiarni. Wpuściłam do środka trochę rześkiego powietrza. Ciasto dochodziło w piekarniku, gdy usłyszałam dźwięk telefonu. Wiadomość. Serce zabiło mi szybciej, kiedy spojrzałam na wyświetlacz. Artur. Drżącym palcem nacisnęłam odpowiednie przyciski, by odczytać esemesa. „Dziękuję”. Opadłam na najbliższe krzesło, jakby ktoś podciął mi nogi.

Ledwo powstrzymałam łzy. Jedno słowo?! Nic więcej?! Nic?! Miała być miłość i uniesienia, a została pustka odbijająca się echem o wspomnienia.

- Niech będzie pochwalony! - Usłyszałam nagle od strony drzwi. Otarłam szybko policzki. Starsza pani weszła do środka i ściągnęła czapkę, jakby znalazła się w świątyni. - Jestem.

- To już jedenasta? - zdziwiłam się, rozpoznając kobietę po kurtce w ohydne kwiaty.

- Nie. Przyszłam godzinę wcześniej. Nie chciałam się spóźnić.

Pani Stasia zdjęła okrycie i odwiesiła je na wieszak stojący blisko wejścia. Uśmiechnęłam się na widok jej różowego swetra z moheru. Wyglądała jak napuszczona kulka. Włosy miała starannie spięte w kucyk, a usta mażnięte krwistoczerwoną pomadką. Zaprosiłam ją do kuchni i wyjęłam moje ciasto z piekarnika. Pachniało cudownie uspokajająco.

- Będzie dobrze - powiedziała chyba do siebie. - Co mam robić?

- Chciałabym, żeby pani upiekła ciasto drożdżowe po swojemu - odparłam.

- Kuch z krostami, jo?

- Jo. Tylko proszę umyć ręce. Tu są jednorazowe rękawiczki. Będzie musiała pani też zrobić badania lekarskie.

- Jo - powtórzyła niczym żołnierz na służbie. - A coś pani taka smutna dzisiaj. Dyrdemyje jakie? Znaczą kłopoty?

- Nie - odparłam wymijająco. - Zmęczona trochę jestem.

Zostawiłam panią Stasię w kuchni. Wszystkie produkty miała na blacie, więc uznałam, że z pewnością sobie poradzi. Sama zabrałam się za przygotowanie sali. Wymieniłam wodę w wazonach i posprzątałam toaletę. Dzięki temu natrętne myśli odpuściły. Szkoda tylko, że nagle straciłam do tego wszystkiego zapał. Niedługo też mieli przyjechać moi rodzice. Zaczną się pytania, pretensje mamy i oczywiście żal, że taka niegarbata partia przeszła mi koło nosa. Mamuśka zacznie machać mi metryką, przypominając, że w moim wieku to raczej nie można sobie pozwolić na wybrzydzenie. I co ja jej powiem? Że nie byłam święta i zmarnowałam fajny związek z Arturem dla chwili podniety z jakimś artystą? Brrr! Na samą myśl przeszły mnie ciarki. Co mnie podkusiło?

- Ma pani dzieci? - krzyknęła do mnie pani Stasia.

- Tak, mam córkę. Ludwika ma na imię.

- A moje to Lucek, Jola, Iwonka, Anka i Kaśka.

Wszystkie już na swoim.

- Ile pani ma lat?

- Sześćdziesiąt dwa - odpowiedziała niepewnie. - A to problem?

- Nie - zaśmiałam się. - Żaden. Ciasto, widzę, rośnie. - Zajrzałam do miski, którą kobieta nakryła lnianą ściereczką. - Proszę mi mówić Aśka. Nie będziemy sobie paniować.

- Stasia.

Uścisnęłam jej pulchną dłoń. Kobieta wydawała mi się bardzo sympatyczna. Posprzątała po sobie starannie, więc to też mi się spodobało. Zdziwiło mnie, że nie odczuwałam wobec niej żadnej nieufności.

Spojrzałam na różowy puchaty sweterek. Z pewnością będzie musiała inaczej ubierać się do pracy, pomyślałam.

- Tu jest ekspres. Można zrobić kilka rodzajów kaw - zaczęłam jej opowiadać, jak nazywają się poszczególne napoje.

Słuchała z uwagą, choć pewnie to wszystko wydawało się jej nowe, bo wtrąciła, że ona w domu to parzy tradycyjnie w szklankach z koszyczkiem, jak to dawniej się piło, zwykłą, taką śmieciową, a nie jakieś wynalazki.

- Otwarte już? - Usłyszałam głos pierwszej tego dnia klientki. - Tak, proszę!

Do kawiarni weszły dwie młode kobiety. Zająły miejsce najbardziej oddalone od kontuaru. Dałam im chwilę na zajęcie foteli i dopiero gdy zaczęły się ciekawie rozglądać po wnętrzu, podeszłam do nich, by podać dwie karty. Stanisława obserwowała każdy mój ruch, jakby miała ochotę notować wszystko, co robiłam. Klientki zamówiły dwie cafe latte i ciasto z karmelizowanymi migdałami. Idealne połączenie. Ułożyłam porcje słodczy na talerzykach. Potem włączyłam ekspres i po cichu tłumaczyłam Stanisławie, gdzie należy nacisnąć, jak spenić mleko, jaką wybrać szklankę.

- Ładnie tutaj pachnie - skomentowała jedna z klientek.

- Za jakiś czas będzie ciepłe ciasto drożdżowe - odparłam.

- Właśnie rośnie.

Wymieniłam z nimi kilka grzecznościowych zdań i wróciłam za bar. Stasia złapała moją dłoń i pocałowała.

- Dziękuję - rzuciła, a ja oniemiałam, widząc, że po policzkach płyną jej łzy.

- Za co? - zdziwiłam się.

- To moja pierwsza robota - szepnęła tak, aby klientki nie usłyszały. - Pierwsza! W wieku sześćdziesięciu dwóch lat. Ja obiecuję, że będę wzorowym pracownikiem - zaszlochała, a mnie od razu przypomniały się hasła propagandowe z minionej epoki. Będę miała pracownicę wyrabiającą ponad sto procent normy, pomyślałam.

- Jak mnie dzieci tu zobaczą, to będą dumne.

- Stasiu, spokojnie. - Pogłaskałam ją po ramieniu. - Będzie dobrze, zobaczysz. Wcześniej mąż ci nie pozwalał pracować?

- Jo - odparła innym tonem. - Stłukł mnie na kwaśne jabłko, gdy chciałam do roboty iść. Według niego to baba w chałupie powinna siedzieć. Tkwiłam więc, prałam brudne gacie i zarzygane koszule. Za kołnierz ten mój chłop nie wylewał.

- Nie martw się. To się da!

Uśmiechnęłam się, bo przecież na Kociewiu zawsze wszystko się da. Nigdy nie jest na nic za późno, pomyślałam, co trochę mnie natchnęło nowym optymizmem. Przeniosłam się tutaj, więc trzeba teraz cieszyć się z tego, co jest. Kiedyś wiele lat przeżyłam bez żadnego faceta u boku, sama z Lusią, to teraz tym bardziej dam radę. Mam rodzinę i przyjaciół, a to był wspaniały fundament do budowania czegoś nowego.

Drzwi do kawiarni się otworzyły. Pojawiła się w nich głowa pani Jadzi. Różowa farba zdążyła się już wypłukać, pozostawiając tylko nieznaczne pasemka w tym kolorze.

- Pani Jadziu, zapraszam na ciasto.

Staruszka zajęła miejsce przy oknie. Zadowolona rozglądała się z ciekawością.

- Zaraz ma tu przyjść moja koleżanka - rzuciła. Z zamówieniem chciała więc poczekać do przyjścia gościa.

- Dzień dobry.

W kawiarni zaczynało przybywać osób.

- O! - Ucieszyłam się na widok Wiktora i Julki. - Wchodźcie! Zajęli kolejny stolik. Julcia powiedziała coś tacie na ucho. Zamówił dla niej gorącą czekoladę, a dla siebie espresso.

- Idziemy od lekarza - powiedział. - Obiecałem Julce nagrodę, więc jesteśmy. Była bardzo dzielna. - Pogłaskał ją po głowie.

Oczywiście od razu pochwaliłam dziewczynkę, która tradycyjnie się do mnie nie odezwała, ale wygięła usta w lekkim uśmiechu.

Przyniosłam im po ciastku owsianym.

- Dziękujemy - szepnął Wiktor. - Widzę, że interes się kręci. Usiadłam na chwilę na wolnym krzeselku przy ich stoliku.

Wygładziłam serwetkę.

- Tak. Zatrudniłam dzisiaj pomoc i mam nadzieję, że jakoś to pójdzie. Co prawda istne szaleństwo, bo moja pani Stanisława nigdy wcześniej zawodowo nie pracowała - wyznałam. - Ale wychowała pięcioro dzieci, więc jest szansa, że podoła. Dobrze jej z oczu patrzy.

- O tak! Dzieci to prawdziwa szkoła przetrwania. Chwilę posiedzimy i biegniemy dalej.

- Jak Arek?

- Nie jest łatwo, ale wynająłem pielęgniarkę. Wspólnie dajemy jakoś radę. Michał był wczoraj, to też pomógł przy bracie. Nie jest źle. Nie mogę narzekać. Co u ciebie?

- Szukam motywacji - odparłam filozoficznie. Nie mogłam jednak rozwinąć zdania, bo klientki w rogu sali dawały znak, że chciałyby zapłacić.

Przeprosiłam Wiktora i wróciłam do swoich obowiązków. Do pani Jadzi przysiadła się już koleżanka, mogłam więc też je obsłużyć. Zamówiły cappuccino i ciasto.

Obserwowałam tego dnia swoich gości. Wchodzili, wypijali kawę lub herbatę, zjadali łakocie i znikali za drzwiami. Niby właśnie tego chciałam, a mimo wszystko, nie wiedzieć dlaczego, nie czułam należytej satysfakcji. Pragnęłam, żeby było po domowemu, więc stworzyłam

atmosferę przypominającą wewnątrz przytulnej chatki, a wciąż to nie było to. Pachniało ciastem i kawą. Filiżanki pięknie prezentowały się na ręcznie robionych serwetach. Podłoga skrzypiała pod nogami. Czułam jednak, że ciepło tego miejsca jest pozorne. Jakbyśmy się wszyscy umówili, że udajemy tutaj dom. Ponadto miałam wrażenie, że ciągle nad tym miejscem wisi wspomnienie chłopaka, który był tak nieszczęśliwy, że aż próbował popełnić samobójstwo.

Rozdział 36

- Sprawdziłam tę twoją Stasię - powiedziała ciocia przy śniadaniu. Złożyła starannie gazetę, w której dzisiaj nic ciekawego nie znalazła. Odłożyła ją na bok i chwyciła w dłonie kubek z ciepłą herbatą.

- I jak?

- To bidula taka - odparła. - Z mężem pijakiem się przez lata użerała. Dobrze, że dałaś jej pracę.

- Też tak myślę - powiedziałam. Po chwili jednak przypomniałam sobie, że dzisiaj zapowiedzieli się rodzice. Nerwowo spojrzałam na zegarek. Ciocia dobrze zinterpretowała palący się w moich oczach strach.

- O której mają być?

- O dwunastej. Będę już wtedy w kawiarni, więc to na ciebie, ciociu, spadnie pierwszy ogień pytań.

- No, może matka się uspokoiła po ostatnich wyczynach. Trzeba przyznać, że długo się nie wtrącała.

- Prawda, ale jak się dowie, że ślubu z doktorkiem nie będzie, to zawału dostanie.

- A nie będzie na pewno?

- Na pewno, ciociu, nawet nie miał ochoty ze mną porozmawiać, by cokolwiek wyjaśnić. Szansy mi nie dał.

- Szkoda - westchnęła. - Chyba kto inny jest ci pisany.

Zamyśliłam się. Szybko podsumowałam ostatnie miesiące mojego życia. Szaleństwo emocji, trud wyborów, a w konsekwencji zgłiszcza związku. Widocznie nie jest mi pisane bycie żoną.

Wstawiłam do zlewu pusty kubek i talerzyk.

- Nic nie mów mamie. Najlepiej, jak sama jej się wypowiadam.

- Będzie dobrze. Twoja matka zrozumie.

Naszą rozmowę przerwał telefon. W pierwszej chwili myślałam, że to rodzice dzwonią z trasy, jednakże na

wyświetlaczu pojawiło się imię właścicielki lokalu, który wynajmowałam. Zdziwiłam się. Szybko przesunęłam na ekranie przycisk z zieloną słuchawką.

- Pani Asiu - odezwała się. - Jestem w Polsce. Mogłaby pani wziąć dzisiaj do kawiarni tę znaną teczkę? - spytała, a ja szybko starałam się w pamięci odtworzyć, gdzie ją schowałam.

Całkowicie o niej zapomniałam. Wysłałam wtedy pani Lucynie wiadomość z informacją o znalezisku, a potem inne sprawy mnie pochłonęły i całkowicie wyleciało mi to z głowy.

- Jasne. Zapraszam od dwunastej.

- Kto to? - spytała ciocia z ciekawością.

- Właścicielka lokalu - odparłam. - Lecę, bo muszę tam ogarnąć przed przyjściem gości, a i chyba znów ciasto jakieś przygotować, bo na razie schodzi wszystko na pniu.

- I dobrze. Wiedziałam, że tak będzie. - Uśmiechnęła się.

- Pewnie mama nie wytrzyma i też dziś tam wpadnie.

Wróciłam na chwilę do pokoju, by odszukać papierową teczkę. Musiałam ją wcisnąć do szuflady w biurku. Sprawdziłam. Była tam, gdzie przypuszczałam. Nieprzyjemnie sucha i chropowata tekturka od razu zakłuła mnie w palce. Wypadł z niej jeden wycinek prasowy ze zdjęciem ofiary. Zły znak, pomyślałam. Schowałam go szybko do środka. Nie chciałam patrzeć na te okropności. Wrzuciłam teczkę do torebki i chwyciłam jeszcze z szafki krem do rąk. Musiałam pozbyć się okropnego wrażenia suchości dłoni. Wtarłam w nie pachnący cytryną kosmetyk.

Rozdział 37

- O! Już pani na mnie czeka? - zdziwiłam się, widząc Stasię przed wejściem do kawiarni.

- Jo - odparła zadowolona. - Nie chciałam się spóźnić.

- Zapraszam w takim razie do środka. Wstawimy ciasto i może zdążymy się napić kawki.

Po otwarciu drzwi uderzył mnie przyjemny zapach, jednak niemający nic wspólnego z domem, a przynajmniej nie z takim z moich marzeń. Cynamon mieszał się z wanilią, niby to te aromaty, które musiały być, aczkolwiek brakowało szczypty czegoś, co trudno mi było nazwać.

Otworzyłam w kuchni okno. Rześkie powietrze wpadło do środka, wymiatając z kątów zapach ciasta.

Wyjęłam odpowiednie produkty i postawiłam je na blacie. Chwilę zastanawiałam się, co dziś zrobimy. Kończyła się jesień. Nie było więc mowy o niczym lekkim. Na ten czas najlepsze są korzenne przyprawy.

Stanisława sprzątała łazienkę. Podśpiewywała sobie po kociewsku. To od razu przypomniało mi, że muszę wreszcie załatwić sprawę z muzyką i radiem. Dobrze, żeby coś pobrzmiwało w tle. Idealnie byłoby wstawić też małe pianino. Mógłby ktoś na nim grać. Westchnęłam. Znajome nutki odtwarzały się w moich wspomnieniach.

- Stasiu! - zawołałam. - Co powiesz dzisiaj na mocno czekoladowe ciasto z czerwonym winem? - Rozpogodziłam się na samą myśl aromatycznego wypieku.

- Jo! Będzie fejn!

- Jak fejn, to fejn - mruknęłam pod nosem. Takie ciasto może obezwładni mamuszkę, która niewątpliwie za jakiś czas tu wparuje. Sprawdziłam, czy mam jeszcze maślanek albo kefir w lodówce, bo potrzebne będą do wypieku. Nalałam do szklanki czerwonego wytrawnego wina. Łyczek spróbowałam.

Wyśmienite! Dzisiaj powinno tu też zapachnieć grzańcem z goździkami!

Pani Stasia wróciła do kuchni i przez chwilę przyglądała się temu, co robię. Sama założyła lateksowe rękawiczki i zabrała się za ugniatanie kruchego ciasta z krupczatki. Dobry jabłecznik pachnący cynamonem idealnie skomponuje się z moim wypiekiem. Potem może jeszcze zdążę upiec tartę cytrynową. Ze Stanisławą do pomocy było zdecydowanie łatwiej. Jedna mogła obsługiwać klientów, a druga jeszcze coś pichcić na zapleczu.

- Dzień dobry! - Usłyszałam punktualnie o dwunastej znajomy głos. - Ale tu pięknie!

Pani Lucyna weszła do środka i rozglądała się po pomieszczeniach ze szczerym podziwem.

- Cieszę się - odparłam zadowolona. - Zapraszam do stolika albo na krzeselko przy kontuarze. Zaparzę kawę.

- Z przyjemnością się napiję. I jak cudownie pachnie! Pani tu piecze?

- Tak. Wszystko jest świeżutkie każdego dnia. Jak na razie ledwo nadążam.

- Naprawdę jestem pod wrażeniem. Poproszę caffè latte - powiedziała, usadawiając się na krzeselku. Stasia była w kuchni, więc sama włączyłam ekspres i zaparzyłam aromatyczny napój. Piankę z wierzchu oprószyłam cynamonem. Ukroiłam kawałek ciepłego jeszcze ciasta czekoladowego, a obok ułożyłam trochę nieforemną kulkę lodów waniliowych.

- Jestem pewna, że pani posmakuje - uśmiechnęłam się.

- Na tę porę roku czekolada jest wręcz idealna.

- Wygląda smakowicie.

- Mam dla pani teczkę - odparłam i schyliłam się, by sięgnąć po torebkę. Chwyciłam w dłonie nieprzyjemną

tekturkę i położyłam ją na blacie. - Proszę. To trochę makabryczne.

Kobieta jednym ruchem rozwiązała szarą tasiemkę i zajrzała do środka. Przerzuciła kilka wycinków i zamknęła wszystko. Nie widziałam na jej twarzy zdziwienia. Być może widziała to już wcześniej.

- Wie pani - zamyśliła się. - Kiedy moja mama opowiadała mi o niezdrowych zainteresowaniach Jurka, nie wierzyłam. Pokazywała, co chłopak wycina z gazet, ale nie mieliśmy pojęcia, że to się tak potoczy. Przeżył wielką traumę - zawahała się.

- Jego matka została zamordowana. Wtedy, w tych strasznych czasach, znalazła się tam, gdzie nie powinna... Zabił ją ten psychopata. - Głos jej drżał. - Jurkiem zajęła się nasza mama, czyli jego babcia. Chłopak zaczął zbierać wycinki o tym mordercy. Nie wiem, dlaczego to robił. Myślałyśmy, że to minie, że pomogą terapie. Nikt z nas nie przypuszczał, że on targnie się na swoje życie. Nie myśleliśmy, że jest chory. To wyszło dopiero wtedy, gdy trafił do szpitala.

- Przykro mi bardzo.

- Nie ma co do tego wracać. - Machnęła ręką. - Było, minęło. Cieszę się, że pani ożywiła to miejsce - dodała. - Jak się pani tu czuje?

- Dobrze - odparłam. - Mam to, o czym marzyłam - dodałam, ale chyba nie zabrzmiało to przekonująco.

Historia z niedoszłym samobójcą powodowała, że czasami zastanawiałam się nad tym, czy to była słuszna decyzja, by wynająć ten lokal. Pani Lucyna spojrzała na mnie uważniej, ale niczego nie skomentowała, bo nagle do kawiarni weszli klienci, a tuż za nimi wpadła moja mamuśka. Westchnęłam na jej widok. Jednak po chwili uśmiechnęłam się od ucha do ucha, by się z nią przywitać.

- Córcia! - krzyknęła rodzicielka, rzucając mi się na szyję. Nie przypuszczałam, że aż tak bardzo się stęskni. Zaczęła mnie ścisnąć z taką siłą, że o mało mnie nie udusiła. Dopiero po chwili zauważyłam, że razem z rodzicami przyjechała ciocia Zosia. Poprosiłam ich, żeby zajęli stolik, a ja poszłam obsłużyć gości, bo Stasia ciągle była w kuchni. Wyszła dopiero po kilku minutach, pewnie ściągnięta nagłym zamieszaniem. Przedstawiłam jej rodziców i ciocię. Mamuśka aż klasnęła w ręce, kiedy dowiedziała się, że ze mnie taka poważna bizneswoman.

- Jak już zatrudniasz ludzi, to jest coś!

- Nie ludzi, ale jedną panią - odpowiedziałam.

- No, od czegoś trzeba zacząć. Zrób nam, dziecko, kawy, bo jesteśmy zmęczeni podróżą.

- A ty możesz już pić kawę? - spytała ciocia. - Po usunięciu woreczka to chyba jeszcze za wcześnie.

- Racja, choć minęło kilka tygodni po zabiegu. - Mama pokiwała głową i dodała, że w takim razie chętnie wypije zieloną herbatę.

- Zaparzę - zaoferowała się moja pomocnica, a po chwili zalewała czajniczki gorącą wodą.

Pokroiłam ciasto na talerzyki. Ładnie je przyozdobiłam listkami mięty z doniczki stojącej na kontuarze i podałam do stolika.

Stasia w tym czasie realizowała już zamówienie pary siedzącej w rogu sali.

- Pani Asiu, dziękuję - odezwała się nagle właścicielka pomieszczenia. Pomachała papierową teczką. - Uciekam. Powodzenia.

Kobieta położyła na stole dwudziestozłotowy banknot i wyszła z kawiarni. Przysiadłam się do rodziców. Zagaiłam o ich podróż, lecz cały czas byłam spięta. Chowałam dłonie pod stolikiem, bo spodziewałam się, że zaraz mama zbombarduje

mnie pytaniami. Oczywiście długo nie musiałam na nie czekać. Być może też spostrzegła moje zdenerwowanie. Poprawiła zielony sweterek, zdjęła z niego niewidzialną nitkę i przystąpiła do przesłuchania.

- I jak sprawy? - spytała, spoglądając na moją nieopatrzenie odsłoniętą dłoń. Zamarła. Kilka razy niemo poruszyła ustami, zanim odzyskała głos. - Aśka! - Wskazała na mój nagi palec. Odruchowo nakryłam go drugą dłonią. - Gdzie ty masz pierścionek? - syknęła, jakbym kogoś zamordowała.

- Mamo - zaczęłam spokojnie. - Nie będzie ślubu z Arturem. Ojciec od razu postanowił zainterweniować. Położył żonie dłoń na ramieniu i poprosił, by się uspokoiła, bo są w kawiarni i klienci patrzą.

- A niech patrzą - burknęła do niego. - Mów, co się stało!

- Nic, mammo. - Wzruszyłam ramionami. - Ślubu nie będzie. Oddałam pierścionek.

- Zdradził cię, tak? - spytała. - Lekarz, więc wiadomo, że baby jak muchy do miodu lecą. A mówiłam, żeby szybko ustalać datę i zaklepać papierkiem!

- A co ty myślisz, że kwitek wszystko załatwia? - zdenerwowałam się, przypominając sobie byłego męża.

- A może zaczął pić, co? To w końcu chirurg. Aśka, czy on pił?

- Boże, mammo - zniecierpliwiłam się. - Miejmy to już z głowy, co? Ślubu nie będzie. Artur nic nie zawinił. To ja.

- Jak to ty?

- Normalnie. I nie chcę o tym więcej rozmawiać. Koniec kropka.

- Ja chyba śnię. - Zapadła się głębiej w fotelu. - Nie wierzę.

- To uwierz - wtrąciła ciocia. - Galameja z niego był. Nie on Aśce pisany!

- To wszystko przez ciebie. - Matka wycelowała palec w ojca.

- Proszę bardzo, masz swoje rządy! Gdybym ja trzymała rękę na pulsie, to Aśka ciągle miałaby ten pierścionek na palcu. A teraz to masz!

Ojciec spojrział na nią, nie dowierzając temu, co mówiła. W pierwszym odruchu wyprostował się i nabrał powietrza, by rzucić odpowiednią ripostę, jednak szybko zgarbił się i zatrzymał dla siebie słowa, które cisnęły mu się na usta.

- Ty lepiej się nie wtrącaj - rzuciła ciocia. - Znajdzie się ten, kto jej pisany! - powtórzyła z naciskiem na ostatnie słowo.

- A kto jej pisany? Jeśli szanowna ciocia wie, to niech raczy powiedzieć. Nerwów sobie wszyscy zaoszczędzimy.

- To Aśki sprawa - odparła obrończyni, a ja miałam wrażenie, że nie nadażam.

Czy to ciągle ja byłam główną bohaterką tych wywodów? Chyba straciłam kontrolę nad tym, co tutaj się wyrabiało!

- To jest już ktoś? - Mamuśka podchwyciła bardzo niejasną myśl i znów się wyprostowała.

- Nie, mammo. Nie ma nikogo.

- Aśka, dlaczego ty nie chcesz mi nic powiedzieć? - spytała. Na szczęście drzwi kawiarni się otworzyły i wpadł do środka Mieszko. A że chłopak niczego nie robił powoli, to od progu zrzucił z ramion kurtkę i biegł do kontuaru, by zająć krzesło barowe.

- Rany! - szepnęła mamuśka. - Co to za niewychowany dzieciak?

Podeszłam do nowego gościa. Przesunęłam jego plecak, by nie leżał na środku przejścia.

- Cześć - powiedziałam. - A ty sam jesteś?

- Tata kazał mi przyjść. W kinie byliśmy z klasą. Ma mnie stąd odebrać.

- Okej - odparłam. - Napijesz się gorącej czekolady?

Chłopak kiwnął głową, a ja podałam mu na talerzyku kawałek ciasta i zaczęłam nalewać czekoladę. Bez zastanowienia przystąpił do pałaszowania.

- Czyj to dzieciak? - Usłyszałam pytanie mamy.

- To jest Mieszko. - Dokonałam prezentacji.

Mama dalej wybałuszała na niego oczy, kompletnie nie rozumiejąc, kim jest chłopiec. Dopiero kiedy jej wyjaśniłam, pokiwała głową i dodała, że chyba jest niewychowany, bo do lokalu wpada jak burza w pole kukurydzy. Nie wdawałam się w zbędne dyskusje. Z odsieczą przyszła ciocia. Zaczęła zagadywać na temat swojej siostry. Mogłam więc na chwilę odetchnąć i zająć się klientami. Stanisława w tym czasie wyciągała jabłecznik z piekarnika. Słyszałam, że znów podśpiewywała pod nosem.

Po kwadransie do kawiarni wszedł Wiktor z nieodłączną Julką. Od razu przeprosił za to, że bez uprzedzenia kazał tu czekać na siebie synowi, ale chciał z dziećmi pojechać do stomatologa, więc musiał to wszystko jakoś zgrać w czasie. Kiedy rozmawialiśmy, zauważyłam, jak moja mama przygląda się nam z zainteresowaniem. Przy stoliku rodziców zapanowała idealna cisza. Wpatrywali się w nas, jakby w myślach dokonywali skomplikowanych obliczeń.

Wiktor kazał się chłopakowi ubierać, a ja z powodu nowych klientów, którzy akurat weszli do środka, nie przedstawiłam go rodzicom. Może nawet tego nie chciałam, wiedząc, że moja kochana mamusia zaraz dorobi sobie do tej znajomości ciekawą teorię. W sumie nie myliłam się, bo ku mojemu przerażeniu, kiedy Wiktor tylko zniknął za drzwiami, uderzyła w swoim starym stylu.

- No, pięknie, pięknie! To ty lekarza, chirurga w dodatku - zaczęła - bez garbu w postaci byłej rodziny, wymieniasz na faceta z dwójką dzieciaków?!

- Jezu - jęknęłam, spoglądając w stronę gości. - Ciszej.

- Nie jezuj mi tutaj - warknęła. - Aśka, gdzie ty masz rozum?

- Po pierwsze, nie z dwójką, tylko z czwórką, a może i z piątką - odpyskowałam, bo mnie zdenerwowała. - Po drugie, nikogo nie wymieniam. To był znajomy. Zaledwie znajomy, mamó, a ty dorabiasz do tego całą historię.

- Taki on znajomy, jak ze mnie gwiazda internetów - odcięła się.

- Wracajmy do domu - przerwała ciocia dość nagle.

Tata podchwycił tę myśl i dodał, że jest zmęczony podróżą i chętnie się w domu zdrzemnie. Mama już otworzyła usta, by to skomentować, ale po chwili machnęła ręką i szepnęła pod nosem, że mam robić sobie, co chcę, bo ona już nie ma do mnie siły.

- A kim ten facet jest? - zapytała na odchodne.

- Pedagogiem - odparłam. - Prowadzi dom, a dla tych dzieci stworzył rodzinę zastępczą.

- O rany - jęknęła i odruchowo wykonała znak krzyża. Szczęście, że nie splunęła przez lewe ramię! Ubrała się jednak posłusznie. Dopiero w drzwiach rzuciła, żebym się w łeb stuknęła, jeżeli wymieniam lekarza na pedagoga. To ostatnie słowo wypowiedziała z obrzydzeniem, jakby nie było gorszych zawodów na świecie. Gdy zamknęła za sobą drzwi, odetchnęłam.

- Niezła ta twoja matka - powiedziała Stasia. - Odpocznij chwilę.

Poczłapałam na zaplecze ze spuszczoną głową. Czułam się jak po przebiegnięciu maratonu, po którym ktoś wsadził mnie w wyciszkę i wycisnął ze mnie wszystkie soki. W kuchni sięgnęłam po nalewkę wiśniową. Napełniłam nią kieliszek i wypięłam. Policzyłam do dziesięciu. Serce zaczęło bić wolniej.

Oddech się uspokoił. Potem nałożyłam na talerzyk kawałek ciasta i zjadłam, licząc na to, że czekolada zrobi swoje.

Ledwo przełknęłam ostatni kawałek, gdy Stasia wołała o pomoc, bo klienci chcieli zapłacić, a ona jeszcze bała się obsłużyć kasę fiskalną. Z ekspresem zaczynała eksperymenty, ale stwierdziła, że na razie jedna maszyna do obsługi wystarczy. Bała się też, że narobi manka, bo źle wyda resztę. Ruszyłam więc z powrotem za bar. Nabiłam odpowiednie cyferki i wydrukowałam paragon. Włożyłam go w elegancką okładkę i zaniiosłam gościom. Dostałam całkiem niezły napiwek.

- Było pyszne - powiedziała zadowolona kobieta. - Czy można u pani zarezerwować termin na organizację urodzin?

- Jasne, ale jeżeli chodzi o dzieci, to nie mam tutaj zbyt wielu atrakcji - zaczęłam tłumaczyć, a klientka uśmiechnęła się i dodała, że chodzi o jej urodziny.

- Pięćdziesiąte - szepnęła.

- W takim razie zapraszam - odparłam zaskoczona, bo kobietka nie wyglądała na półwiekową. Miała ładnie ułożone włosy w mysim kolorze i twarz jak u trzydziestolatki. Dopiero gdy zmrużyła oczy, zauważyłam kurze łapki, które dodawały jej uroku. Umówiliśmy się, że za kilka dni przyjdzie omówić szczegóły. Wstępnie tylko zarezerwowała datę. To pierwsza taka impreza, jednak wpisałam ją sobie do kalendarza, żeby nie zapomnieć.

Wieczorem robiło się coraz bardziej pusto. Zaproponowałam Stasi, żeby poszła do domu. Nie potrzeba już było dwóch osób. Zaraz i tak musiałam zamykać.

Przełożyłam kawałek ciasta czekoladowego na paterę. Niewiele go zostało, ale będzie jeszcze trochę na jutro. Tarta cytrynowa poszła w całości. Pół blachy jabłecznika stanowiło niewielki zapas. Zauważyłam też, że powoli kończyły się ciasteczka owsiane i pralinki. Trzeba będzie dorobić. Lodów

było dosyć. Rzuciłam okiem na maszynkę do czekolady. Nalałam sobie aksamitnej słodyczy do filiżanki i usiadłam za barem. Ostatni goście nachylali się nad stolikiem i szeptali do siebie. Wyglądali na zakochanych. Z lekką zazdrością spoglądałam w ich kierunku, siorbiąc swoją czekoladę, która po raz kolejny tego dnia miała mi poprawić humor.

Kiedy ostatni maruderzy zapłacili i zbierali się do wyjścia, błysnęła mi genialna myśl. Dochodziła dwudziesta. Zapakowałam kawałek jabłeczniaka do pudełka stojącego na zapleczu, zamknęłam kawiarnię i ruszyłam do Sumina. W domu czekali na mnie rodzice, a ja starałam się jak najdłużej odwlec chwilę ponownej konfrontacji.

Jechałam przed siebie znajomą drogą. Nie wiem, co mnie pchało. Nie starałam się tego analizować. Po prostu tego dnia słuchałam podpowiedzi intuicji, a ta nakazywała mi podążać w tamtą stronę.

- Cześć - powiedziałam, kiedy Wiktor stanął przede mną w drzwiach.

- O! - zdziwił się zapewne tak późną wizytą.

- Wiem, znów cię nachodzę, ale zostało mi sporo ciasta - skłamałam. - Nie chcę, żeby się zmarnowało, więc jestem. Podejrzewam, że dzieciaki chętnie zjedzą.

- Dobry wieczór. - W drzwiach nagle pojawiła się Kornelia. Cholera! Zapomniałam, że ona gdzieś po tym świecie chodzi i w każdej chwili może tu wrócić. Wcisnęłam Wiktorowi pakunek ze słodkościami i odwróciłam się na pięcie, by jak najszybciej stąd zniknąć.

- Przepraszam - bąknęłam, gdy biegłam już do auta.

- Aśka! - zawołał za mną. - Poczekaj!

Nie wiem, dlaczego uciekałam. Jakaś niezidentyfikowana siła wstąpiła w moje nogi i niosła mnie do samochodu. Nagle poczułam jego dłoń na ramieniu.

- Poczekaj - powtórzył.

- Wiktor, ja przepraszam, nie wiem, dlaczego przyjechałam. Nie chciałam nic złego, ot, po prostu nie miałam ochoty wracać do domu. Mój przyjaciel Blubluś ma chłopaka, więc jemu też nie chciałam zawracać głowy. Przyjaciółka mieszka daleko, a księżę Poniatowski...

- Aśka! Nic nie rozumiem. Chodź, przejdziemy się - powiedział. - Tylko wezmę z domu kurtkę. Nie uciekaj!

Stałam przed autem, czekając, aż wróci. Korciło mnie, by prysnąć, ale z drugiej strony pragnęłam z nim zostać. Dwie niewidzialne siły się we mnie ścierały i zanim zdecydowałam o wygranej, Wiktor zbliżał się już do mnie. Pokazał mi kierunek. Poszliśmy. Pogoda nie sprzyjała spacerom. Od czasu do czasu zacinął mroźny wiatr. W dodatku było ciemno.

- Pokażę ci jezioro. Byłaś tam?

- Tak. Dawno temu - odparłam, a we wspomnieniu pojawił się mglisty obraz momentu, kiedy stałam nad brzegiem z Arturem.

- Podoba ci się Sumin? - spytał.

- Tak. Zaskoczyło mnie, że na budynkach są tabliczki informujące o ich dawnej funkcji. Kościół też macie przepiękny.

- To prawda - odparł. - Jezioro również jest cudne. Latem zapiera dech.

- Lubisz to miejsce?

- Bardzo. - Zamyślił się na chwilę. - Kornelia przyjechała na rozprawę.

- Jezu - jęknęłam. - A co się stało?

- Jutro mamy sprawę rozwodową. Rozmawialiśmy o tym z dziećmi, bo dla nich to też jest przeżycie.

- Nadal możesz je mieć? Będziesz rodziną zastępczą?

- Tak - odparł zdecydowanym tonem. - Ja wiem, że to praca dwadzieścia cztery godziny na dobę, bez urlopu i premii, ale uwielbiam te dzieciaki. Los nie pozwolił mi być

ojcem biologicznym, ale to nie znaczy, że nie mogę być zastępczym.

- Rozumiem. Przykro mi z powodu Kornelii.

- Chyba niepotrzebnie. Zbyt długo to przerabialiśmy. Wiesz, ja ją rozumiem i może dobrze, że to nastąpiło teraz. Prawdopodobnie jeszcze odnajdzie swoją drogę i będzie szczęśliwa.

- Czyli rozwodziecie się pokojowo? Jak w amerykańskim filmie? - zażartowałam ze sprawy, z której nie powinno się naigrywać. Jednak do tej pory myślałam, że pokojowe rozwody to legendy miejskie albo fragmenty scenariuszy ckliwych filmów. Nie znałam w moim otoczeniu nikogo, kto potrafiłby znieść to tak spokojnie, bez złych emocji.

- A ty przed czym dzisiaj uciekasz?

- Przed mamą - jęknęłam. - W południe przyjechała. Była w kawiarni, ale nie zdążyłam was sobie przedstawić.

- Jest taka straszna?

- Gorzej. Rozstałam się z Arturem... Hm. W sumie nawet trudno to nazwać rozstaniem, bo nie dał mi szansy nic wyjaśnić. Po prostu uciał wszystko skalpelem. Chirurg w końcu - powiedziałam z goryczą.

- Nabroilaś?

- Taaa - burknęłam. - I wstyd mi, chociaż... - zamyśliłam się - nie żałuję i nie czuję wyrzutów sumienia, ale przykro mi bardzo. Czasami myślę, że zrobiłam to, bo przestraszyłam się związku z nim, a właściwie to z nim, z jego zmarłą żoną i z jego rodzicami. Nie chciałam być Bożenką.

- Bożenką?

- Zmarłą żoną Artura. Legendą.

- Z legendą nie da się walczyć. - Odwrócił się do mnie i poprawił mi kołnierz przy kurtce. Zdziwił mnie ten gest. Uśmiechnęłam się niepewnie. W jego oczach widziałam odbicie księżyca. Broda dodawała mu groźnego wyglądu,

jednak oczy od razu zaprzeczały temu wrażeniu. Było w nich ciepło. Tliły się w nich małe iskierki w kształcie cienkiego rogalika.

- Z trupem w szafie też - dodałam z goryczą.

- Będzie dobrze. - Położył mi dłoń na ramieniu. - Czuję to. Opatuliłam się mocniej szalikiem, bo zrobiło mi się jeszcze chłodniej. Spojrzałam na ciemną taflę wody. Kątem oka zauważyłam, że Wiktor mi się przygląda. Lekko onieśmielona zadarłam głowę w niebo. Było w miarę czyste, pięknie upstrzone gwiazdami. Podał mi dłoń i weszliśmy na pomost. Milczeliśmy.

Rozdział 38

Ledwo przekroczyłam próg domu, usłyszałam głos mamy. Niestety nie udało się przeczekać u Wiktora tak długo, aż cała rodzina położy się spać. Wyglądali za mną. Od razu nieprzyjemnie ścisnęło mnie w żołądku. Będzie ciąg dalszy dyskusji pod tytułem „Dlaczego?”.

- No, nareszcie jesteś! Już myślałam, że będziesz tam nocować.

- Mamo, jestem zmęczona.

- Chodź, zjesz coś porządnego, bo pewnie w tej swojej kawiarni masz same słodczyce. - Postawiła talerz na stole.

Wtedy dostrzegłam, że rodzinka raczyła się malinową nalewką cioci. Butelka opróżniona była do połowy. Tata, nie pytając, podał mi kieliszek wypełniony czerwoną cieczą. Usiadłam. Zamoczyłam usta w słodkim napoju i błagałam w myślach, by nie psuli tego wrażenia poważną rozmową. Według nich wciąż miałam szesnaście lat i nic nie wiedziałam o życiu.

- My już zjedliśmy - odezwała się ciocia. Zauważyłam, że ma rumieńce.

- No to ja też się skuszę - odparłam i chwyciłam w dłoń widelec. - Pachnie dobrze.

- Córciu - zaczęła mama, a mnie ciarki przeszły po plecach. - Nie podoba mi się, że zerwałaś z Arturem...

- Mamo - jęknęłam.

- Nie przerywaj! Nie podoba mi się to i już, ale jeżeli uważasz, że dobrze zrobiłaś, że był jakiś powód, to twoja sprawa. - Spojrzałam na nią znad talerza. Nie, to mi się nie śni. - Zięc lekarz to marzenie - westchnęła. - Ale wiem, to zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe. Szanuję twoją decyzję, bo jesteś dorosła.

- I bardzo dobrze - wtrącił tata. - Asia wie, co robi.

- Jest taka nadzieja, bo jeżeli ma część genów po mnie, to...

- Napijmy się! - zawołała ciocia i wszyscy posłusznie chwycili za kieliszki.

Nalewka malinowa postawiła kropkę po tym zdaniu, choć ja ciągle nie mogłam uwierzyć. Czy czasem na słuch mi się nie rzuciło? A może niewłaściwie zrozumiałam słowa mamy. Z pewnością tematu nie należało drążyć.

Rozdział 39

O świcie zbudził mnie ból głowy i pełny pęcherz. Po omacku poszłam do łazienki. Drewniana podłoga zaskrzypiała pod stopami, gdzieś przemknął cień. Wystraszyłam się, choć wiedziałam, że to wyobraźnia płata mi figle. Dom pogrążony był przecież we śnie.

Kiedy wróciłam do łóżka, nie mogłam zasnąć. Dochodziła szósta. Za oknem było jeszcze ciemno. Zaczęłam rozmyślać nad wczorajszym dniem. Nie wierzę, że mama odpuściła. Podejrzewam, że to ciocina nalewka lekko ją zamroczyła i w konsekwencji nie wiedziała, co mówi. Z pewnością rano zacznie znów wygłaszać swoje racje o wyższości lekarza nad innymi kandydatami do ręki jej córki.

Przypomniał mi się Wiktor i nasz spacer nad jeziorem. Piękny ten Sumin nocą, to trzeba przyznać. Zimny wiatr zaciągał od wody, ale wycieczka była niezwykle przyjemna. Chyba zaczynałam traktować to miejsce jak azyl, choć wciskałam się z butami w czyjeś życie. Już dwa razy rządziłam się w jego kuchni i nawet miałam okazję połączyć w spodniach gospodarza. Uśmiechnęłam się do tych wspomnień. Biegający i krzyczący Mieszko nie zakłócił mi tego obrazka. A jaki jest Wiktor? Hm. Facet niczego sobie. Może jakby zgolił tę okropną brodę... Odgoniłam natychmiast te myśli, bo absolutnie nie w głowie mi były nowe komplikacje w życiu. Szybko więc skierowałam swoją uwagę na zupełnie inne tory, by nie dać się wciągnąć w zupełnie bezsensowne rozważania.

Dawno nie biegałam. Czas wrócić do tego zwyczaju. Kondycji Piotra nie doścignę, ale takie poranne wywietrzenie głupot z rozczochranej łepetyny jest jak najbardziej wskazane.

Wzięłam do ręki telefon. Było pięć minut po szóstej. Nie zasnę już na pewno. Nutuś spojrział na mnie leniwie. Zdziwił się pewnie tym, że ktoś budzi go tak wcześnie. Ziewnął i podszedł bliżej.

- Co, kocie? - Pogłaskałam go czule. - Czas się brać z życiem za bary, nie?

Miauknął w odpowiedzi. Nie miał zamiaru z niczym się siłować. Pewnie postanowił przeleżeć ten dzień. To najlepsze rozwiązanie, bo nie naraża na żadne życiowe zawirowania.

Odsunęłam Nutusia na bok i wstałam. Na biurku leżały moje bajki. Zapomniałam wczoraj pokazać je rodzicom. Pewnie będą dumni. Spojrzałam na ilustracje. Przypomniał mi się Jaromir. Nie odzywał się od ostatniego spotkania. Dziwny człowiek, pomyślałam. Dotknęłam dłonią rysunku.

Prysznic dopełnił porannych rytuałów. Miałam sporo czasu, więc ciało nabalsamowałam, spryskałam się różaną mgiełką i mogłam zaczynać dzień. Wiedziałam, że dzisiaj trzeba go rozpocząć od wizyty w hospicjum. Czas najwyższy.

Rodzice zeszli na śniadanie dopiero około ósmej. Ciocia krzątała się od godziny, nucila coś pod nosem, najwyraźniej zadowolona ze sposobu rozpoczęcia dnia.

- To ja jadę - powiedziałam do wszystkich. - Wrócę jak zawsze wieczorem.

- Przyjdziemy do kawiarni na herbatkę - rzuciła mama. - Przechowaj dla nas kawałek pysznego ciasta.

- Nie ma sprawy - odparłam. - Aha, u mnie w pokoju na biurku jest niespodzianka. Obejrzyjcie.

Zamknęłam drzwi na klucz i wsiadłam do samochodu. Zastanowiłam się chwilę, czy najpierw hospicjum, czy może fundacja.

Ruszyłam przed siebie. Zaczęło padać. Wycieraczki ledwo nadążały zbierać wodę z szyb. Zaparkowałam niedaleko wejścia.

Policzyłam do dziesięciu i wyskoczyłam z auta, pędząc od razu do drzwi budynku. Tutaj zderzyłam się z jakimś lekarzem, a w korytarzu wpadłam na Matyldę. Ucieszyła się na mój widok.

- Dawno cię u nas nie było! - stwierdziła, a mnie trochę ukłuło to „nas”, bo nagle jakbym znalazła się poza jego granicami. Tu my, a ty tam.

- Ciężko mi było tu wrócić - odpowiedziałam szczerze. - Wiesz, czy pani Ada jest u siebie?

- Chyba już przyszła - odparła i wskazała głową na uchylone drzwi do jednej z sal. - Idę do podopiecznej. Pomożesz mi?

- W czym?

- W budowaniu dobrego nastroju. W tym jestem kiepska. - Ale ja...

- Na chwilę tylko.

Matylda ruszyła do sali, a ja z lękiem poszłam za nią. Umyłam dłonie. Kobieta podała mi rękawiczki, ale odmówiłam ruchem głowy. W pokoju leżały dwie dziewczynki. W pierwszym momencie serce zabiło mi mocniej, bo jedna z nich leżała na łóżku Mrówki i jakby na chwilę przywróciła ją życiu. Podłączona była do skomplikowanej aparatury. Pompę z morfiną rozpoznałam od razu. Druga leżała pod oknem w dawnym łóżku Pati. Zawinięta była szczelnie w kołdrę. Nie widziałam jej twarzy, a jednak w gardle ścisnęło.

- Cześć, przyprowadziłam wam gościa - odezwała się Matylda. - To jest Asia. Kiedyś pracowała tu jako wolontariuszka i uczyła dzieci języka polskiego.

- I historii - dodałam odruchowo, choć nie miało to najmniejszego znaczenia. Jedna para oczu skierowała się na mnie. Doskonale znałam to spojrzenie. Zawierało ten sam ocean bólu, co u Mrówki, u Szpilki i u Pati. Przelał się tylko w inne źrenice.

- A to jest Dominika, mówimy na nią Nika. - Matylda wskazała dziewczynkę, na oko może ośmioletnią. Tonęła w pościeli Mrówki. - A pod oknem leży... - zawahała się. - Ktoś,

kogo znasz. - Spojrzała na mnie wzrokiem, który pewnie długo zapamiętam. Na moment przestało mi bić serce, a nogi lekko się ugięły. Nie mogłam ruszyć się z miejsca. W zwolnionym tempie obserwowałam, jak dziewczynka leżąca pod oknem odsłania lekko kołdrę i z trudem próbuje się odwrócić w moją stronę.

- Pati... - szepnęłam. - Pati!

Usta dziecka drgnęły, lecz nie mogły się zdecydować, w którą stronę mają się ruszyć ich kąci - w górę czy w dół.

- Dlaczego nas nie uczysz? - spytała nagle Dominika, a ja przełknęłam głośno ślinę i nie mogłam znaleźć słów.

Co miałam powiedzieć? Że nie chcę więcej patrzeć na cierpienie i śmierć, że jestem tchórzem, który postanowił się zamknąć we własnej skorupie i nie chce wychylać z niej nosa? Nie umiałam teraz nawet ruszyć się, by podejść do Patrycji. Stałam niczym żona Lota. Nie wiedziałam, kiedy dziewczynka wróciła z Warszawy, ale docierało do mnie, że jeżeli tu jest, to...

- Bo Asia miała urlop - uratowała mnie Matylda. - Ale podejrzewam, że przyjdzie do was nieraz. Doskonale zna się na książkach i pisze bajki dla dzieci. Zresztą kto jak kto, ale Patrycja o tym wie. - Uśmiechnęła się w kierunku łóżka pod oknem.

Zmobilizowałam w sobie wszystkie siły, jakie jeszcze gdzieś wewnątrz mnie się tliły, i podeszłam do Pati. Nieposłuszne łzy przedzierały się przez powieki.

- Skarbie - powiedziałam z trudem i po chwili przytulałam Patrycję. Dziewczynka jęknęła pod wpływem tego uścisku. Przycupnęłam więc obok na krześle i złapałam ją za dłoń. - Jak się czujesz?

- Źle - szepnęła. - Nie udało się.

Chciałam powiedzieć, że wszystko będzie dobrze, że nie można tracić nadziei, a potem wyjść na korytarz i poddać się

rozpaczy, ale tym razem postanowiłam wreszcie nie uciekać przed prawdą. To jest hospicjum. Czas nazwać rzeczy po imieniu. Jak to kiedyś powiedziała Mrówka? Próbowałam odszukać w pamięci definicję, którą odnalazła w internecie. Miejsce, które umożliwia godne odejście?

Pocałowałam dziewczynkę w czoło. Pogłaskałam po główce i poprawiłam jej pościel.

- Pokażesz mi kiedyś bajki? - spytała Dominika słabym głosem.

- Tak, pokażę - odparłam i wiedziałam, że tutaj wrócę, choćby nie wiem co. Kontakt został nawiązany, zatopiłam się w kolejnym spojrzeniu, ponadto ciągle trzymała mnie tu Patrycja. - Tak - dodałam z uśmiechem. - Przyjdę do was jutro i przyniosę ci bajki.

- Super.

Porozmawiałam chwilę z dziewczynkami. Pati niewiele mówiła, zaledwie od czasu do czasu wtrąciła jakieś słowo, a mnie każde jej spojrzenie paliło do żywego. Miała bardzo słaby głos, widać, że mówienie sprawiało jej kłopot. Siedziałam na brzegu krzeselka, ale już nie chciałam nagle zrywać się i wybiegać. Miałam wrażenie, że ciężar w żołądku stał się solidną kotwicą.

Kiedy wyszłam z sali, głęboko odetchnęłam. Zaraz za mną pojawiła się Matylda.

- Dziękuję - szepnęłam do niej, a łzy spłynęły mi po policzkach. - Dziękuję.

Spojrzała na mnie zdziwiona. Potem pogłaskała mnie po plecach dłonią odzianą w lateksową rękawiczkę.

Poszłam do gabinetu pani Ady. Siedziała przy biurku i patrzyła w monitor komputera. Naprzeciwko niej zagłębiony w fotelu znajdował się znany mi z widzenia lekarz. Kiedy wymieniliśmy uprzejmości, wyszedł.

- Cieszę się, że pani wróciła.

- Wróciłam - odparłam i głęboko odetchnęłam. - Chociaż szłam tu z zamiarem pożegnania, ale Matylda chyba coś we mnie odblokowała.

- To dobra wolontariuszka. Hm... - Pani Ada się zamyśliła, szukając odpowiedniego słowa. - Bardzo profesjonalna - dodała z uśmiechem. - Ogromnie nam pani brakowało.

- Nie byłam w stanie wrócić wcześniej. Gdybym wiedziała, że jest tu Pati...

- Celowo nie dzwoniłam. Wiem, że czasami potrzeba czasu, by sobie wszystko przemyśleć. Cieszę się, że pani jest. Wybieram się do kawiarni, bo słyszałam, że same pyszności tam można popróbować. Piotr Prażmowski nie mógł się nachwalić. Domyślam się, że czasu na hospicjum będzie niewiele.

- Niestety, ale mam pomoc, więc myślę, że jakoś uda się to pogodzić. W takim razie nie przeszkadzam i zapraszam do siebie na kawę - powiedziałam z niepokojącą lekkością, choć przecież powinnam załamać się powrotem Patrycji. Wcześniej wydawało mi się, że trzeba walczyć do końca. A może Wiktor miał rację, mówiąc, że czasami trzeba pozwolić odejść? W tym też mogę pomóc.

Stałam w korytarzu i odetchnęłam szpitalnym powietrzem. Brakowało mi tego! Śmierdzi okropnie, pomyślałam, ale jest to część moich wspomnień.

Wyszłam z hospicjum. Deszcz nie ustawał w swoich planach zmoczenia całego Kociewia, jednak nie przeszkadzało mi to, by ruszyć pieszo do fundacji Piotra. Chwilę nasłuchiwałam, czy z jego gabinetu nie dochodzą głośne dźwięki. Dopiero kilka sekund później weszłam do środka. Piotr kucał na podłodze i zbierał porozrzucane kartki.

- Miałeś tu tornado? Cześć.

- Niechcący machnąłem łapą i wszystko poleciało. Nachyliłam się, by mu pomóc.

- Wracam z hospicjum.

- O! - Spojrzał na mnie uważniej i zaraz się uśmiechnął. - Tak myślałem, że dasz radę.

- A tego to ja nie wiem, ale chyba warto spróbować jeszcze raz - odparłam. - Nie powiedziałeś mi o powrocie Patrycji.

- Chciałem - zawahał się. - Ale w końcu postanowiłem to przemilczeć. Przepraszam.

- W porządku - odparłam cicho. Odłożyłam kartki na biurko i zajęłam krzesło. - Czas pogodzić się z niektórymi wyrokami.

- A jak sprawy sercowe? - zmienił temat rozmowy i przeszedł na swój fotel.

- Kiepsko. Artur ze mną nie pogada. Nawet nie dał mi się wytłumaczyć.

- Aśka, ja wiem, że to nie moja sprawa, ale czy pomiędzy tobą a Jaromirem...

- Nie - ucięłam. - Wiesz, w nim jest coś, co mnie tak strasznie wkurzało, a tym samym ciekawiło, że raz czy dwa uległam jakimś durnym emocjom, ale nic z tego nie będzie.

- To nie jest zły facet.

- Wiem, ale to nie moja bajka - odparłam. - Jaro... Hm, Jaro jest taki na jeden raz. Sam zresztą to potwierdził, a ja raczej nie tego w życiu szukam.

- Szkoda w sumie.

- Wyobrażasz sobie nas razem?

- Jako mieszkankę wybuchową chyba tak - zaśmiał się. - Nie - dodał po sekundzie. - Pozabijalibyście się.

- No właśnie.

- Będzie dobrze. Nie martw się.

- Dziwne, bo chyba to pierwszy dzień, kiedy naprawdę się nie martwię. Skoro wyznałam mamie, że nie będzie miała zięcia lekarza, i wciąż żyję, to oznacza, że odniosłam sukces.

- Mamusia nie dostała zawału po tej wiadomości?

- Nie. Ale znieczuliła się nalewką malinową.

- To dobry objaw.

- A wiesz - zawahałam się, bo jeszcze jedna rzecz ciągle nie dawała mi spokoju. - U Jaromira znalazłam kiedyś w teczce z rysunkami moje portrety.

- I? - Spojrzał na mnie pytająco, ale nie wyglądał na zdziwionego.

- Sama nie wiem. Uważasz, że to normalne, że facet mnie rysuje?

- Aśka, spodobałaś mu się - odparł. - To przecież widać na kilometr, że między wami iskrzy. Mówiłem ci, że Jaro to wrażliwy facet, który okopał się w swojej pozornej oziębłości.

- Wiem, że szybko stracił rodziców. Może to dlatego? - zaczęłam się głośno zastanawiać.

- To zależy ci na nim czy nie? - spytał wreszcie wprost.

- Nie. Ale chyba muszę przyznać sama przed sobą, że go polubiłam. - Wykrzywiłam dziwnie usta. Jaro ma w sobie jakąś tajemnicę, ale wiedziałam, że nie ja będę ją odkrywać.

Pożartowaliśmy jeszcze przez chwilę i już w nieco lepszym humorze mogłam jechać do swojej kawiarni. Dzisiaj Stasia miała być tam wcześniej, bo dałam jej zapasowe klucze. Obiecała, że zaserwuje kociewskie ruchanki.

- O! Jak pachnie! - zawołałam od progu. - Pieką się już?

- Muszą się dobrze wyruchać - odpowiedziała.

Potem wyjaśniła mi, że ich się nie piecze, tylko się je smaży, i że podamy do nich powidła śliwkowe, które własnoręcznie robiła. Pokazała mi słoiki dumnie prezentujące się na blacie w kuchni. Ucieszyłam się, bo właśnie o taką pomoc z inwencją twórczą mi chodziło. Wszystko tego dnia

układało się po mojej myśli, aż chciało się śpiewać. Wtedy znów przypomniałam sobie o braku radia, ale wreszcie machnęłam na to ręką. Trudno, będzie na razie lokal bez muzyki.

Od dwunastej zaczęli pojawiać się goście. Zazwyczaj były to kobiety. Zamawiały kawę i ciastko, a kiedy Stasia wyniosła z kuchni gorące ruchanki i ustawiła je na blacie przy barze, rozszedł się cudowny zapach, który wabił klientów aż z ulicy. Niektórzy kupowali na wynos, inni zajadali na miejscu. Sama pochłonęłam aż dwie. Były syte, ale niezwykle smaczne.

Kiedy do środka wszedł mężczyzna w ciemnym płaszczu, zamarłam. Serce zabiło szybciej, a nogi lekko się pode mną ugięły. Nie odezwałam się ani słowem, tylko w milczeniu obserwowałam, jak podchodzi do baru. Zajął miejsce na krześle i smutnym wzrokiem spojrzał w moim kierunku. W pierwszym odruchu miałam ochotę zapaść się pod ziemię, jednak zebrałam wszystkie siły i podeszłam do niego bliżej.

- Cześć - powiedziałam. - Podać ci coś? Przyglądał mi się przez chwilę.

- Espresso.

Drżącą dłonią ustawiłam filiżankę na podajniku ekspresu. Nacisnęłam odpowiedni guzik i stałam sparaliżowana.

- Może czas pogadać - powiedział, kiedy podałam mu kawę.

- A jest jeszcze o czym? - spytałam.

- I tak, i nie - odparł zagadkowo tym samym tonem. - Nie mogłem wcześniej na ciebie patrzeć, nie chciałem.

- Wiem.

- Na nikim się tak nie zawiodłem.

- Wiem - powtórzyłam.

- I nie jestem w stanie tego naprawiać - dodał. To też wiedziałam, więc kiwnęłam jedynie głową. - Ale nie jestem też w stanie cię za to zniechęcić.

- Nie chciałam, żeby tak wyszło.
- Rozumiem, ale nie mogę być z tobą.

Przełknęłam ślinę, bo zaschło mi w ustach. Nie spodziewałam się, że będzie okazja, by rozmawiać. Do tej pory umiejętnie mnie unikał i nie odpowiadał na telefony. Teraz jednak słowa grzęzły mi w gardle i jedyne, co robiłam, to przytakiwałam.

- Przypuszczam, że przyjaźni z tego też nie będzie. -
Uśmiechnęłam się gorzko.

- Nie. Ale możemy zachowywać się jak cywilizowani ludzie i być po prostu znajomymi - wyjaśnił, a ja miałam ochotę rzucić w niego czymś. Mówił beznamiętnie, bez emocji. Wolałabym, żeby się rozplakał albo zrobił awanturę, wyrzucił mi, że jestem świnią bez serca. Tymczasem on beznamiętnie streszczał, co teraz będzie między nami.

- Chcesz coś do kawy?

- Nie - odparł. - Idę na dyżur. Musiałem zajrzeć, bo chyba jakieś słowa na koniec powinny paść.

- Powinny - potwierdziłam.

Wyszedł, rzucając zdawkowe pożegnanie. Kiedy patrzyłam, jak zamykał za sobą drzwi, łzy powoli spływały mi po policzkach. Kolejny rozdział mojego życia został definitywnie zamknięty. Spojrzałam na ruchanki piętrzące się tuż obok. Chwyciłam jeszcze jedną, posmarowałam ją powidłami i ugryzłam. Na bank dzisiaj mnie zemdli.

- Psi dzień? - spytała Stasia.

- Nie. Wręcz przeciwnie. Chyba wychodzę na prostą.

- Co tu gadać, będzie fejn.

- Jo - zaśmiałam się, a do kawiarni weszli nowi goście.

Epilog

Wybrałam numer do mamy. Wiedziałam, że nie daruje mi, jeżeli tym razem nie dowie się tego jako pierwsza. Odezwała się po kilku sekundach, a ja bez większych ceregieli krzyknęłam w słuchawkę:

- Mamo! Mam datę!

- Kurde blaszka! - zawołała, czym mnie trochę zdziwiła, bo nie spodziewałam się aż takiej reakcji. - Nareszcie! Wiedziałam, że się z Arturkiem pogodzicie! Wiedziałam!

- Mamo! - przerwałam jej radość. - Od ponad roku nie jestem z Arturem. Zapomniałaś? Tłumaczyłam ci, że spotykam się z Wiktorem!

Zdenerwowała mnie. Byłam pewna, że po takim czasie dawno sobie wybiła z głowy zięcia chirurga. Przecież nawet przestała o niego pytać! Doskonale wiedziała, że jeżdżę do Sumina, że wreszcie nie mam żadnych wątpliwości.

- Asiu! - zawołała. - Czy ty nie będziesz tego żałować? Po co się spieszyć, co? - zaczęła mówić, a ja aż usiadłam z wrażenia. Do niedawna naciskała, że data, że ślub, że metryka, a teraz nagle się jej odwidziało. - Jeszcze te dzieci!

- Mamo! Ja je uwielbiam! - krzyknęłam. - Wiesz, co Julka do mnie ostatnio powiedziała?

- Przecież to dziecko nie mówi!

- Mówi, ale rzadko. Musi się do kogoś przekonać. Ta dziewczynka jest chora, ale pokochałam ją całym sercem.

- No co takiego do ciebie powiedziała? - spytała tonem wskazującym na jej wielką łaskę, że tego wysłucha.

- Mamo - odparłam.

- Co? - Dopiero po chwili złapała, o co chodzi. - I wielkie mi halo. Jeszcze będziesz żałować. Artur był chirurgiem, a kim jest ten cały Wiktor? Ojcem tylko jest, bo nawet pedagog z niego jak z koziej dupy trąbka.

- I właśnie o to chodzi - powiedziałam z satysfakcją. - Jest najlepszym ojcem na świecie. W dodatku zastępczym, a to chyba trudniejsze niż ojcostwo biologiczne.

- Co on ci da, dziecko?

- Dom, mamó. Da mi prawdziwy dom.

- Jaki to dom, Asiu? Ty się jeszcze, dziecko, zastanów.

- Mamó, to najlepszy dom na świecie! - Uśmiechnęłam się. - W dodatku z odrobiną cynamonu. - Westchnęłam na wspomnienie zrobionych w jego domu po raz pierwszy knedli ze śliwkami.

- Jakiego znów cynamonu? - zdenerwowała się. - A co na to Lusia?

- Lusia go uwielbia. Dogaduje się z dziećmiakami i jest za tym, żeby jej matka była szczęśliwa.

- A będziesz szczęśliwa?

- Tak, mamó. Pierwszy raz w życiu jestem tego pewna. Chyba wreszcie przestałam uciekać.

- A data? - spytała, wywieszając białą flagę.

- Czwartego sierpnia - odparłam.

Gdy się rozłączyła, wygodnie rozpostarłam się w fotelu. Stasia, ubrana dzisiaj w białą koszulę z kociewskimi haftami na mankietach i przy kołnierzyku, zaparzyła caffè latte i postawiła przede mną kubek z gorącym napojem. Delektowałam się chwilą. Teraz ważne stało się to, co tu i teraz, a przecież wreszcie pojawiła się miłość, w dodatku od razu z gromadką dzieci, z pachnącym domem, z kotem oraz z moją własną malutką Literatką.

Od autorki

Oddając tę książkę do wydawcy, żegnam się z Joanną - bohaterką trylogii kociewskiej. Dałam tej postaci sporo osobistych przeżyć i cech charakteru. Bardzo się zżyłyśmy i chyba polubiłyśmy się. Pisząc tę opowieść, nie wiedziałam, że Joanna wywrze jakikolwiek wpływ na moje życie, a tak właśnie się stało. Dzięki niej powstała bajka o leniusiołkach. Co prawda nie zilustrował jej Jaromir Poniatowski, bo po prostu ktoś taki nie istnieje, ale znalazło się wydawnictwo zainteresowane jej wydaniem. Książka ukaze się jesienią 2017 roku i będzie kropką nad trylogią kociewską. Ponadto, tak jak powieściowa Joanna, całe honorarium ze sprzedaży bajki przekażę na pomoc dzieciom chorym na białaczkę (na Stowarzyszenie Rodziców Dzieci Chorych na Białaczkę i Inne Choroby Nowotworowe w Szczecinie). Historia się dopełni.

Z żalem informuję, że kiedy książka trafia do druku, nie ma już w Starogardzie Gdańskim Cafe Anki, czego nie mogę odżałować, bo była to najbardziej klimatyczna kawiarnia w tym mieście.

Pragnę dodać, że Asia z Wiktorem żyli długo i szczęśliwie. Zgodnie z planem czwartego sierpnia złożyli przysięgę małżeńską w urzędzie stanu cywilnego. Początkowo planowali jedynie niewielkie przyjęcie, jednak mama Joasi zbuntowała się na całego i przejęła dowodzenie przy organizacji wesela. Zjednoczyła siły z rodzicami Wiktora i urządzili nowożeńcom uroczystość na sześćdziesiąt osób z kociewskimi przyśpiewkami, z oczepinami, zabawami i z maskami (weselnymi dziadami), a dzień przed ślubem - zgodnie ze zwyczajem panującym w tym regionie - odbył się polterabend. Kiedy już udało im się przetrwać całe to zamieszanie, żyli spokojnie i szczęśliwie, jak to zwykle w bajkach bywa. Oczywiście los podrzucił im pod nogi niewielkie kłody, ale wspólnymi siłami zawsze dało się je

przeskoczyć. Bo przecież na Kociewiu wszystko i zawsze się da. A najlepiej się da podczas zagryzania słodkości!

Podobnie jak na Kaszubach, tak i na Kociewiu smaży się ruchanki. Można podawać je z fjutem, czyli z syropem z buraka cukrowego (według niektórych opracowań była to tańsza wersja miodu). Popytałam miejscowych o sprawdzony przepis na ten smakołyk, a teraz przekazuję recepturę dalej.

Ruchanki

3 1/2 szklanki mąki

1/3 kostki drożdży woda

Fjut

burak cukrowy

woda

Z drożdży należy zrobić rozczyn. Następnie dodać do mąki, dolać odpowiednią ilość wody i dobrze wyrobić. Kiedy ciasto wyrośnie, urywać kawałki, formować placki i wrzucać na gorący olej.

Ruchanki nie zawierają cukru, więc można polać je słodkim fjutem, który wykonuje się z buraka cukrowego. Należy zetrzeć go na tarce, zalać wodą i gotować tak długo, aż zmięknie. Potem odcedzić i podgrzewać płyn, by zgęstniał. Oczywiście można zastąpić go powidłami lub miodem.

Dowiedziałam się, że współcześnie niektóre gospodynie dodają do ciasta trochę cukru i małe kawałki jabłek. Tę wersję też próbowałam. Była wyśmienita. Polecam.

Podziękowania

Na koniec składam serdeczne podziękowania osobom, które dołożyły swoją cegiełkę do tego, bym mogła stworzyć tę opowieść. Dziękuję mojemu mężowi Sławkowi, córce Emilii oraz koleżankom: Katarzynie Wieczorkiewicz, Izie Smycz, Żanecie Michalskiej, Katarzynie Grzyb i Małgorzacie Skupień. Tę ostatnią przy okazji gorąco przepraszam za przekręcenie nazwiska w podziękowaniach zamieszczonych w powieści To się da! (Gosiu, wybacz!). Dziękuję również pani Krystynie Engler za inspirację podczas pisania jednego z epizodów oraz Dominice Fijoł za rozwianie moich wątpliwości. A pisarzowi Alkowi Rogozińskiemu dziękuję za uśmiech i niezwykle wsparcie.

Myślę, że ukłony należą się również moim Czytelniczkom i Czytelnikom z Kociewia (Pinczyn, Lubichowo, Zblewo, Skórcz, Kaliska, Starogard Gdański, Tczew, Pelplin i in.), którzy podczas spotkań autorskich podpowiadali mi słówka i powiedzonka typowe dla tego regionu. Dziękuję moim koleżankom z Klubu Czytelniczego „Myślnik” (Asi, trzem Lucynom, dwóm Kasiom oraz Kornelii) i wszystkim blogerkom oraz blogerom za promowanie moich książek.

Jak zawsze nieocenioną pomocą służyli mi redaktor Justyna Nosal - Bartniczuk oraz Wydawnictwo Szara Godzina.

Wszystkim pięknie się kłaniam i zapraszam do kontaktu na Facebooku: [https://www.facebook.com/Anna - Sakowicz - 554605154652259/](https://www.facebook.com/Anna-Sakowicz-554605154652259/)